

# Robert Muchamore

## Bandyci

### Cherub 11

Tłumaczenie Bartłomiej Ulatowski

Tytuł oryginalny serii: Cherub

#### CZYM JEST CHERUB?

CHERUB to komórka brytyjskiego wywiadu zatrudniająca agentów w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat. Wszyscy cherubini są sierotami zabranymi z domów dziecka i wyszkolonymi na profesjonalnych szpiegów. Mieszkają w tajnym kampusie ukrytym na angielskiej prowincji.

#### JAKI POŻYTEK MA WYWIAD Z DZIECI?

Całkiem spory. Ponieważ nikt nie podejrzewa dzieci o udział w tajnych operacjach szpiegowskich, mogą sobie pozwolić na znacznie więcej niż dorośli agenci.

#### KOD KOSZULKOWY

Rangę cherubina można rozpoznać po kolorze koszulki, jaką nosi w kampusie. Pomarańczowe są dla gości. Czerwone noszą dzieci, które mieszkają i uczą się w kampusie, ale są jeszcze za małe, by zostać agentami (minimalny wiek to dziesięć lat). Niebieskie są dla nieszczęśliwych przechodzących torturę studniowego szkolenia podstawowego; szara koszulka oznacza agenta uprawnionego do udziału w operacjach; granatowa jest nagrodą za wyjątkową skuteczność podczas akcji. Laura i James noszą koszulki czarne, przyznawane za znakomite wyniki podczas wielu operacji. Agenci, którzy zakończyli służbę, otrzymują koszulki białe, jakie nosi także część kadry.

#### 1. BARWY

The Brigands Motorcycle Club powstał w 1966 roku, założony przez bandytę i rabusia Kurta Oxforda. Klub nie różnił się od innych motocyklowych gangów, jakie powstawały wówczas tuzinami: banda nasrożonych facetów na wielkich maszynach, promieniejących groźbą i straszących normalnych ludzi.

Motocyklowi Bandyci nie byli największą grupą tego typu, najbardziej złowrogą ani nawet szczególnie znaną. Wielu sądziło, że śmierć Kurta Oxforda w więziennej strzelaninie w 1969 roku położy kres ich istnieniu, jednak zamiast się rozpaść lub ulec wchłonięciu przez większy klub - „załataniu”, jak mówi się w bikerskim slangu - Motocyklowi Bandyci rozwinęli się.

Kiedy Kurt Oxford grasował po ulicach Los Angeles na swoim harleyu davidsonie, nigdy by nie uwierzył, że pewnego dnia jego motocyklowy klub będzie miał siedemdziesiąt oddziałów - chapterów - rozrzuconych po całych Stanach Zjednoczonych, a do tego sto chapterów za granicą, od Sydney po Skandynawię. W 1985 roku liczebność Bandytów szacowano na ponad trzy tysiące braci (zaprzysiężonych członków z prawem do noszenia na plecach pełnych barw klubu), plus dziesięć razy tyle prospektów i niezaprzyśiężonych suporterów.

1        Prospekt - kandydat na pełnoprawnego członka klubu motocyklowego, w okresie próbnym mający ograniczone prawa i przywileje (przyp. tłum.).

2        Suporter - osoba nienależąca do klubu motocyklowego, ale aktywnie wspierająca jego działalność (przyp. tłum.).

Tylko pełnoprawny członek Brigands MC ma prawo do noszenia na plecach godła klubu: haftowanej naszywki przedstawiającej bandytę w pelerynie, dzierżącego strzelbę z odpiłowaną lufą.

Fragment W trasie z Kurtem i Bandytami Jane Oxford.

Spośród jedenastu brytyjskich chapterów Bandydzi z South Devon ustępowali jedynie Londynowi pod względem starszeństwa i zakresu władzy. Siedzibę klubu urządzili w dwóch przerobionych poskrzypujących na wietrze stodołach, stojących na sześćhektarowej działce nieopodal zamożnej części Salcombe. W pogodne dni kamery nadzoru zamontowane wokół blaszanego ogrodzenia mogły zerkać nad drutem kolczastym na jachty milionerów cumujące w marinie poniżej.

Dante Scott miał osiem lat i był synem Scotty'ego, wiceprezesa Brigands z South Devon. Był twardym dzieciakiem, który bez wahania rzucał się z pięściami na każdego, kto odważył się drwić z jego wiecznie skołtunionej rudej czupryny. Dante lubił, kiedy tata zabierał go ze sobą do siedziby Bandytów, co zdarzało się głównie w środowe i piątkowe wieczory, kiedy pani Scott jeździła do Plymouth na kursy wieczorowe.

Bikerzy grali w bilard, pili, palili trawkę, przeklinali i nie życzyli sobie, by jakieś dzieciaki plątały im się pod nogami. Podwórka siedziby klubu nikt nigdy nie sprzątał i mama Dantego zabraniała mu bawić się wśród potłuczonego szkła i stert poszarpanego metalu, ale nigdy nie stało mu się tam nic złego, zresztą Scotty nie miał nic przeciwko temu, byle malec zajmował się sobą i nie zwracał głowy starszym.

Dante siadał za kierownicą rozbitego forda i wyobrażał sobie, że prowadzi, albo budował skocznię z nadgniłych kawałków drewna i spuszczał na nią z górki aluminiowe beczki po piwie. Na ogół w siedzibie były też inne dzieci.

Teren wokół stodoł był zbyt pochyły na piłkę, bawili się więc w chowanego albo berka, który sprawiał największą frajdę, kiedy grało się w ciemności, z latarkami. Ale najfajniej było, kiedy przychodził Zgryz i zabierał młodzież na trening bokserski.

Zaden z Bandytów raczej nie kojarzył się z pluszowym misiem, ale Zgryz wyglądał przerażająco nawet jak na standardy gangu. Wielki, umięśniony, nosił glany z ostrogami za obcasem i zatłuszczone džinsy, podtrzymywane paskiem z motocyklowego łańcucha, który w każdej chwili mógł wyrwać ze szlufek i użyć do skatowania na miazgę każdego, kto miał nieszczęście mu podpaść.

Ksywki bikerów zwykle miały wydźwięk ironiczny. Mały George miał gabaryty domu, Baryła był chudy jak tyczka, zaś Zgryz nie miał w otworze gębowym niczego prócz miękkich dziąseł i paru poczerniałych trzonowców z tyłu. Nigdy nie opowiadał, jak stracił uzębienie. Zapytany o to pewnego razu przez Dantego mruknął tylko: „Żebyś widział, w jakim stanie był tamten”.

Zgryz był bramkarzem w klubie nocnym, gdzie dorabiał sobie, handlując narkotykami, ale od dziecka chciał być zawodowym zapaśnikiem. Niekiedy latem udawało mu się załapać na kilka tygodni na posadę trenera na obozie wakacyjnym i kilka razy walczył w telewizji, ale nie należał do grona gwiazdorów z rozkładówek magazynów zapaśniczych, których stosy piętrzyły się w pokoju Dantego.

Zgryz zabierał Dantego i wszystkich innych zainteresowanych chłopców do dużej sali na tyłach większej ze stodół, gdzie znajdował się stary ring bokserski z wypaczoną drewnianą podłogą otoczoną postrzępionymi linami. Nauczył Dantego, jak się boksować, jak wykonywać kopnięcia karate, duszenia i całą masę innych chwytów, o czym chłopcu nie wolno było mówić mamie, bo - jak wyraził się tata - dostanie wścieku i skończy się babci sranie.

Każdy Bandyta na świecie musiał bywać na środowych spotkaniach w siedzibie nazywanych mszami. Dante uwielbiał mszalne wieczory. Zony i dziewczyny szesnastu braci z chapteru przyrządzały jedzenie i upijały się w barze, podczas gdy ich mężczyźni obradowali w małej przybudówce zwanej kaplicą. W siedzibie zawsze było wtedy dużo dzieci.

Przed wszystkim przychodził Joe, syn Fiihlera, prezesa chapteru South Devon. Dante i Joe chodzili do drugiej klasy w tej samej podstawówce i byli dobrymi kumplami. Tej środy zaczęli imprezę od napchania brzuchów smażonymi skrzydełkami kurczaka, kielbaskami koktajlowymi, frytkami z piekarnika i colą, po czym przyjęli kilka mocniejszych szturchnięć okraszonych zapowiedzią gorszych kar, po przewróceniu starszej dziewczyny imieniem Isobel w kałużę nieopodal motocykli zaparkowanych przy wjeździe.

Po jakiejś minucie głośnego bekania w celu zdekcentrowania Martina, jedenastoletniego kujonowatego brata Joego, który usiłował czytać książkę, rozbrykana para zajęła się mocowaniem ze sobą i gonitwami wokół ringu bokserskiego. Kiedy tracili siły, biegli z powrotem do baru, by podładować akumulatory babeczkami i fantą.

Po pewnym czasie zaczęło im się nudzić i z zadowoleniem przyjęli koniec mszy, kiedy z pokoju spotkań wynurzył się Zgryz wraz z resztą Bandytów. Większość dołączyła do kobiet i znajomych w barze, ale Zgryz minął niespiesznie stół do bilardu i pobłyskującego światelkami jednorękiego bandyte, by wetknąć głowę między sprężynujące liny ringu i przybić piątkę z dwoma ośmiolatkami.

- Jak tam moi mali czempioni? - zagadnął, rozciągając usta w bezzębnym uśmiechu.

Wargi zawijały mu się w głąb ust i nie był w stanie wymawiać poprawnie T ani CZ, ale nikomu nawet nie przychodziło do głowy, by z tego kpić.

Dante i Joe byli uwalani brudem startym z desek ringu. Policzki płonęły im rumieńcem, a skronie błyszczały od potu.

- Pokażesz nam jakiś nowy chwyt? - zapytał zdyszany Joe, siadając ciężko na deskach i wywieszając nogi za krawędź ringu.

- Zaprawa kickbokserska - odparł z kamienną twarzą Zgryz.

Chłopcy jęknęli chórem.

- Nuuuudy - skrzywił się Dante. - Kiedy pokażesz nam coś fajnego, jak ten tajny cios, o którym mówiłeś, że wali się gościa w łeb od tyłu, a wtedy gały wyskakują mu z oczodołów?

- Za młodzi jesteście - oznajmił Zgryz. - Nie ciosy fantazyjne dobrego czynią wojownika - dodał skrzekliwym głosem Yody z Gwiazdnych wojen.

Wielkolud ściągnął glany i zawiesił swoją skórzaną klubową kurtkę na słupku narożnika.

- Coś wam powiem - oznajmił, gdy wdrapał się na ring w podziurawionych omszałych skarpetach i wsunął na prawą rękę gigantyczny piankowy ochraniacz. - Pokażcie mi trochę przyzwoitych ciosów i kopnięć, a potem być może pokażę wam niezły patent na zwichnięcie komuś ręki. Dante, ty pierwszy.

Przez następny kwadrans Zgryz dawał wycisk dwóm chłopcom, którzy ścigali go wokół ringu, bijąc i kopiąc jego ochraniacze. Potem przyszły jeszcze dwie nieco starsze koleżanki i podczas gdy Dante i Joe odpoczywali oparci o liny, Zgryz zeskoczył z ringu, by pokazać dziewczynom zwodniczą dźwignię na kciuk, do zastosowania wobec chłopaka, którego ręce zbłądziłyby w rejony, gdzie nie powinny.

- Nie wiem, po co w ogóle się męczysz, Sandra - zaszy-dził Dante. - Taki z ciebie kaszalot, że żaden chłopak i tak się do ciebie nie zbliży.

Sandra miała trzynaście lat, włosy ciasno upięte z tyłu głowy i głos jak buczone przeciwmgiełny.

- Tylko spróbuj tu zejść i powiedzcie to jeszcze raz, gnoju jeden! - wrzasnęła z furją. - Zaraz ci urwę ten twój zapluty mały łeb.

- Moja kuzynka mówi, że spałaś z połową ósmoklasistów - dodał Joe z satysfakcją.

-Och, doprawdy?! - Sandra wsparła dłonie na biodrach, kiwając głową na boki. - Jakby miała prawo gadać takie rzeczy po tym, jak sama...

- Dzieci, dzieci, luz! - przerwał im Zgryz. - Bawić się grzecznie, bo jak macie zamiar zacząć jakieś wrzaski, to ja idę się upić.

Dante posłał Sandrze szyderczego całusa, a Joe odwrócił się i podniósł z desek rękawicę sparingową.

- Chodź, zakładaj rękawice, to jeszcze poćwiczmy - rzucił do Dantego.

Dante pokręcił głową.

- Jestem wykończony - westchnął, zerkając na zegar na ścianie za ringiem. - Lepiej chodźmy się napić.

Ale kiedy chłopcy zeskoczyli z ringu na podłogę, do sali wkroczyli ich ojcowie, Führer i Scotty.

Obaj naradzali się w klubowym biurze jeszcze przez ponad godzinę po mszy.

Scotty był postawnym mężczyzną, miał trzydzieści cztery lata, kwadratową szczękę, wygląd twardziela i taką samą niesformą rudą czuprynę jak jego syn. Führer był o dwadzieścia lat starszy. Niski i przysadzisty, z tycim wąsikiem à la Hitler i ramionami pokrytymi gęstwą tatuaży. Przez łysą czaszkę i ogromny brzuch zawsze kojarzył się Dantemu z wielkim kręglem.

-Jest tu gdzieś Martin?! - ryknął Führer tak wściekły, że na szyi wystąpiły mu napięte ścięgna.

Potem odwrócił się do Zgryza: - Był może u ciebie?

Zgryz wzruszył ramionami. Dante pomyślał, że to dziwne pytanie; Martin był ostatnim dzieciakiem na świecie, który z własnej woli wszedłby na ring bokserski.

- Mówiłem mu, żeby z tobą pogadał - sapnął Führer i podreptał wściekle do sąsiedniej sali. Joe wyszczerzył zęby do Dantego.

- Mój brat kujon zaraz zbierze baty - wyszeptał radośnie.

Zanim zdążył cokolwiek wyjaśnić, Führer wrócił, wlokąc jedenastoletniego Martina za kołnierz białej szkolnej koszuli.

-Co ja ci powiedziałem, głupi bachorze?! No co?!

- krzyczał.

Sandra i jej nastoletnia koleżanka cofnęły się, gdy szef Bandytów przycisnął syna do ściany.

- Żeby pogadał ze Zgryzem - odpowiedział lęklivo Martin. - Zapomniałem.

- A ty co zrobiłeś zamiast tego?! - ryknął Führer i wydarł książkę z dłoni chłopca. - Harry Potter! - prychnął.

- Przez cały dzień siedziałeś nad jakąś książką o smokach, a jutro wrócisz do szkoły i znowu dasz sobie skopać tyłek. Co się z tobą dzieje, matole?!

-Odczep się ode mnie! - odkrzyknął Martin tonem, w którym rozpacz mieszała się z gniewem. - Przemoc jeszcze nigdy niczego nie rozwiązała!

Rozległ się suchy trzask - to Führer uderzył syna w twarz. Odwrócił się do Scotty'ego i Zgryza i zaczął wyjaśniać:

- Wczoraj dorwałem ten worek flaków z olejem w kuchni, jak płakał do swojej mamusi i skarżył się, że jakieś dzieciaki czepiają się go w szkole. Wyobrażacie sobie?! Mój syn! Szkolna fujara do bicia! No więc wziąłem go dziś ze sobą i kazałem mu poprosić Zgryza, żeby pokazał mu parę chwytów, a ten co?! Idźże ty... - i Führer dziabnął Martina w tył głowy.

Joe, któremu patrzenie, jak starszy brat zbiera cięgi, sprawiało nieklamana frajdę, nie mógł powstrzymać się od kąśliwego komentarza.

- On nic na to nie poradzi, tato - parsknął. - Taki już jest, urodzony kujonoburger z tycią frytką.

Zgryz odezwał się łagodniejszym tonem:

- Wiesz, Martin, to nie takie trudne. Cztery, pięć treningów i będziesz umiał wystarczająco dużo, żeby się postawić. Chcesz, to możemy umówić się tutaj na parę popołudniowych sesji po szkole, nie ma problemu.

- Ale ja nie chcę nikogo bić! - fuknął gniewnie Martin.

- Załatwię to po swojemu.

- Znaczą jak?! - ryknął Führer. - Znowu poskarżysz się mamusi? Czy może wykupisz się u koleśków paczką cukierków?

-Jestem pacyfistą - burknął Martin, patrząc na ojca spode łba. - Nie jestem taki jak ty, tato. Nie wezmę stalowej sztaby i nie połamię gościowi kręgosłupa jak ty temu facetowi, którego posadziłeś na wózku inwalidzkim.

Führer szarpnął syna do siebie i znów grzmotnął nim o ścianę.

- Zaraz to ty wylądujesz na wózku, jeśli natychmiast nie wleziesz na ten ring. A następnym razem, jak dorwę cię na czytaniu, wepchnę ci książkę w ten twój kościsty zad, słyszysz, pokrako?!

Martin został poderwany z podłogi i brutalnie ciśnięty między linami na ring. Jęknął z bólu, huknąwszy głośno biodrem o deski. Z baru zaczęli przesączać się ludzie, którzy usłyszeli krzyki i byli ciekawi powodów furii Füh-rera.

-Jeden krok poza ten ring, a złamię ci ten chudy kark

- ostrzegł Führer.

Trzymając się za obolałe biodro, Martin pokuśtykał na drugą stronę ringu, ale nie próbował uciekać. Ze wzrokiem wbitym w kurtkę Zgryza, zawieszoną na słupku narożnika, podszedł do niej, uniósł za kołnierz i splunął na naszywkę na plecach.

Dantemu opadła szczeka. Naszywka bikerów jest rzeczą świętą. Wcale nierzadko zdarza się, że człowiek zostaje ciężko pobity za przypadkowe otarcie się o czyjeś barwy w zatłoczonym barze. Gdyby jakkolwiek dorosły opluł naszywkę Zgryza w siedzibie Bandytów, najprawdopodobniej nie wyszedłby stamtąd żywy.

- Oto co myślę o tym twoim durnym klubie dla bez-mózgów! - krzyknął butnie Martin, po czym splunął jeszcze raz i pokazał ojcu środkowy palec.

- Ty mały skunksie - zasyczał Führer, łapiąc za górną linę i zaczynając gramolić się na ring.

- Ooo, patrzcie, jaki wielki odważny twardziel! - krzyknął Martin. - No chodź, niech twoje przydupasy wiwatują, kiedy będziesz prał swojego jedenastoletniego syna do nieprzytomności!

Joe nie przepadał za swoim bratem, ale też na pewno nie życzył mu śmierci.

-Martin, zamknijżeż tę swoją głupią twarz! - prosił.

- Przecież tata cię zabije.

-Ty też się odczep! - odkrzyknął Martin w desperacji.

- Potrafisz tylko papugować wszystko, co robi tata.

Napływający z baru tłumek zdążył zgęstnieć. Pomruk

oburzenia przemknął przez zgromadzenie, kiedy rozeszła się wieść, że chłopak splunął na naszywkę Zgryza.

Führer miał paskudny temperament i Zgryz nie chciał, by jego prezes zrobił Martinowi coś, czego by później żałował. Szybko złapał Fuhrera wpół i ściągnął z lin na podłogę. Choć był od

niego dwa razy większy, z najwyższym trudem powstrzymywał rozwścieczonego grubasa; na szczęście z pomocą ruszyli Scotty i jeszcze jeden motocyklista.

- To tylko głupi dzieciak, on nie wie, co robi, szefie

- powiedział Scotty. - Spokojnie, przecież wiemy, że tak naprawdę nie chce mu szef zrobić nic złego.

- To nie jest mój syn! - zawył Führer, wyrzucając palec w stronę Martina. - Jak cię dorwę, połamię ci wszystkie kości po kolei!

Zgryz nie był zachwycony tym, że jakiś dzieciak napluł mu na naszywkę. Uważał, że Martin zasłużył na lanie, ale nie zamierzał patrzeć, jak dorosły mężczyzna wdeptuje w ziemię dziecko.

- To moje barwy i mój problem - powiedział twardo, kiedy Führer nareszcie uspokoił się na tyle, by trzej bike-rzy mogli go puścić. - Ale nie zamierzam masakrować małego i ty też tego nie zrobisz.

- To nie może ująć mu na sucho - odpowiedział Führer.

- Jest wystarczająco dorosły, by rozumieć, czym jest naszywka dla bikaera.

- Niech to będzie ktoś jego wielkości - powiedział Zgryz, po czym przeniósł wzrok na Dantego. - Hej, Dante, chcesz bronić honoru klubu?

Dante zaszył się z Joem w kącie sali i spłoszył nieco, kiedy wszyscy zebrani nagle zwrócili głowy w jego stronę.

- Eee... że co? - zająknął się.

Zgryz podszedł bliżej, pochylił się nad Dantem.

- Martin jest od ciebie o głowę wyższy, ale to sama skóra i kości. Załatwisz go bez trudu - powiedział szeptem, po czym wyprostował się i dodał głośno: - To jak, wejdiesz tam za mnie, żeby bronić honoru barw Bandytów?

Dante zapomniał języka w gębie. Zgryz był jednym z jego ulubionych dorosłych i w normalnej sytuacji zrobiliby wszystko, o co Zgryz by go poprosił, ale sytuację, w której dorosły prosił ośmiolatka, by ten wskoczył na ring i pobił innego dzieciaka, trudno było nazwać normalną. Ojciec Dantego przykucnął obok Zgryza.

- Musimy coś zrobić, żeby uspokoić Führera - powiedział szeptem. - Wiesz, jaki on jest. Furiat. Jak pozwolimy mu dorwać Martina, chłopak skończy w szpitalu z wgniecioną czaszką. Dante spojrzał ostrożnie na Zgryza.

- Znaczy mam go oszczędzać?

Zgryz potrząsnął głową.

- Mały gnojek splunął na moją naszywkę, więc zasłużył na trochę bólu. Ja tylko nie chcę, żeby Führer go zabił.

Dante spojrzał w lewo i w prawo na dwóch mężczyzn, których podziwiał najbardziej na świecie.

- Dobra, będę się bił.

Odkąd Martin uspokoił się po swoim wybuchu, kulił się po drugiej stronie ringu i wyglądał na coraz bardziej przerażonego. Widział, jak jego tata został ściągnięty z lin, ale nie miał pojęcia, co będzie dalej, dopóki Zgryz nie uderzył w gong. W tamtym momencie wokół ringu tłoczyło się już prawie czterdzieści osób.

- Panie ǫ. panowie! - zawołał Zgryz. - Po zbeczeszczeniu tak drogich memu sercu barw Bandytów przez chudego szczyła, którego widzimy teraz, jak kuli się na ringu, z przyjemnością oznajmiam, że zimna krew wzięła górę nad emocjami. Zaszczyt obrony honoru Brigands MC zostanie podjęty przez kogoś równego siłą winowajcy, a konkretnie przez młodego Dantego Scotta!

Większość zebranych była już pijana i na sali podniosły się bełkotliwe wiwaty. Zgryz podszedł do Dantego na ring, a Scotty zaczął skandować jego imię, co szybko podchwycił rozogniony tłum.

Dante rozejrział się wokół. Ograniczony linami kwadrat nagle nabral olbrzymich rozmiarów, a wysokość ringu wywoływała poczucie odosobnienia.

-Zabij gika, Dante! - zaryczała Sandra. - Wybij mu mózg z tej kujońskiej bani!

- Pięści w górę, Martin! - domagał się Joe. - Nie bądź baba!

Każdy coś krzyczał z wyjątkiem nieszczęsnego Martina, który stał przy krawędzi ringu z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Mózg Dantego pracował pełną parą. Ośmioletek uświadomił sobie dwie rzeczy: po pierwsze, nie miał rękawic, ochraniacza na zęby ani żadnego innego wyposażenia ochronnego, a po drugie, nikt nie ustanowił żadnych reguł walki. Potem pomyślał o szkole i o swoim nauczycielu, który nakazywał uczniom ucisnąć sobie dłonie i usiąść w jednej ławce na całą lekcję, po tym jak wdali się w bójkę.

Czasem czuł się, jakby żył w dwóch różnych światach. Pierwszy z nich był światem mamy i nauczycieli, światem, w którym nie wolno było przeklinać ani bić się i zawsze trzeba było być miłym. Ale tuż obok był świat Bandytów, gdzie mężczyźni sprzedawali narkotyki, dźgali nożami donosicieli, upijali się do nieprzytomności, kradli samochody i bez mrugnięcia okiem akceptowali fakt, że ktoś wrzuca dzieciaka na ring i każe mu zmasakrować kolegę za to, że tamten napluł na czyjąś kurtkę.

-Na co czekasz, Dante?! - krzyknął Fiihrer. - Wytrzymaj podłogę tą chudą psią frytą!

Dante oderwał się od lin, patrząc na Martina, który zaczął wycofywać się do przeciwległego narożnika. Była to najgorsza rzecz, jaką mógł zrobić bokser, ale Martin nigdy w życiu z nikim się nie boksował. W końcu przywarł plecami do słupka, lękliwie zasłaniając twarz skrzyżowanymi przedramionami.

Dante zbliżył się i wypuścił pierwszy cios. Był zaskoczony szybkością, z jaką Martin wykonał unik, i przez krótką chwilę myślał - miał wręcz nadzieję - że walka będzie czymś więcej, niż wszyscy się spodziewali. Niezwłocznie poprawił kopnięciem karate i jego trampek zatonał głęboko w nieosłoniętym brzuchu przeciwnika.

Tłum ryknął dziko. Martin zatoczył się w tył, a Dante, słysząc ze wszystkich stron gromki doping, poczuł żądzę krwi. Kiedy starszy kolega odbił się od lin i poleciał w jego stronę, uderzył go w twarz, potem w żołądek, po czym dokończył dzieła szczególnie satysfakcjonującą fangą w miękką część nosa.

Krew opryskała Dantemu rękę i przód koszulki, a pod Martinem ugięły się nogi. Tłum oszalał i Dante czuł się jednocześnie cudownie i strasznie. Tuż za linami Sandra podskakiwała opętańczo i skrzeczała:

- Zabij go! Zabij go! Rozkwaś mu mózg!

Ilość krwi była szokująca, ale ogłuszony aplauzem Dante poczuł się jak król świata. Martin szlochał żałośnie i najwyraźniej nie miał zamiaru wstawać mimo dopingu ze strony kilku zniesmaczonych bikerów każących mu być mężczyzną i stanąć do walki.

Zgryz symbolicznie uniósł swoją kurtkę nad głowę i uderzył w gong.

- Honor odzyskany! - zagrzemiał, po czym zwrócił się w stronę Fiihrera: - Jesteś zadowolony, szefie?

W zapadłej nagle ciszy Fiihrer niespiesznie obmyślał swoją odpowiedź. Po chwili powoli skinął głową.

- Mój chłopak dostał to, na co zasłużył - powiedział. - Niech będzie, że to wystarczy.

Kiedy Zgryz wstępował na ring, na jego twarzy malowała się ulga.

- Czy ktoś mógłby mi przynieść lodu na nos Martina?

Dante zanurkował pod linami, zeskakując z ringu, ale

kiedy się wyprostował, niespodziewanie odkrył, że drogę zastąpił mu Fiihrer.

- Mój mały buldog - powiedział promiennie, przyciągając chłopca do siebie i wsuwając mu w dłoń dziesięciofun-towy banknot. - Chciałbyś w przyszłości nosić godło Bandytów?

- No pewnie - odpowiedział Dante, tocząc wzrokiem po tłoczących się wokół bikerach mówiących rzeczy w rodzaju: „Ocaliłeś honor naszego klubu”, i ustawiających się w kolejce, by uścisnąć mu dłoń.

Dwa metry za nim Zgryz pomagał Martinowi usiąść. Krew z rozbitego nosa kapłała na drewnianą podłogę ringu. Podczas gdy Zgryz osuszał mu rozciętą wargę chusteczką, Martin powtarzał szeptem: „Dziękuję, dziękuję”; wiedział, że skończyłby znacznie gorzej, gdyby to ojciec zabrał się do karania.

Dante oddalił się od ringu, oglądając na plamy krwi krzepnące mu na ramieniu. Joe dogonił go za wejściem do opustoszałego baru.

- Byłeś zabójczy - powiedział entuzjastycznie. - A jak mu zapaliłeś w kichawę, o ludzie! Szkoda, że mnie nie dali tego zrobić!

Dante nie odpowiedział i szedł w milczeniu, dopóki nie wyszli na rześkie nocne powietrze.

-Wszystko w porządku? - zapytał Joe, skręcając przed szeregiem zaparkowanych motocykli. - On ciebie nawet nie trafił, co nie? No i dostałeś dychę od mojego taty.

- Zamknij się, dobrze? - warknął Dante.

Wciąż próbował pozbierać myśli. Dziwnie pomieszane uczucia gryzły go od środka i gdyby nie było przy nim Joego, najpewniej wybuchnąłby płaczem.

## 2. BESTIA

Była już jedenasta, kiedy nareszcie wyszli z siedziby klubu. Dante zapiął kask, okraczył tylne siodło i objął tatę w pasie, a dwucylindrowy silnik obudził się do życia z gniewnym dudnieniem. Niektórzy Bandyci jeździli na wspaniałych maszynach ozdobionych wyszukаныmi grafikami i kosztownymi, błyszczącymi chromem akcesoriami. Scot-ty wołał surowy styl znany jako rat bike.

Jego dwudziestoletni harley-davidson softail miał dwieście osiemdziesiąt osiem tysięcy kilometrów na liczniku i matowy szary lakier upstrzony rdzawymi zaciekami. Skórzane siodło było tak spękane, że spod szczelin wyzierały pordzewiałe sprężyny i tylko miłość Scotty'ego utrzymywała steraną maszynę przy życiu - długo po tym, jak kupienie czegoś nowszego stało się bardziej opłacalne od ciągłych napraw.

Rodzina Scottów mieszkała na wsi, piętnaście minut jazdy od siedziby. Zwykle Dante uwielbiał jeździć z tatą, zwłaszcza kiedy odbierał go ze szkoły; Dante zakładał wtedy czadową skórzaną kurtkę i kask, podczas gdy jego koledzy pakowali się do frajerskich kombiaków i vanów. Tym razem jednak cała frajda gdzieś się ulotniła. Minęły dwie godziny od pory, kiedy zwykle kładł się spać, motocykl sunął leniwie po niemal pustej szosie i przez całą drogę do domu Dante bał się, że zmorzy go sen, a wtedy tata zgubi go na jakimś wyboju.

Scotty nie chciał budzić pozostałej trójki swoich dzieci, więc wyłączył silnik jeszcze na drodze i samym rozpędem wtoczył się na podjazd. Dom bikera był otaczany znacznie mniejszą troską i miłością niż jego harley. Podjazd zarastały chwasty, a okno kuchni było zaślepięone prowizoryczną okiennicą po tym, jak starszy brat Dantego Jordan rozbił je piłką do krykieta kilka miesięcy wcześniej. Przez szczeliny między deskami sączyło się światło.

Scotty zaparkował pod daszkiem przy domu, tuż obok opartych o ścianę rowerów dzieci.

Ziewając, Dante zsiadł z motocykla i odpiął kask.

- Światło w kuchni się pali - ostrzegł Scotty. - Mama zastawiła pułapkę. Tylko pamiętaj, cokolwiek by się działo, nie mów jej o walce.



Dante uniósł brew i spojrzał krzywo na ojca, rozpinając skórzaną kurtkę.

- Przecież wiem, tato, nie jestem głupi.
- Ożeż ty... - wyrwało się Scotty'emu, kiedy zobaczył krew na koszulce syna. - Ściągaj to.
- Zimno jest - zaprotestował Dante.
- Pospiesz się, zanim wyjdzie sprawdzić, czemu tak marudzimy.

Scotty wsunął klucz do zamka w drzwiach. Dante pośpiesznie ściągnął koszulkę przez głowę, ale nie miał wystarczająco dużej kieszeni, więc po prostu cisnął ją za krzak, podczas gdy jego tata wszedł do przedpokoju.

Mama Dantego Carol czekała na progu kuchni. Miała na sobie różowy szlafrok i kapcie, ale wytatuowane węże pnące się od jej lewej kostki aż do kolana nie pozwalały wątpić, że pod tym niepozornym strojem kryje się rasowa dziewczyna bikera.

- Nie wrzeszcz na mnie, dobrze? - poprosił Scotty, posyłając żonie błagalne spojrzenie, podczas gdy Dante cicho zamykał drzwi.

Carol była zła, ale musiała mówić cicho, by nie obudzić jedenastomiesięcznej Holly śpiącej w pokoju rodziców na górze.

- Mam nie krzyczeć? - zasyczała. - Bezczelny drań! Dante ma osiem lat i jutro rano idzie do szkoły. Wiesz, jakie potem mam z nim przeprawy, żeby go wyciągnąć z łóżka?!

- Przepraszam - powiedział przymilnie Scotty. - Omawialiśmy z Fiihrerem sprawę tego budowlanego dila, no i się przeciągnęło.

Dante postawił stopę na pierwszym stopniu schodów.

- Siku, zęby, a potem prosto do łóżka - rzuciła za nim Carol oschłym tonem. - Tylko cicho mi tam. Na górze wszyscy śpią.

- Mogę sobie wziąć szklanek wody? - zapytał Dante.

- Przyniosę ci - powiedziała Carol. - Może mi powiesz łaskawie, gdzie podziałeś koszulkę?

Dante nie przygotował sobie wymówki i spojrzał bezradnie na tatę.

- Ganiali gdzieś z Joem i zdjął koszulkę, bo gorąco - machnął ręką Scotty. - Szukaliśmy, ale nigdzie nie mogliśmy znaleźć. Jutro i tak tam wracam, żeby podłubać przy motocyklu, to rozejrzę się porządnie za dnia.

Różowy paznokieć mamy znalazł się nagle tuż pod nosem Dantego.

- Mam powyżej uszu twojego gubienia rzeczy, Dante - powiedziała Carol. - Jeśli ta koszulka się znajdzie, kupię ci nową za twoje urodzinowe i gwiazdkowe pieniądze.

Dante nawet chciał zaprotestować, ale był tak zmęczony, że ledwie trzymał się na nogach.

- Niech cię szlag, Scotty - powiedziała Carol, kiedy Dante poczłapał na górę. - Dwa wieczory w tygodniu to wszystko, o co proszę, a ty nie możesz nawet przywieźć go o przyzwoitej godzinie?

Dante był jednym z czworga dzieci Scottów, których brudne ubrania i wilgotne ręczniki zalegały grubą warstwą na podłodze zapuszczonej małej łazienki. Między kałużami walały się też pokryte zaschniętym błotem ochraniacze do rugby Jordana oraz kolekcja dezodorantów i innych kosmetyków szesnastoletniej Lizzie.

Po wizycie w toalecie i dwudziestosekundowym, bardzo umownym myciu zębów Dante ruszył w głąb wąskiego korytarza i cicho otworzył drzwi pokoju, który dzielił z bratem. Trzynastolatek chrapał z jedną stopą wywieszoną poza łóżko i kołdrą spiętrzoną za głową.

Jordan był gwałtowny i obudzony o tej porze zapewne rzuciłby się na brata z pięściami, dlatego Dante zakradł się na palcach do swojego łóżka pod oknem. Jednym płynnym ruchem ściągnął spodnie od dresu razem z majtkami i trampkami, po czym wsunął nogi w nogawki spodni piżamy, poprawił sobie poduszkę i wczuł się pod kołdrę.

Obudził się, leżąc na plecach pod Jordanem, który pochylał się nad jego łóżkiem, przytrzymując ręką zasłonkę i wyglądając przez okno.

- Ej, co ty robisz? - jęknął sennie Dante do kołyszących mu się nad głową slipów. - Zabieraj swoje wory z mojej twarzy.

- Poznajesz ten samochód? - zapytał Jordan poważnym tonem.

Dante wcisnął guzik budzika z projektorem i na suficie zamigotały czerwone cyfry: było siedem po drugiej. Kiedy wyslizgiwał się spod Jordana, usłyszał dochodzące z parteru głosy mężczyźni i serce zabiło mu mocniej, kiedy dotarło do niego, że mówiący się kłóć.

- Może to policja - powiedział ze strachem Dante, kłękając obok brata przy oknie, by spojrzeć w dół, na podjazd.

Na wiejskiej drodze nie było latarni i w nocy na podwórku panowała zwykle całkowita ciemność, ale tym razem światła w salonie i kuchni były zapalone, a przez szpary w zasłonach uciekało wystarczająco dużo światła, by wydobyć z mroku sylwetki forda mondeo oraz mocno podrasowanego harleya sportster.

- To sprzęt Fiihrera - zauważył Dante.

Jordan potrząsnął głową.

- Też ma sportstera, ale to nie jego.

Dantego ogarnęło poczucie satysfakcji na myśl o tym, że wie coś, o czym nie ma pojęcia jego starszy brat.

- A właśnie że jego. Pamiętasz zlot w Barcelonie w zeszłe lato? Wziął wtedy tego, bo nie zdążył wyszykować pomarańczowego.

- Racja - przytaknął Jordan. - A to mondeo też znam, widziałem parę razy pod klubem. Chłopcy wytrzeszczali oczy, usiłując dojrzeć coś w mroku. Spod desek podłogi dobiegały ich stłumione głosy trzech mężczyźni.

- Zejdę na dół posłuchać - oznajmił Dante i zeskoczył z łóżka.

Jordan przytrzymał go za ramię.

- Zastanów się. Jak tata cię złapie, ukręci ci łeb.

- Pójdę na pewniaka - odparł Dante z przekonaniem i wskazał na półkę obok jego łóżka z leżącym na niej budzikiem i pudełkiem chusteczek. - Mama zapomniała przynieść mi wody; jak mnie zobaczą, po prostu powiem, że chciało mi się pić.

Jordan cofnął rękę. Lubił swojego młodszego brata, ale też był ciekaw, co się dzieje na dole, a przecież nie stałoby się nic wielkiego, nawet gdyby Dante dostał ochrzan od taty.

- Ale bądź ostrożny - poprosił. - I nie kręć się tam zbyt długo.

Na korytarzu i w łazience paliło się światło. Dante prze-kradł się na parter w skarpetkach i spodniach od piżamy. Zanim zszedł ze schodów, uświadomił sobie, że trzy męskie głosy perorujące na dole należą do jego taty, Führera i wielkiego włochatego Bandyty, którego wszyscy nazywali Felicity, ponieważ przypominał jedną z bohaterek starego serialu The Good Life.

Mężczyźni kłócili się o przebudowę siedziby klubu. Dante miał dopiero osiem lat i nie orientował się we wszystkich szczegółach, ale rozumiał, że na ziemi, na której stały budynki siedziby Brigands, można zarobić dużo pieniędzy. Część członków chapteru, z Fiihrerem na czele, zamierzała zburzyć stare stodoły, a na ich miejscu postawić sklepy, restauracje, a także wielki apartamentowiec. Mniej liczna grupa, której przewodził jego tata, twierdziła, że podoba im się klub w obecnej postaci, i nie chcieli niczego zmieniać.

Stojąc na dole schodów, Dante ryzykował, że zostanie dostrzeżony przez szerokie wejście pokoju dziennego, dlatego szybko przeniósł się do kuchni. Starając się wydawać jak najmniej odgłosów, przesunął toster na bok i wciągnął się brzuchem na blat, by wyjrzeć przez drewnianą żaluzję w okienku do podawania posiłków nad pralką.

W domu nie było oddzielnej jadalni i okienko wychodziło na pokój dzienny. Scotty siedział przy niewielkim stole z tyłem głowy niespełna pół metra od wścibskiego nosa swojego syna. Na stole były rozłożone jakieś dokumenty. Felicity siedział naprzeciwko Scotty'ego, zaś Führer stał obok, trzepocząc nerwowo długopisem Wrestle-mania Dantego trzymanym między palcem wskazującym a kciukiem.

- Po prostu podpisz - powiedział Führer głosem spokojniejszym niż kiedykolwiek, odkąd obudził się Dante. - Tylko ty jeszcze się stawiasz.

- Gówno prawda - odparł Scotty, potrząsając głową.

- W głosowaniu było dziewięć do czterech, dwóch wstrzymało się od głosu.

- Ci kolesie są zapatrzeni w ciebie - powiedział Führer.

- Jeśli ty zmienisz zdanie, oni też zmieniają. Zresztą wiesz, głosowanie i tak nie ma znaczenia. Twój podpis to wszystko, czego nam trzeba. Prezes, wiceprezes i sekretarz klubu wystarczą, żeby autoryzować kontrakt.

Führer pochylił się nad Scottym, opierając dłoń na oparciu kanapy.

- Wiesz, ile łap musiałem posmarować, żeby dostać pozwolenia na budowę, Scotty?

Półowa radnych w mieście ma chaty odnowione za friko, żona burmistrza nosi sikor za trzy patole, a to wszystko forsa z mojej firmy budowlanej, Scotty. Nie z klubowej kasy.

Scotty wzruszył ramionami.

- Tylko forsa cię obchodzi, Führer. A pomyślałeś, co się stanie z klubem? Stracimy trzydzieści lat tradycji i spędzimy trzy lata bez siedziby. Członkowie zaczną się wykruszać i w końcu chapter zdechnie.

Führer rzucił Scotty'emu spojrzenie z gatunku: „Ech, ty głupi dzieciaku”. Dantemu przypomniało się, że tak samo spójrzył na niego jego nauczyciel, kiedy w zerówce wylał sobie na kolana butelkę wikolu.

- Wynajmiemy dom kościelny albo jakąś salę gimnastyczną - powiedział Führer. - A kiedy zakończymy projekt, South Devon będzie miało najlepszy klub Bandytów w tym kraju, jeżeli nie na świecie.

- Te stodoły mają duszę - odpowiedział Scotty. - Jasne, klub będzie wyczesany, ale historii już nie kupisz, stary. Nie kupisz klasy.

Felicity podniósł głowę.

- Scotty... ja, Duży Ted i inni potrzebujemy pieniędzy. My tu mówimy o dwustu kawalkach na każdego brata.

- Wypłata z góry, gwarantowana przez Badger Proper-ties - dodał Führer. - Rozejrzyj się, Scotty. Mieszkasz w gównianej norze. Mógłbyś spłacić hipotekę, odnowić to miejsce, kupić przyzwoitego hoga i jeszcze by ci zostało na zabranie dzieci do Disneylandu czy gdzieś.

Dante dobrze znał wszystkie argumenty taty - że plany Führera przemienią teren klubu w pułapkę na turystów, że klub padnie, bo członkowie wezmą pieniądze i pójda każdy w swoją stronę i tak dalej - jednak kiedy usłyszał słowo Disneyland, nagle zapragnął, by tata wziął długopis i podpisał.

Ale Scotty wstał i spójrzył na zegarek.

- Słuchajcie, jest już po drugiej - ziewnął. - Wałkowaliśmy to sześć, dziesięć, a może i dwadzieścia razy. Wszyscy wiedzą, jakie jest moje stanowisko. A teraz wybaczcie, ale idę spać.

Dante jęknął w duchu, kiedy wizja Myszkki Miki i ekscytującej podróży samolotem zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Nagle szarpnął się, czując na ramieniu czyjś dotyk - to mama wśliznęła się do kuchni i położyła mu dłoń na ramieniu. Dante ześliznął się z blatu na podłogę.

- Wścibski gnojek - fuknęła Carol z irytacją i pociągnęła syna w stronę lodówki. - Powinieneś dawno spać. Spróbuj mi rano jęczeć, kiedy obudzę cię do szkoły; normalnie pożałujesz, że się urodziłeś.

Dante badał wyraz twarzy mamy. Niekiedy była tak rozsiedzona, że trzeba było robić dokładnie to, co kazała, inaczej mogło się to źle skończyć, ale tym razem stwierdził, że jej spojrzenie jest innego rodzaju, i postanowił zagrać poczuciem winy.

- Zszedłem na dół, bo zapomniałaś przynieść mi wodę.

Carol sięgnęła do szafki po kubek i gniewnie zatrzaskawszy drzwiczki, napełniła go zimną wodą z kranu.

- Masz - rzuciła, podając naczynie synowi. - A teraz zjeżdżaj.

Dante wyszedł z kuchni, ale kiedy tylko znalazł się w przedpokoju, w salonie rozpętało się piekło. Tata powiedział coś podniesionym tonem, a potem zgrzytnął przesuwany stół i Führer zaczął krzyżeć w odpowiedzi.

- Włożyłem w to własną pracę i pieniądze, Scotty. Nie wyjdę z tego domu, dopóki te papiery nie będą podpisane.

-Myślisz, że jak mnie przyciśniesz, to podkulę ogon?! - odrzyknął Scotty. - To ty mnie jeszcze nie znasz! Wynos się z mojego domu, tłusty konusie!

Scotty wystąpił zza stołu. Z nabrzmiałymi pod kamizelką mięśniami wyglądał, jakby mógł kichnięciem złamać Führera na pół. Dante urósł z dumy, ale rozkład sił zmienił się, kiedy Felicity sięgnęła za pazuchę swojej skórzanej kamizelki i wyciągnęła pistolet.

- Siadaj i dawaj autograf! - rozkazał Führer i trzasnął w stół długopisem Wrestlemania.

-Tak chcesz to rozegrać? - krzyknął Scotty z niedowierzaniem. - Po tylu latach? Wiesz co, lepiej mnie zabij, bo to się w pale nie mieści! Poddam to pod głosowanie i wylecisz z klubu na zbity pysk.

Führer uśmiechnął się.

- Księgowi doszukali się pewnych nieprawidłowości w papierach z zeszłego roku, kiedy byłeś sekretarzem klubu. Obgadałem już sprawę z chapterem londyńskim i prezesem krajowym. Nā razie wiem o tym tylko ja, ale szykuj się na przesłuchanie dyscyplinarne i wykopanie z klubu z bad standing(3).

- Przecież to czysta ścierna - zasyczał Scotty. - Ile im posmarowałeś?

*3 Bad standing (dosł. zła reputacja) - status nadawany przez kluby motocyklowe byłym członkom usuniętym dyscyplinarnie za szczególnie naganne czyny (przyp. tłum.).*

-- Tyle, żeby wystarczyło, więcej nie musisz wiedzieć - uśmiechnął się słodko Führer.

Dante miał najlepszy widok ze wszystkich w całym domu. Oprócz całego wnętrza salonu widział Jordana i Liz-zie, którzy stanęli na szczycie schodów za nim, wywabieni z sypialni rumorem przesuwanego stołu i okrzykami. W kuchni ich mama stała na odwróconym wiadrze i zdejmowała z szafki strzelbę typu pompka zawiniętą w foliowy worek.

-Dante, na górę! - krzyknęła, po czym przeładowała broń, przebiegła do salonu i wymierzyła w Felicity.

- Myślę, że już pora, żebyście powiedzieli- dobranoc i zmykali do domu, chłopcy.

Przestraszony Scotty uniósł dłón.

- Carol, uważaj z tym - ostrzegł. - Jest naładowana.

- Co ty powiesz - prychnęła drwiąco.

Dante zatrzymał się w połowie drogi na piętro.

- Słuchajcie - ciągnęła Carol. - Mam gdzieś wasze plany budowlane. Jest druga nad ranem, ja nie śpię, moje dzieci nie śpią i chcę, żebyście wy dwaj zniknęli z mojego domu. Czy wyraziłam się jasno?

Fiihrer spojrział w lufę strzelby i uśmiechnął się.

- Carol, może łaskawie odłóżysz tę rzecz, zanim komuś stanie się krzywda?

- Wiecie co? - powiedział nagle Scotty, odwracając się do Fiihrera i mierząc go wzrokiem.

- Na co mi wy i całe to gówno? Dobra, chcesz, podpiszę papiery i wezmę swoje dwieście kawalków. Dla mnie klub to byli ludzie, braterstwo, a nie biznesy, więc moją naszywkę też możecie se wziąć i wsadzić.

Mama Dantego opuściła strzelbę, a tata schylił się, by podnieść długopis z podłogi. Fiihrer poprawił stół, po czym kazał Felicity pozbierać dokumenty i znaleźć strony, na których Scotty miał się podpisać.

Carol obejrzała się na schody.

- Dzieciaki, do łóżek! - krzyknęła w głąb przedpokoju. - Żeby nie musiała do was pójść!

Dante odruchowo wspiął się o kilka stopni, ale jego nastoletni brat i siostra nie lubili, by ktoś rozkazywał im w ten sposób, i stali z wyzywającymi minami na górnym podeście.

- Żeby nie musiała do was pójść! - powtórzyła Carol z groźbą w głosie.

- Próbuje przejść, ale mi nie dają - poskarżył się Dante.

Lizzie posłała mu spojrzenie, od jakiego usychała trawa,

ale nim zdążyła coś powiedzieć, z pokoju rodziców dobiegło kwilenie niemowlęcia.

- No i super! - westchnęła Carol, odwracając się do trzech mężczyzn. - Minie godzina, zanim znowu uśpię małą.

-Ja pójde - powiedziała Lizzie zmęczonym głosem i poczłapała w stronę łóżeczka dziecięcego w sypialni rodziców, mamrocząc pod nosem coś w rodzaju: „Spoko, żaden problem, mam jutro tylko egzamin z hiszpańskiego”.

W salonie dokumenty wróciły już na stół. Scotty pochylił się i rozgarniając samochodziki i klocki, sięgnął pod kanapę po długopis Dantego. Kiedy się wyprostował, zobaczył pistolet Felicity zwisający luźno lufą ku podłodze. Drab gapił się tępo na Fiihrera, oczekując następnego polecenia.

- Tja... - mlasnął z zadowoleniem Fiihrer spod najeżonego satysfakcją wąsika. - Trzy podpisy przy żółtych karteczkach poproszę.

Scotty nie żartował, zapowiadając podpisanie dokumentów, ale uśmiezek Fiihrera i ukontentowane postukiwanie obcasów jego martensów numer osiem rozgniewały go. Scotty kochał Bandytów równie mocno, a może nawet mocniej niż swoją rodzinę, dlatego myślał o odpruciu naszywki i usunięciu tatuażu z rozbójnikiem w pelerynie oka-

Gwałtownym ruchem Scotty wyprostował się na pełną wysokość, jednocześnie wbijając długopis w tchawicę Felicity. Trysnęła krew. Dante i Jordan ruszyli w dół schodów, by sprawdzić, dlaczego ich mama krzyknęła.

- Strzelaj, Carol! - wrzasnął Scotty.

Mama Dantego uniosła strzelbę w stronę Felicity, który zatoczył się tyłem pod ścianę. Olbrzym wciąż miał długopis w gardle i przeraźliwie rzeził, dławiąc się własną krwią, ale zdołał nieznacznie unieść pistolet.

Dwa spusty pociągnięto w tej samej sekundzie.

Strzelba wybuchła pomarańczową erupcją, rozbryzgując śrut na rozległym obszarze na głowie i torsie Felicity oraz pstrząc ścianę wokół niego drobnymi otworkami. Pistolet odezwał się ostrzejszym hukiem. Felicity nie miał dość siły, by unieść go wyżej, ale w akcie kończącym jego trzy-dziestoosmioletnie życie zdołał przestrzelić Scotty'emu kolano pod takim kątem, że pocisk

przewiercił mu nogę wzdłuż, rozłupał prawą kość strzałkową i wyleciał przez tylną część łydki, po drodze przerywając tętnicę.

W ostatnich chwilach przed utratą przytomności Scotty z jękiem runął na dywan i wyciągnął rękę, próbując dosięgnąć pistoletu Felicity. Führer zanurkował pod stół i także poczołgał się w stronę broni. Carol szarpnęła łożę zamka do tyłu, by przeładować strzelbę.

Carol znała Führera, odkąd jako czternastoletnia bun-towniczką kręciła się pod klubem Bandytów, licząc na darmową marihuanę. Wiedziała, że prezes jest wściekły i że zabije ją bez mrugnięcia okiem, ale była spokojna, kiedy pusta Gilza upadła na podłogę po jej lewej stronie. Dla matki konsekwencje popełnienia morderstwa były niczym w zestawieniu z wewnętrznym nakazem chronienia swoich dzieci. Ale kiedy pchnęła łożę do przodu, przesunęło się zaskakująco lekko, wydając przy tym złowieszczy suchy trzask. Strzelba była pusta.

### 3. ŚWIADEK

Carol odwróciła się gwałtownie, by ujrzeć Jordana przed sobą i Dantego w połowie schodów - Jazda! - ponagliła chłopców, rzucając strzelbę i puszczając się biegiem do frontowych drzwi. - Uciekajcie z domu! Szybko!

Jordan pobiegł za mamą do wyjścia. Dante zaczął zbiegać po schodach, ale na huk kolejnego wystrzału przypadł ze strachem do barierki. To leżący pod stołem Führer wypalił na oślep z pistoletu Felicity. Pocisk przebił się do kuchni i zagrzechotał wśród rondli w szafce za ścianą. Führer wstał, przewracając stół, i tym razem staranniej złożył się do drugiego strzału. Trafił Carol w plecy, kiedy sięgała do zasuwki przy drzwiach. Jej bezwładne ciało osunęło się po matowym szkle, blokując przejście i zmuszając Jordana do zawrócenia w głąb przedpokoju.

Führer wyszedł z salonu, rozmazując stopą krew z kałuży, jaka szybko rosła wokół Scotty'ego. -Jordan, tutaj! - rzucił niemal błagalnie Dante, zawracając na schodach, by pobiec w stronę drzwi sypialni rodziców.

Jednak Jordan wiedział, że nie zdąży dobiec do szczytu schodów; w wyścigu z kulą nie miał żadnych szans. Być może żywił jeszcze cień nadziei na ocalenie, ale najpewniej zdając sobie sprawę, że dla niego to już koniec, i próbując dać bratu większą szansę na ucieczkę, trzynastolatek chwycił pierwszą ciężką rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę, i zamachnął się na Führera.

Błaszany kosz na śmieci wypełniały parasolki oraz kolekcja zabawek Holly. Rój przedmiotów pofrunął w powietrze, a za nim Jordan w desperackim skoku. Wzrostem dorównywał przeciwnikowi i jego rozpędzona stopa, wspomagana impetem pocisków, zdołała pchnąć Führera z powrotem do salonu, niestety tuż po tym, jak Führer pociągnął za spust, trafiając chłopca w brzuch.

Nastolatek runął na płyty terakoty wśród spadających parasoli, klocków Duplo i zwierzątek Beanie Babies. Führer podszedł bliżej, skierował lufę w dół i strzelił Jordanowi w głowę.

Dante wpadł do sypialni rodziców. W nogach' czuł gorąco, a żołądek skręcał mu się ze strachu.

Pokój był ciasny, ze stosem ubrań spiętrzoną pod zepsutymi drzwiami szafy i łóżeczkiem jedenastomiesięcznej Holly wciśniętym pod kątem pomiędzy podwójne łóżko i kaloryfer.

Holly leżała na łóżku, wymachując nóżkami, przygryzając piąstki i wydając z siebie niski urywany jęk oznaczający, że mała domaga się, by ktoś wziął ją na ręce i utulił do snu.

Lizzie widziała, co się stało na dole. Otworzyła okno sypialni, w pierwszej chwili zamierzając wyskoczyć i pobiec po pomoc, ale nie chciała zostawiać Holly, a skok z niemowlęciem na rękach uznała za zbyt ryzykowny.

Führer przestąpił nad ciałem Jordana i wbiegł na schody w chwili, gdy Dante zatrzaskał drzwi sypialni i przekręcił klucz, kupując sobie kilka sekund bezpieczeństwa.

-Tędy, szybko! - krzyknęła Lizzie, popychając brata w stronę okna, po czym wspięła się na palce, by złapać za górną krawędź podwójnej szafy.

Pociągnęła z całej siły. Tani mebel z płyty wiórowej i melaminy zaskrzypiał i zwałił się z łomotem przed drzwiami.

Zaklekotały wieszaki, a przechowywane na szafie walizki westchnęły chmurą kurzu.

-Wylaźcie teraz, to zginiecie szybko i bezboleśnie! -krzyknął Führer.

Huknęło i w górnej połowie drzwi pojawiła się dziura. Pocisk wbił się w ścianę, a Dante i Lizzie odruchowo przypadli do podłogi.

- Co robimy?! - krzyknął panicznie Dante.

Drzwi łomotnęły we framudze, gdy Führer natarł na nie ramieniem.

- Pamiętaj, jak Jordan podpuścił cię, żebyś wyskoczył z okna, i skręciłeś sobie kostkę? - powiedziała pospiesznie Lizzie, a Führer uderzył w drzwi jeszcze raz, wyłamując zamek i przesuwając przewróconą szafę o kilka centymetrów w głąb pokoju. - Myślisz, że dałbyś radę zrobić to teraz?

- To było dwa lata temu - skinął głową Dante. - Teraz jestem większy.

- Dobra - powiedziała Lizzie. - Skacz pierwszy, a ja opuszczę ci Holly i skoczę na końcu.

- Okej.

Führer staranował drzwi po raz trzeci, poszerzając szczelinę niemal wystarczająco, by móc się przez nią przecisnąć. Przestraszona łomotem Holly rozplakała się. Dante już wcześniej zwrócił uwagę na uczucie ciepła na udach, ale dopiero kiedy przrzucił nogę nad parapetem, dostrzegł ciemnozieloną plamę z przodu spodni od piżamy i uświadomił sobie, że zsikał się ze strachu.

- Pospiesz się - ponagliła Lizzie.

Pod sobą miał najwyżej trzy metry do ziemi, bujny trawnik i grunt zmiękczone niedawnym deszczem, ale w głowie błysnęło mu wspomnienie poprzedniego skoku i Dante się zawahał. Z odrętwienia wyrwał go dopiero łoskot kolejnej szarży Führera.

Wylądował niezbyt szczęśliwie. Kolano przeszył mu ostry ból, noga ugięła się i Dante runął na bok, rozbryzgując błoto nagim ramieniem. Nim zdążył się poderwać, Liz-zie zwiesiła się z okna, trzymając za rączkę wierzgającą i przeraźliwie wrzeszczącą Holly. Dante wspiął się na palce i złapał młodszą siostrzyczkę za pulchne kostki.

-Trzymasz?! - zawołała Lizzie.

- Chyba tak - odpowiedział, choć rozciągnięty do granic możliwości nie był na sto procent pewien, w którą stronę przeważy dziecko, kiedy Lizzie je puści.

Z głębi pokoju dobiegł ich głośny łomot oznaczający ostateczny triumf Führera nad blokującą drzwi szafą.

- Bierz ją i leć! - krzyknęła Lizzie. - Nie czekaj na mnie. Uciekaj! Już!

Dante zatoczył się lekko, kiedy puszczone dziewczynka zaciążyła mu w rękach. Głowa i tułów dziecka były cięższe od nówek i trzymana za kostki Holly nagle chybnęła się do przodu.

Dante krzyknął ze zgrozą, kiedy mała wyśliznęła mu się z dłoni i grzmotnęła główką o pokrytą kamyczkowym tynkiem ścianę domu. Holly zawyła rozdzierająco, ale w rozpaczliwym, niemal akrobatycznym ruchu Dante ocalił ją przed upadkiem na głowę, kończąc z dzieckiem przyciśniętym niezgrabnie do biodra.

Na górze Führer wdarł się już do sypialni. Lizzie czekała ze skokiem, aż Dante i Holly usuną się z drogi, ale zanim to nastąpiło, bandzior złapał ją za ramię i pociągnął do siebie.

- Żałuję, że nie mam dla ciebie więcej czasu, ślicznotko - zarechotał obleśnie, odciągając nastolatkę od okna.

Lizzie kopała, pluła, a nawet trafiła napastnika łokciem, ale opóźniła tym to, co nieuchronne, tylko o kilka sekund. Ostatnim, co zobaczyła, była jej własna wykrzywiona przerażeniem twarz w pękniętym lustrze, na chwilę przed tym, jak Führer rozgniół jej nos na szkłe i przycisnął łufę do potylicy.

Wystrzał poniósł się echem przez ciemność wokół wiejskiego domu. Holly szarpnęła się i zapłakała głośniej w ramionach uciekającego Dantego. Nagi tors chłopca mroził nocny wiatr, skarpetki ślizgały się w błocie.

Dante odważył się zerknąć za siebie i w oknie sypialni ujrzał postać składającą się do strzału. Biegł po odkrytym terenie, ale było też ciemno, a Führer nie należał do wybitnych strzelców. Strzelił dwa razy. Pierwszy pocisk haniebnie chybił, drugi przemknął dość blisko, by Dante usłyszał jego świst nad głową i szelest zarośli na końcu ogrodu, gdzie zakończył lot. Kolejne strzały nie nastąpiły i chłopiec uświadomił sobie, że Führerowi skończyła się amunicja. Pistolet należał do Felicity, więc nawet jeśli Bandydzi wzięli zapasowy magazynek, Führer nie mógł go mieć.

Dobiegłszy do końca ogrodu, Dante zanurkował pod sztachetami płotu i puścił się biegiem przez należący do sąsiada ugór..

- Holly, błagam - jęknął, głaszcząc wierzgającą i wrzeszczącą siostrę po główce. - Musisz być cicho, rozumiesz?

Rzadkie włosy małej zlepiła świeża krew. Dante przypomniał sobie, że mama mówiła mu, by nigdy nie naciskał ani nawet nie dotykał główki Holly, bo czaszki niemowląt są bardzo delikatne. A jeśli uszkodził jej mózg, kiedy pozwolił, by uderzyła się o ścianę?

Grunt był mokry i grząski; Dante zdał sobie sprawę, że bez butów i z Holly ciężącą mu w ramionach w żaden sposób nie zdoła przebyć trzech pól dzielących go od domu pana Normana, mieszkającego w sąsiedztwie hodowcy cebuli, zanim dopadnie go Führer.

Dante wychował się w tej okolicy i znał mnóstwo kryjówek, ale dopóki Holly krzyczała, mamy był z nich pożytek. Pomyślał o porzuceniu siostry i pobiegnięciu po pomoc.

Niemowlę nie było przydatne jako świadek, zatem nie istniał racjonalny powód, dla którego Führer mógłby chcieć ją zabić, ale rozjuszony Führer nie był racjonalnym człowiekiem, a Holly mogła mieć pewną wartość jako zakładniczka.

Jakaś część Dantego chciała rzucić się w błoto i rozplakać. Kiedy widziało się, jak kolejno giną tata, mama, brat i siostra, śmierć jawiła się jako kuszące wyjście, a jednak większa część jego duszy była zdecydowana nie pozwolić wygrać Führerowi.

Dante zatrzymał się i przykucnął pod rozłożystym krzewem.

- Ciiii - syknął, delikatnie kołyszając Holly w ramionach, by ją uspokoić. Jego oddech jaśniał kłębamii pary w księżycowym blasku, stopy w samych skarpetkach cmokały w mokrym błocie. Nagle doznał olśnienia. Wytarł swój mały palec w najmniej ubłocony skrawek spodni od pizamy i delikatnie wsunął go Holly do ust. Holly ząbkowała i zacisnęła szczęki tak mocno, że Dante resztką woli zdołał powstrzymać się od krzyku, ale mając coś do gryzienia, ściszyła swój wrzask do gulgotu. Przestała się też wiercić, co znacząco ułatwiało utrzymanie jej na rękach.

Dante patrzył, jak Führer wychodzi na tylne podwórko i szybko omiata trawnik światłem latarki. Oświetlił też krzak, za którym przycupnął uciekinier, ale nie zauważywszy go, zatrzymał się i wyjął telefon komórkowy.

- To nie Scotty, to ja - zaczął, kiedy wystukał numer. - Nie mogę zadzwonić z mojego... U Scotty'ego... Dobra, zamknij się i słuchaj. Zrobił się nam tu niezły burdel i chcę, żebyś przyjechał z benzyną. Trzeba wszystko zjarać... Nie będę ci gadał przez telefon, po prostu rób, co ci każe! Muszę jeszcze znaleźć tego gnojka, zanim rozpuści gębę. Bierz wachę i zjeżdżaj tu najszybciej, jak się da.



Führer wetknął telefon Scotty'ego do kieszeni skórzanej kurtki, a Dante rozważył możliwości. Szansa na uniknięcie złapania w więzkę latarki Führerem podczas biegu przez pola cebuli była równa zeru. Prawdopodobnie zdążyłby dotrzeć do szosy niezauważony, ale o tej porze tutejsze drogi były całkowicie puste. Z Holly na rękach nie dotarłby daleko, a pierwszy samochód, na jaki by się natknął, najpewniej należałby do ludzi wezwanych przez jego prześladowcę. Mógł też spróbować wrócić do domu i zadzwonić pod 112, ale gdyby został zauważony, znalazłby się w pułapce, a ponadto, nie mając klucza, mógł wejść do środka tylko tylnymi drzwiami, przy których obecnie stał Führer.

Dante uświadomił sobie, że najlepszą szansę dają mu rowery stojące pod daszkiem obok domu. Jego własny bmx był raczej bezużyteczny - nie było mowy, by mógł na nim jechać szybko, jednocześnie trzymając Holly - ale rower, którym Lizzie jeździła co rano do szkoły, miał wielką winylową sakwę nad tylnym kołem, z powodzeniem mieszczącą jej plecak i strój do hokeja. Nie był to plan doskonały, ale jedyny, jaki przyszedł Dantemu do głowy. Tymczasem Führer dotarł do końca tylnego podwórka i wszedł na pole, na którym kilka minut wcześniej zniknął mu uciekający chłopiec. Kryjąc się za rzędem krzaków i drzew na miedzy, Dante przekradł się do bocznej granicy podwórka, po czym najszybciej, jak potrafił, pognął w stronę przylegającej do domu wiaty garażowej.

Rowery stały przy ceglanej ścianie, nieopodal wspartego na podnóżku sponiewieranego harleya spoglądającego na nie z ukosa z honorowego miejsca na środku betonowego prostokąta posadzki. W świetle padającym z okien domu Dante spojrzął na siebie i przeraził się.

Jego skarpetki i dół nogawek piżamy pokrywała gruba warstwa błota. Reszta ciała była upstrzona błotnymi rozbryzgami, zaś ciemna plama uryny w kroku znacznie urosła. Wyobraził sobie ze zgrozą, co powie Jordan na wiadomość, że jego młodszy brat zsiąkał się ze strachu, i wtedy jak młot spadła na niego świadomość, że Jordan już nigdy niczego nie powie. Nigdy.

Dante wyjrzał za dom i trochę odetchnął, widząc, że Führer brnie dalej w głąb pola. Budynek zasłaniał ich przed wzrokiem prześladowcy, ale gdyby Holly zaczęła płakać, na pewno usłyszałby ją, a Dante potrzebował obu wolnych rąk, by odtoczyć kolarzówkę Jordana i wydobyć spod niej rower Lizzie.

Powolutku przykucnął i ostrożnie zsunął główkę Holly z ramienia na dłoń. Nigdy dotąd nie przenosił jej na odległość większą niż dzieląca dom od samochodu, i właśnie odkrywał, że robi się zaskakująco ciężka, jeśli potrzymać ją na rękach trochę dłużej.

- Grzeczna dziewczynka - wyszeptał, ale wysunąwszy dłoń spod szyi małej, ujrzał wielki trójkąt krwi, sączącej się z rany na głowie i wsiąkającej w śpiochy. Kiedy złożył ją na betonie i wyjął palec z ust, nie wydała żadnego dźwięku.

Dziewczynka nie poruszała się, miała zamknięte oczy i policzki pokryte połyskującą warstewką potu. Oddychała, ale drobne ciało ogarnęła dziwna sztywność i martwota budząca skojarzenia z plastikową lalką.

- Przepraszam, że przeze mnie walnęłaś się w głowę - powiedział cicho Dante, podtaczając bliżej rower Lizzie i odrywając rzepowe zapięcie sakwy.

Wyrzuciwszy pospiesznie na ziemię gruby podręcznik od historii i segregator z notatkami z zajęć naukowych, podjął Holly z betonu i ostrożnie opuścił ją w głąb sakwy. Zapinając z powrotem klapę na rzep, celowo zostawił ją luźną, by mała miała czym oddychać.

Dante był znacznie niższy od swojej szesnastoletniej siostry. Siedząc na siodełku, nie sięgał stopami ziemi i musiał mocno pochylić rower, żeby móc się odepchnąć. Po kilku niezgrabnych podskokach i chwiejnym starcie popedało-wał wzdłuż podjazdu, oglądając się z lękiem za siebie. Przydrożne drzewa zapewniały mu osłonę, ale Dante bał się, że człowiek, którego Führer wezwał przez telefon, zjawi się na podjeździe, zanim on sam zdąży z niego zjechać. Kiedy wreszcie

dotarł do drogi, sięgnął przed siebie, by włączyć reflektorek, spojrzął w obie strony i z całych sił naparł na pedały.

#### 4. RĘCE

Salcombe nie należało do czarnych punktów zbrodni. Tamtejsza policja nie miała zbyt wiele do roboty i zajmowała się głównie wystawianiem mandatów za złe parkowanie, łapaniem drobnych handlarzy narkotyków, a .w najgorszym razie badaniem spraw włamań do rzadko używanych domków letniskowych. Nawet Bandydzi na ogół szanowali zasadę niepaskudzenia na własnym podwórku, i wszelkie kłopoty, jakich byli przyczyną, trzymali zwykle za wysokim płotem swojego klubu.

Spalony dom z pięcioma ciałami w środku był największą sprawą od dziesięcioleci.

Dwudziestosześcioletnia po-sterunkowa Kate McLaren widziała coś takiego pierwszy raz w życiu. Pierwszym podejrzeniem strażaków, kiedy zjawili się na miejscu, było podpalenie, ale dom nie spłonął doszczętnie, a zwęglone zwłoki kobiety blokujące frontowe drzwi miały wyraźną ranę postrzałową na plecach.

Media przypuściły szturm na okolicę, dzieląc siły pomiędzy miejsce zbrodni a oddalony stamtąd o sześć kilometrów parking przy posterunku policji w Kingsbridge. Fotografowie, dziennikarze i furgonetki telewizyjne z talerzami anten na grzbietach parkowały w dwóch rzędach przy ulicy, czekając na konferencję prasową.

Oficjalnego oświadczenia jeszcze nie wydano, ale było tajemnicą poliszynela, że wśród zabitych jest dwóch Bandytów i wielu reporterów nie miało wątpliwości, że doszło do rozdmuchania starych waśni pomiędzy Bandytami a miejscowym gangiem o nazwie Bezgłowe Trupy.

Główny świadek leżał, milcząc, w niedużym pomieszczeniu pełnym poduszek i zabawek. Było też wbudowane w ścianę weneckie lustro, kamera zamontowana nad drzwiami oraz anatomicznie poprawne lalki, za pomocą których dzieci mogły demonstrować okropności, jakie robili im dorośli.

Jako jedynej kobiecie na służbie Kate McLaren przypadła rola matki. Ubranie ośmiolatka zostało przekazane do laboratorium. Kate dotrzymała chłopcu towarzystwa podczas badania lekarskiego, potem zaprowadziła na górę i pomogła wziąć gorący prysznic, a następnie - przekonawszy kierowniczkę Woolworthsa, by otworzyła sklep wcześniej - wybrała się z nim po bieliznę, dres i buty, rozmiar na siedem do dziewięciu lat. Przez cały ten czas, jak również przez następne cztery godziny, Dante nie odezwał się ani słowem.

Niebieski pokój - przeznaczony dla nieletnich świadków - wydał się Kate nazbyt duszny, kiedy otworzyła drzwi i cicho weszła do środka. Dantemu, zagrzebanemu pod stertą wszystkich poduszek i pluszaków, jakie udało mu się znaleźć, musiało być jeszcze goręcej. Na kliknięcie zamka obrócił oczy w stronę drzwi i odgarnął z twarzy kosmyk włosów, po czym wrócił do udawania martwego.

- Nawet nie tknąłeś lunchu - powiedziała miękko policjantka, patrząc na tacę na podłodze. Nie wiedziała, co Dante lubi, dlatego przyniosła mu mleko, sok i colę, a także dwie różne kanapki, różne rodzaje herbatników, owoce w kawałkach, chipsy i batony czekoladowe.

- Mogę ci przynieść, co tylko chcesz, Dante. Rybę z frytkami, kanapkę z bekonem, Happy Meal...

Szterta poduszek poruszyła się, a spod spodu dobiegło suche chrząknięcie. Kate uśmiechnęła się, sądząc, że nareszcie dokonała przełomu.

-Chcesz Happy Meal? A jaki rodzaj lubisz najbardziej, Dante? Z hamburgerem? Z nuggetsami?

- A będę po nim happy? - mruknął Dante z ponurym szyderstwem w głosie.

Kate pękało serce, kiedy wyobrażała sobie, co musi przeżywać chłopiec, którego miała przed sobą. Skłonienie go do odezwania się rzeczywiście stanowiło przełom, ale nie była psychologiem i nie miała pojęcia, co mu odpowiedzieć.

- Kiedy byłam w twoim wieku, zbierałam smerfy - powiedziała po chwili milczenia. - To takie małe niebieskie ludziki w czapczkach. Moi rodzice dostawali kupony, kiedy kupowali benzynę, i trzeba było zebrać dziesięć, żeby dostać smerfa.

Dante wyczuwał desperację Kate. Czuł się okrutnikiem, kiedy tak siedziała przy nim, zamartwiając się i zadając pytania, które ignorował, ale w głowie miał ciemność, jakiej nie znał do tej pory. Wszystko bołało: kolory bołały, dźwięki bołały, tak samo jak gumowaty zapach jego nowych trampek i łaskotanie metki przy kołnierzyku koszulki. Chciał się odezwać, ale jednocześnie sama myśl o choćby najdrobniejszym ruchu przytłaczała go grozą.

- Chciałbyś może porozmawiać z kimś innym? - zapytała cicho Kate. - Czułbyś się lepiej? Z nauczycielem na przykład? A może wolałbyś rozmawiać z mężczyzną? Bo widzisz, nie chcemy na ciebie naciskać, Dante, ale naprawdę mógłbyś bardzo nam pomóc, gdybyś powiedział nam, co się stało.

Dante pomyślał o swoim tacie. Scotty dostał przepustkę z więzienia, żeby móc być przy jego narodzinach, po czym wrócił za kratki, by odsiedzieć resztę osiemnastomiesięcznego wyroku za posiadanie narkotyków i napad. Potem mówił Dantemu, że został wrobiony przez policję. Mówił też, że swoje problemy najlepiej załatwiać samemu. Gliny to łajdaki, a w hierarchii szumowin kapusie i informatorzy stoją niżej od pedofilów.

Ale Dantemu daleko było do dorosłości. Niewyobrażalnie długi czas dzielił go od chwili, kiedy będzie mógł wsiąść na swojego harleya i uregulować porachunki z Fihrerem za pomocą pocisku lub noża. Co robić? Zostać kapusiem czy czekać na moment, kiedy będzie wystarczająco dorosły, by samemu wymierzyć sprawiedliwość?

Dante obrócił się nieznacznie na poduszkach i poczuł piekący ból w pęcherzu.

- Muszę się wysikać - wybełkotał przepelniony strachem, gramoląc się wśród spadających z niego misiów i poduszek.

Wstał i spojrzął na Kate ponuro spod potarganej czupryny. Policjantka złapała go za rękę i poprowadziła żwawym krokiem przez odrapany hol, obok otwartych pokojów z biurkami, komputerami i ludźmi w środku. Męska toaleta była za ostatnimi drzwiami, tuż przed zamykającym korytarz wyjściem ewakuacyjnym.

Okna o matowych szybach były otwarte na oścież i kiedy Dante podszedł do pisuaru, owionął go chłodny podmuch. Kiedy skończył się załatwiać, potoczył wzrokiem po umywalkach i postanowił umyć ręce. Zwykle nie przywiązywał wielkiej wagi do higieny, ale świeże powietrze w łazience przyniosło mu pewną ulgę i chciał jak najbardziej odsunąć moment powrotu do dusznego pokoju i stosu poduszek.

Odkręcił kran i tak długo uderzał w przycisk dozownika, aż podstawioną dłoń wypełniło mu śliskie różowe jeziorko. Klasnął, a połyskujące nitki strzeliły we wszystkie strony, ochlapując białe płytki nad umywalką.

Skupił się na mydle, znajdując niewinną przyjemność w rozcieraniu płynu wokół dłoni, dopóki nie oderwał się od nich wielki strzęp piany, który zawirował i znikł w odpływie. Wyobraził sobie, że mama obserwuje go z góry... W każdym razie na pewno byłaby zadowolona, widząc, że umył ręce.

Mama zawsze powtarzała, że powinien myć ręce za każdym razem, kiedy skorzystał z toalety, nawet jeżeli zrobił tylko siku. Miał też myć je, kiedy wrócił z dworu, przed obiadem, a nawet kiedy pogłaskał golden retrievera pana Normana. Gdyby Dante chciał myć ręce we wszystkich sytuacjach, w jakich wymagała tego od niego mama, musiałby to robić ze trzydzieści siedem razy

dziennie. Dla odmiany jego tata nigdy nie dbał o takie sprawy. Wchodził do domu po kilku godzinach dłubania przy motocyklu i obrywał od Carol najwyższym wściekłym spojrzeniem, kiedy wytarłszy dłonie w dżinsy, brał sobie kanapkę.

Ale kto miał rację?

Jedna z kabin za jego plecami zabulgotała odgłosem splukiwanej wody, po czym wyłonił się z niej wielki mężczyzna w czerwonym krawacie i lichym garniturze. Płasnął złożonym egzemplarzem „Timesa” w glazurowaną półkę nad umywalkami i zabrał się do mycia rąk.

- Co za ulga! - westchnął głośno, uśmiechając się z ukontentowaniem do Dantego. - Dobrze pozbyć się ciężaru, prawda?

Dante nie odpowiedział. Wzrok miał zafiksowany na własnych dłoniach, ale myślami był na ringu bokserskim z poprzedniego wieczoru. Myślał o różnicy pomiędzy światem jego mamy, w którym mówiło się „proszę” i „dziękuję”, myło ręce i nie bekało przy jedzeniu, a światem taty, gdzie bicie ludzi, przeklinanie, sprzedawanie narkotyków i głośne pierdzenie były zachowaniami powszechnie akceptowanymi.

- Nazywam się Ross Johnson - ciągnął wielki mężczyzna, mimo iż Dante zignorował jego pierwszą uwagę. - Przyjechałem z Londynu. Jestem inspektorem policji, ale też psychologiem. Specjalizuję się w przesłuchiowaniu i pomocy nieletnim świadkom. Ty jesteś pewnie Dante Scott? Słowa ominęły Dantego, który w zamyśleniu tarł dłonie między palcami i skubał paznokcie, próbując splukać resztki mydła. Przez całe dotychczasowe życie Dantego to jego tata był tym fajnym rodzicem, podczas gdy mama wydawała się zbyt surowa i trochę drętwa. Z drugiej strony, gdyby wszyscy ludzie byli jak mama, nie musiałby patrzeć, jak kona z kulą w plecach. Ani jak umiera jego brat i siostra, ani jak Holly uderza główką w ścianę, ani...

- Przepiękne jest jak obiad - zagrmiał Ross. - Chcesz zabrać się do sprawy, póki jest gorąca. Informacja, jaką dostaniemy dzisiaj, jest cenniejsza niż ta sama informacja jutro. Dante zaczął słuchać. Zakręcił kran i podniósł wzrok na wielkoluda, który wyciągnął do niego dłoń z garścią papierowy ch' ręczników.

- Mój tata nie lubił policji - wyjaśnił Dante nerwowo, osuszając zakamarki między palcami.

- Mówił, żebym nigdy nie rozmawiał z glinami, jeśli przyjdą do nas do domu. Ale nie myślę, żeby... Mama chyba tak by nie chciała. No więc Fiihrer przyjechał, bo chciał, żeby tata podpisał jakieś papiery, żeby można było zburzyć siedzibę klubu. Felicity też był. Wyciągnął pistolet, bo tata powiedział, że nic nie podpisze.

Ross był podekscytowany informacjami, ale unióś dłoń, powstrzymując słowotok chłopca.

- Dante, musimy przejść do pokoju przesłuchań, gdzie będę mógł nagrać na taśmę wszystko, co powiesz. W porządku?

Ross otworzył drzwi i Kate osłupiała na widok rozgadanego Dantego. Nie poskarżyła się ani słowem, choć poczuła się dotknięta tym, że po wszystkich jej wysiłkach, by wydobyć Dantego ze skorupy, chłopiec otworzył się podczas przypadkowego spotkania w toalecie.

- Zjadłbym cheeseburgera i frytki z Bay Burgers. Z masą keczupu! - zwierzył się Dante, podczas gdy Kate prowadziła go z powrotem wzdłuż korytarza.

Ross szedł kilka kroków za nimi. Dante nagle poczuł się dziwnie pobudzony, ale także ważny. Umysł pracował mu pięćdziesiąt razy szybciej niż normalnie, a bolesny mrok w głowie zaczęły rozpraszać iskierki energii.

-I nie chcę wracać do tego strasznego pokoju - oznajmił. - Tam jest za duszno.

Nagle zatrzymał się i odwrócił w stronę Kate.

- Holly... Znacząca moja siostra! Co mówiłaś mi o niej wcześniej?

Kate uśmiechnęła się.

- Holly jest w szpitalu. Musieli założyć jej kilka szwów i straciła sporo krwi, więc będzie musiała zostać tam przez kilka dni, ale na pewno wyzdrowieje.  
Kate otworzyła drzwi niebieskiego pokoju, ale Dante zatrzymał się na progu uderzony ścianą zastałego powietrza, a przede wszystkim wspomnieniem mrocznego bólu, jaki czuł, leżąc wśród poduszek.

- Nienawidzę tego miejsca - powiedział z powagą, kręcąc głową.

- To tylko na chwilę, dopóki nie znajdziemy innego - wytłumaczyła Kate.

- Znajdziemy ci pokój z oknem, które się otwiera - dodał Ross ciepłym tonem. - Zjesz hamburgera, a ja w tym czasie nastawię magnetofon.

Dantemu błysnęła w głowie wizja Jordana i mamy. Nagle zakręciło mu się w głowie, jakby balansował na krawędzi przepaści. Przeraził się, że pokój i poduszki poślą go z powrotem w czarną, bolącą pustkę, w której jego umysł spędził minione sześć godzin.

-Ja nie chcę tam wracać - poskarżył się, wybuchając głośnym szlochem. - Ja chcę do mamy. Dlaczego to musiało się stać właśnie mnie?!

Kate przykłękała na jednym kolanie i przyciągnęła chłopca do siebie. Uścisk policjantki wydał mu się zaskakująco mocny, kiedy wtulił się w nią z twarzą mokrą od łez.

## 5. BASEN

Trzy godziny później Ross Johnson wyszedł z pokoju przesłuchań z zafrasowaną miną. Pięć długich kroków przeniosło go do izby zgłoszeń, gdzie czekała główny inspektor Jane Lindsay, oficer odpowiedzialny za przebieg śledztwa. Policjantka stała przy oknie, spoglądając w mrok, na dziennikarzy zgromadzonych na parkingu przed budynkiem.

- Mogą sobie czekać całą noc - westchnęła. - Mają swoje oświadczenie i więcej nie dostaną.

Ross podążył za wzrokiem swojej przełożonej i zmarszczył brwi. Większość dziennikarzy siedziała na niskim murku okalającym parking albo w otwartych drzwiach swoich samochodów. Reporterka o znajomej twarzy, ubrana w czarny płaszcz z wysokim kołnierzem, zdawała relację na żywo dla wiadomości BBC, podczas gdy stojący za kamerą korespondent ze Sky usiłował zbić ją z tropu, wykonując nieprzyzwoite gesty.

-No i jak tam? - zapytała główny inspektor Lindsay, przenosząc wzrok na Rossa. - Jak się trzymasz nasz mały świadek?

- Dante jest w szoku - powiedział Ross. - Reakcja maniackalna, w jednej chwili gada jak najęty, w następnej płacze i chce do mamy. Ale w sumie trzymał się niezłe, nagraliśmy dość, żeby sklecić z tego przyzwoite zeznanie.

- Myślisz, że chłopak będzie dobrym świadkiem w sądzie? - zapytała Lindsay.

- Ma dopiero osiem lat, ale wydaje mi się, że tak - pokiwał głową Ross. - Rozmawiałem z jego nauczycielką. Powiedziała, że Dante to jeden z dwóch czy trzech najbystrzejszych dzieciaków w swoim roczniku, wszechstronnie uzdolniony, pewny siebie, lubiany, tylko podczas zabaw bywa trochę brutalny. Babka powiedziała, że uczy paru synów bikerów i że wszyscy są tacy. Ubóstwiają swoich ojców i całe to zgrywanie twardego wchodzi im w krew.

- Możemy potrzebować mocnego świadka - zauważyła policjantka. - Führer miał pół godziny na posprzątanie po sobie, zanim Dante dotarł do budki telefonicznej. Nasi technicy twierdzą, że to była całkiem fachowa robota. Wszystkie ciała były praktycznie zwęglone, a to, co się nie spaliło, utopili strażacy, kiedy gasili pożar.

-A poza domem? - zapytał Ross. - Ślady opon? Kanistry po benzynie? Świadkowie?

- Jeszcze nic nie mamy, ale nie tracimy nadziei - powiedziała Lindsay. - Miałam już do czynienia z Bandytami i wiem, jak działają. Führer na pewno spalił swoje ubranie i buty. Broń wywiozą gdzieś i przetopią.

- Czy Führer był już przesłuchiwany? - zapytał Ross.

Lindsay potrząsnęła głową.

- Myśleliśmy, że będzie chciał zniknąć na parę dni, ale wydaje się pewny siebie. Poszliśmy do niego, zadaliśmy kilka pytań i poinformowaliśmy, że konfiskujemy jego motocykl w związku z dochodzeniem w sprawie morderstwa. Odpowiedział, że możemy się nie krępować, po czym okazało się, że motor jest w jego warsztacie, rozłożony na sto szesnaście części, a do tego z nowiutkimi gumami, czyli ślady opon na podwórku donikąd nas nie zaprowadzą.

- Szlag... - syknął Ross, kręcąc głową. - A co z innymi Bandytami? Któryś z nich musi coś wiedzieć.

- Nie będą gadać z glinami - odparła Lindsay.

Ross uniósł jedną brew w zdumieniu.

- Nawet w takiej sytuacji? Znaczy... Przecież dwaj ich koledzy nie żyją. Do tego kobieta, dwoje dzieci...

- Ktoś w gangu może mieć kłopoty - przytaknęła Lindsay. - Ale jeśli tak jest, załatwią to między sobą, a my dowiemy się czegoś, dopiero kiedy pojawią się następne zwłoki. Dlatego dopóki śledczy nie znajdą czegoś naprawdę mocnego albo nie znajdzie się drugi świadek, moim zdaniem losy tej sprawy będą zależeć od jakości zeznań chłopaka. Mam tylko nadzieję, że nie opowiada żadnych bajd.

- Myślę, że jest szczerzy - powiedział Ross. - Jeśli nie liczyć tej zakrwawionej koszulki.

-Jakiej koszulki? - zainteresowała się Lindsay.

- Technicy znaleźli T-shirt Dantego w krzakach przy domu - wyjaśnił Ross. - Był pochłapany krwią. Zapytałem o niego chłopaka i powiedział, że jego kolega Joe miał krwotok z nosa, kiedy się razem bawili.

-I co, sprawdzili tę historię?

Ross westchnął.

- Joe to najmłodszy syn Fihrera. W tym samym wieku co Dante, chodzi do tej samej klasy. Problem jednak w tym, że wzór rozbryzgu na koszulce nie wygląda na krwotok z nosa. A kiedy wspomniałem o tym Kate, przypomniała sobie, że kiedy Dante do niej trafił, miał zaschniętą krew na ręce i pod paznokciami. Lekarz, który go badał, wziął próbki i zrobił kilka zdjęć.

- Jasna cholera - zaklęła Lindsay.

Ross wzruszył ramionami.

- Pewnie zasunął temu Joemu z łokcia czy coś i nie chce się przyznać. Boi się, że będzie miał kłopoty w związku z pobiciem.

- Najprawdopodobniej - zgodziła się główna inspektor. - Co nie zmienia faktu, że Dante podkopuje tym swoją wiarygodność jako świadka.

- Z drugiej strony dał nam jakąś godzinę zeznania - powiedział Ross. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek uwierzył, że ośmiolatek jest w stanie zmyślić tak szczegółową historię.

Lindsay westchnęła.

- Miejmy nadzieję.

-Co zrobimy z Dantem? - zapytał Ross. - Udało się wam wytropić jakichś krewnych?

Lindsay potrząsnęła głową.

-Scotty był produktem opieki społecznej. Ojciec nieznany, matka nie żyje. Jest jeden wujek, ale siedzi w więzieniu w Wandsworth i nie będzie mógł przejąć obowiązków niańki przed rokiem

dwa tysiące jedenastym. Po stronie matki Dantego jest babcia, ale siedzi w psychiatryku. I żadnych ciotek ani wujków.

- Cholera - westchnął Ross.

Lindsay wzruszyła ramionami.

- Taki zdrowy chłopak z tragiczną łzawą historią na koncie i słodką siostrzyczką niemowlęciem... Ludzie będą się bili o prawo do adopcji. Wiem, że to smutne, ale w ostatecznym rozrachunku prawdopodobnie lepiej nie być wychowywanym przez jakiegoś bydlaka z gangu. Ross skinął głową.

- Tak sobie myślałem o dzisiejszej nocy, Dante to nasz jedyny świadek i Fihrer będzie chciał się go pozbyć. Trudno, żeby ośmiolatek mieszkał na posterunku, więc musimy mu znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

- A nie mógłbyś ty go przejąć? - zapytała Lindsay. - Weź go do siebie na kilka dni, dopóki nie znajdziemy sierocińca w bezpiecznej lokalizacji. Jesteś jedyną osobą, na którą zareagował. Wynajmiemy wam przyjemny apartamencik w hotelu.

- Brzmi rozsądnie - pokiwał głową Ross. - I tak miałem rozejrzeć się za hotelem, a jeśli mogę coś zasugerować, to poszukajcie czegoś co najmniej godzinę drogi od Salcombe.

Przydałyby się też jakieś pieniądze, chłopak nie ma niczego poza tym, w co go ubraliśmy.

Każdego ranka, kiedy Dante otwierał oczy, miał nadzieję, że to był tylko sen. Najbardziej na świecie pragnął znaleźć się znów w swoim pokoju, -z koszmarnie zaśmieconą podłogą i powietrzem przesiąkniętym młodzieńczym odorem Jordana. Niestety, był to już trzeci poranek, kiedy obudził się w rozłożystym łóżku apartamentu hotelu Bristol Park, po całej nocy wspomaganego chemicznie snu.

Nic nie mogło zrekompensować utraty całej rodziny, ale wytworny hotel oferował przynajmniej garść bdwracają-cych uwagę atrakcji: obsługę pokojową, minibarek, filmy na życzenie, a co najlepsze, basen pływacki na końcu wielkiego hallu.

Dante pochodził z ubogiej rodziny. Nigdy nie nocował w hotelu i przez całe życie donaszał ubrania po Jordanie. Było coś satysfakcjonującego w codziennym porannym rytuale odrywania naklejek z nowiutkich bokserek i skarpetek BHS. Dzięki zapomodze od policji hrabstwa Devon stać go było także na dres Adidas, dwie pary niezłych džinsów, kilka ciepłych bluz, kurtkę moro oraz parę niebieskich skate-butów Etnies - zdecydowanie najfajniejsze, najbardziej wypasione obuwie, jakie kiedykolwiek miał.

Ross spał w sąsiednim pokoju, którego drzwi były otwarte na oścież. Dante poczłapał przez próg i natknął się na włączony telewizor, ustawiony na GMTV, ale z przyciszonym głosem. Ross Johnson stał w otwartej łazience, trąc szyję warczącym Philishave'em.

- Dzień dobry - powiedział, dostrzegłszy w lustrze odbicie Dantego. - Dobrze spałeś?

Dante uśmiechnął się słabo.

- Te pigułki działają, jakby ktoś naciskał magiczny guzik. Bierzesz jedną i - zonk! - śpisz jak niemowlę.

- Chyba powinienem zmniejszyć ci dawkę - zafrasował się Ross. - Nie czujesz się otępiały? Żadnego bólu głowy, zawrotów?

- Nic - rzucił Dante, przysiadając na krawędzi łóżka ze wzrokiem skierowanym na włączony laptop na biurku.

- Mówili coś o nas w wiadomościach?

Ross osuszył twarz ręcznikiem i wyszedł z łazienki ubrany w bokserki i kamizelkę.

- Wstałem dopiero dziesięć minut temu, ale z tego, co widziałem, szum przygasał.

Dante był rozczarowany. Historia wypadła z mediów po czterech dniach, a było to największe wydarzenie jego życia, choćby miał dożyć setki.

-Wydaje się, że jesteś w nie najgorszym nastroju -zauważył Ross. - Wiesz, że nie musisz ukrywać przede mną swoich emocji, prawda? Jestem tu po to, żeby cię wspierać.

- Wiem - westchnął Dante i opadłszy plecami na niezasłonięte łóżko inspektora, wbił wzrok w rozetę sufitową.

- Ale wciąż aż mnie ściska, kiedy zaczynam myśleć.

- Czujesz, jakby coś się zmieniało? - zapytał Ross.

Dante potrząsnął głową.

- Czuję się dziwnie, bo wszystko jest teraz inne, nowe. Na przykład w poniedziałek nawet się nie znaliśmy, a teraz jesteś jak... jak mój jedyny przyjaciel na świecie.

To było miłe i Ross nie zdołał powstrzymać lekkiego uśmiechu.

- To tylko na parę dni, Dante, dopóki nie znajdziemy ci rodziny zastępczej.

- Powiedz mi - powiedział Dante w zamyśleniu. - Dużo było chłopaków i dziewczyn, którym pomagałeś, kiedy przydarzyło im się coś strasznego?

- Zbierałem zeznania i pomagałem dzieciom z całego kraju. Zajmuję się nieletnimi świadkami aż do chwili,

kiedy już mogą zeznawać w sądzie. Nawet później, jeżeli wciąż mnie potrzebują - wyjaśnił Ross.

- Jednak większość dzieci w twojej sytuacji ma jakiegoś dziadka, ciocię, starszego kuzyna czy kogokolwiek z rodziny, z kim mogą zamieszkać. To dopiero trzeci raz, kiedy musiałem zamieszkać ze świadkiem w hotelu.

Dante uśmiechnął się.

- Jestem wyjątkowy.

Ross zaśmiał się, zerkając na telewizor, żeby sprawdzić godzinę.

- Wyjątkowy, jak każdy inny dzieciak, z jakim przyszło mi pracować. Teraz słuchaj, jeżeli zamówię śniadanie na między dziewiątą a dziesiątą piętnaście, to zostanie nam pół godziny na basen. Brzmi fajnie?

- Moje kąpielówki suszą się na ręcznikach - powiedział Dante - pójdę je włożyć.

Kąpielówki były wilgotne i zimne po wizycie na basenie poprzedniego wieczoru i chłopiec wzdrygnął się, podciągając je na uda. Kiedy wrócił do sypialni Rossa, inspektor stał przy telefonie, zamawiając śniadanie, a na ekranie telewizora widniała wielka twarz Fihrera. Dantemu zakreśliło się w głowie. Była to czarno-biała fotografia, na której prezes Brigands MC wyglądał znacznie młodziej niż mężczyzna, którego znał.

Dante odszukał pilot na poduszce Rossa i pogłośnił dźwięk.

- Policja twierdzi, że pięćdziesięcioletni Ralph Donnington pojawi się w sądzie dzisiaj, w godzinach późniejszych. Donnington, prezes klubu Brigands South De- von, szerzej znany pod pseudonimem Fihrer, został aresztowany dziś wczesnym rankiem i zostanie przesłuchany w związku ze sprawą morderstwa czworga członków rodziny Scottów, do którego doszło w minioną środę na farmie niedaleko Salcombe.

Dante nie widział twarzy Führera od czasu morderstwa trzy noce wcześniej i jej widok zmroził mu krew w żyłach. Ross pospiesznie odłożył słuchawkę i podszedł do chłopca.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- W porządku - skłamał Dante, czując na ramieniu krzepiący uścisk Rossa. - Kiedy go zamkną?

- Może za pół roku - powiedział Ross. - Chociaż sprawa może się ciągnąć znacznie dłużej.

- To strasznie długo - zauważył Dante.

- Obawiam się, że koło sprawiedliwości toczy się powoli.



- Wczoraj zostawiłeś na wierzchu moje tabletki nasenne - powiedział Dante po chwili milczenia. - Myślałem, żeby je łyknąć, żeby już nie żyć, jak Jordan i Lizzie. Ale gdybym teraz umarł, Führer wykręciłby się ze wszystkiego.
- To prawda - przytaknął Ross, po czym zmienił temat, by nie narażać na szwank kruchych emocji Dantego. - Lepiej chodźmy na basen, jeśli chcemy wrócić, zanim przyniosą śniadanie.

## 6. GUILDFORD

Dwa i pół miesiąca później

Dante i Holly mieszkali u rodziny zastępczej na przedmieściach Guildford, trzysta dwadzieścia kilometrów od Bandytów z South Devon. Donald i Linda Gravesowie byli zawodowymi opiekunami zastępczymi, przez których dom w ciągu trzydziestu lat przewinęła się ponad setka dzieci. Obecnie mieszkali w dużej willi, zgodnie z atestem mogącej gościć do ośmiorga dzieci naraz. Niektórzy podopieczni odchodzili po zaledwie kilku dniach, inni zostawali na całe miesiące, a nawet lata.

Dante mieszkał w sypialni na pierwszym piętrze, a jego dzień zawsze zaczynał się od inwazji Holly. Uśmiechnął się do siebie, słysząc, jak jej małe dłonie zmagają się z gałką drzwi na zewnątrz, po czym nakrył się kołdrą i udął, że śpi. Dziewczynka wbiegła do pokoju i zaczęła ścierać z brata pościel.

- Chcę spać! - zaśmiał się Dante, kiedy jego młodsza siostra wgramoliła się na materac i plasnęła go zaślinioną rączką w brzuch. Nie potrafiła jeszcze powiedzieć Dante, więc nazywała go Ant.

- Ant, Ant!

Dante ukrył głowę pod poduszką. Holly pisnęła z uciechy i zanurkowała z drugiej strony, by znaleźć się nos w nos z bratem.

- Staj! - zażądała, chichocząc, i wysunęła palec w stronę Dantego.

Holly nie potrafiła wyczuć, kiedy stanowi zagrożenie, i Dante poderwał się szybko, w ostatniej chwili unikając utraty oka.

- Szalony dzieciak! - roześmiał się, siadając na łóżku.

Przygarnął siostrę do siebie, by dać jej radosnego buziaka, po czym rozejrzał się po pokoju rozjaśnionym światłem przefiltrowanym przez cienkie zasłony. Nad sobą miał nieużywaną pryczę, a jego szkolne ubrania i plecak leżały rozrzucone na podłodze. Zwykle kitłasił się z Holly dłużej, ale tym razem w otwartych drzwiach stał elektryczny wózek inwalidzki wraz z pasażerem.

Użytkownikiem wózka był trzynastoletni Carl. Mieszkał z Donaldem i Lindą od niemowlęctwa i cierpiał na ostre dziecięce porażenie mózgowie. Gwałtowne spazmy wykręcały mu ręce i twarz, kiedy trącił dżojstik sterujący i wtoczył się do sypialni.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedział Carl, podnosząc z kolan pakunek z prezentem i wysuwając go w stronę Dantego.

Tuż za wózkiem do pokoju weszła Linda, niska i pulchna kobieta w wielgachnych okularach na nosie. Jej tlenioną fryzurę znaczyły siwe odrosty, a wypłowiałe ubrania wyglądały, jakby przetrwały znacznie więcej prań, niż powinny.

Dante usiadł na krawędzi łóżka i uśmiechnął się na widok bibuły, w którą zawinięty był prezent od Carla. Cała pognieciona, trzymała się wyłącznie dzięki niezliczonym paskom taśmy klejącej, przyklejonym pod przypadkowymi kątami. Dante doceniał wysiłek Carla, dla którego czynności manualne, takie jak pakowanie prezentów, stanowiły poważne i czasochłonne wyzwanie.

- Ekstra, dzięki - powiedział Dante, rozrywając bibułę, spod której wyłonił się podrzędny zestaw szachów.

Szachownica składała się na pół, tworząc pudełko, w którym w piankowych przegródkach spoczywały figury i pionki.

- Mają kołeczki, więc nie będę ciągle strącał bierka, jak będziemy grać - powiedział Carl. Dante nigdy nie grał w szachy, dopóki nie spotkał Carla, który został jego nauczycielem.

- Zagramy partyjkę po szkole! - oznajmił Dante. - Pewnego dnia cię pokonam.

Carl wyszczerzył zęby w kpiarskim uśmiechu.

- Chciałbyś!

Linda postawiła reklamówkę Woolworthsa na krawędzi łóżka.

- Masz tu trochę żelków i parę bluz ekstra - wyjaśniła. - I pilnuj, żeby mała nie dorwała folii.

Prawie jakby zrozumiała, Holly wetknęła rączkę do torby i wyciągnęła błyszczący rocznik „WWE”. Był to numer z ubiegłego roku, przeceniony do dziewięćdziesięciu dziewięciu pensów.

- To tego pisma o wrestlingu szukałeś, prawda? - zapytała Linda.

- No! - Dante entuzjastycznie pokiwał głową. - Miałem je przed pożarem. Jest w nim ogromny artykuł o Goldbergu.

- Wrestling jest głupi - prychnął Carl. - Wszystko udawane.

- Sam jesteś głupi - odparował Dante. - Ci goście są tak silni, że jedną ręką mogliby cię wyrwać z tego wózka i wywalić przez okno.

- Za to nie miałoby ze mną szans w szachy - uśmiechnął się Carl, podczas gdy Holly otworzyła magazyn i położyła sobie na głowie niczym kapelusz.

Tymczasem Linda pozbierała z podłogi brudne szare skarpetki, majtki i poplamioną atramentem szkolną koszulę.

- Leć pod prysznic i włóż dziś czyste rzeczy - powiedziała stanowczym tonem. - Co ludzie muszą sobie o mnie myśleć, kiedy przychodzisz do szkoły cały w błocie i plamach?

Dante uśmiechnął się. Bawił go sposób, w jaki Linda zżymała się na drobiazgi, takie jak niezawiązana sznurówka albo zadrapanie na twarzy, choć czasem mroziło go, kiedy używała takich samych zwrotów jak jego mama.

Dante uświadomił sobie, że Holly ciągle jest w nocnych śpiochach.

- Chcesz się wykapać z braciszkiem? - zapytał, rozkładając szeroko ramiona.

Holly nie lubiła kąpieli, w waniencie urządziła awantury, a prysznic z Dantem były najprostszą metodą utrzymania jej w czystości. Jednak Linda spojrzała na zegarek i pokręciła głową.

- Wymyję jaśnie panienkę w umywalce, kiedy już wszyscy będziecie w szkole - powiedziała. - Leć już, bo znowu się spóźnisz.

Dante nie miał nic przeciwko temu, ale Holly domyśliła się, co się święci, i z coraz bardziej skrzywioną miną patrzyła za bratem, który zdjawszy ręcznik z haczyka na drzwiach, wyszedł do łazienki na korytarzu.

- Mjeeeeee! - zapłakała donośnie.

Już miała wpaść w histerię, kiedy usłyszała syk hydraulicznej platformy podnośnika dla niepełnosprawnych rozkładającej się nad schodami.

- Proszę wsiadać, drzwi zamykać! - zawołał wesoło Carl, wtaczając wózek na platformę i zatraskując barierkę bezpieczeństwa.

Holly natychmiast zapomniała o Dantem i wybiegła z pokoju wprost w ramiona Carla, który pochylił się, by

wziąć ją na kolana przed przejazdką na dół.

Dante polewał się wodą, dopóki Linda nie załomotała w drzwi, krzyżąc, żeby się pospieszył, bo w kuchni stygnie jego ulubiona jajecznica na bekonie i gofry ziemniaczane. Wciągnąwszy spodnie i przyczesawszy włosy, Dante popędził korytarzem z powrotem do pokoju, gdzie odkrył, że Linda zaścieliła łóżko i położyła na nim świeże szkolne ubranie. Po szkole miał trening, więc wyciągnął z szafki buty do gry w piłkę, a do plecaka wepchnął bidon i nagolenniki. Wciągając czarne spodnie od dresu, odśpiewał sam sobie Happy birthday, po czym zarzucił plecak na ramię i wybiegł z pokoju, ale kiedy dotarł do schodów, stanął jak wryty i przełknął ślinę na widok ogromnego harleya z serii Touring zaparkowanego przed domem oraz mężczyzny w skórzanej kurtce idącego w stronę drzwi. Przez okno było widać zbyt mało, by Dante mógł rozpoznać gościa, ale godło Bandytów na kasku nie pozwalało wątpić, kim jest. Zabrzęczał dzwonek, a Dante wpadł do kuchni z paniką w oczach.

- Wezwijcie gliny! Nie wpuszczajcie go!

Jednak dwunastoletnia Abby, która stała w holu naprzeciwko drzwi, zdążyła już otworzyć.

- Dzień dobry - powiedział motocyklista, a Linda, zorientowawszy się, kto przyszedł, pognęła przez hol, by zastąpić mu drogę.

Schody wiodły z piętra prosto do wejścia do kuchni i jadalni, które połączono w celu stworzenia przestrzeni wystarczająco dużej, by Donald, Linda i ośmioro dzieci mogli wygodnie jadać razem. Dante spojrział w jedną stronę, na Holly w jej wysokim krzeselku, a potem w drugą, rozważając pomysł porwania noża z szuflady na sztucce. Ostatecznie wycofał się po schodach na górę i wyjął swoją komórkę.

Jako chroniony świadek Dante musiał przez cały czas nosić przy sobie telefon. Donald pilnował, by aparat był ładowany co wieczór, a chłopiec miał nawet specjalne pozwolenie na zabieranie komórki na lekcje. Telefon został tak zaprogramowany, że wciśnięcie zera i przytrzymanie przez trzy sekundy powodowało wybranie numeru alarmowego lokalnego posterunku policji.

Dante jednym uchem słuchał przerywanego sygnału w telefonie, a drugim rozgorączkowanej Lindy drżącym głosem radzącej motocykliście, by „wynosił się stąd w diabły”. Biker mówił z holenderskim akcentem i Dante pomyślał, że słyszał już wcześniej ten głos.

- Co się dzieje? - zapytał jedenastoletni Ed, spoglądając z zaciekawieniem w górę schodów.

- Przed kim się chowasz, Dante? Ten facet przyniósł ci prezent na urodziny.

Dante nie odpowiedział, ponieważ akurat w tej chwili ktoś odebrał telefon. Dzięki identyfikacji numeru policja wiedziała, kto dzwoni, więc nie przedstawiając się, pospiesznie streścił sytuację.

- Trzymaj się z dala od kłopotów - powiedziała policjantka na drugim końcu linii. -

Natychmiast wysłamy najbliższy patrol, będzie na miejscu za pięć do dziesięciu minut.

Nieproszony gość blokował frontowe wejście, zaś tylne podwórko okalał wysoki płot zaprojektowany w taki sposób, by uniemożliwić dzieciom wydostanie się z posesji. Dante porzucił myśl o ucieczce i przekradł się z powrotem do kuchni, gdzie Abby, Ed i dwoje innych dzieci wyglądało przez uchylone drzwi do holu, obserwując rozwijającą się scenę.

Holender przesunął się o kilka kroków za próg i próbował uspokoić Lindę. Wyglądał jak typowy biker: glany, dzinsy, poszarzała broda i lustrzane okulary przeciwsłoneczne.

- Wiem, że chłopak ma dziś urodziny - powiedział, rozkładając ręce. - Nie wszyscy jesteśmy takimi dzikusami, jak się pani wydaje. Wstyd mi z powodu całej tej sytuacji ze Scottym i jego rodziną.

Dante wsunął głowę pomiędzy głowy dzieci i przyjrzał się twarzy bika. Był to niejaki Doods, którego ksywa pochodziła od holenderskiego słowa oznaczającego śmierć. Dante widział go na Letnim Festynie Motocyklowym w Wielkiej Brytanii, a później jeszcze raz podczas dorocznego zlotu europejskich Bandytów w Niemczech. Za każdym razem Scotty witał się z nim w sposób sugerujący wielką zażyłość.

- Mam dla chłopaka prezent - wyjaśnił Doods. - Niech się pani nie boi, proszę pani, nie ma czego. Scotty należał do bractwa, był jednym z nas. Nie wszyscy pogodziliśmy się z tym, co się stało chłopakowi i jego rodzinie. Przyjechałem złożyć mu życzenia z okazji urodzin; nie chciałem zdenerwować pani ani nikogo innego. Niech pani weźmie mój prezent i znikam. Linda naprawdę była zdenerwowana. Miejsce pobytu Dantego miało być tajemnicą. Mieszkał trzysta dwadzieścia kilometrów od dawnego domu, a w nowej szkole używał innego nazwiska, na wypadek gdyby ludzie zapamiętali go z wiadomości.

- Dante, wracaj do kuchni - zawarczała, kiedy chłopiec, prześlizgnąwszy się między dziećmi, wyszedł na korytarz.

Dante był już spokojniejszy. W swoim krótkim życiu widział wiele rozrób, a Doods był wystarczająco silny, by bez trudu odepchnąć Lindę z drogi. Gdyby chciał, zrobiłby to już dawno.

- Hej, dzieciaku - przywitał go Doods, wyciągając w stronę Dantego rękę z wielką reklamówką z Toys R Us. - Chciałem ci życzyć wszystkiego najlepszego. Jesteś za mały, żeby to pamiętać, ale parę lat temu w Szwajcarii nie

zmieściłem się na winklu. Twój tata zdrapał mnie z barierki, zrobił sztuczne oddychanie i jeszcze opaskę uciskową, żebym się nie wykrwawił. Zawdzięczam mu życie, Dante. Tylko dlatego dziś tutaj przyjechałem.

Doods postawił torbę na podłodze i cofnął się do drzwi.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - zapytał zaczepnie Dante, a w oddali zawyła syrena policyjna.

- Führer jakoś się dowiedział - odrzekł biker, wzruszając ramionami. - Wiedzą, że tu jesteś. Próbowali nawet sprowadzić Bandytę z chapteru Mexico City, żeby przyjechał i cię załatwił. Nie jesteś tu bezpieczny, tyle ci powiem, a teraz zmykam, zanim gliny dobiorą mi się do tyłka. Doods kiwnął głową Lindzie, odwrócił się i potruchtał do swojego turystycznego harleya. Wytoczył się na asfalt i odjechał z rykiem w stronę przeciwną do tej, z której po kilku sekundach nadjechał radiowóz na sygnale. Kiedy Linda wybiegła na podjazd, wymachując rękami, by przyciągnąć uwagę policjantów, Dante zerknął niepewnie na reklamówkę z prezentem.

Prezent nie był zapakowany w ozdobny papier. Stanowiły go dwa zdalnie sterowane hummery w pudełku z przyklejoną taśmą kartką urodzinową oraz olbrzymia tabliczka mlecznej czekolady.

- Fajne furki! - ucieszył się Ed. - Pamiętaj, żeby je zaraz podłączyć, to po szkole pościgamy się w ogrodzie.

## 7. PLASTIK

Dwaj policjanci w mundurach dotrzymywali Dantemu towarzystwa, dopóki nie zjawił się Ross Johnson. Do tego czasu Donald, starszawy mąż Lindy, zdążył wykonać trzy oddzielne kursy do szkoły, opróżniając dom ze wszystkich dzieci z wyjątkiem Dantego i Holly.

- Będę musiał się wyprowadzić? - zapytał Dante, osuwając się na szeleszczący puf w salonie.

Donald i Linda siedzieli na sofie, Ross na fotelu, zaś Holly leżała na brzuchu przed telewizorem, rozrzucając stertę pudełek z płytami DVD.

- Na to wygląda - przyznał Ross. - Alternatywą byłoby pozostawienie cię tutaj pod dwudziestoczterogodzinnym nadzorem policyjnym, co jest nierealne przy naszych zasobach. Dante przywykł do mieszkania z Gravesami i menażerią ich przybranych dzieci. Był rozczarowany, ale rozumiał, że przeprowadzka może być jedynym sensownym wyjściem.

- A ten Doods... - powiedział Ross, wyjmując z teczki rozkładany portfel fotograficzny. - Znasz jego inne imiona albo ksywki?

Dante pokręcił głową.

- Tak to już działa u Bandytów. Mój tata pewnie znał prawdziwe nazwiska wszystkich w chapterze South Devon, ale ludzie z innych chapterów to tylko ksywki. A pytać nie wypada.  
- Ale na pewno jest z Holandii, tak? Tyle że nie miał naszywek i nie wiadomo z jakiego chapteru  
- ciągnął Ross, rozkładając harmonijkę zdjęć na mniej więcej dwie trzecie długości i podając ją chłopcu. - Rzuć okiem, może gdzieś go rozpoznasz.

Dante wziął album i zaczął przeglądać fotografie holenderskich Bandytów. Było wśród nich sporo policyjnych, ale większość wykonano podczas nadzoru rozmaitych festynów motocyklowych, koncertów i zlotów. Te ostatnie były osią subkultury gangów motocyklowych i odbywały się na ogół w ciepłych miesiącach pomiędzy Wielkanocą a wrześniem, w wyznaczonych miejscach, dokąd zjeżdżali się bikerzy niekiedy z całego świata.

Na niektóre zloty Bandytów mieli wstęp tylko członkowie, największe były otwarte zarówno dla członków innych uznawanych klubów, jak i swobodnych jeźdźców i gościły nawet do dziesięciu tysięcy motocykli. Przed bardziej cywilizowanymi imprezami Bandytów z South Devon wynajmowali dwa autobusy, którymi dojeżdżali na zlot ich żony, kochanki, niezrzeszeni przyjaciele klubu i dzieci.

Wiele spośród najfajniejszych wspomnień Dantego pochodziło ze zlotów. Można było taplać się w błocie i nie myć przez tydzień, spało się w namiotach, jadło rzeczy z ogniska albo jeździło do fast foodu w pobliskim miasteczku. Dorośli upijali się i pozwalali dzieciom swobodnie buszować między motocyklami, beczkami piwa i ogniskami.

Wspomnienia nappełniły go smutkiem, bo Dante stał się kimś, kogo bikerzy nienawidzili najbardziej na świecie: kapusiem. Na zdjęciach wielu motocyklistów pozowało policyjnym fotografom, prężąc muskuły, strojąc głupie miny i wypinając gołe tyłki przed obiektywem. Dantemu zwilgotniały oczy, kiedy rozpoznał małą dziewczynkę, blondynkę, uczepioną nogi jakiegoś mężczyzny.

On i Joe poznali ją kilka lat wcześniej, kiedy mieli po cztery lata, i obaj byli zafascynowani tym, że musi ściągnąć dzinsy, żeby się wysikać.

Holly była w wieku, w jakim zawsze musi się mieć to, co właśnie trzyma starszy brat. Widząc, ile uwagi poświęca fotografiom, podjęła próbę zawładnięcia albumem.

- Nie, to nie dla ciebie - powiedział Dante łagodnie, unosząc zdjęcia poza zasięg dziecięcych rączek. - Pobawię się z tobą później.

Donald podszedł do protestującej Holly i wziął ją na rękę.

- Nie rozumiem tylko, jak oni mogli znaleźć Dantego aż tutaj - powiedziała Linda. - No i ten Doods, to był wielki facet. Gdyby chciał, wpakowałby się tu z nożem albo pistoletem i ani ja, ani Donald nie bylibyśmy w stanie go powstrzymać.

- Przecieki - westchnął z goryczą Ross. - Bandytów mogą mieć tylko szesnastu pełnoprawnych członków w południo-wodewońskim chapterze, ale niezrzeszonych, tak zwanych przyjaciół klubu, jest cztery razy więcej. Poza tym kontrolują gangi Psów Wojny i Monster Bunch, które są właściwie ich pododdziałami, a do tego wszyscy mają żony, dziewczyny i mnóstwo krewnych. To oznacza sto pięćdziesiąt do dwustu współników w South Devon. Gdzieś w tym całym tłumie musi być ktoś, kto sprząta na posterunku policji, jest sekretarką w starej szkole Dantego, która na przykład widziała, dokąd przesłano jego papiery, albo ktoś, kogo szwagier jest gliną...

Dante poruszył się niespokojnie.

- To znaczy, że już nigdy nie będę bezpieczny?

Ross niepewnie wzruszył ramionami.

- Dante, coś poszło bardzo nie tak i nie doceniliśmy poziomu zagrożenia ze strony Führera i całej organizacji Bandytów. Będziemy musieli być bardziej skrupulatni i stworzyć dla ciebie całkowicie nową tożsamość. To, niestety, będzie musiało potrwać i zamierzam zasugerować opiece społecznej, żebyś na czas oczekiwania przeprowadził się do mnie.

- Przypuszczalnie będzie znacznie bezpieczniejszy, kiedy Führer znajdzie się za kratkami - dodał Donald. - To znaczy bikerzy pewnie nie będą go kochali, ale nikt nic nie zrobi bez Führera, a ten długo nie wyjdzie z mamra, kiedy już go skażą.

- To on! - zawołał Dante na widok fotografii Doodsa stojącego w grupie bikerów w pełnych barwach klubowych, trzymających po piwie i spoglądających bez zainteresowania w stronę striptizerki na scenie stanowiącej tło zdjęcia. - Zdjęcie osiemdziesiąt cztery. Ten koleś, trzeci od prawej.

Ross wyjął z teczek spięty zszywaczem indeks, po czym opadł na kolana i poszurał po dywanie do Dantego, by zobaczyć, na kogo patrzy.

- Jesteś pewien? - zapytał, sprawdzivszy w indeksie, o kogo chodzi. - Tu jest napisane, że jego ksywa to Śruba, naprawdę nazywa się Jonas Haarden.

Dante skinął głową.

- Mój tata uratował go po jakimś wypadku. Ma metalowe śruby wstawione w kości nóg. Dante zaimponował Lindzie tym, że zachował zimną krew przez cały nerwowy poranek.

- Jak to jest, Dante? - uśmiechnęła się. - Biker może sobie sam zmienić ksywkę? ,

- Tylko jeśli zdarzy się coś ważnego, na przykład będzie miał poważny wypadek, albo jak weźmie udział w jakiejś sławnej zadymie, w której wydlubie komuś oko czy coś.

Podczas gdy Dante wyjaśniał, Holly rozwalala główką stos drewnianych klocków, a Ross stał z telefonem przy uchu, prosząc kolegę z policji o e-mail z kopiami akt Jona-sa Haardena oraz o przekazanie celnikom i policji drogowej prośby o jego zatrzymanie.

- Z drugiej strony facet nie musiał nam nic mówić - zauważył Donald, kiedy Ross zakończył rozmowę. - Myślę, że chciał nas ostrzec.

- Może - powiedział Ross. - Ale i tak chcę z nim pogadać. To nasz najlepszy trop w sprawie przecieku informacji o miejscu pobytu dzieciaków, a jeśli po prostu próbował was ostrzec, to czemu fatygował się taki kawał osobiście? Nie prościej było zadzwonić?

- Mój tata uratował mu życie - wtrącił Dante. - Koleś chciał dać mi prezent i powiedzieć, że bym się trzymał.

- Mam nadzieję, że tak właśnie było - odrzekł Ross. - Ale wolałbym mieć pewność, że nie kryje się za tym nic więcej.

Zanim Ross zdążył skończyć zdanie, w kieszeni rozdzwonił mu się telefon. Dante, Donald i Linda mogli słyszeć tylko połowę jego rozmowy.

- Żartujesz... Nie, czekaj, chyba wciąż zapakowane... Ożeż w mor...! Dobra, dobra, zaraz oddzwonię.

- Coś się stało? - zapytał Donald, kiedy Ross zamknął z trzaskiem komórkę.

- Gdzie są te auta od Doodsa? - zapytał niecierpliwie inspektor.

- Zostawiłem w holu - odpowiedział Dante. - Chciałem rozpakować, ale policjant powiedział, że bym nie ruszał pudełka, bo może trzeba będzie zdjąć odciski palców.

- Wychodzimy z domu, natychmiast - zarządził Ross.

Linda pierwsza zorientowała się, o co chodzi.

- Chcesz powiedzieć, że w moim domu jest bomba?!

- Istnieje takie ryzyko - oświadczył Ross, wstając. - Być może niewielkie, ale nie mam zamiaru kusić losu.

Donald zgarnął Holly, a Linda wybiegła do holu. Jako zawsze wzorowa mama dopilnowała, by dzieci włożyły ciepłe kurtki, zanim okrążyły prezent Dantego i wyszły przed dom pomiędzy stojące na podjeździe dwa samochody.

- Mój kolega zadzwoni po lokalną policję - powiedział Ross. - Zamkną ruch na ulicy i sprowadzą saperów. Powinni tu być w ciągu dwudziestu minut.

- Dlaczego nagle myślicie, że to musi być bomba? - zapytał Dante.

Ross wyjaśnił:

- Ten Doods, Śruba czy jak go tam zwać, należał do chap-teru Bandyci Rotterdam, który wdał się kiedyś w bezwzględną wojnę o wpływy z dwoma innymi gangami. Wojna skończyła się wysadzeniem w powietrze siedziby, a wraz z nim czternastu członków konkurencyjnych grup. Doods był zamieszany w podłożenie bomby. Holenderska policja ma go na liście najpilniej poszukiwanych przestępców i od ponad roku nie było o nim ani widu, ani słyhu.

- Ale po co miałyby chrzanić się z bombą? - zirytował się Donald, kiedy Holly pociągnęła go za ucho.

- Bomba daje zabójcy czas na oddalenie się od ofiary - wytłumaczył Ross. - Można ją odpalić, wysyłając esemes z drugiego końca świata.

Sześciosypialniowy dom Donalda i Lindy Gravesów mieścił się przy jednej z najlepszych ulic Guildford. Ich sąsiadami były przeważnie zamożne rodziny z dwoma drogimi autami na podjeździe, dwójką lub trójką dzieci i głowami domu spłacającymi swoje hipoteki dzięki dobrze płatnym posadom w Londynie. Ich komfortowy styl życia jaskrawo kontrastował z doświadczeniem większości dzieciaków przebywających pod opieką Donalda i Lindy. W ciągu minionych lat ich podopiecznych obwiniano -przeważnie słusznie - o wszelkie odmiany wandalizmu, od niszczenia znaków drogowych po ostrzelanie fajerwerkami medalowego chihuahuy. A jednak w ciągu trzydziestu lat istnienia rodziny zastępczej Gravesów Dante był pierwszym jej wychowankiem, który zdołał zmusić policję do ewakuacji całej ulicy i sprowadzenia czteroosobowego oddziału saperów.

Nadjechali z pompą, wśród zawrota syren i pomarańczowych rozbłysków, najpierw zielony land-rover z dwoma żołnierzami w szoferce, a za nim furgonetka z siatką ochronną na przedniej szybie. Ross wyjaśnił im sytuację w bezpiecznej odległości od rozpalanej grupy emerytów, których wyciągnięto z pobliskich domów, oraz dwóch spoconych kobiet wracających właśnie z kortów tenisowych.

Kierowca land-rovera niespiesznie włożył ubiór ochronny i ruszył w stronę domu Gravesów, w grubej rękawicy trzymając sondę przypominającą mikrofon.

Dante spędził z podejrzaną paczką więcej czasu niż ktokolwiek inny, dlatego pani kapral zatrzymała go przy sobie i zadawała pytania: czy poruszał paczką gwałtownie, kiedy trzymał ją w rękach, czy nie wydała mu się lżejsza lub cięższa, niż powinna i czy opakowanie samochodów sprawiało wrażenie, jakby ktoś przy nim majstrował.

Pani kapral wydawała się odprężona i chętnie odpowiadała także na pytania Dantego.

- Co robi ten dynks, który trzyma twój kolega?

- Ricardo podchodzi do bomby ze snifferem - wyjaśniła kobieta. - Wykrywa mikroskopijne ślady materiałów wybuchowych, podobne urządzenia mają na lotniskach. Ten ma dodatkowo kamerę na czubku. Porucznik i sierżant patrzą na przesyłany z niej obraz i mówią Ricardowi, co ma robić.

Podczas gdy Dante ekscytował się techniką, Linda i Donald stali oszołomieni świadomością, że spędzili całe dwadzieścia minut w odległości kilku metrów od czegoś, do czego teraz podchodził żołnierz w tytanowym pancerzu.

Ricardo kroczył powoli po podjeździe. Przekroczył próg domu, wszedł na dwa kroki do holu i nagle ruszył z powrotem tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to czterdziestokilogramowa zbroja. Z tyłu furgonetki wychylił się sierżant i zawołał:

- Odczyt pozytywny, jakiś plastik. Sygnatura chemiczna sugeruje C-4. Potrzebna będzie Mabel.

Do tej chwili Dante miał nadzieję, że prezent naprawdę był gestem lojalności ze strony dawnego przyjaciela jego ojca. Teraz nie miał już wątpliwości - Doods próbował go zabić.

Kapral, która rozmawiała z Dantem, otworzyła tylne drzwi land-rovera i wyciągnęła rampę zjazdową. Mabel okazała się niewielkim robotem saperskim poruszającym się na dwóch gumowych gaśnicach, z których każda mogła odchylić się w górę i w dół, umożliwiając maszynie pokonywanie schodów. Pomiedzy gaśnicami umieszczono zestaw czujników, długi ruchomy wysięgnik z chwytakiem oraz wąż połączony z czterystoma litrami wody wystrzelwanej pod wysokim ciśnieniem.

Podczas gdy Mabel sunęła pustą ulicą w stronę domu, kapral pomogła Ricardowi pozbyć się zbroi. Kościsty sierżant pracujący w furgonetce dostrzegł Dantego kręcącego się niczym zbłąkana owca i zaprosił go do środka.

Chłopiec ostrożnie wstąpił do wnętrza samochodu, pomiędzy migoczące ekrany, klawiatury i szumiącą wentyla-torkami elektronikę. Przystojny porucznik siedział na tapicerowanym krześle i wpatrzony w monitor, poruszał dżojstikami sterującymi gaśnicami Mabel. Nawet przy otwartych drzwiach furgonetki gorąco bijące od sprzętu wyssało Dantemu całą wilgoć z ust.

- I jak ci się podobają nasze zabawki? - zapytał sierżant.

- A nie boicie się, że bomba wybuchnie? - odpowiedział pytaniem Dante.

- Nawet jeśli, to oberwie tylko Mabel - powiedział sierżant niedbałym tonem. - Bać to się mogę na placu budowy w Londynie, jak mam przed sobą wielką zardzewiałą

bombę z czasów drugiej wojny światowej na dnie zalanego wodą dołu, który dla Mabel jest po prostu za głęboki. Albo jak raz na pustyni zaczęłam o kawałek drutu wystający z piachu i zastanawiałem się, czy zaraz wylecę w powietrze, czy jakiś Irakijczyk strzeli mi w dupę, kiedy się schylę, żeby zobaczyć, co to jest.

- Czyli że ta bomba jest raczej... łatwa, tak? - zapytał Dante.

Odpowiedział porucznik.

- Nic nie uszczęśliwia nas bardziej niż bomba w suchym, łatwo dostępnym miejscu.

Dante zdobył się na uśmiech, obserwując postępy Mabel na największym ekranie. Porucznik ustawił wysmukłe ramie robota nad uchwyty reklamówki i spojrzał na dziewięciolatka.

- Ruszałeś tę torbę po tym, jak ją dostałeś? - zapytał. - Czy nosiłeś ją po domu i w ogóle?

- Trochę - odpowiedział Dante. - Ale niedużo. Mój kolega Ed chciał, żebym podłączył auta do ładowarek, żebyśmy mogli pościgać się, jak wrócimy ze szkoły, no więc wziąłem je do pokoju zabaw, ale nie zdążyłem otworzyć pudełka, bo zaraz przyszedł policjant i kazał zostawić wszystko tam, gdzie było, bo inspektor Ross może chcieć zdjąć odciski palców.

- Wobec tego spróbujemy uratować wykładzinę pani Graves - uśmiechnął się porucznik.

Widząc zakłopotaną minę Dantego, sierżant pospieszył z wyjaśnieniem.

- Mabel ma osiem dysz wodnych. To taki jakby prysznic, tyle że gdybyś spróbował się pod nim wykapać, woda pocięłaby cię na paseczki jak nóż. Kiedy otworzy się zawór, robot wypłuka czterysta litrów w ćwierć sekundy. Woda uderza w bombę i dosłownie rozrywa jej elementy na strzępy, zanim zdąży dojść do wybuchu.

Podczas gdy sierżant mówił, chwytak Mabel zacisnął się na uchwyty reklamówki, uniósł pakunek i robot potoczył się w tył, wzdłuż podjazdu, by zatrzymać się na środku ulicy.



- Uzbajam - powiedział sierżant, pstrykając dwoma przełącznikami pod napisem „niebezpieczeństwo”, po czym uniósł klapkę ochronną znad wielkiego czerwonego guzika na środku prostokąta w czarno-żółte ostrzegawcze pasy. Dante pomyślał, że to taki guzik, o jakiego wciśnięciu marzył przez całe życie.

Na zewnątrz kapral tłumaczyła tuzinowi gapiów, którzy zgromadzili się za taśmą policyjną, że muszą się odwrócić, na wypadek gdyby dosięgły ich odłamki albo gdyby operacja nie powiodła się i zakończyła wybuchem.

Na przyzwalające skinienie porucznika Dante wdusił kciukiem wielki czerwony guzik. Na zewnątrz huknęło głucho, a w budę furgonetki zabębnił plastikowy deszcz, który natychmiast ucichł, ustępując miejsca skowytowi au-toalarmów uruchomionych przez falę uderzeniową. Kiedy Dante wyskoczył z samochodu, żeby zobaczyć, jakich narobił zniszczeń, kapral i Ricardo biegli już wilgotną ulicą w stronę rynsztoków, by zapobiec spłynięciu do ścieku cennego materiału dowodowego. W furgonetce za pośrednictwem Mabel porucznik oglądał potrzaskane kawałki plastiku i metalu. Obracając kamerę, zauważył połamaną płytę czołową jednego z nadajników do zdalnego sterowania samochodzikami. Leżała wierzchem do dołu, ukazując grude plastelinowatego materiału wybuchowego umocowaną plastrem po wewnętrznej stronie. Obejrawszy znalezisko w zbliżeniu, dla pewności, że woda zniszczyła detonator, porucznik wezwał gestem sierżanta.

- Masz tu swój ładunek - powiedział.

Sierżant zmrużył oczy.

- To wszystko? Nie wystarczy nawet, żeby odstrzelić koło od samochodu.

- Tak, ale pomyśl, jak Dante trzymałby tę rzecz, kiedy sterowałby zabawką - odparł porucznik. - Prawdopodobnie układ miał zdetonować ładunek po kilku minutach zabawy. Cała siła wybuchu poszłaby mu na twarz i tors.

- Cwane, cwane - mruknął sierżant, niechętnie kiwając głową. - Zdaje się, że ktoś bardzo chce zobaczyć małego w trumnie.

## 8. SNY

Następne dwa tygodnie Dante spędził w londyńskim mieszkaniu Rossa Johnsona, zaś Holly u nowej rodziny zastępczej kilka kilometrów dalej. Ross był rozwiedziony i mieszkał sam, ale jego córka Tina, studentka, przyjechała do domu na święta.

Po nieudanym zamachu bombowym policja nie zamierzała ryzykować życia jedyne go świadka pięciokrotnego morderstwa. Trzecia szkoła Dantego w ciągu tyłuż miesięcy znajdowała się dziesięć kilometrów od domu Rossa i została wybrana z powodu swojej lokalizacji na ślepej ulicy. Uzbrojony policjant codziennie zawoził do niej Dantego, a potem czekał w samochodzie, pilnując, by nikt podejrzany nie wszedł przez jej jedyne wejście. W porze lunchu zmieniał go inny funkcjonariusz, który odwoził chłopca do domu i zostawał z nim aż do wieczora. Trzeci policjant trzymał wartę w.nocy.

Dante żył w nieprzyjemnej izolacji. W szkole był znany jako Kevin Drake. Poznał tam kilku kolegów, ale były to powierzchowne znajomości, zaś większość uczniów trzymała się we własnych zwartych klikach, do których nie sposób było przeniknąć.

Rzeczy, które dla innych dzieci były codziennością, komplikowali ochroniarze i wymogi bezpieczeństwa. Lokalna drużyna skautów nie wchodziła w grę, ponieważ dom kościelny miał nieoświetlony parking oraz trzy wejścia z różnych stron budynku. Zaproszenie na sobotnie popołudniowe przyjęcie urodzinowe wymagało uzgodnienia zmian w grafiku, po czym Ross

musiał wypełniać zawile formularze i negocjować stawki nadgodzin z komendą hrabstwa Devon, która płaciła za ochronę Dantego.

Dawniej Dante był typem chłopaka, który sieje terror na szkolnym boisku i doprowadza nauczycieli do białej gorączki. Teraz zamknął się w sobie, zatapiając się w lekturze magazynów wrestlingowych, rozmyślając o śmierci i snując wyrafinowane plany zamordowania Fihrera. Patrzył obojętnie na przepływający obok niego świat, nie wykazując nawet śladu chęci, by rzucić się w potok życia.

Ożywiał się tylko podczas wizyt u Holly. Zawsze starał się przynieść słodycze, własnoręcznie zrobiony papierowy wiatraczek albo inny drobiazg, jaki sprawiłby jej frajdę. Przybrana mama Holly zabierała ich na huśtawki i jednoroczna niewinność siostry pozwalała mu być normalnym starszym bratem, przynajmniej dopóki nie podniósł głowy, by ujrzeć policjanta w cywilu przechadzającego się nieopodal w marynarce wymownie wybrzuszanej pod pachą.

Nauczyciele nie znali jego historii i sądzili, że po prostu potrzebuje czasu, by się zadomowić. Ross był dyplomowanym psychologiem i wiedział, że Dante przeżywa kryzys, ale nie mógł zbyt wiele w tej sprawie zrobić. Wysyłał maile do zaufanych kolegów po fachu, pytając, czy mają jakieś pomysły, lecz ich odpowiedzi mówiły mu tylko to, co sam wiedział od dawna - Dante powinien zacząć życie od nowa, w nowym bezpiecznym miejscu, najlepiej razem z Holly. Nie byłaby to błyskawiczna cud-kuracja, ale z czasem chłopak zawarłby nowe znajomości, wykształcił nowe zainteresowania i zaczął gromadzić багаż nowych doświadczeń, powiększając dystans pomiędzy bólem przeszłości a swoim nowym życiem.

Jednak Dante nie mógł wieść normalnego życia, dopóki Fihrer chodził swobodnie po ulicach. Tymczasem nie wyznaczono jeszcze daty pierwszej rozprawy, ponieważ policja Devonu nie sformułowała nawet oskarżenia o morderstwo. Ross starał się tryskać optymizmem, kiedy Dante był w pobliżu, ale prywatnie obawiał się, że chłopiec może utknąć w tej próżni na dwa albo trzy lata.

Umysł Dantego błądził jeszcze w sennych majakach, kiedy chłopiec plasnął dłonią przycisk budzika z projekтором. Była to jedna z nielicznych ocalałych pamiątek po jego poprzedniej egzystencji i pomimo nadtopionej płyty czołowej i zdeformowanej soczewki urządzenie wyświetliło na suficie całkiem czytelne dwa zera i siedemnastkę.

Odkąd Dante pamiętał, sen był dla niego czymś naturalnym. Dawniej przeciągał dzień tak długo, jak tylko udawało mu się odwrócić uwagę mamy, a zapędzony do łóżka natychmiast zasypiał snem sprawiedliwego, by obudzić się wczesnym rankiem i przez godzinę oglądać kreskówki przed śniadaniem. Jeśli zdarzyło mu się zapaść, mama budziła go gniewnym potrząsaniem, krzycząc, żeby wkładał szkolny mundurek, zanim dostanie w tyłek. Teraz miał kłopoty z zasypianiem, a w nocy budziły go koszmary.

Dante naciągnął sobie kołdrę na głowę i podkurczył nogi do pozycji płodowej. Zamknawszy oczy, wyobraził sobie, że jest w betonowym bunkrze ukrytym głęboko pod ziemią. Był bezpieczny, chroniły go pancerne drzwi i kamery nadzoru. Miał broń. Był umięśniony niczym pro-wrestler. I był sławny. I miał setki ochroniarzy, którzy zmasakrują każdego, kto spróbowałby się doń zbliżyć.

Wizja zniknęła zdmuchnięta głębokim, pierwotnym beknięciem policjanta siedzącego w pokoju dziennym niecałe dwa metry od chłopca. Niektórzy ochroniarze byli w porządku, grali z Dantem w gry wideo i byli mili, ale posterunkowy Fairport przez cały czas ślęczał nad podręcznikiem przygotowującym do egzaminu na sierżanta i zawsze miał taką minę, jakby wewnętrzne ciśnienie mogło rozsadzić mu czaszkę, jeśli ktokolwiek w pobliżu wyda jakiś dźwięk.

Rozbudzony już całkowicie Dante odkrył, że swędzi go ucho. Gruźłowata, wygnieciona poduszka uwierała go w twarz i poczuł, że natychmiast musi się obrócić, bo pozycja, wygodna

jeszcze dwadzieścia sekund wcześniej, teraz wydawała się nie do zniesienia. Ponownie klepnął przycisk budzika: 00:19. Leżał w łóżku od dziewiątej, ale mógłby przysiąc, że przespał najwyżej godzinę..

Myśli Dantego zataczały koła. Sprawdzając godzinę, przypomniał sobie mamę i teraz z rozrzewnieniem wspominał, jak krzyczała na niego, często z trudem skrywając rozbawienie i zawsze grożąc laniem, choć akurat tej groźby nigdy nie spełniła. No, może poza dwoma czy trzema wypadkami, kiedy zrobił coś totalnie odjechanego. Jak wtedy, kiedy wstał w środku nocy i napakował Jordanowi błota do tornistra...

Dante obudził się gwałtownie, jakby ktoś sypnął mu lodu za kołnierz. W swoim śnie był zamknięty w piwnicy klubu Bandytów, a mężczyźni pijący w barze na górze szykowali się do poszczucia go jednym z psów wartowniczych.

Klepnął budzik, było siedem po pierwszej. Jęknął w duchu, nie mogąc uwierzyć, że przespał tylko kolejną godzinę. Kiedy znów wsunął rękę pod okrycie, przeciągnął dłonią po czymś mokrym. Podniósł kołdrę i w nozdrza uderzył go zapach moczu.

- Ty głupi kretynie! - przeklął sam siebie i zgrzytając zębami, kilka razy wałnął pięścią w materac.

Dante nigdy nie zmoczył łóżka, kiedy żyli jego rodzice, ani później, w czasie gdy mieszkał u Gravesów. Ale od czasu historii z Doodsem i bombą budził się w mokrej pościeli co drugą lub trzecią noc. Czasem nawet dwukrotnie.

Przy kilku pierwszych wpadkach tego rodzaju był tak przerażony, że jego płacz zrywał z łóżek wszystkich w domu, ale mimo iż Ross tłumaczył mu, że to nie jego wina po wszystkim, przez co przeszedł, Dante wstydził się i nie chciał, by tyle osób budziło się i zawracało sobie nim głowę za każdym razem, gdy mu się to przydarzy. Chcąc ulżyć mu w kłopotcie, Ross zakupił hurtową ilość tanich kołder i prześcieradeł, jak również ceratowy ochraniacz na materac i stertę zapasowych piżam.

Dante wprawnie ściągnął brudną pościel z łóżka, zwinął ją w kłęb i poniósł do łazienki na drugim końcu przedpokoju. Tam zamknął drzwi na zasuwkę i wcisnąwszy swój ładunek do kosza na pranie, stanął nad muszlą klozetową. Choć wycisnął z siebie tylko kilka kropel, stał tam w nieskończoność, natężając się z całych sił, by mieć absolutną pewność, że nic już nie zostało.

Uznawszy, że już wystarczy, rzucił spodnie od piżamy na brudną pościel i wytarł się zmoczoną ściereczką.

Kiedy skończył, psiknął środkiem odkażającym do kosza na pranie, po czym starannie domknął pokrywę, aby brudna pościel nie zasmrodziła łazienki. Zbierając się do wyjścia, zdał sobie sprawę, że zapomniał wziąć czystych spodni od piżamy, co oznaczało, że będzie musiał przebiec przez przedpokój półnagi. Nie przejął się tym specjalnie, ponieważ do sypialni miał tylko kilka kroków.

Ale kiedy otworzył drzwi swojego pokoju, ku swemu przerażeniu ujrzał w nim Tinę, dziesiętnastoletnią córkę Rossa Johnsona. Była to ładna, niewysoka dziewczyna, o krągłej sylwetce, widocznej przez cienki materiał koszuli nocnej, i małych stopach, teraz odzianych w pasiaste skarpetki. Dante szybko spostrzegł, że podczas gdy urzędował w łazience, zdążyła wytrzeć ochraniacz na jego materacu, rozłożyć świeże bawełniane prześcieradło i przynieść jedną z zapasowych poszew na kołdrę z szafy w przedpokoju.

Dante syknął w panice i przykucnął, nerwowo usiłując naciągnąć bluzę od piżamy tak, by zasłonić penis i pośladki.

- Nie bądź głupi - zaśmiała się Tina, rzucając mu parę niebieskich spodni.

Nie pasowały do góry, co było mu nie w smak, bo przez to każdy, kto miał zobaczyć go rano, musiał natychmiast zorientować się, że miał wypadek. Był jednak zbyt zawstydzony na protestowanie i bez słowa wyszedł do przedpokoju, żeby się ubrać.

- Nie obudziłem cię, co? - zapytał, wróciwszy do pokoju.

Tina wyglądała nową kołdrę.

- Skąd - uśmiechnęła się. - Nie mogłam zasnąć.

- Tak mi przykro - wyjąkał nerwowo Dante. - Mogłem sam posłać łóżko. Nie musiałaś wstawiać.

- Chodź tutaj - powiedziała Tina, siadając na świeżo zasłanym łóżku. - Wyglądasz na smutnego. Chodź, przytul się.

Dante uśmiechnął się, kiedy dziewczyna otoczyła go ramionami i przycisnęła do siebie. Łzy napłynęły mu do oczu. Pociągnął nosem, zaciągając się zapachem jej dezodorantu. Gładka skóra i włosy sięgające do ramion przypominały mu jego nieżyjącą siostrę.

- Zawsze chciałam mieć młodszego brata - powiedziała Tina. - Chciałam, żeby miał na imię Barnaba.

Dante parsknął rozbawiony.

- Barnaba! Jak jakiś arystokrata. W szkole ciągle dostawałby bęcki.

- Zawsze wyobrażałam go sobie w marynarskim ubranku i butach z lakierowanej skóry. Nie twierdzą, że była to bardzo realistyczna fantazja.

- Czasem chciałbym móc zostać u was na zawsze - powiedział Dante. - Zwłaszcza jeśli mógłbym wziąć Holly.

Tina zmierzwiła mu włosy i odwinęła róg kołdry.

- Wskakuj do łóżka. Jutro jedziesz do Devonu, musisz wstać wcześniej.

- Gdybym nie żył, nie musiałbym już spać - odpowiedział Dante. - Ani bać się, że ktoś podłoży mi bombę. Ani budzić się we własnych szczynach.

Tina pogładziła go po szyi i pocałowała w czoło.

- Dante Scott, jesteś silnym i mądrym dzieciakiem. Założę się o cały niedozwolony debet na moim koncie, że twoja mama i tata nie życzyliby sobie, żebyś umarł. Chcieliby, żebyś dorósł i stał się wspaniałym, szczęśliwym człowiekiem. I tak się stanie.

Dante uśmiechnął się i jeszcze raz wciągnął w nozdrza woń włosów i dezodorantu.

- A teraz spróbuj zasnąć. Gdybyś mnie potrzebował, będę tuż obok.

Dante skinął głową, po czym przetoczył się na drugą stronę łóżka i wślizgnął pod kołdrę. Tina zgasiła światło, a on zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak to by było mieć kogoś takiego jak ona za dziewczynę albo żonę, kiedy będzie starszy. Sen przyszedł łatwiej, kiedy myślał o przyszłości, a nie o tym, co było.

## 9. KŁAMSTWA

Przed wyjazdem do Devonu Ross kazał Dantemu włożyć chinosy i wyprasowaną koszulę. Jechali pięć godzin nie-oznakowanym radiowozem, z Rossem za kierownicą i Steve'em, uzbrojonym ochroniarzem chłopca, na miejscu pasażera. Dante miał całą tylną kanapę, dla siebie i większość podróży spędził, grając na gameboyu i studiując oba magazyny wrestlingowe, które Ross kupił mu na drogę.

Była jedenasta, kiedy zatrzymali się na stacji w Bridg-water, żeby wstąpić do toalety i przekąsić coś w Burger Kingu. Dante ucieszył się, kiedy Ross kupił mu Whoppera. Mama zawsze odmawiała, mówiąc, że jest za drogi, a on i tak połowę zmarnuje.

-Nie za mały dla ciebie, chłopcze? - zażartował jego policyjny strażnik i zaczął dmuchać w swoją kawę.

Dante uśmiechnął się. Był zachwycony, kiedy odkrył, że to właśnie Steve pojedzie z nim do Devonu. Ze wszystkich policjantów, którzy go pilnowali, to Steve'a najłatwiej było namówić na rundkę na Playstation, a w poprzednią sobotę przyniósł paczkę ciasta w proszku i razem upiekli biszkopt z polewą o smaku pomarańczowym.

- Zatrzymaliśmy się tu kiedyś, jak wracaliśmy ze zlotu Bandytów - powiedział Dante. - Jeden z naszych, nazywał się chyba Gołąb, miał lekkiego dzwona z ciężarówką w drodze ze Szkocji. Ja jechałem technikiem...

- Co to jest? - zapytał Steve.

- Harleyem nie przewiezie się dużo bagażu, dlatego jak Bandyty jadą na zlot, to jedzie z nimi wóz techniczny. To ciężarówka albo furgonetka, która wiezie bagaże, części zapasowe i takie tam. Jak byłem mały, to wołałem jeździć technikiem niż autokarem z mamusiami i dzieciarnią. No więc kiedy tamta ciężarówka zepchnęła Gołębia z drogi, to ruszyliśmy za nią i śledziliśmy, dopóki się nie zatrzymała, właśnie tutaj. Chłopaki szykowali się do spuszczenia łomotu kierowcy, ale facet zorientował się, że go śledzimy, i zadzwonił z komórki po gliny. Zajeżdżamy, a tu czeka na nas cała masa psów... sorka, znaczy policjantów. Ale kiedy zapytali, co tu robimy, chłopaki powiedzieli, że to ja jechałem, że muszę do kibla.

-I co? Nic się nie stało? - zapytał Ross rozczarowany brakiem efektownej puenty.

Dante uśmiechnął się.

- Powiedziałem, że pamiętam, jak tu kiedyś przyjechałem. Nie mówiłem, że to dobra historia.

- Wydajesz się dziś pogodniejszy - zauważył Ross.

- Bo wreszcie coś się ruszyło w sprawie morderstwa, nawet jeśli nie do końca rozumiem co.

- Myślałem, że ci wyjaśniłem - mruknął Ross.

Dante wzruszył ramionami.

- Ciągle nie kumam, o co chodzi z tym KSP.

- Dobra, słuchaj. - Ross poprawił się na krześle. - To się nazywa Koronna Służba

Prokuratorska. Widziałeś na pewno rozprawy sądowe w telewizji. Kojarzysz, że są tam prawnicy, którzy zadają ludziom pytania, tak?

Dante skinął głową.

- Dobrze. W każdym sądzie osoba oskarżona o przestępstwo ma adwokata, czyli prawnika, który próbuje udowodnić, że jest niewinna. Jego przeciwnikiem jest prokurator zwany prokuratorem, który próbuje dowiedzieć, że oskarżony jest winny. Prokuratorzy rządowi pracują dla KSP. Przy skomplikowanych sprawach, takich jak morderstwo twojej rodziny, policja i KSP pracują razem i decydują, kiedy mają wystarczająco dużo materiału dowodowego, żeby postawić kogoś przed sądem. Prawnicy prokuratury mówią policji, jakich dowodów potrzebują, żeby doprowadzić do skazania, i rozmawiają ze świadkami, bo chcą wiedzieć, na ile solidne oparcie będą mieli w ich zeznaniach w sądzie. To jest bardzo ważne.

- To dlatego tam jadę - pokiwał głową Dante.

W chwili gdy Dante to powiedział, do lokalu weszła wątła kobiecinka, na oko dobrze po sześćdziesiątce. Ze skórkową teczką pod pachą i w lawendowym płaszczu ze złotymi guzikami w wyludnionym Burger Kingu wyglądała jak przybysz z innej planety. Na widok Rossa rozciągnęła usta w promiennym uśmiechu i postukując obcasami, ruszyła do jego stolika.

-Hello, złotko! - zawołała radośnie i pocałowała inspektora w oba policzki. - Kiedyż to ostatnio się widzieliśmy, co? Konferencja Rozwój Dziecka w Leeds? Kiedy to było, dwa lata temu?

Ross wzruszył ramionami.

- Bodajże trzy. Na dwóch ostatnich nie byłem.

Dante był zaintrygowany: to spotkanie nie wyglądało na przypadkowe.

- Przynieść pani coś do jedzenia? - zapytał usłużnie Steve, unosząc się lekko z krzesła. Kobieta rzuciła mu spojrzenie sugerujące, że prędzej zjadłaby własny but niż świństwo z fast foodu.

- Tylko herbatę. Dwie kostki, bez mleka, dziękuję.

Kiedy Steve oddalił się, by stanąć w krótkiej kolejce przed kasami, kobieta wśliznęła się na krzesło obok Dantego i rozluźniła pasek płaszcza.

- Dante, poznaj Jennifer Mitchum - powiedział Ross.

- Dobrze cię widzieć - uśmiechnęła się Jennifer. Delikatnie poklepała Dantego po nadgarstku i mimochodem ukradła frytkę z talerza Steve'a. - Wymieniliśmy z Rossem mnóstwo maili, ale cudownie jest wreszcie poznać cię osobiście.

Dante nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, wiedział za to, że nie znosi, kiedy ludzie podkradają mu jedzenie.

- Możemy poprosić Steve'a, to przyniesie pani jeszcze frytki - powiedział, siląc się na przyjazny ton. - Wiedziała pani, że tu będziemy?

Ross pokiwał głową przytakująco.

- Jennifer jest dyplomowanym psychologiem i terapeutką. Specjalizuje się w pomaganiu dzieciom, które potrzebują nowego startu, takim jak ty.

Dante poczuł się jak pies przybłąda przerzucany od jednych niezdecydowanych właścicieli do następnych.

- Myślałem, że to ty się tym zajmujesz - burknął, starając się zawrzeć w głosie tyle gorzycy, ile czuł.

- Ja cię nie zostawiam - zapewnił go Ross. - Ale jestem policjantem. Muszę jeździć po całym kraju, rozmawiać z dziećmi ofiarami przestępstw. Nie ma mowy, żebym mógł się tobą zająć, kiedy Tina wróci na uczelnię.

Devoński wydział KSP miał siedzibę w biurowcu pod Exeter, osiemdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie zamordowano rodzinę Scottów. Dante został sfotografowany, przypiął sobie na piersi identyfikator z nazwiskiem, po czym podążył za Jennifer i Rossem przez obrotową bramkę. Prawniczka imieniem Vanessa uścisnęła mu dłoń i poprowadziła korytarzem przez szpaler drzwi świecących prostokątami matowego szkła. Miała wielkie oczy i biust, jaki przywodził mu na myśl striptizerki wynajmowane przez Bandytów na klubowe imprezy.

Gabinet był mały, ale wygodny. Dante usiadł na długiej kanapie pomiędzy Jennifer i Rossem, Vanessa przysiadła na krawędzi biurka i otworzyła teczkę pełną notatek.

- Czy Ross wyjaśnił ci, kim jestem? - zapytała.

- Mniej więcej - skinął głową Dante. - Jest pani tak jakby prawniczką zarządzającą sprawą morderstwa, tak? Patrzy pani na informacje zebrane przez policję i decyduje, czy jest już dość dowodów, żeby wytoczyć proces Fiihre-rowi.

- Tak - uśmiechnęła się Vanessa. - Nasz problem polega na tym, że kiedy spłonął twój dom, wiele śladów, takich jak odciski palców i tym podobne, zostało zniszczonych. Nie znaleźliśmy też broni ani żadnych ubrań pasujących do czegokolwiek znalezionego na miejscu przestępstwa.

-A błoto? - wtrącił Dante. - Führer poszedł przez pole, musiał zostawić mnóstwo śladów butów.

- Owszem - przyznała prawniczka - mamy odciski butów w rozmiarze Führera i wzór bieżnika pasuje do jego martensów, ale wielu bikerów ma identyczne buty, a do tego Führer nosi ósemkę, czyli najpopularniejszy męski rozmiar.

- Więc te odciski są bez wartości? - zapytał Dante.
- Nie bez wartości - wytłumaczyła Vanessa. - Po prostu nam nie wystarczą. Musimy przekonać przysięgłych ponad wszelką wątpliwość, co znaczy, że potrzebujemy czegoś więcej niż paru odcisków butów, by dowieść morderstwa. W tym momencie jedynym, co może posłać Führera za kratki, są zeznania, jakie złożyłeś na policji tuż po zbrodni, oraz wszystko, co powiesz w sądzie.

Dante pokiwał głową.

- Oskarżyliście go już?
- Nie - odrzekła Vanessa. - Na razie przeglądamy materiały. Decyzję o aresztowaniu Führera i postawieniu mu zarzutów podejmiemy jutro lub pojutrze. Poprosiłam Rossa, żeby cię tu przywiózł, ponieważ muszę z tobą porozmawiać i zadać kilka bardzo ważnych pytań dotyczących twoich zeznań.

- No to skoro już jestem, niech pani pyta - powiedział pogodnie Dante.

Vanessa uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały poważne.

- Niektóre z moich pytań możesz odebrać jako bardzo przykre, Dante. Musisz wiedzieć, że Brigands MC mają fundusz prawny, na który każdy członek wpłaca po kilkaset funtów rocznie. Oznacza to, że klub stać na znakomitych prawników, na błyskotliwe, a zarazem korzystne dla nich ekspertyzy, na najlepszych biegłych. Losy naszej sprawy zależą w całości od tego, czy przysięgli uwierzą w to, co mówisz. Wystarczy, że prawnicy Führera zasieją tyciu-teńką wątpliwość w umyśle jednego czy dwóch sędziów przysięgłych, i facet nie pójdzie siedzieć, rozumiesz?

Dante rozumiał to lepiej niż większość jego rówieśników. Członkowie Brigands MC South Devon często popadali w rozmaite konflikty z prawem i najdziksze klubowe imprezy urządzano na cześć bikerów, którzy wrócili z sądu z werdyktem uniewinniającym.

- Są dwa problemy - ciągnęła Vanessa. - Pierwszy jest taki, że nie będziesz jedynym świadkiem. Gwarantuję ci, że znajdą się ludzie gotowi przysiąc, że w czasie morderstwa Führer był razem z nimi.

Dante pokiwał głową.

- Raz mój tata krył dwóch Bandytów z Londynu. Powiedział, że pili z nim w barze w Salcombe, chociaż naprawdę byli w Londynie i ukradli jakiejś babce biżuterię.

- W sprawie świadków, którzy kłamią, niewiele możemy zrobić - powiedziała Vanessa. - Ale bardzo ważne jest, żebyś ty był dobrym, uczciwym świadkiem. Myślę, że mamy z tym mały problem.

- Co? - zdumiał się Dante.

Vanessa podała mu fotografię poplamionej krwią koszulki, którą miał na sobie w siedzibie klubu tego wieczoru, kiedy zginęli jego rodzice. Następnie wyjęła z teczki zapis zeznania Dantego i odczytała fragment na głos:

- „Bawiłem się z moim kolegą Joem w klubie i jemu nagle zaczęła lecieć krew z nosa. On bardzo często ma krwotoki z nosa, no i pochlapał mi koszulkę". Problem w tym, Dante, że eksperci od kryminalistyki tylko rzucili na to okiem... Widzisz, jak krople są rozprysnięte na całej koszulce?

Dante skinął głową.

- To nie był krwotok z nosa,, prawda?

- Nie - przyznał Dante zawstydzony.

- Poza tym zbadaliśmy tę krew i niestety, nie pasuje do grupy krwi Joego - powiedziała Vanessa. - Czyja to krew, Dante?

Dante spojrzał na Rossa ze skruszoną miną i westchnął.

- Martina Donningtona - powiedział cicho'. - To drugi syn Fuhrera.

- Co się naprawdę stało? - zapytała Vanessa.

- I co ważniejsze, dlaczego nie powiedziałeś prawdy? - wtrącił Ross.

Dante zapadł się głębiej w miękką kanapę.

- Bo nie chciałem mieć kary za pobicie. Dlatego powiedziałem, że to z nosa.

Vanessa westchnęła i spojrzała na Rossa.

- Ale wszystko inne, co powiedziałem, to prawda - wypalił Dante. - Zresztą to było przed morderstwami, więc i tak się nie liczy, co nie?

Vanessa wyglądała na złą, ale Dante był tylko dzieckiem, więc wzięła głęboki wdech i zabrała się do wyjaśnień w najbardziej przyjazny sposób, na jaki było ją stać.

- Wiesz, co to znaczy, że zeznanie jest potwierdzone?

Dante potrząsnął głową.

- To znaczy, że można sprawdzić, czy dany fakt rzeczywiście miał miejsce. Na przykład można łatwo potwierdzić, że David Beckham strzelił gola dla Anglii, bo wszyscy na stadionie widzieli to, a do tego całą akcję sfilmowała telewizja. Jeśli zamkniesz się w swoim pokoju i zdobędziesz miliard punktów na Playstation, ale wyłączysz grę, zanim ktokolwiek zobaczy wynik, nie ma sposobu na potwierdzenie twoich przechwałek, bo jesteś jedyną osobą, która to widziała.

- Rozumiem - burknął Dante.

- Problem w tym, że ze wszystkiego, co nam opowiedziałeś, twoja opowieść o koszulce jest jedną z niewielu rzeczy, jakie można łatwo sprawdzić. A skoro skłamałeś właśnie w tej sprawie, ludziom trudno będzie uwierzyć w inne rzeczy, które mówiłeś, a których nie sposób potwierdzić.

Dante zmarszczył brwi.

- Twierdzi pani, że kłamię?

- Nie - odparła Vanessa. - Twierdzą, że ponieważ skłamałeś w jednej sprawie, ludzie będą znacznie mniej skłonni uwierzyć w inne rzeczy, jakie opowiedziałeś, a jeśli w dodatku ludzie ci mają skazać człowieka za morderstwo w oparciu jedynie o twoje słowo, może to uczynić ich decyzję trudną.

Dante wbił wzrok w podłogę i pociągnął nosem.

- Czyli wszystko zepsułem.

Ross położył mu dłoń na ramieniu.

- Popełniłeś drobny błąd w momencie, kiedy byłeś wycieńczony i zrozpaczony. To, nie jest twoja wina.

Vanessa pokiwała głową.

- Możesz mi opowiedzieć, co naprawdę zaszło z tą koszulką?

Przez następne dwie minuty Dante opowiadał, jak Führer dostał szau, kiedy jego syn splunął na barwy Bandytów na kurtce Zgryza, oraz jak musiał pobić Martina w obronie honoru klubu, a przede wszystkim, by uchronić go przed zmasakrowaniem przez własnego ojca.

Z biegiem opowieści Vanessa wyglądała na coraz bardziej zdumioną. Historia wydawała się zbyt zawiła jak na wytwór fantazji dziewięciolatka, z drugiej strony nie co dzień słyszy się o dorosłych mężczyznach namawiających swoich nieletnich synów do brutalnej bijatyki.

Kiedy Dante skończył mówić, w gabinecie zapadła niezręczna cisza.

- Przysięgam, że taka jest prawda - dorzucił Dante. - Tyle że żaden z Bandytów tego nie potwierdzi. Powiedzą, że sam się pchałem, żeby pobić Martina, żeby mi jeszcze bardziej zabagnić opinię.

Vanessa przeczesła dłonią swoje długie włosy.



- No dobrze - westchnęła. - Myślę, że najlepsze, co możemy zrobić, to znaleźć pokój przesłuchań, gdzie nagrasz uzupełnienie swojego wcześniejszego zeznania.

- Ale jak prawnicy Fiihrera mieliby się w ogóle o tym dowiedzieć? - zapytał Dante. - No bo przecież nie musimy im mówić.

Vanessa roześmiała się.

- Niestety, musimy, Dante. Każdy ma prawo bronić się przed sądem, a to oznacza, że ma też prawo poznać argumenty, jakie świadczą na jego niekorzyść. Od chwili gdy Fiihrer zostanie oskarżony, jego prawnicy będą mieli wgląd w cały zgromadzony przez nas materiał dowodowy, łącznie z twoim pierwszym zeznaniem.

- Ja to mam fart - rozgniewał się Dante i kopnął piętą w kanapę.

Vanessa posłała mu poważne spojrzenie.

- Chcę, żebyś jeszcze raz dokładnie przeczytał swoje zeznanie. Jeżeli w jakiegokolwiek innej sprawie nie powiedziałeś absolutnej prawdy, musisz mi o tym powiedzieć, okej?

Dante ponuro pokiwał głową. Podczas pierwszej rozmowy z Rossem ścierna o krwotoku z nosa wydawała mu się tak nieszkodliwa, że zapomniał o niej, jeszcze zanim skończył składać zeznanie.

- Przepraszam, jestem beznadziejny - powiedział z goryczą.

Ross poklepał go po ramieniu.

- Prawdopodobnie nie jest aż tak źle - powiedział, patrząc na Vanesę. - Nie tylko Bandyci mają dobrych prawników.

Vanessa przeszła przez gabinet i otworzyła drzwi.

- Dziękuję ci za rozmowę, Dante, a teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym zamienić dwa słowa z Rossem. Poczekalibyś z Jennifer na korytarzu? To zajmie tylko chwilę.

## 10. PODSTĘP

Kiedy drzwi gabinetu zatrzęsnęły się za Dantem, Vanessa opadła na swoje krzesło i oparłszy łokcie na biurku, złapała się za głowę. Ross wpatrywał się w nią z uwagą.

-Jak bardzo jest źle, w skali od jednego do dziesięciu? - zapytał po chwili ściszym głosem, bo Dante był tuż za drzwiami.

- Siedem, osiem... - westchnęła Vanessa. - Miałam nadzieję, że wyjaśnienie tajemnicy krwi na koszulce okaże się czymś innym niż tym, że Dante wdał się w krwawą bójkę z synem człowieka oskarżonego o zamordowanie jego rodziny kilka godzin później. A szkolna teczka Dantego też nie jest piękna. Chłopak nie stronił od bójek i był oskarżany o terroryzowanie kolegów.

- Trudno go nazwać brutalnym opryszkiem - zauważył Ross.

-Ja wiem, ale prawnicy Fiihrera spróbują przedstawić Dantego jako gwałtownego, niezrównoważonego dzieciaka, który doznał potężnego szoku po tym, co zobaczył. Był młody, wyczerpany fizycznie i psychicznie, a na dokładkę mają dowód, że jest kłamcą.

- A co ze sprawą udaremnionego zamachu? Czy to nam nie pomoże?

- Sędzia wykreśli z protokołu każdą wzmiankę o bombie, jeżeli nie przedstawimy mocnych dowodów łączących ją z Fuhrerem.

- Dante to mądry dzieciak - powiedział Ross. - Będzie dobrze się prezentował jako świadek i mamy mnóstwo pobocznych dowodów wiążących jego wersję wydarzeń z otworami po kulach i położeniem ciał w domu.

- Wiem - skinęła głową Vanessa. - Nikt nie zaprzeczy, że Dante widział to, co widział. Ale będą też inni świadkowie, w tym obaj synowie Fiihrera i inni Bandyce, którzy przysięgną, że ich szef ma alibi. Ściągną własnych rzeczoznawców, którzy wytłumaczą przysięgłym, jak ośmioletniemu dzieciakowi, który widział śmierć całej swojej rodziny, trauma mogła tak pomieszać w głowie, że zaczął wyciągać życzeniowe wnioski i przypominać sobie rzeczy, jakie w rzeczywistości nie miały miejsca.

- Rozumiem, że nie zamierzasz aresztować Fiihrera i postawić mu zarzutów - powiedział Ross.

Vanessa powoli pokręciła głową.

- Zrobiłabym to, gdybym miała jeden mocny dowód oprócz zeznania chłopaka: pistolet, z którego wystrzelono kule znalezione w domu, but Fiihrera, ślad prochu na ubraniu. Ale Bandyce mieli pół godziny na posprzątanie miejsca morderstwa i niestety, przyłożyli się do tej roboty.

Ross westchnął.

- Zatem Führer pozostaje wolnym człowiekiem?

- Na razie - powiedziała Vanessa. - Ale przecież policja nie umorzy śledztwa w sprawie pięciokrotnego morderstwa po niecałych trzech miesiącach. Jednak potrzebny będzie znaczący przełom, zaś im dłużej będzie się ciągnąć dochodzenie, tym mniejsza będzie na to szansa.

- Nie mamy żadnych innych punktów zaczepienia? Tropów, którymi można by pójść?

- Niestety. Jedyne, co może ruszyć tę sprawę, to kolejny świadek. Może jeśli kiedyś w przyszłości aresztujemy jakiegoś Bandytę pod tym czy innym zarzutem i zaproponujemy układ w zamian za informacje o morderstwie... Albo może jakiś człowiek przyniesie na policję pistolet i niedopalone skrawki ubrań. Nigdy nie wiadomo.

- Biedny Dante - westchnął Ross. - Taki fajny dzieciak. Ale musi posłać Fiihrera za kratki, jeżeli chce zacząć normalnie żyć.

Vanessa poprosiła Dantego i Rossa, by pozostali w pobliżu przez kilka godzin, na wypadek gdyby musiała zadać jeszcze jakieś pytania po jej spotkaniu z kierownictwem KSP i oficerami policji odpowiedzialnymi za przebieg dochodzenia.

Ostatecznie okazało się, że nikt nie ma już do chłopca żadnych pytań, ale kiedy Dante nagrał nowe zeznanie świadka i doczekał końca spotkania, była już prawie szósta i Ross stwierdził, że nie ma ochoty na długą jazdę do Londynu.

Ross, Dante, Steve i Jennifer zatrzymali się w szarym hotelu przy zjeździe z autostrady. Dante dzielił pokój z Rossem. Ponieważ wciąż byli w Devonie, inspektor przemycił chłopca bocznym wejściem i kazał ukrywać się w łazience, kiedy obsługa przyniosła im kolację.

W pokoju były dwa podwójne łóżka, ale Dante i Ross położyli się na jednym, by jeść pikantnego kurczaka z ryżem, popijać pepsi ze szklanej butelki i pojadać chipsy z koszyka stojącego pomiędzy nimi. Steve, drzemał w sąsiednim pokoju, ale Jennifer dołączyła do nich i usiadła naprzeciwko łóżka, stawiając swoją lasagne na wąskim sekretarzyku.

- No jak, Dante - zagaiła w końcu. - Jak się czujesz?

Dante lubił towarzystwo Rossa i był zły na Jennifer za jej wtargnięcie. W dodatku nie mógł zrozumieć, dlaczego tak nagle się pojawiła.

- Nie chcę rozmawiać z panią o tym, jak się czuję - odpowiedział burkliwie. - Nie potrzebuję, żeby jeszcze więcej ludzi wtykało nos w moje sprawy.

Ross posłał Dantemu spojrzenie z kategorii: „Nie bądź chamski”, ale Jennifer tylko się roześmiała.

- Bez sensu to wszystko, prawda? Całkiem nie fair - powiedziała spokojnie.

Dante cmoknął z irytacją.

- Czy mógłbym chociaż spokojnie zjeść kolację?

-Jennifer jest tutaj po to, aby ci pomóc, Dante - powiedział Ross. - Po prostu próbuje cię lepiej poznać.

- Świetnie! - sapnął Dante ze złością. - Tak, jeśli czeokolwiek ostatnio się nauczyłem, to tego, że życie nie jest fair. Fiihrer zabija mi mamę, tatę, brata i siostrę, potem próbuje wysadzić mnie w powietrze bombą, ale i tak mu się upiecze, bo podobno nikt w sądzie mi nie uwierzy, po tym jak powiedziałem jedno marne kłamstewko w sprawie głupiej koszulki.

- Nie twierdzą przecież, że nigdy nie oskarżą Führera - zauważył Ross. - Po prostu potrzebują więcej dowodów...

- Bła, bła, bła - przerwał mu Dante, rzucając swój talerz na stolik przy łóżku. - W ogóle nie powinienem gadać z glinami. Badyci przynajmniej robią, co mają do zrobienia, zamiast urządzać spotkania, czekać na dowody i babrać się w całym tym gównie.

- Masz pełne prawo się gniewać - powiedziała Jennifer.

- Wszyscy jesteście do bani! - krzyknął Dante. - Jak dorosnę, kupię sobie obrzyna i motocykl i pojadę do domu Führera i przestrzelę mu oba kolana. A potem powieszę go na haku i będę patrzył, jak powoli wykrwawia się na śmierć.

Dante poczuł, że oczy wzbierają mu łzami, i zirytowało go to. Pół minuty wcześniej jadł sobie kolację z Rossem, a teraz był roztrzęsiony.

- Z czasem poczujesz się lepiej - powiedziała Jennifer.

- A gówno! - krzyknął Dante. Porwał kolację ze stolika, cisnął nią w Jennifer i zaczął szlochać. - Wszyscy gędzą

w kółko o moich uczuciach! Mam tego po dziurki w nosie! Zostawcie mnie w końcu w spokoju! Talerz minął niemłodą psycholog o włos, ale dywan i krzesło były upstrzone ryżem i kawałkami kurczaka.

-Jestem beznadziejny! Nie potrafię nawet trafić starej babci jedzeniem! - krzyknął Dante, tupiąc wściekle przez pokój, po czym trzasnął za sobą drzwiami łazienki i zamknął się w środku na zasuwkę.

Spojrzał na czerwoną twarz w lustrze, a potem odwinął się gwałtownie i z całej siły kopnął sedes. Nie znalazłszy w tym akcie ukojenia, prasnął kosmetyczką Rossa w ścianę, po czym porwał mały kosz na śmieci i cisnął nim w okno z matowego szkła. Jednak zamiast przebić szybę, roztrzaskując ją na drobne kawałki, na co liczył Dante, kosz odbił się i wyrzucił go w czoło.

- Auuuu! - zawył Dante, opadając na kolana.

Ross załomotał w drzwi łazienki.

- Dante, otwórz! - zawołał. - Niepotrzebnie pogarszasz tylko swój stan. Nikomu nic z tego nie przyjdzie, prawda?

- Odwal się!

Dante kopnął drzwi, stracił równowagę i klapnął ciężko na pokrywę sedesu. Tymczasem pomiędzy drzwi a zasuwkę wśliznęło się ostrze scyzoryka i Dante rzucił się głową naprzód, widząc obracające się pokrętło. Spodziewał się Rossa, ale ku jego zaskoczeniu w drzwiach pojawiła się krucha sylwetka Jennifer.

Celował w żołądek, zamierzając powalić panią psycholog na podłogę, ale zamiast tego świat nagle zawirował mu przed oczami. Jennifer zakreśliła nim jak w tańcu, wykreśliła rękę za plecami i trzymając w niewygodnej pozycji odbierającej możliwość obrony, wypchnęła go z łazienki i rzuciła twarzą na łóżko.

- Uspokój się - powiedziała łagodnym tonem. - Puszczę cię, kiedy tylko przestaniesz się szarpać.

Ross zbliżył się do łkającego histerycznie chłopca.

- Przypilnuj go - powiedziała Jennifer. - Pójdę po moją apteczkę.

Ross usiadł na łóżku obok zboląłego Dantego i pogłaskał go po plecach, próbując trochę uspokoić. Tymczasem Jennifer wybiegła na korytarz. Otworzyła swój pokój kluczem magnetycznym i kilka chwil później wróciła ze swoją torebką.

- Jak to możliwe, że Fiihrerowi nie można nic zrobić? - szlochał Dante. - Zabił mi całą rodzinę. Muszą być jakieś inne dowody.

Ross zdążył przywiązać się do swojego podopiecznego i jemu także zwilgotniały oczy. Jennifer gorączkowo szperała w torebce.

- Dante, złotko - powiedziała, odkręcając sterylny kapturek z igły strzykawki. - Nie ruszaj się dwie sekundy, dobrze?

Dante obejrzał się przez ramię i ujrzał Jennifer sunącą ku niemu z połyskującą złowieszczą pięciocentymetrową igłą-

- Nie! - krzyknął.

- Przytrzymaj go, Ross - poleciła Jennifer, zsuwając chłopcu spodnie na kilka centymetrów, by odsłonić górną część lewego pośladka.

Dante poczuł muśnięcie wacika ze środkiem odkażającym.

- Jemu nie może to ujść na sucho! - zawołał. - Zostawcie mnie! Co wy robicie?!

Ross wcisnął go w materac tak, by nie mógł się poruszyć, i Dante krzyknął, czując szczypiące ukłucie. Jennifer wciągnęła do strzykawki mały krwawy wir, po czym pchnęła tłoczek, by wstrzyknąć dawkę środka nasennego.

Po pięciu sekundach Dante poczuł, że wiotczeją mu mięśnie, a oczy nie są w stanie utrzymać ostrości. Po dwudziestu łkanie ustało, oddech uspokoił się i Dante zapadł w głęboki sen.

Jennifer wyglądała na wycieńczoną i otarła czoło wierzchem nadgarstka.

- I tyle wyszło z czekania, aż zaśnie - westchnęła. Ross obrócił chłopca na plecy i poczuł smutek na widok

jego zapłakanej twarzy.

- Bardzo go polubiłem, Jennifer - powiedział cicho. - Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co mi powiedziałaś.

Jennifer uśmiechnęła się.

- Dante też nie będzie mógł, kiedy obudzi się rano.

## 11. ZMIANA

Na początku pomyślał, że wciąż jest w hotelu, ale w pokoju było tylko jedno podwójne łóżko.

Był też mały telewizor zawieszony na ścianie, elektryczny czajnik, telefon i miniaturowa lodówka. Nie miał pojęcia, gdzie jest ani jak się tu znalazł. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był przyjazd do hotelu z Rossem Johnsonem i Jennifer Mit-chum.

Dante pogmerał pod kołdrą i odkrył, że jest nagi, jeśli nie liczyć pieluchy dla dorosłych między nogami. Odkleił elastyczny pasek na brzuchu i z ulgą skonstatował, że pod spodem jest sucho.

- Ross? - zawołał niepewnie, siadając na łóżku, by wyjrzeć przez okno.

Pokój mieścił się w narożnej części budynku, na szóstym piętrze. Kilkaset metrów dalej wznosił się strzelisty żuraw, którego operator opuszczał szklane tafle na plac budowy o zakrzywionym kształcie. Powierzchnię przed budynkiem zajmowały trawniki, parking oraz dwa lądowiska dla śmigłowców, ale bardziej intrygująca była kolumna małych dzieci w identycznych czerwonych koszulkach maszerujących z bocznego wyjścia i niosących sprzęt luczniczy: łuki, strzały oraz tarcze spiętrzone na dużym wózku.

Odsuwając się od zasłon, Dante zauważył ułożone na podłodze ubranie. Wszystko w jego rozmiarze: białe skarpety i bokserki, uprasowana pomarańczowa koszulka oraz zielone wojskowe spodnie i wojskowe buty. Wyjawszy kolor koszulki, komplet wyglądał identycznie jak to, co miały na sobie dzieci na zewnątrz. Buty wyglądały na nowe, pachniały gumą i miały lśniące czarne podeszwy. Na koszulce widniało logo przedstawiające uskrzydłone niemowlę siedzące na globusie, przeciętym przez środek słowem CHERUB.

A zatem była to jakaś szkoła z internatem. Dante poczuł ulgę, bo zdecydowanie nie wyglądało na to, by wpadł w łapy Bandytów. Nagle odwrócił się przestraszony, słysząc kliknięcie drzwi za sobą.

- Cześć? - powiedziała ostrożnie dziewczyna wychylająca się z przyległego pokoju.

Była wzrostu i postury Dantego, ale miała długie blond włosy i byłaby nawet ładna, gdyby nie szpeciły jej dwie szokująco wielkie śliwy pod oczami. Miała na sobie pomarańczową koszulkę, bojówki i glany. Dante zawstydził się, bo sam ubrany był tylko w ogromną pieluchę.

- Hej - odpowiedział, czując silny przymus wskazania do łóżka i zakrycia się kołdrą, ale zamiast tego zastygł w bezruchu ogarnięty dziwnym paraliżem. - Ehm... Czy ty też... To znaczy, czy ty jakby właśnie obudziłaś się tutaj?

Brwi dziewczyny podskoczyły w nagłym zrozumieniu.

- Tak! - skinęła głową. - Na korytarzu na zewnątrz nikogo nie ma, ale usłyszałam, jak krzyczysz „Ross”.

- Jaką ostatnią rzecz pamiętasz? - zapytał Dante.

- Byłam w domu dziecka Nebraska House. Poszłam na wieczorne spotkanie z moją psycholog, ale czekałam całe wieki w jej gabinecie, a jej nie było, a potem zadzwoniła i powiedziała, że musiała wyjechać do Devonu w jakiejś nagłej sprawie i że zobaczymy się jutro.

- Do Devonu? - zbystrzał Dante. - A nie nazywała się przypadkiem Jennifer?

Dziewczyna skinęła głową.

- Tak, Jennifer Mitchum. A co, znasz ją?

- Tak jakby - odpowiedział Dante. - Co ta baba wyrabia, jeździ i porywa dzieci czy co?

- To miejsce wydaje się w porządku - zauważyła dziewczyna. - Widziałam, że mają korty tenisowe, fajne boiska, dzieciaki trenują bieganie... A w ogóle to Laura jestem, Laura Onions.

Dante speszył się na sekundę, po czym zdecydował się podać prawdziwe imię.

- Jestem Dante - powiedział. - Twój pokój też jest taki jak ten?

Laura otworzyła drzwi szerzej, by Dante mógł zajrzeć do środka.

- Wszystko identyczne. Tylko że ja nie miałam na sobie wielkiej pieluchy.

Dante poczuł, że się rumieni.

- Nie mam pojęcia, dlaczego mi ją założyli - skłamał. - No, ale jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Może spróbujemy kogoś poszukać?

- Włóż coś na siebie i rozejrzyjmy się razem. Gdzieś tu musi być przecież jakiś dorosły.

Włożywszy przydzielony uniform, Dante spotkał się z Laurą na korytarzu. Niektóre drzwi były otwarte i idąc, zaglądali w głąb pokoiów porzuconych w rozmaitych stadiach nieładu.

- Nastolatki, sądząc po rozmiarach ciuchów - orzekła Laura, szukając wzrokiem budzika przy którymś łóżku. - Za piętnaście dziesiąta, więc pewnie wszyscy są na lekcjach.

- Co ci się stało w oczy? - zapytał Dante, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

- To mój ojciec idiota - odpowiedziała Laura, pochmurniejąc. - Wrócił do domu nie w sosie. Powiedziała, że potrzebuję pieniędzy na zakupy, a on się wściekł i przywalił mi w twarz. Dante wytrzeszczył oczy.

-Jezu!

- To nic w porównaniu z tym, jak wyglądały na początku. Jak następnego dnia szłam do szkoły, to prawie nic nie widziałam. Moja wychowawczyni zgłosiła to i tak skończyłam w Nebraska House. Mój przyrodni brat James też miał tam być, ale nie można go było znaleźć.

- Może jest tutaj - zasugerował Dante.

Laurze zrobiło się głupio, że sama o tym nie pomyślała.

- Może i tak - uśmiechnęła się. - To idiota, ale raczej dbaliśmy o siebie nawzajem.

Kiedy dotarli do windy i klatki schodowej w połowie długości korytarza, z jednego z pokoiów wybiegła nastolatka z olbrzymią teczką na rysunki i stertą książek o Picassie pod pachą. Ubrana była w taki sam uniform jak Dante i Laura, ale wyglądała na piętnaście lat, a jej granatowa koszulka była pochłapana farbami.

- Cześć - odezwała się grzecznie Laura. - Czy mogłabyś nam pomóc? Jesteśmy trochę zagubieni i...

Dziewczyna niecierpliwie potrząsnęła głową.

- Zakaz rozmów z pomarańczowymi - oznajmiła sucho.

Laura i Dante spojrzeli po sobie zdumieni i ruszyli za nastolatką do windy. Niosła zbyt dużo rzeczy, by móc wcisnąć guzik.

- W górę czy w dół? - zapytał Dante.

- W dół - burknęła dziewczyna po chwili wahania.

Dante nacisnął guzik.

- Dlaczego nie możesz z nami rozmawiać? Chcemy tylko spytać o drogę.

- Przykro mi - wymamrotała nastolatka, patrząc przed siebie. - Nie macie pojęcia, jakie mogę mieć kłopoty za rozmawianie z kimś w pomarańczowej koszulce. Na pewno obserwują was przez kamery. Mac sam was znajdzie, kiedy będzie was potrzebował.

- Kto to jest Mac? - zainteresowała się Laura.

- A pogadasz ze mną, jak zdejmę koszulkę? - zapytał Dante.

Dziewczyna parsknęła śmiechem, ale zaraz spoważniała i spojrzała z niepokojem na diodowy wyświetlacz. Widząc, że winda nie ruszyła jeszcze z parteru, jęknęła smętnie.

- No i trzeba pójść piechotą, będzie szybciej - powiedziała do siebie, rozgniewana. - Nie cierpię tych wind. Zawsze się przez nie spóźniam.

Zanim pognęła po schodach, dziewczyna spojrzała na dwie zaniepokojone dziewięcioletnie twarze.

- To fajne miejsce - rzuciła na odchodnym. - Nie macie się czego bać.

Dante i Laura spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami.

- Cóż - westchnął Dante. - Jedno jest pewne, dziwniej już dziś nie będzie.

Laura uśmiechnęła się bez przekonania.

- Nie bądź taki pewny.

Zgodnie z prawem Murphy'ego winda ruszyła, kiedy tylko obładowana nastolatka zniknęła za zakrętem schodów. Laura i Dante patrzyli na zmieniające się cyfry na wyświetlaczu, słuchając potężniejszego łoskotu zbliżającej się kabiny. Wreszcie drzwi rozsunęły się, odsłaniając kobietę o długich ciemnych włosach, w koronkowej bluzce opinającej ogromny ciężarny brzuch.

- Wskakujcie - powiedziała kobieta. - Zaczniemy waszą wycieczkę od parteru.

- To pani jest Mac? - zapytał Dante, kiedy zamknęły się drzwi.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie, Mac to nasz prezes. Zwykle to on oprowadza naszych kandydatów na rekrutów po kampusie, jednak chwilowo leży w łóżku z wyjątkowo paskudnym zapaleniem oskrzeli. Jest z nim naprawdę niedobrze i żona nie pozwoliła mu pójść do pracy. Jestem Zara Asker, starszy koordynator misji.

- Czy mój brat też tutaj jest? - zapytała Laura, kiedy drzwi windy rozsunęły się na parterze. Wyszli do głównego holu. Był tam kontuar recepcji i wyglądający na zdenerwowanego chłopiec w czerwonej koszulce CHERUBA czekający na ławce przed drzwiami gabinetu.

- Tak, James jest z nami - odpowiedziała Zara. - Jedną sekundkę.

Zara podeszła do chłopca, który wyglądał na mniej więcej siedem lat, i odezwała się belferskim tonem.

- Proszę, proszę, Jake Parker posłany na dywanik do prezesa, co za niespodzianka.

Chłopiec w czerwonej koszulce, słysząc to, poderwał się na równe nogi.

- To nie była moja wina, psze pani. To nie ja zacząłem. Ja tylko...

Zara przerwała mu niecierpliwym gestem.

- Jake, dziś jest twój szczęśliwy dzień. Prezes jest chory, więc możesz wracać do swojej klasy. I na miłość boską, spróbuj choć raz zachowywać się jak człowiek.

Jake pokiwał głową zawstydzony.

- Myślałem, że pani nie będzie aż do urodzin dziecka.

Zara uśmiechnęła się i pogłaskała się po brzuchu.

- Małemu nie spieszy się na ten świat. Przyjechałam na parę godzin, żeby oprowadzić tych pomarańczowych po kampusie. A teraz zmykaj.

Jake czmychnął w głąb korytarza, a Zara odwróciła się do Laury i Dantego.

- Ten mały to koszmar - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Dobrze. Jak rozumiem, zastanawiacie się właśnie, gdzie, do licha, jesteście.

- Czy mogę zobaczyć się z bratem? - zapytała Laura.

- To byłoby... dość skomplikowane - odpowiedziała Za-ra. - Twój brat przechodzi właśnie szkolenie podstawowe. Owszem, możesz go zobaczyć, ale na razie nie wolno ci się z nim kontaktować.

- Co to jest szkolenie podstawowe? - zainteresował się Dante.

- Coś wam powiem - odrzekła Zara. - Zamiast odpowiadać na losowe pytania, jakie akurat przyjdą wam do głowy, może po prostu oprowadzę was po kampusie CHERUBA i dokładnie wyjaśnię, kim jesteśmy i co robimy, co wy na to?

Laura i Dante pokiwali głowami. Zara wyprowadziła ich głównym wejściem na pięciostopniowe schody. Wyspany żwirzem placyk przed frontem budynku zdobiła fontanna. Rzeźba w jej centrum była trójwymiarową wersją dziecka na globie widniejącego na ich koszulkach. Tuż obok czekały trzy małe elektryczne wózki golfowe.

- Słuchajcie, nie zmieszczę się za kierownicą - wyznała Zara. - Czy któreś z was mogłoby poprowadzić? To nie jest trudne.

Dantego nie trzeba było prosić dwa razy. Podekscytowany wskoczył na miejsce kierowcy i rozejrzał się po kabinie. System sterowania był prosty: pojazd miał dźwignię biegów o dwóch położeniach, do jazdy w przód i w tył, oraz dwa pedały, do przyspieszania i hamowania.

- Są całkiem szybkie, ale trzymaj się poniżej dwudziestu kilometrów na godzinę. Kręci się tu sporo dzieci - poprosiła Zara, wciskając się na przednie miejsce dla pasażera.

Laura wskoczyła na tylną kanapę i Dante musnął stopą pedał gazu.

- Gmach, z którego właśnie wyszliśmy, nazywamy głównym budynkiem - powiedziała Zara, kiedy samochodzik okrążył fontannę i statecznie potoczył się żwirowaną alejką. - Wszyscy agenci CHERUBA jadają tam posiłki. To także miejsce, gdzie mieszka wiele osób z naszej kadry, jak również starsi agenci. Poza tym mieszczą się tam biura kierownictwa, archiwum w podziemiach, a na najwyższym piętrze jest nasze centrum kontroli misji.

Laura potoczyła zaciekawionym wzrokiem po dachu budynku.

- Kontroli misji - powtórzyła. - Brzmi jak NASA czy coś takiego.

Zara roześmiała się, ale wtedy ich pojazd podskoczył gwałtownie na wyboju, więc powiedziała Dantemu, żeby trochę zwolnił i za chwilę skręcił w lewo, w główną alejkę biegnącą przez środek kampusu. Potem odwróciła się do Laury.

- Nie posyłamy rakiet w kosmos - powiedziała. - Chodzi o tajne misje w różnych częściach świata. Agenci CHERUBA są prawdziwymi, świetnie wyszkolonymi szpiegami, tyle że w wieku od dziesięciu do siedemnastu lat.

Dante zerknął na twarz Zary, żeby sprawdzić, czy nie robi sobie z nich żartów. Najwyraźniej mówiła poważnie.

-Ale po co? - zapytała Laura. - Jaki jest sens szkolić dzieci na szpiegów?

- Tutaj w prawo - powiedziała Zara do Dantego.

Elektryczny wózek minął boczną ścianę głównego budynku. Za gęstą kępą drzew skręcili i wyjechali prosto w pogodny grudniowy dzień. Wzdłuż alei ciągnęły się korty tenisowe i rozpościerał widok na większą część kampusu, w tym boiska do piłki nożnej i rugby, oraz około tuzina budynków, od baraków magazynowych po średniowieczną kaplicę. Jeszcze dalej skrzyło się jezioro, a za nim widniał gęsty las.

- Dzieci są świetnymi szpiegami, ponieważ akurat ich nikt o to nie podejrzewa - wyjaśniła Zara. - Mac ma taki ulubiony przykład: dorosły mężczyzna puka do drzwi starszej pani w środku nocy. Większość starszych pań byłaby podejrzliwa. Gdyby zapytał, czy może wejść, staruszka by odmówiła. Gdyby twierdził, że jest ranny i potrzebuje pomocy, zapewne wezwałaby karetkę, ale nie wpuściłaby obcego do domu. A teraz wyobraźcie sobie, że starsza pani podchodzi do drzwi, a za nimi stoi zapłakany chłopczyk i chlipie: „Pszepani, mieliśmy wypadek, mój tata chyba umiera, proszę, niech nam pani pomoże”. Staruszka otwiera drzwi, z krzaków wyskakuje facet, wali ją po głowie, wchodzi do domu i kradnie kosztowności. Terrorysty i złodzieje używają takich sztuczek od wieków. CHERUB odwraca strony i wykorzystuje te same sposoby do łapania przestępców. Dante uśmiechnął się.

- Czyli tak naprawdę to dzieci są lepszymi szpiegami niż dorośli.

- Pod wieloma względami tak. Ponieważ ludzie ich nie podejrzewają - powiedziała Zara i wskazała kierunek nad swoim prawym ramieniem. - To nasz zespół basenów pływackich i nurkowych. Lubicie pływać?

Laura i Dante przytaknęli.

- Ale ja nigdy nie chodziłam na basen - poskarżyła się Laura. - Mama się wstydziła, bo była trochę gruba, a James, mój brat, to totalna ofierma. Jak tylko znajdzie się koło basenu, robi się zielony i mówi, że się zaraz porzyga.

Zara pokiwała głową.

- Zgadza się, James musiał nauczyć się pływać, zanim mógł rozpocząć szkolenie podstawowe. Nie brałam w tym udziału, ale z tego, co pamiętam, zaliczył egzamin z pływania dosłownie w ostatniej chwili.

Laurze opadła szczeka.

-James umie pływać?! Toż to cud!

Dante przyhamował przed wielką kałużą obok boiska piłkarskiego, gdzie grupa ślaniających się z wyczerpania nastolatków biegała tam i z powrotem przez błoto, trzymając nad głowami piętnastokilogramowe krążki do sztang. Przez plusk rozgarnianej kołami wody słychać było wrzaski trenerki dopingującej młodzież obelgami.

- Mamy tu surową dyscyplinę - wyjaśniła Zara w odpowiedzi na zaintrygowane spojrzenia dzieci. - Te łotrzyki przemyciły na teren kampusu osiemdziesiąt puszek piwa, urządziły w niedzielę dziką imprezę, a w poniedziałek wszystkim wyszły pozytywne testy na marihuanę. Stosujemy politykę zera tolerancji wobec wszelkich narkotyków.



-No dobrze, ale o co tu właściwie chodzi? - zapytała Laura. - Chcecie nas wciągnąć do tego CHERUBA czy jak?

- Tak - odpowiedziała Zara. - Okoliczności? jakie was tu przywiodły, są nieco nietypowe, ale Jennifer Mitchum wystawiła wam obojgu pozytywną ocenę wstępną i sądzimy, że macie duże szanse na zakwalifikowanie się do szkolenia na agentów CHERUBA.

-Jak to? - zapytał Dante.

-Agenci muszą być wyjątkowi niemal we wszystkim - powiedziała Zara. - Fizycznie wytrzymali, dojrzało emocjonalnie, o ponadprzeciętnej inteligencji. Oboje macie potencjał, ale na pewno także pewne słabe punkty. Jeśli postanowicie wstąpić do CHERUBA...

- To znaczy, że mamy wybór? - przerwała Laura.

- Oczywiście - przytaknęła Zara. - Wiem, że sprowadzono was tutaj bez waszej wiedzy, ale to tylko dlatego, że nasza lokalizacja jest utajniona. Jeżeli nie jesteście zainteresowani karierą szpiega i mieszkaniem w kampusie, wystarczy, że nam powiecie, a odwieziemy was do domu.

- Zaraz, to nie jest jakaś supertajna organizacja? - zdumiał się Dante. - No bo przecież skoro tyle nam powiedzieliście, moglibyśmy wszystkim rozgadać...

-A kto wam uwierzy? - uśmiechnęła się Zara. - Nie macie pojęcia, gdzie jesteście, nie będziecie w stanie niczego dowiedzieć. Tak naprawdę to powinniście uważać z tym rozgadaniem, bo jak zaczniecie wszystkim opowiadać, że próbowała was zwerbować tajna agencja szpiegowska dla nieletnich, ludzie najprawdopodobniej uznają, że pomieszało się wam w głowach. Ale wróćmy do tego, co mówiłam wcześniej. Uważamy, że oboje macie potencjał, by zostać agentami CHERUBA, jednakże zanim osiągnięcie ten etap, musimy wyeliminować wszystkie wasze słabości. Popracujemy nad waszą kondycją fizyczną, zapiszemy na intensywne kursy językowe i samoobrony. Będziecie zdumieni, widząc, jak wiele można osiągnąć dzięki naszym szkoleniom, ale nie będę ukrywała, że nie jest to rzecz dla każdego. Szkolenie na agenta CHERUBA będzie prawdopodobnie najtrudniejszą próbą, jaką podejmiecie kiedykolwiek w życiu. Dante, w następną w lewo, między drzewa, i proszę cię, powoli. Droga do ośrodka szkoleniowego jest wyboista, a ja nie mam ochoty na przedwczesny poród.

- Ma pani jeszcze inne dzieci? - zapytał Dante, wprowadzając pojazd na wąską ścieżkę wijącą się między drzewami.

Zara potrząsnęła głową.

- Joshua będzie pierwszym i po tej ciąży moim ostatnim dzieckiem.

Laura uśmiechnęła się.

- Widzę, że wybraliście już imię.

- Tak - potwierdziła Zara. - Podoba się i Ewartowi, mojemu mężowi, i mnie. Nasz synek był Joshua, odkąd dowiedzieliśmy się, że jest chłopcem.

- Mówiła pani, że mój brat przechodzi szkolenie - powiedziała Laura. - Jak to działa?

- Dante, uważaj! - zawołała Zara, kiedy o wózek załomotały gałęzie przydrożnych zarośli. - Dziesięć na godzinę, nie więcej!

Prowadzenie wózka sprawiało Dantemu frajdę. Przypominało mu, co usłyszał od Tiny, córki Rossa, po tym jak obudził się w środku nocy: że jego życie potoczy się dalej i że kiedyś będzie mógł robić wyjątkowe rzeczy, które uszczęśliwiłyby jego rodziców.

Zara ciągnęła swoje wyjaśnienia:

- Każdy, kto ukończył co najmniej dziesięć lat i osiągnął wymagany poziom kondycji, idzie na szkolenie podstawowe. To coś w rodzaju studniowego obozu szkoleniowego, którego idea polega na tym, by ciała i umysły rekrutów były obciążane do absolutnych granic ich wytrzymałości każdej minuty każdego dnia kursu. Kto zda ten trudny egzamin, otrzymuje szarą koszulkę CHERUBA oraz prawo do wykonywania tajnych misji. Zatrzymaj się gdzieś tutaj,

Dante. Podejźmy bliżej płotu, to może uda się podpatrzeć rekrutów na porannym treningu samoobrony.

Dante zatrzymał elektryczny wózek i pomógł wsiąść Żarze, po czym wraz z Laurą ruszyli za swoją przewodniczką po błotnistym gruncie. Przechodząc przez zarośla, stanęli przed siatkowym ogrodzeniem okalającym ośrodek szkoleniowy.

- Tylko bądźcie cicho - szepnęła Zara i zerknęła na zegarek.

Jakieś trzydzieści metrów za ogrodzeniem stał ogromny facet z najeżonym wąsem i masywnymi mięśniami grającymi pod przyciasną białą koszulką CHERUBA. Przed mężczyzną ćwiczyło sześciu rekrutów, bosych, w jasnoniebieskich koszulkach z numerami na plecach, ledwie czytelnymi spod pokrywającego je błota. Olbrzymi trener ustawił ich w szeregu i kazał powtarzać w kółko skomplikowaną sekwencję ciosów karate.

- To Norman Large, nasz główny instruktor - wyszeptła Zara. - Zdecydowanie nie należy do ulubionych przez dzieci członków kadry, ale trzeba przyznać, że jest piekielnie dobry w przemienianiu was w wysoko wykwalifikowanych agentów.

Minęło kilka długich chwil, nim Laura zdołała rozpoznać swojego dwunastoletniego brata.

Wyglądał całkiem inaczej nie tylko dlatego, że był koszmarnie umorusany. Jasną czuprynę Jamesa ostrzyżono na jedynekę, a twarz szpecił mu brudny opatrunek na policzku. Odkąd widziała go po raz ostatni, stracił sporo szczenięcego sadelka, a szybkość i precyzja, z jaką wyprowadzał kolejne ciosy, naprawdę robiły wrażenie.

- Partnerzy, do sparingu! - ryknął Large.

- Który to twój brat? - zapytał Dante szeptem, kiedy rekruci podzielili się na trzy pary.

- Pośrodku - odpowiedziała Laura. - Naprzeciwko tej małej Azjatki.

- Trochę jakby nie fair - zauważył Dante. - Jest dwa razy większy od niej.

- To Kerry - wtrąciła Zara. - I wiercie mi, nie musicie się o nią martwić.

Zara nie musiała objaśniać swojej uwagi, ponieważ właśnie w tej chwili instruktor Large zadął w gwizdek na rozpoczęcie sparingu i Laura patrzyła ze zgrozą, jak Kerry wprawnie uchyla się przed niezdarnym kopnięciem Jamesa, po czym w błyskawicznej sekwencji ruchów łapie go, odrywa od ziemi, przerzuca sobie przez plecy i ciska twarzą w błoto. Dziewczyna zakończyła pojedynek, wbijając przeciwnikowi piętę między łopatki i bezlitośnie wykręcając wygięte w tył ramię.

Wstrząśnięta Laura podniosła dłoń do ust, kiedy James zawył z bólu i na znak kapitulacji płaśnął dłonią w błoto.

-Jezu, niesamowita jest ta Kerry - ucieszył się Dante. - Z takimi umiejętnościami mogłaby być prowrestlerem.

Zara uśmiechnęła się do chłopca.

- Słyszałam, że lubisz wrestling, a z tym, czego możemy cię nauczyć, kto wie, może pewnego dnia sam zostaniesz zapaśnikiem.

Kiedy sześcioro rekrutów rozpoczęło drugą rundę sparingu, Dante odsunął się od ogrodzenia i wyszczerzył zęby w uśmiechu wielkiej ulgi. Po raz pierwszy od śmierci swoich rodziców poczuł, że choć został sam, to jednak ma przed sobą jakąś przyszłość.

## 12. CZERWIEN

Po wycieczce wokół kampusu Zara zabrała Laurę i Dantego na bardzo późne śniadanie. Stołówka była dość duża, by przy swoich stolikach o klonowych blatach pomieścić do trzystu głodnych. Były osobne bufety i tace przypisane do poszczególnych pór posiłków, ale agenci i kadra nie

zawsze mogli jeść o wyznaczonych godzinach, więc świeżo przyrządzone dania można było zamówić w każdej chwili, w dzień i w nocy.

Po przejażdżce otwartym wózkiem golfowym mieli zmarznięte dłonie. Zara i Laura rozgrzały się zupą i chlebem dopiero co wyjętym z pieca, podczas gdy Dante skusił się na gorącą bagietkę z indykiem i bekonem, którą natychmiast otworzył, by utopić mięso w trzech saszetkach keczupu. Dante był zdecydowany wstąpić do CHERUBA, Laura miała wątpliwości.

- Hmm, wojskowy dryl i naparzanki w błocie - powiedziała powoli, marszcząc nos. - Nie jestem panienką spod znaku miniowy i błyszczyka, ale to szkolenie wyglądało masakry cznie.

- Nie jest lekko - przyznał Dante, kiwając głową. - Ale kiedy twój brat ukończy to szkolenie, będzie twardy jak gład. Nikt mu nie podskoczy. Koło wchodzi do sali i leje, kogo chce.

- James trenuje po to, by potrafił się bronić, Dante - zaznaczyła Zara i uśmiechnęła się. - Laura, nie oczekujemy, że jeszcze dzisiaj podejmiesz ostateczną i nieodwołalną decyzję o zostaniu agentem. Proponuję, żebyś zgodziła się wprowadzić tutaj na próbę, i zobaczymy, jak się zaaklimatyzujesz. Zaczęłabyś od normalnych lekcji oraz kursów sztuk walki i programów kondycyjnych dla początkujących. Nie jesteś pierwszą dziewczyną, która zobaczyła, co tu robimy, i przestraszyła się, ale myślę, że kiedy się trochę otrzaskasz i poznasz ludzi, zaczniesz podchodzić do tego o wiele swobodniej. A jeśli nie zdecydujesz się zostać, znajdziemy ci rodzinę zastępczą gdzieś w okolicy i wciąż będziesz mogła być blisko brata.

- No dobrze, ale jeśli ja zostanę, to co będzie z Holly? - zapytał Dante.

- Holly może dorastać w kampusie - odpowiedziała Zara. - Mamy naprawdę świetny żłobek i będziesz mógł ją widywać codziennie. Kiedy skończy cztery lata, zaczniesz uczyć się języków obcych i podstaw samoobrony. Jako dziesięciolatka sama zadecyduje, czy chce podjąć szkolenie podstawowe i zostać agentką.

- A jeśli ktoś z nas nie przejdzie szkolenia? - zainteresowała się Laura. - Albo jeśli nie przejdzie mój brat?

Zara poprawiła się na krześle i odchrząknęła.

- Czasami trzeba dwóch albo trzech podejść, ale rzadko ktoś zawała szkolenie całkowicie.

Nie możemy przewidzieć wszelkich możliwych sytuacji, ale zdarzało się już, że jedno z rodzeństwa zostawało agentem CHERUBA, podczas gdy drugie trafiało do rodziny zastępczej w pobliżu kampusu. Muszę tu podkreślić, że żaden agent CHERUBA nie jest zmuszany do robienia czegokolwiek wbrew własnej woli. Każdy może zrezygnować z zadania treningowego, przerwać misję albo nawet opuścić kampus i wrócić do normalnego życia, jeżeli taka jest jego wola.

Po tych słowach Laura wyglądała na nieco uspokojoną. Za to Dante był zachwycony tym, że znów będzie mógł mieszkać obok Holly, i podobała mu się myśl, że pewnego dnia ona także zyska sposobność zostania wysokiej klasy szpiegiem, nawet jeśli trzeba było poczekać na to dziewięć długich lat.

- Czy mogę przyjąć, że oboje chcecie wykonać następny krok i poddać się badaniom lekarskim i testom wydolności? - zapytała Zara.

- No... chyba tak - bąknęła Laura.

Dante miał usta wypchane jedzeniem, ale energicznie pokiwał głową.

Zara dała nowym rekrutom pół godziny, by jedzenie uleżało się im w żołądkach, po czym zaprowadziła ich do centrum medycznego, gdzie kazano im rozebrać się do bielizny. Siwowłosy niemiecki lekarz o nazwisku Kessler zrobił im zdjęcia rentgenowskie całego ciała, potem użębienia, i wreszcie pobrał próbki krwi.

Doktor Kessler zapewnił ich, że biopsja mięśnia nie będzie bardzo bolała i nazwał oboje mazgajami, po tym jak pchnięta sprężyną rurka przebiła im skórę, by zassać niewielką grudkę z wnętrza uda.

- Przebadamy tkankę pod mikroskopem - oznajmił. - Wasze programy treningowe będą skrojone na miarę możliwości waszych organizmów. Dowiemy się, ile mogą znieść wasze ciała, i nie będziemy obciążać was nadmiernie, ale to znaczy, że będziemy też wiedzieć, kiedy się oszczędzacie.

Kessler zaprowadził ich do sali wyposażonej w dwie bieżnie, jak również mnóstwo nowoczesnych przyrządów do badania wzroku, odruchów i koordynacji. Rozpoczęła się nieoficjalna rywalizacja. Walka była wyrównana: Dante był silniejszy, ale Laura okazała się lepsza w zadaniach zręcznościowych, takich jak trzymanie szklanki wypełnionej po brzegi wodą podczas balansowania na jednej nodze albo trafienie do kosza jak największą liczbą piłek w ciągu jednej minuty.

Ostatni test był najbardziej wyczerpujący: trzydzieści minut truchtu na bieżni w uprząży monitora pracy serca i z maskami spirometru na twarzy. Maszyny zaprogramowano tak, by zmieniały szybkość i stromiznę w zależności od stopnia ich zmęczenia. Kessler powiedział im, że muszą przełamać próg bólu i że wolno im nacisnąć przycisk stop dopiero, kiedy znajdą się na granicy utraty przytomności.

Kiedy silnik bieżni nareszcie umilkł, Laura poczuła ogromną ulgę. Złapała się pod boki, walcząc z kolką i zaciskając oczy swędzące od potu zalewającego jej twarz. Na jej pomarańczowej koszulce wyrosły wielkie ciemne plamy. Dante wyglądał o wiele gorzej. Zielony na twarzy; zatoczył się z bieżni pod ścianę, by zwrócić indyka i bekon do wiadra pospiesznie podsunętego mu przez pielęgniarkę.

Dano im dwadzieścia minut odpoczynku, podczas których dentysta dłużył i skrobał im w ustach. Laura miała zęby w doskonałym stanie, ale Dante dowiedział się, że będzie musiał wrócić na założenie plomb i ewentualne usunięcie krzywego zęba trzonowego.

Po wizycie u dentysty wypuszczono ich do poczekalni, gdzie Zara tkwiła przez cały czas badania, z opuchniętymi kostkami wspartymi na stoliku do kawy.

- Dwa mniej więcej idealne okazy - oświadczył doktor Kessler, wyłoniwszy się z gabinetu dwadzieścia minut później. - Dantemu przydałyby się soczewki kontaktowe do czytania, a Laura ma lekką nadwagę i raczej słabą kondycję, ale do szkolenia zostało jej co najmniej dziesięć miesięcy, mamy więc mnóstwo czasu na załatwienie tego problemu.

Zara wyszukała wolną klasę w głównym budynku, by przeprowadzić sprawdzian szkolny. Na półtoragodzinny test składały się zadania z matematyki, wiedzy ogólnej, gramatyki i ortografii, łamigłówki sprawdzające iloraz inteligencji, zaś w ostatniej części każde z nich musiało napisać krótkie wypracowanie o tym, jakie według siebie miałby najmocniejsze i najsłabsze strony jako agent CHERUBA. Zadania były trudne, a rozwiązywania ich bynajmniej nie ułatwiał fakt, że oboje wciąż byli zestresowani i wyczerpani po badaniach wysiłkowych.

Zara zostawiła Dantego i Laurę w stołówce, a sama poszła sprawdzić testy. Było tuż po trzeciej i juniorzy w czerwonych koszulkach, wszyscy dziesięcioletni lub młodszy, właśnie skończyli lekcje. Niektórzy szli na rozmaite zajęcia i kursy, ale dwadzieścioro lub trzydzieścioro zeszło do stołówki, by poplotkować z kolegami, zjadając grzanki z masłem i czekoladowe batony. Dante czuł się obco w tłumie znających się nawzajem dzieci. Juniorzy gawędzili, dokuczali sobie, zaglądali przez ramię, pożyczali gumki i odpisywali prace domowe, napełniając stołówkę wesołym gwarem. Nikt jednak nie odzywał się do Dantego i Laury ubranych w odstrasające pomarańczowe koszulki. Zresztą myśl o aklimatyzowaniu się w nowym domu i zaprzyjaźnianiu z nowymi ludźmi nadal budziła w Dantem mroczny lęk.

- Jak myślisz, jak poszedł ci sprawdzian? - zapytała Laura po cichu, nie podnosząc wzroku.

- Chyba nieźle. - Dante wzruszył ramionami. - Tylko to głupie wypracowanie, ale nienawidzę, kiedy trzeba się spowiadać, co jest w tobie dobre, a co złe.

- Wiem. - Laura kiwnęła głową, ale zanim skończyła mówić, tuż przed oczami śmignęła jej kula z ugniecionych skórek od grzanek.

Wirujący pocisk uderzył w stół pomiędzy nimi, odbił się w górę i rozprysnął, obsypując Dantego okruchami. Kilka stolików dalej huknęła chóralna salwa śmiechu. Siedziała tam grupa dzieci od sześciu do ośmiu lat, a ich mowa ciała wskazywała wyraźnie, kto był odpowiedzialny za ten wybryk: Jake Parker, chłopak, którego widzieli rano czekającego przed gabinetem prezesa.

Dante wystrzelił z krzesła jak sprężyna.

- Kurde, karle jeden! - ryknął. - Mam tam pójść i wbić ci ten zakuty łeb w ścianę? Jake wstał i marynarskim krokiem ruszył w stronę Dantego, mierząc go pogardliwym spojrzeniem.

- Może i jesteś większy, grubasie - uśmiechnął się drwiąco. - Za to ja mam czarny pas w judo i karate, dlatego dla twojego własnego dobra... zamknij japę.

Jeden z kolegów Jake'a podszedł do niego od tyłu i pociągnął z powrotem w stronę stolika.

- Jake, rozmawiasz z oranżem - przypomniał koledze. - Dostaniesz karne rundki.

Jake uświadomił sobie, że jego kolega ma rację, i z ociąganiem zawrócił.

- Ciota! - parsknął Dante i pokazał Jake'owi środkowy palec.

To było więcej, niż Jake był w stanie wytrzymać. Pochylił się w przód, raptownym skrzętem tułowia napiął sprężynę mięśni i wystrzelił furiackim kopnięciem. Zachrobotwały stoliki i krzesła, kiedy Dante odskoczył w tył. Zdołał uniknąć trafienia, ale Jake wciąż nacierał, w pozycji bojowej, z ręką gotową do zadania nokautującego ciosu. Był wprawdzie o całą głowę niższy, ale poruszał się z szybkością błyskawicy i Dante zaczął podejrzewać, że ugryzł więcej, niż jest w stanie przełknąć.

Jednak zanim Jake zdążył wejść w kontakt z przeciwnikiem, starsza dziewczyna o ciemnych włosach złapała go w pasie, poderwała w górę za spodnie od dresu i rzuciła na blat stolika. Dante wyczuł sposobność i zamachnął się na Jake'a, kiedy ten próbował zeskoczyć na podłogę, ale pięść przecięła tylko powietrze, bo Laura ciągnęła go już w drugą stronę.

- Żadnych rozrób - powiedziała nerwowo, wlokąc Dantego z powrotem do stolika. - Wracaj tu i siadaj.

Pomiędzy Dantem i Jakiem wyrósł mur czerwonych koszulek, a zza kontuaru wychylił się jeden z kucharzy.

- Hej wy tam, uspokoić się!

Jake krzyknął z bólu, kiedy dziewczyna, która rzuciła go na stół, nazywając go kretynem, potraktowała jego ramię brutalnym uderzeniem pięści.

Nagle, równie błyskawicznie, jak zaczęła się cała awantura, wszyscy rozpierchli się z powrotem do swoich stolików. Do stołówki wkroczyła Zara. Wyczuwała, że coś się wydarzyło, ale widziała tylko dwadzieścia młodych twarzy z minami: „Ja nic nie wiem”.

Jake jęknął, kiedy starsza dziewczyna pchnęła go na jego krzesło.

- Bethany - powiedziała Zara twardym tonem. - Co ja ci mówiłam o biciu się z bratem?

- Nic się nie stało - uśmiechnęła się dziewczyna. - Tylko się wygłupialiśmy, prawda, Jake?

Jake ścisnął dłońią obolałe ramię i miał ponurą minę, ale przytaknął skinieniem głowy.

Siadając przy swoim stoliku, Dante zauważył, że Zara trzyma dwie czerwone koszulki CHERUBA w foliowych opakowaniach.

- Skoro tak rozpira cię energia, Bethany, to może spożytkujesz ją, oprowadzając naszych nowych rekrutów po bloku juniorów? - powiedziała Zara. - Znajdź Laurze i Dantemu jakieś łóżka i pomóż się zdomowić. Będą potrzebowali ubrań, ręczników oraz, jak sądzę, kąpieli, po wszystkim, co dzisiaj przeszli.

Kiedy Zara wręczyła im koszulki, Bethany poklepała Laurę po ramieniu.

- Witamy w CHERUBIE - powiedziała. - W moim pokoju jest wolne miejsce, więc gdybyś chciała zamieszkać ze mną...

Kilku zaciekawionych chłopców podeszło, by się przywitać. Zara pomachała nowym rekrutom na do widzenia i Bethany wyprowadziła ich na korytarz.

- Wszystkie czerwone koszulki mieszkają w bloku juniorów - wyjaśniła, nie zatrzymując się. - Jest całkiem spoko. Mamy własne klasy i salę z kinem domowym, gdzie oglądamy różne filmy, a jak lubicie zwierzęta, to jest też minizoo ze świnkami morskimi, myszami, żabami i takimi tam.

- Przepraszam za to, co się stało z twoim bratem - powiedział Dante. - To była tylko kulka z chleba. Powinienem po prostu go olać.

- Najlepiej nie wdawać się w zbyt wiele bójek, dopóki nie zaliczycie paru miesięcy kursów samoobrony - ostrzegła Bethany. - Ale nie musisz mnie za nic przepraszać. Jake to totalny palant.

### 13. KAWA

Maj 2008

Dusikotek przeszedł już na gorszą stronę czterdziestki wraz ze swoją białą brodą, galerią tatuaży i upodobaniem do wielkich srebrnych pierścieni. Prezes londyńskich Bandytów wyglądał nie na miejscu w podziemnej części Star-bucksa niedaleko stacji Kings Cross.

- Kawa kosztuje tu więcej niż duży browar - poskarżył się, zerkając na wysłużone seiko na nadgarstku, podczas gdy dwudziestoletni mężczyzna o wschodniej urodzie sadowił się naprzeciwko. - Dwadzieścia minut już tu siedzę. Lepiej, żeby było warto.

Śniady młodzieniec w sportowych butach i koszulce bez rękawów stuknął w blat malinową mocha frappuccino i upuścił plecak na podłogę między swoimi stopami.

- Linia Północna ssie jak zwykle - skrzywił się. - Przepraszam za spóźnienie, ale myślę, że będzie pan zadowolony.

Sąsiednie stoliki były usiane okruchami i pustymi kubkami, ale lunchowy szczyt już minął i najbliższą siedzącą osobą był typ w garniturze i krawacie piszący coś na laptopie w boksie pięć metrów dalej.

Dusikotek przysunął palcem kartkę, którą młodzieniec położył na stole, i przeczytał po cichu: 70 karabinów automatycznych AK47, 12 skrzynek po 24 ręcznych granatów szwajcarskiej armii, 40 bezmarkowych rewolwerów 9 mm, 20 pistoletów maszynowych H&K, 18 000 szt. amunicji 7,62x39 mm (M43), 5000 szt. amunicji 9x19 mm. Cena: 632 000 funtów z dostawą pod wskazany adres w Wielkiej Brytanii.

-Zaczynacie trzecią wojnę światową? - zapytał biker konfidencjonalnym szeptem, pochylając się nad stołem. - Bo to jest mnóstwo szajsu, uważasz? Moi compadres w Devonie handlują głównie z detalistami, wiesz, dilerami i bramkarzami, którzy lubią nosić w gaciach kawałek stali. Już dziesięć ganów to dla nich duże zamówienie.

Młody wyglądał na rozczarowanego.

- Możecie to załatwić czy nie? Dziesięć procent zaliczki możemy dostarczyć wam do siedziby klubu, jak tylko będziecie gotowi.

Dusikotek był rozdarty, chciałby zgodzić się od razu i zaganać kontrakt, ale nie miał pojęcia, kim jest jego śnia-doskóry rozmówca, zaś w przestępczym półświatku tak już było, że im więcej ktoś miał pieniędzy, tym gorzej kończyli ludzie, którzy mu podpadli.

- Muszę pogadać ze swoimi - stęknął Dusikotek. - Nie musicie się martwić. Nie zaczynajcie szukać innych dostawców, ale jestem poważnym biznesmenem i nie będę składał obietnic, których mógłbym nie dotrzymać.

- Oferujemy wam dużo pieniędzy. W Stanach można kupić te rzeczy za jedną dziesiątą tej ceny.

Dusikotek strzelił palcami, błyskając rozmówcy w oczy srebrnymi pierścieniami.

- Zgadza się, większość tego gówna kupicie w pierwszym lepszym sklepie z bronią w Stanach - zaśmiał się brodac. - Lepiej! Na byle afrykańskim zadupiu byle uliczny handlarz załatwi wam kałacha za mniej, niż właśnie wybuliłem za kawę, ale jakbyś pan nie zauważył, ta nasza mała wysepka ma najostrzejszą kontrolę broni na świecie, a sto karabinów plus dwadzieścia trzy tysiące naboji to nie jest coś, co można przemycić na prom pod kufajką. Śniady zamilkł, jakby rozważał w myślach to, co usłyszał. Dzień był upalny i mężczyzna pochłonął jedną trzecią swojego frappuccino trzema długimi pociągnięciami przez słomkę.

- Szanuję to, że nie chcecie składać pospiesznych obietnic - powiedział wreszcie. - Kiedy da mi pan znać?

- Wszystko załatwiamy twarzą w twarz - powiedział Dusikotek. - Nie byłoby mądrze gadać o takich sprawach przez komórkę, ale ustawię spotkanie i odezwę się w ciągu trzech, najwyżej pięciu dni.

- W porządku. - Młodzieniec podniósł się do wyjścia.

- A, czekaj pan - zatrzymał go brodac. - Mam nadzieję, że to nie jest jakieś terrorystyczne gównno, co?

Odpowiedzią był wybuch śmiechu.

- To birminghamskie gównno uliczne - wyjaśnił młodzieniec. - W mojej dzielnicy jest mnóstwo pieniędzy, drągów i reketierów. Szykuje się wojna, a kiedy wybuchnie, ja będę na miejscu z bronią i amunicją na sprzedaż dla każdego sukinsyna, jaki będzie chciał ją kupić.

Dusikotek wyszczerzył zęby.

- Patrzcie, patrzcie, swój człowiek - ucieszył się. - Nie ma to, jak sprzedać gany kebabom, a potem usiąść i patrzeć, jak świstają kule.

Śniademu stężała twarz. '

- Bez obrazy. - Dusikotek uniósł dłonie w pojednawczym geście. - Na moim podwórku tak się gada na brązowych, nic nie poradzę.

- Nie obrażam się - skłamał kupiec. - Nazywajcie mnie, jak sobie chcecie, tylko dostarczcie mi moje karabiny.

Dusikotek żałował, że nie wziął ze sobą kalkulatora ani że w dzieciństwie nie uważał na matematyce na tyle, by móc teraz policzyć, ile wyniesie jego piętnastoprocentowa działka z sześciuset trzydziestu dwóch tysięcy funtów. Coś mu jednak mówiło, że to fura pieniędzy.

Młody człowiek wessał resztę frappuccino i cisnąwszy kubek do kosza, wyszedł na rozświetloną ulicę. Wykorzystując okazję, zanurkował do czarnej taksówki czekającej na czerwonym świetle.

- Basen przy Hornsey Road - rzucił kierowcy.

Był spory ruch i jazda nieklimatyzowaną taksówką trwała dwadzieścia lepkich minut.

- Sam bym się chętnie przekąpał w ten cholerny upał - westchnął kierowca, wypisując rachunek, gdy zajechali na parking przed basenem.

Ale kiedy tylko taksówka zniknęła z pola widzenia, mężczyzna przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do komisariatu Hornsey, dokładnie naprzeciwko basenu.

Dyżurny sierżant wcisnął brzęczyk, wpuszczając przybysza za kontuar. Młodzieniec udał się do zastawionego biurkami pokoju na trzecim piętrze, gdzie mieściła się siedziba Krajowej Grupy Operacyjnej do spraw Gangów Motocyklowych. Pod tą szumną nazwą kryła się raczej skromna jednostka mająca jedenastu funkcjonariuszy, dwa samochody i zerowy budżet na nadgodziny. Kiedy mężczyzna przekroczył próg biura, wszyscy spojrzeli w jego stronę.

- Chyba łyknęli - uśmiechnął się. - Ich ochrona to żart. Nie oklepali mnie na podsłuch ani nic.

- Piękna robota, Dżordżuniu - odpowiedziała policjantka, a kilkoro jej kolegów uczcilo sukces kolegi waleniem w biurka i wiwatami.

- Ale nazwał mnie kebabem. - George wyszczerzył zęby w złym uśmiechu. - Kiedy zgarniemy pajaca, chyba przydarzy mu się mały wypadek z taserem.

Główny inspektor Ross Johnson dowodził KGOGM od dziewięciu miesięcy.

-Jak ci poszło, George? - zapytał, wytoczywszy się ze swojego gabinetu.

- Nie najgorzej, szefie - odpowiedział młodzieniec, stając przed swoim przełożonym i opierając łokieć na beżowej ścianie działowej. - Trochę się zląkł, kiedy zobaczył rozmiar zamówienia. Mam nadzieję, że nie przedobrzyliśmy.

Ross wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Uściskałbym cię, gdybyś nie był tak spocony. Nawet jeśli Fiihrer nie będzie w stanie dostarczyć takiej ilości broni, i tak spróbuje nam sprzedać tyle, ile tylko da radę ściągnąć. Obciążę się dostaw do granic możliwości i nasz chłopak za linią frontu zostanie wreszcie wciągnięty do pomocy.

George uśmiechnął się szeroko.

- Albo to, albo umoczymy tyłki, stracimy pół miliona w gotówce, nasz tajny agent zginie, a my będziemy kierować ruchem do samej emerytury.

## 14. POWRÓT

Laura Onions - teraz znana jako Laura Adams - wyszła z windy na ósmym piętrze głównego budynku kampusu ubrana w czarną koszulkę CHERUBA. Bethany Parker, jej najlepsza przyjaciółka, szła nieco z tyłu, w granatowej koszulce, na którą zasłużyła w poprzednim roku, podczas ośmiomiesięcznej misji w Brazylii.

- Przeklęta matma - narzekała Bethany. - Powinnyśmy puścić w obieg petycję dla wprowadzenia nowego przepisu: żadnej pracy domowej w urodziny.

- Lepsze byłoby: żadnej pracy domowej w ogóle -uśmiechnęła się Laura.

Dziewczęta stanęły przed drzwiami swoich sąsiadujących ze sobą pokoiów.

- I darmowe lody karmelowe w każdej klasie.

- Hura! - zgodziła się Bethany. - I wszystkie lekcje prowadzone przez sobowtórów Rafaela Nadała. Oczywiście bez koszulek.

- Podoba mi się twój sposób rozumowania - zaśmiała się Laura.

Bethany otworzyła drzwi i odskoczyła w tył z okrzykiem grozy, kiedy wnętrzem jej pokoju wstrząsnął potężny huk. Jej przerażoną twarz rozświetlił niebieski błysk, po czym w pokoju zaskwierczało piekło pomarańczowych i zielonych iskier, coś przeraźliwie zagwizdało, a na koniec rozległ się ogłuszający grzmot, od którego zadrzały ściany.

Podczas gdy Bethany stała osłupiała, osłaniając uszy dłońmi, owionęła ją szara chmura, która rozpełzła się po korytarzu. Rozdźwięczały się dzwonki wykrywaczy dymu.

- Co jest? - zachłysnęła się Laura.



Z pokoju naprzeciwko wyskoczył Jake i jego kolega Kevin Sumner, którzy przez uchylone drzwi filmowali pokaz fajerwerków telefonem komórkowym.

- Trafiona zatopiona! - zawołał Jake triumfalnie.

- Ty dumny palancie! - odkrzyknęła Bethany, gorączkowo odganiając dym od twarzy. -

Spójrz na mój pokój! Wszystko będzie śmierdziało dymem! A gdyby wybuchł pożar?!

-Od paru fajerwerków w puszcze po ciastkach? -Jake udał zdumienie. - Zresztą mieliśmy przygotowane gaśnice.

Bethany skoczyła w szary opar, by otworzyć drzwi balkonowe i wywietrzyć pokój, a wtedy para rąk złapała ją w pasie, po raz drugi napędzając strachu. Ktoś przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w szyję.

-Nie podttbało ci się? - Andy Lagan, czternastoletni chłopak Bethany, szczyrzył zęby w radosnym uśmiechu. - Jeśli myślisz, że na korytarzu było głośno, to szkoda, że cię nie było tutaj. Jeszcze dzwoni mi w uszach.

-I dobrze ci tak! - krzyknęła z furią Bethany, podczas gdy Andy ściągał z głowy gogle. -

Przynajmniej wiedziałeś, czego się spodziewać.

Ale zdobyła się na uśmiech, kiedy drzwi jej łazienki otworzyły się, a ze środka zaczęli wysypywać się ludzie śpiewający Happy birthday. Przyszli wszyscy jej znajomi, w tym Rat, chłopak Laury, wiele dziewczyn i kilkoro starszych agentów.

Szesnastoletni brat Laury James Adams stał pośrodku kręgu gości, trzymając tort z płonącymi świeczkami i napisem „Wszystkiego najlepszego w dniu czternastych urodzin” wykaligrafowaną czekoladową polewą na wierzchu.

- Czerwona jak cegła, śmierdząca jak zad! - zaśpiewał fałszywie Jake, wchodząc do pokoju za Laurą. Andy zadzwonił do recepcji na dole i płacząc nerwowo słowa, wytłumaczył, że alarm był fałszywy i budynek na pewno się nie pali.

- Nienawidzę was, podłe szuje - zachichotała Bethany.

Wetknęła dwa palce w tort i' przejechała Jamesowi po

policzku, zostawiając na nim brązową smugę. Potem oblizała palce, oznajmiła wszystkim, że tort jest świetny, i zabrała się do ściskania koleżanek.

- Dlaczego ja nic nie wiedziałam? - poskarżyła się Laura.

- Jasne, z twoim kilometrowym ozorem - zakpił Jake.

James postawił tort na biurku obok sterty widelców

i papierowych talerzyków. Bethany rozpakowała już kilka prezentów przy śniadaniu, ale teraz na jej łóżku piętrzył się stos nowych.

Uszczęśliwiona objęła jedną ręką Andy'ego, drugą brata i uśmiechnęła się do zdjęcia.

- Mój dumny brat i mój dumny chłopak - oznajmiła ze

śmiechem. - Ale co ja poradzę, że kocham ich obu?

Osiem pięter niżej trzynastoletni Dante Welsh - dawniej Dante Scott - siedział w gabinecie Zary Asker. Dwa lata wcześniej Zara awansowała na prezesa CHERUBA, a obecnie była w piątym miesiącu ciąży. Jej biurko oraz parapet okienny za jej plecami zdobiły fotografie czteroletniego Joshuy i dwuletniej Tiffany.

-Jakie to uczucie - wrócić po takim czasie? - zapytała Zara.

- Dziwne - przyznał Dante, mówiąc z lekkim akcentem z Belfastu i przeczesując dłonią swoje rude, długie do ramion włosy.

- Przejrzałam statystyki - powiedziała Zara, odchodząc od biurka w stronę sekretarzyka przy kominku po przeciwnej stronie gabinetu. - Trzydzieści cztery miesiące to druga tak długa misja w naszej historii i zdecydowanie najdłuższa ze wszystkich misji agentów będących obecnie na służbie.

- Miałem pojechać tylko na sześć tygodni - uśmiechnął się Dante. - Poznałem trochę zacnych ludzi, ale nie byłoby mi przykro, gdybym już nigdy w życiu miał nie zobaczyć osiedla w Belfaście.

- A jak tam twój kciuk? - zapytała Zara.

Dante wyciągnął przed siebie lewy kciuk, pokazując paskudną odbarwioną bliznę okoloną rowkami śladów po szwach. - Czucie wróciło mi już prawie całkowicie. Chirurg spisał się kapitalnie, przyszywając mi go z powrotem.

- Twój kontroler Eimer mówił, że ciężko pracowałeś nad utrzymaniem kondycji.

- No tak. - Dante uśmiechnął się skromnie. - Nie chciałem, żeby po powrocie do kampusu wbił we mnie kły pan Large, więc kupiłem trochę ciężarów i ławkę do wyciskania. Poza tym biegałem, kiedy tylko było można, a nawet urządziliśmy sobie z Eimerem kilka sparingów, żebym nie zardzewiał w sztukach walki.

- Świetnie - uśmiechnęła się Zara. - To doprawdy imponujące, że utrzymałeś dyscyplinę treningową podczas tak długiej misji, ale pana Large'a nie musiałeś się bać. Nie ma go już z nami.

- Chwalcie Pana! - zawołał Dante, wznosząc oczy ku niebu. - Miło w końcu zobaczyć plecy tej larwy. Ale kurczę, nie mogę uwierzyć, że akurat kiedy przyjeżdżam do domu po prawie trzech latach, Holly wyjechała sobie na narty do Nowej Zelandii. Przecież wiedziała, że wracam. Co prawda co tydzień gadaliśmy sobie przez net, a w zeszłe lato byliśmy razem przez dwa tygodnie w ośrodku letnim, ale naprawdę nie mogłem się doczekać, kiedy znowu będziemy razem.

- Twoja siostra to bystra, mała spryciara - powiedziała Zara. - Mój najstarszy właśnie zaczął szkołę w kampusie. Holly jest tylko ociupinkę starsza, ale Joshua mówi, że rozstawia wszystkich po kątach.

- To twoje dzieci mają zostać agentami? - zdumiał się Dante. - Myślałem, że to zabronione.

- Trzy miesiące temu minister wywiadu zatwierdził zmianę regulaminu. Zawsze brakowało nam rekrutów, więc przeprowadziliśmy nieformalną ankietę i okazało się, że zaskakująco dużo byłych cherubinów z ochotą pozwoliłoby swoim dzieciom na wstąpienie do CHERUBA.

- Czyli pewnego dnia także moje dzieci mogą zostać agentami - zaśmiał się Dante. t  
Zara skinęła głową.

- Czemu nie, tyle że na początek przyjmujemy wyłącznie dzieci, których dwoje rodziców pracuje w kampusie albo jeśli dwoje rodziców było agentami CHERUBA.

- Cóż, w kampusie jest pełno superlasek, z którymi mógłbym się rozmnożyć. - Dante wyszczerzył zęby i dwukrotnie poruszył brwiami.

- Nie przez następnych kilka lat, mam nadzieję - wycedziła Zara, posyłając cherubinowi znaczące spojrzenie, ale nie przestając się uśmiechać. - A propos regulaminów, wiesz chyba, że choć spisałeś się wybitnie na aż trzyletniej misji, nie mogę przyznać ci czarnej koszulki? Przysługuje za wybitne osiągnięcia na więcej niż jednym wyjeździe.

Dante skinął głową.

- Nieważne. Mam dopiero trzynaście lat. Jeszcze mam czas.

- Uważam, że to głupia zasada - wyznała Zara. - Zmieniłabym ją, ale musiałabym z tym latać do komisji etyki, a potem do ministerstwa, a szczerze mówiąc, mam mnó-

stwo ważniejszych spraw na głowie. Jednakże w twoim wypadku nakłoniłam komisję do zatwierdzenia dodatkowej misji, aby dać ci szansę na wykazanie się. Nie wiem, czy czujesz się na siłach i oczywiście, możesz odmówić, ale do rzeczy: owa nader trudna misja dotyczy mojego zielonego mazaka, który zaginął gdzieś w tym gabinecie. Twoim zadaniem jest odnalezienie go i

bezpieczne dostarczenie do mojego kubka na długopisy. Zdaje się, że ostatni raz widziano go pod krzesłem, na którym właśnie siedzisz.

Dante spojrział na dywan i podniósł flamaster spomiędzy chromowanych nóg swojego krzesła.

- To ten?

- Wybitnie przeprowadzona operacja, jedna z najsprawniejszych, jakie widziałam - zachwyciła się Zara, po czym sięgnęła do szafki i wyjęła stamtąd nowiutką koszulkę CHERUBA.  
- Moje gratulacje, zasłużyłeś na czarną koszulkę.

Nieco oszołomiony Dante poczuł, że wilgotnieją mu oczy.

- Nie ma pani pojęcia, jak strasznie się czułem, kiedy trafiłem tutaj prawie pięć lat temu - powiedział poważnym tonem. - Poznawanie nowych ludzi i cała ta jazda z przygotowaniem do podstawówki pomogła mi wziąć się w garść. Bez CHERUBA nie wiem, kim bym dziś był ani gdzie bym skończył.

- Mam nadzieję, że nie jesteś za stary na przytulanki - powiedziała Zara.

Dante wstał, a prezeska otoczyła go ramionami i przycisnęła do siebie.

- Gdyby twoi rodzice dziś żyli, byłiby z ciebie piekielnie dumni, Dante. A teraz zmykaj już na górę do swoich kumpli.

Dante opuścił gabinet Zary gotów śpiewać z radości, ale przygaśł, kiedy zarzuciwszy wielki plecak na ramię, pociągnął swoją walizkę na kółkach w stronę windy. Chociaż miał pokój na ósmym piętrze, od czasu ukończenia szkolenia podstawowego spędził tam mniej niż dwa miesiące. Dręczyło go poczucie, że to East Belfast jest jego prawdziwym domem, a ludzie, których tam poznał podczas misji, jego prawdziwymi przyjaciółmi. Poznani przed trzema laty koledzy z kampusu prawdopodobnie nawet już o nim nie pamiętali.

Kiedy wysiadł z windy, pierwszą rzeczą, jaką poczuł, była tajemnicza woń prochu wypełniająca korytarz ósmego piętra. Poprzedniego dnia Zara posłała do jego pokoju sprzątaczy, by odkurzyli i przygotowali świeżą pościel. Na łóżku leżały nowe komplety uniformu CHERUBA, a na podłodze stały nowe glany.

Między dziesiątym a trzynastym rokiem życia człowiek bardzo się zmienia. Poskładane w szafie stare cywilne ciuchy okazały się za małe, a Dante poczuł mieszaną rozczulenia i zażenowania na widok plakatów wrestlingowych na ścianach oraz figurek zapaśników pousadzanych na półce nad kanapą.

Nierozpakowana czarna koszulka tkwiła upchnięta w przedniej kieszeni bluzy. Rozebrawszy się do pasa, Dante nie oparł się pokusie i spędził kilka chwil, pozując przed lustrem na drzwiach swojej szafy. Podobał się sobie z jaskrawomarchewkowymi włosami i muskularnym torsem, chociaż wolałby, żeby jego skóra nie była aż tak blada, a na widok nabrzmiałego pryszcza na łopatkę syknął z przerażeniem.

- Idę po odkurzacz! - zawołał dziewczęcy głos na korytarzu. - Będzie dobrze, byleby nikt nie wdeptał tego w wykładzinę!

Ten głos przeniósł Dantego do jego pierwszych dni w kampusie. Szybko otworzył drzwi pokoju i zobaczył przechodzącą dziewczynę, która wrzasnęła ze strachu.

- O Boże! Myślałam, że zobaczyłam ducha! - wykrztusiła Laura, przyciskając obie dłonie do serca, po czym jej twarz rozjaśnił radosny uśmiech. - Dante! Gdzieś się po-dziewał, do licha?

- Tu i tam. - Dante wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Różnie się życie plotło, wiesz, jak to jest...

- Mówisz jak Irlandczyk.

- Wiesz, jak człowiek siedzi gdzieś przez trzy lata, to chcąc nie chcąc, łapie trochę akcentu - wyjaśnił Dante.

- A ty pachniesz o wiele lepiej, niż kiedy cię ostatnio widziałem.

- Kiedy to było?
- W dniu, który spędziłaś na przekopywaniu rowów melioracyjnych, pamiętasz? Czyściłaś je za karę, po tym jak przydzwoniłaś Large'owi szpadlem. Byłaś cała w błocie i pachniałaś mniej więcej jak tylna część krowy.
- To było okropne - jęknęła Laura. - Niczym nie mogłam zmyć tego smrodu z włosów.
- Miałaś wkrótce wznowić szkolenie podstawowe, a mnie wysłali do Belfastu, zanim je ukończyłaś. Sądząc po twojej czarnej koszulce i ślicznym uśmiechu, od tamtej pory radzisz sobie całkiem dobrze.

Laurze zrobiło się miło.

- Och, daj spokój, czarusiu jeden - machnęła ręką.
- Wyglądasz, jakbyś dużo ćwiczyła. Wciąż chcesz zostać prowrestlerem?

Dante roześmiał się.

- To było dawno temu. Słyszałem nawet plotkę, że te walki to wyreżyserowana ścierna.
- No co ty, naprawdę?! - Laura wytrzeszczyła oczy w udanym zdumieniu, zachichotała, a potem złapała Dantego za nadgarstek i pociągnęła za sobą. - Chodź, mamy imprezkę u Bethany. To jej urodziny, przywitasz się ze wszystkimi.

Laura zapomniała o odkurzaczu i Dante wkroczył do zatłoczonego pokoju Bethany z nagim torsem i nowiutką czarną koszulką w dłoni.

- Patrzcie, kto przyszedł - zawołała entuzjastycznie Laura.

Niektórzy goście Bethany, na przykład Andy i Rat, wstąpili do CHERUBA już po wyjeździe Dantego do Belfastu i nie mieli pojęcia, kim jest; inni wprawdzie znali go, ale po trzech latach jego nieobecności w kampusie trudno im było przypisać imię do twarzy.

- Ouuuu! Marchewkowe ciacho na moje urodziny. - Bethany podeszła do Dantego, uśmiechając się zalotnie.

- Rozbierzesz się dla mnie, adonisie?

-Ja... ja właśnie się przebierałem - powiedział Dante.

- Hej, to nie tak, Laura wzięła mnie przez zaskoczenie. -Jak dotąd to mój najlepszy prezent - oznajmiła Bethany z zachwytem.

Nieco dalej, przy drzwiach balkonu, James stanął za An-dym i Ratem i wsunął twarz między ich głowy.

- Pocicie się już, panowie? - zapytał półgłosem tonem zdradzającym rozbawienie. - Bo widzę, że rośnie wam konkurencja do waszych lasek.

- Odwal się, James, jesteś głupi - zdenerwował się Andy.
- Skopię mu tylek, jeśli spróbuje czegośkolwiek z Laurą
- oświadczył Rat z przekonaniem.

Kiedy Dante potrząsnął już sporą liczbą rąk i uściśnął kilka dziewcząt, Bethany zauważyła czarną koszulkę w jego dłoni.

- O Boże, o Boże, włóż to! - zapiszczała, podskakując i trzepocząc dłońmi przed sobą. - No, nie wierzę! Mój własny czarnokoszulkowy gwiazdor!

Pięć dziewcząt patrzyło z zafascynowaniem, jak Dante teatralnym gestem rozrywa zębami celofanowe opakowanie i węzowymi ruchami wsuwa tors w koszulkę. Kiedy znalazła się na swoim miejscu, kilka osób zaklaskało, a Laura i Bethany ucałowały Dantego w oba policzki. Widząc irytację na twarzach Andy'ego i Rata, James nie mógł powstrzymać się od kolejnej złośliwości. Pochylił się i piskliwym dziewczynskim tonem wyszeptał im prosto do ucha:

- Och, jaki ten Dante jest boski! Chcę się rozebrać do moich skąpych różowusich majteczek i oddać mu się, ach, oddać bez reszty...

Andy zmierzył Jamesa wściekłym spojrzeniem i kazał mu się zamknąć.

Kiedy Rat był zły, jego australijski akcent nabierał soczystości.

- Taa, nigdy nie gadałem z tym Dantem - wycedził przez zaciśnięte zęby - ale już widzę, że to totalny palant.

## 15. DEVON

Bandydzi Londyn to największy chapter Brigands MC w Wielkiej Brytanii, liczący aż trzydziestu dziewięciu pełnoprawnych członków, ale chapter z South Devon, kierowany przez Ralphi „Fiihrera” Donningtona, jest najbogatszy i najbardziej wpływowy. Udańe przedsięwzięcia budowlane w Salcombe uczyniły Donningtona milionerem, także wielu długoletnich członków Bandytów South Devon to dziś ludzie bogaci.

Choć South Devon liczy zaledwie dziewiętnastu pełnoprawnych członków, chapter właściwie kontroluje dwa duże kluby satelickie: Psy Wojny z siedzibą w Exeter oraz trzy-chapterowy klub o nazwie Monster Bunch, działający w Devonie i Kornwalii. Oba kluby liczą łącznie ponad setkę braci i do trzech razy więcej członków niezrzeszonych.

Pieniądże wygenerowane przez przemyślane zagospodarowanie terenów siedziby klubu w Salcombe nie powstrzymały bikerów od angażowania się w działalność przestępczą. Lokalna policja twierdzi, że południowodevońscy Bandydzi sprawują bezwzględna kontrolę nad lokalnym handlem narkotykami. Mają agencje ochrony obstawiające wejścia do każdego większego pubu i klubu nocnego w South Devon, zaś członków podległych im gangów łączono z szeregiem rozmaitych przestępstw, od zorganizowanej prostytucji po napady rabunkowe.

W minionych latach South Devon zyskał opinię miejsca, gdzie łatwo kupić nielegalną broń i amunicję. Lukratywny proceder wraz z powiązanymi z nim operacjami przemysłowymi uważa się za kontrolowany przez członków Brigands MC.

Policyjne dochodzenia dotyczące klubu i nielegalnego handlu bronią utykały w miejscu głównie z powodu hermetycznej struktury społeczności bikerów oraz tego, że de-vonska policja to prowincjonalne służby, niedysponujące środkami pozwalającymi na walkę z dużymi organizacjami przestępczymi.

Na początku 2006 r. podjęto decyzję o umieszczeniu tajnego agenta wewnątrz społeczności skupionej wokół gangów motocyklowych w South Devon. Dwudziestoosmioletni policjant zaczął szukać znajomości wśród członków Monster Bunch. Po trzech miesiącach w drodze głosowania przyjęto go do klubu, zaś na początku 2007 r. został skarbnikiem chapteru Salcombe. Następny etap jego tajnej operacji będzie najtrudniejszy: infiltracja szeregów Bandytów.

*Wyjątek z tajnego raportu informacyjnego dla Home Office sporządzonego przez głównego inspektora Rossa Johnsona w marcu 2008 r.*

Sierżant Neil Gauche wykonywał tajną misję od dwóch lat pod przybranym nazwiskiem Neila Smitha. Jeździł swoim harleyem jak zawodowiec, zapuścił długie włosy, a na ramieniu miał wytatuowane dwudziestocentymetrowe godło Monster Bunch. Policja pomogła mu w stworzeniu kryminalnej przeszłości, zezwalając na udział w narkotykowych transakcjach, a nawet organizując starannie sfabrykowany napad na tira.

Po dwóch latach życia w kłamstwie Neil czuł się komfortowo wśród większości Monsterów i Bandytów, ale Fiihrer wciąż przyprawiał go o skręt kiszek. Obecnie obaj siedzieli z tyłu srebrnego mercedesa AMG, rozdzieleni grubym skórzany podłokietnikiem.

Zjechali z szosy na polną drogę wiodącą pomiędzy łąkami pszenicy. Za kierownicą siedział Zgryz. Silnik był wyłączony i absolutną ciszę zakłócało tylko cichutkie tap--tap--tap czegoś stygnącego pod maską.

Führer wyciągnął brzytwę i Neil nie miał wątpliwości, że zostanie posiekany na wstążki, kiedy tylko biker uzna ów pomysł za zabawny. Prezes Bandytów miał może siwe włosy i wielki piwny brzuch, ale po paru kuflach dorównywał w szaleństwie każdemu pijanemu nastolatkiowi.

- A więc chcesz zostać Bandytą - zaczął Führer głosem bełkotliwym od alkoholu, oddechem rozsiewając wokół woń frytek i octu.

- Przez całe życie - potwierdził Neil.

- No to bierz brzytwę. Odpruj to swoje badziewie od katany.

Noc była gorąca, więc Neil trzymał swoją skórzaną kurtkę zwiniętą w kłębek między głanami. Ujął otwartą brzytwę i zabrał się do przecinania nylonowej nitki, którą niecały rok wcześniej przyszył godło Monster Bunch. Prze-ciął kilka szwów, wsunął kciuk pod naszywkę i oderwał ją mocnym szarpnięciem.

Führer wyjął z kieszeni naszywkę z wyhaftowanym napisem South Devon. Miała zostać przyszyta na dole kurtki Neila, oznaczając go jako prospekta. Był to kolejny krok w głąb świata Bandytów, ale prawo do noszenia pełnych barw mógł uzyskać dopiero po kilku miesiącach załatwiania brudnych interesów gangu i uzyskaniu zgody wszystkich pełnoprawnych członków chapteru.

- Dzięki - powiedział Neil, ale kiedy sięgnął po naszywkę, trzymająca ją ręka cofnęła się.

- Brudny Dave mówi, żeś równy gość - uśmiechnął się Führer. - Ustrzelił kupę kasy na tym kontenerze z fajkami, który zrobiliście razem. Ale musieliśmy cię sprawdzić, wiesz: przeszłość, szkoły, dawni pracodawcy, kumple z poprawczaka i tak dalej.

KGOGM wykonała monstrualną pracę, budując fałszywą tożsamość Neila. Dostanie się w szeregi młodego, podległego Bandytom gangu, takiego jak Monster Bunch, było łatwe, ale wejście do kręgu Bandytów stanowiło znacznie bardziej skomplikowane przedsięwzięcie połączone z rozpatrywaniem formularzy opracowanych przez macierzyste chaptery w Stanach Zjednoczonych oraz zatrudnieniem prywatnych detektywów, jeżeli przeszłość kandydata budziła choćby najlżejsze podejrzenia.

- Nie mam nic do ukrycia, Führer.

- Chłopaki, którym kazałem prześwietlić twoją przeszłość, twierdzą, że z tą twoją robotą w serwisie sprzęgieł wszystko gra. To samo dotyczy twoich odsiadek i aresztowań. W zeszłym tygodniu chłopaki włamali się do ciebie i zrobili małą rewizję. Nie znaleźli nic podejrzanego. Neil uśmiechnął się w duchu. Zawsze istniało ryzyko, że ktoś włamie mu się do mieszkania albo że jeden ze znajomych bikerów, którzy od czasu do czasu spali u niego po suto zakrapianych imprezkach, postanowi poszukać czegoś do podwędzenia, dlatego spisywane codziennie notatki z dochodzenia wraz ze wszystkim, co mogło stanowić wskazówkę co do jego prawdziwej tożsamości, trzymał za fałszywym panelem w podstawie szafki kuchennej.

Z drugiej strony nie podobało mu się, że na miejsce spotkania Führer wybrał środek jakiegoś pustkowiec. I dlaczego postanowił przyjechać tu o drugiej w nocy, zamiast zaproponować Neilowi status prospekta normalnie, w siedzibie klubu, przy kolejce drinków?

W kontaktach z Führerem trudno było cokolwiek oceniać. Był nieprzewidywalnym psychopata i zdarzało mu się straszyć ludzi dla samej frajdy patrzenia, jak się wiją.

- Tyle że, widzisz, niełatwo jest szukać człowieka, który nazywa się Smith - ciągnął Führer.

- Gdybyś nazywał się, powiedzmy, Eustachy Von Hasselhoff albo nawet Ralph Donnington, sprawdzenie cię to byłaby pestka. Ale Neilów Smithów jest w tym kraju zatrzesienie, więc

gdybyś był tajniakiem, prawdopodobnie wybrałbyś takie nazwisko jak Smith, Jones czy Edwards.

Neilowi szybciej zabiło serce. Wzmianka o tajniaku zaniepokoiła go, ale donosiciele i głęboko utajnieni policjanci byli zmartwieniem gangów na całym świecie. Trudno było spędzić w towarzystwie bikerów więcej niż kilka godzin i choć raz nie usłyszeć sugestii, że ktoś tam musi być kapusiem albo tajniakiem.

- Jeszcze nigdy nikomu nie udało się zinfiltrować chapteru Bandytów - ciągnął dalej Führer. - Ani u nas, ani za granicą. No i nie muszę chyba dodawać, że każdy glina albo kapus znalaziony w naszych szeregach może spodziewać się powolnej i bolesnej śmierci.

- Jestem jak otwarta księga - powiedział Neil, rozkładając ręce. - Z tutejszymi bikerami kumpluję się od dwóch lat. Cokolwiek chcesz wiedzieć o moim wcześniejszym życiu, po prostu pytaj. Chcesz więcej osobistych szczegółów, żeby mnie dokładniej sprawdzić? Pytaj. Jeśli uważasz, że jeszcze jest za wcześnie, żebym mógł zostać prospektem, poczekam. Trudno. Wiesz, że chcę dostać tę naszywkę najbardziej na świecie, ale szanuję Bandytów i rozumiem potrzebę stosowania wszystkich tych środków ostrożności.

Führer przekręcił się na kanapie tak, by znaleźć się przodem do Neila. Położył mu dłonie na ramionach i przyciągnął do siebie, aż ich nosy prawie zetknęły się ze sobą.

- Przyznaj się - sapnął Führer. - Jesteś gliną. Wiem, że jesteś gliną.

Neil opanował strach i nawet zdołał parsknąć udawanym śmiechem.

- Jaja sobie robisz, Führer, czy jak? No przecież naprawdę, słowo skauta, na życie mojej matki, niech mnie szlag trafi, jeśli... No co mam jeszcze powiedzieć, szefie?! Przecież nie mogę zaklinać się w nieskończoność. Wierz mi albo nie wierz, ale jeśli mam być szczery, to po robocie, jaką odwałem jako skarbnik Monsterów, i pieniądzech, jakie tam zarobiłem, myślę, że zasługuję na szansę zostania Bandytą.

Führer zagłębił się w trzeszczącą skórę oparcia.

- Jesteś gliną - powiedział bezbarwnym tonem.

Zmiana w głosie szefa zapaliła w głowie Neila lampkę ostrzegawczą. Kontrakty budowlane uczyniły Führera bogatym człowiekiem, który do śmierci mógłby wygodnie żyć ze swoich legalnych przychodów, on jednak czerpał największą frajdę z przerażania ludzi, czy był to nieszczęśnik winien mu pieniądze, czy wystraszona kelnerka, której zagroził pobiciem za przyniesienie niewłaściwego dania. Ale teraz nie brzmiało to już, jakby się bawił.

- To nawet zabawne, wiesz, Neil? - uśmiechnął się Führer. - Gliniarze musieli włożyć w to kupę roboty. Wpisali cię do rejestrów ubezpieczalni, urzędów skarbowych, mandatów karnych i archiwów kryminalnych, a potem wszystko spieprzyli przy twoim motorze.

Neil podskoczył, kiedy Zgryz wyjął ze schowka pistolet i odciągnął zamek, by załadować nabój do komory.

- Co jest, połknąłeś język? - zadrwił Zgryz, częstując policjanta swoim firmowym bezzębnym uśmiechem.

- No dalej, Neil - powiedział łagodnie Führer. - Graj swoją rolę. Dlaczego nie spytasz mnie, jak doszliśmy do tego, że jesteś gliną?

Jeśli to było na serio, Neil wiedział, że już jest trupem.

- Cokolwiek wam ktoś naopowiadał, to brednie - powiedział, desperacko walcząc z drżeniem własnego głosu. - No dobra, czego się niby dowiedzieliście?

Führer uśmiechnął się.

- Numer ramy twojego hoga zgadza się z numerem w katalogu aukcji.

Neil przełknął ślinę. Czy jego koledzy naprawdę mogli poświęcić tyle czasu na wykreowanie jego fałszywej tożsamości tylko po to, żeby w końcu posłać go na tajną misję na motocyklu kupionym otwarcie na aukcji?

- Myślę, że prywatny detektyw, którego zatrudniliśmy, zarobił na swoje honorarium, nie uważasz, Neilu Smith? Czy może powinienem powiedzieć, sierżancie policji z Leicestershire Neilu Gauche, obecnie oddelegowany do Krajowej Grupy Operacyjnej do spraw Gangów Motocyklowych?

Neil zrozumiał, że dalsze udawanie nie ma sensu. Przez dwa lata żył ze świadomością, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany, milion razy odgrywał tę scenę w wyobraźni, a teraz wreszcie stało się to naprawdę. W ustach czuł palącą suchość, a mózg miał martwy jak orzech.

- Wyskakuj z wozu - rozkazał Fiihrer, rozpinając kurtkę, żeby odsłonić pistolet. - Nie chcę, żebyś ufajdał mi ta-picerkę.

- Trzy lata temu była taka sprawa - zaczął wyjaśniać Fiihrer. - Cztery skradzione hogi przerzucono z Kanady do Anglii, żeby je rozebrać i sprzedać tutaj, gdzie harleye są droższe. Sprzęt przechwycono, a dwaj bikerzy z jakiegoś burackiego gangu z północy poszli siedzieć na dwa lata. Właściciele w Kanadzie dostali już odszkodowania, a ubezpieczyciel, zamiast ściągać motocykle z powrotem do Kanady, sprzedał je tutaj na aukcji. Trzy kupił handlarz używanymi motocyklami. Czwarty został nabyty przez wydział zaopatrzenia stołecznej policji, po czym przekazany komisariatowi Hornsey, gdzie zupełnie przypadkiem mieści się także siedziba KGOGM.

- Pewnie sprzęt na podstawkę czy coś - wzruszył ramionami Neil.

Neil stanął na krawędzi drogi i spojrzał ponad łąkami zboża otaczającymi go ze wszystkich stron. Nie było ucieczki. Zgrzyz wysiadł już z samochodu i strzeliłby mu w plecy przy pierwszym gwałtownym ruchu.

- Ręce na głowę! - krzyknął Führer. - Ruszaj w zboże.

Neilowi zachciało się płakać, kiedy pomyślał, jak się to wszystko skończy. O szóstej rano miał zdać raport swojemu opiekunowi. Kiedy jego szefowie dowiedzą się, że zaginął, rozpoczną poszukiwania. Jeżeli zwłoki zostaną w pszenicy, zapewne znajdą je w ciągu kilku dni, ale było bardziej prawdopodobne, że Führer już wcześniej zorganizował miejsce pochówku setki kilometrów dalej albo zagrodę pełną wygłodniałych świń, którym rzuci na pożarcie ciało pocięte na tuzin kawałków. Może pewnego dnia wszystko to odkryją. A może nie. Może ktoś nakręci program dokumentalny o bohaterskim policjancie, który zaginął na tajnej misji...

Neil pomyślał o swojej mamie. Przekroczyła już sześćdziesiątkę. Będzie okropnie rozpaczać, chociaż nigdy nie byli zbyt blisko. Odkąd jako osiemnastolatek wyjechał do szkoły, widywali się tylko kilka razy w roku, a żony ani dzieci nie miał. Brak bliskiej rodziny był jednym z powodów, dla których przyjęto jego kandydaturę na tajnego agenta, ale Neil zawsze marzył, że kiedyś przeniesie się do mniej wymagającej policyjnej pracy, ożeni się, będzie miał dzieci, hipotekę... Pszenica szeleściła im pod nogami, dopóki nie dotarli do miedzy.

- Pora paść na kolana, Neil. - Führer uśmiechnął się do siebie, przykręcając tłumik do pistoletu. - Wiesz, dla nas też to będzie niezły ból dupska. Masz pojęcie, jakiego szwungu dostaje policja, kiedy ginie tajniak na misji?

-Więc mnie nie zabijaj - powiedział Neil, dygocząc. - Łebski z ciebie facet, Führer. Wiesz, że jak zabijesz glinę, to detektywi wejdą ci tak głęboko w tyłek, że nie będziesz mógł się ruszyć.

- Gliny muszą ginąć - odparł Fiihrer. - Każda inna opcja śle niedobre przesłanie.

Zbłąkana osa bzyknęła Neilowi koło ucha, a ostre kamyki uwierały go przez wyświechtane kolana dzinsów. „To koniec” - pomyślał, kiedy Fiihrer przycisnął mu lufę do potylicy.



## 16. ŚNIADANIE

Następnego ranka Dante nie pamiętał już o swoich zmartwieniach dotyczących znalezienia sobie miejsca w kampu-sowym towarzystwie. Przyjęcie urodzinowe u Bethany okazało się świetnym lodołamaczem. Kiedy tort został zjedzony, a imprezowicze ochrzczeni przez jednego z woźnych za odpalenie fajerwerków w pokoju i potencjalne spalenie budynku do fundamentów, wszyscy pojechali kampusowym mikrobusem do miasta, by pójść na kręgle i całą grupą zakończyć zabawę w Nando's, otwartym na miejscu Chicken Deluxe, który splajtował.

Dante obudził się późno. Po powrocie z misji przysługiwał mu tydzień wolnego przed podjęciem lekcji i treningów, ale pożałował przespanej okazji na zjedzenie śniadania ze wszystkimi. Kiedy zszedł do stołówki, jedynymi obecnymi, jakich znał, byli James Adams i Kerry Chang, ci jednak siedzieli razem, czytając recenzje muzyczne w „Guardianie”, i nie wyglądało to na sytuację, w jakiej wypada narzucać swoją obecność.

Dante wziął gofry ziemniaczane, bekon i paczkę Crun-chy Nut, ale kiedy usiadł przy pustym stoliku, James zawołał do niego:

- Co jest, śmierdzimy czy jak?

- Myślałem, że jesteście razem - wybąkał zakłopotany Dante.

- Jesteśmy tylko kumplami - wyjaśnił James, ale Dante nie był przekonany: James i Kerry siedzieli na zsuniętych razem krzesłach, czytali tę samą gazetę i choć ręka Kerry formalnie nie obejmowała pleców Jamesa, to jednak wisiała na oparciu jego krzesła.

- Nie macie dziś szkoły? - zapytał Dante, odgryzając kęs gofra.

- Okienko - wyjaśnił James. - Wzięliśmy sporo kursów GCSE i nasi opiekunowie jakoś nie zwrócili uwagi, że nasze plany zajęć nie są bardzo wypełnione.

- I oby tak już zostało - dodała Kerry, uśmiechając się do Jamesa i małym palcem strzepując okruchy z jego koszulki.

- Nieźle - zaśmiał się Dante z uznaniem. - Niedługo kończę cztemastkę, więc pewnie mnie też każą wziąć jakieś GCSE.

- Pewnie tak - skinął głową James. - Tylko unikaj historii. Same okropnie długie prace i trzeba czytać tyle nudnego szajsu, że...

- Lubię historię - powiedział Dante. - Bitwy i w ogóle.

- Właśnie, ja też - wtrąciła Kerry. - Ale widzisz, James to geniusz matematyczny. W tej dziedzinie wszystko przychodzi mu bez trudu, więc nie chce mu się wysilać w żadnej innej.

- Ja będę miał chyba przechłapanie z językami - powiedział Dante. - Chodziłem na intensywny francuski i hiszpański przez rok przed podstawówką, ale kiedy wybyłem z kampusu na trzy lata, miałem tylko normalny szkolny francuski.

- No to kiszka - stwierdziła Kerry. - Ja mówię po hiszpańsku, francusku, japońsku i trochę po mandaryńsku, ale uczyłam się od szóstego roku życia. Teraz mogę spokojnie zdać z nich maturalne i dostać się na studia bez żadnego zakuwania.

Dante popatrzył na Jamesa.

- Ty pewnie masz to samo z matmą.

- O, to cwana bestia - uśmiechnęła się Kerry. - On już ma zaliczone trzy maturalne z matmy plus fizyka.

- Matma jest łatwa - stwierdził lekceważąco James, rozpierając się na krześle.

Kerry klepnęła go lekko w tył głowy.

- Och, zamknij się, przemądrzalco.

James wyciągnął palec, jakby chciał dźgnąć Kerry w żebra, i dziewczyna parsknęła.

- Spróbuj, to złamię ci ten palec, zobaczysz!

Dante uśmiechnął się.

-Jak tak na was patrzę, to mi się przypomniało... Jakaś ładna, miła sympatia z kampusu to kolejna rzecz na mojej liście spraw do załatwienia.

- Tylko się kumplujemy - podkreśliła Kerry.

- Oczywiście - przytaknął nieświeżo Dante, poruszył brwiami i zapchał sobie usta plastrem bekonu.

- Jest jedna sprawa, o której nie zdążyłem wczoraj z tobą pogadać - powiedział James. - Przyjaźnię się z Terrym Campbellem, znasz go?

- Nasz dyrektor techniczny - odpowiedział Dante, plując kawałkami jedzenia. - Biała broda, typ trochę jajogłowy.

- To on - skinął głową James. - Tak się składa, że bardzo interesuję się motocyklami, a w warsztacie stoi stary pordzewiały harley, którym chętnie bym się zajął. Terry mówi, że to twój. Dante kiwnął głową.

- Należał do mojego taty.

- Sporo wiem o motocyklach - pochwalił się James. - Czytam wszystkie pisma i tak dalej. Mógłbym odkupić go od ciebie. Dostaniesz uczciwą cenę.

Dante wyglądał na zaskoczonego.

- N... nie, James. Sorka, ale to był motocykl taty. Kiedy zginął, nasz dom się spalił i to jest jedyna rzecz, jaka mi po nim została.

-To twój tata interesował się motorami? - zapytał James.

Dante przestał jeść, a na twarzy wystąpiły mu rumieńce.

-Przepraszam... - bąknął i oczyścił gardło chrząknięciem. - To skomplikowane i chyba wolałbym nie rozmawiać o mojej rodzinie. Szczerze mówiąc.

James nie spodziewał się takiej reakcji i zrobiło mu się głupio.

- Żaden problem - powiedział. - Każdy w kampusie jest po przejściach i nie jesteś jedynym, który nie chce wracać do swojej przeszłości.

Kerry uznała, że już najwyższy czas zmienić temat.

- No więc, Dante - zaczęła, postukując palcem w dział recenzji muzycznych „Guardiana”. - Jakiej muzyki słuchasz?

Pierwszą rzeczą, jaką Neil Gauche ujrzał po przebudzeniu, były mrówki wędrujące po ręce leżącej przed jego twarzą. Głowa pulsowała mu bólem, w uchu dzwoniło, zaś od skroni do prawej brwi biegło krwawe rozcięcie.

Musiał stać się jakiś cud. Pamiętał wszystko aż do momentu, w którym pistolet wystrzelił mu koło ucha, a kula poruszyła ziemię kilka metrów od miejsca, w którym teraz leżał. Potem ogłuszono go kopniakiem albo, co bardziej prawdopodobne, ręką pistoletu. Ale dlaczego? Może Fiihrrera przekonało to, co Neil powiedział o kłopotach, jakie Bandyci sprowadzą na siebie, zabijając glinę. A może po prostu zamierzał go tylko postraszyć i trochę sponiewierać. Neil pomacał się po kieszeniach i uświadomił sobie, że jego telefon i portfel zostały w mercedesie Fuhrrera.

Kiedy przetoczył się na plecy i usiadł, pod czaszką rozerwał mu się granat bólu. Wschodziło słońce. Ramię i policzek policjanta pokrywały odciski żdźbeł i kamyków, na których leżał nieruchomo przez pięć albo sześć godzin.

Zboże sięgało piersi dorosłego człowieka, więc wszystko, co mógł zobaczyć, nie wstając, to niebo i wierzchołki kilku drzew. Zaburczało mu w żołądku, beknął i noc prze hulana na meksykańskim żarciu, piwie Sol i tequila podeszła mu do gardła piekącym kwasem.

Neil stracił dużo krwi i było mu słabo. Po kilku próbach zdołał jednak wstać, a kiedy rozejrzał się wokół, zrozumiał, co zrobił Fiihrer.

Dwieście metrów dalej, u stóp łagodnego spadku, stał dom. Nowi właściciele musieli włożyć mnóstwo pieniędzy w remont i przekształcenie go w domek letniskowy, ale Neil rozpoznał budynek znany mu z policyjnych fotografii i reportaży w mediach.

To było miejsce, w którym zamordowano rodzinę Scottów. Sprowadzenie Neila tutaj i urządzenie fikcyjnej egzekucji było drwiną. W ten sposób Fiihrer mówił policji, że może wszystko i zawsze ujdzie mu to na sucho.

- Mały arogancki dupiek - mruknął do siebie Neil, kierując się w stronę domu.

Podczas gdy Neil Gauche i dwaj ludzie z jego zespołu wsparcia czekali na ostrym dyżurze szpitala w Devonie, reszta jednostki KGOGM została postawiona w stan alarmu i zebrała się w londyńskiej siedzibie jeszcze przed dziewiątą rano.

Ross Johnson był dyplomowanym psychologiem. Nie był skłonny do okazywania emocji i tego dnia wielu jego kolegów po raz pierwszy zobaczyło, jak traci zimną krew. Szczupła sierżant zastała go w gabinecie stojącego z zasepioną miną przy oknie.

- Kawy? - zapytała, stawiając kubek na biurku.

- Dzięki, Trący - powiedział Ross sucho. - Chcę, żebyś pojechała do Scotland Yardu.

Bandyci wynajęli prywatnych detektywów. Wiedzą, że motocykl Neila był dostarczony tutaj, i musimy założyć, że jesteśmy pod obserwacją. Potrzebna nam nowa siedziba. Mam gdzieś, jeśli to będzie jakaś zaszczurzona nora w czyjejś piwnicy; jak mamy prowadzić tajne operacje, jeśli wróg może patrzeć, kiedy kto wchodzi i wychodzi?

-Jeżeli nas obserwują, to mogą też wiedzieć, kim jest George Khan - zauważyła Trący.

- To możliwe - skinął głową Ross. - Ale on jest z nami dopiero od trzech tygodni, a oprócz niego kręci się tu mnóstwo Azjatów.

- Zadzwoń do lokalowego, kiedy tylko otworzą, i spróbuję załatwić pilną relokację - powiedziała policjantka. - Co się tam dzieje w Devonie? Aresztujemy Führera za napaść na Neila? Może z ustawy o broni?

Ross potrząsnął głową.

- Ciężko będzie dowiedzieć, kto to zrobił, zwłaszcza wobec prawników takiego kalibru, jakich zawsze wynajmują Bandyci. A Führer nie jest głupi, nie będzie żadnych śladów. Nigdy nie znajdziemy broni, za to na pewno znajdzie się tuzin świadków gotowych przysiąc, że w czasie incydentu Führer był z nimi.

- Zupełnie jakby był ponad prawem - westchnęła Trący. - A co z motocyklem?

Ross westchnął jeszcze ciężiej i gniewnym ruchem porwał swoją kawę.

- Neil mógł zginać, ale jeśli uruchomimy oficjalne dochodzenie w sprawie ofermi, która tak niefrasobliwie podeszła do kwestii kupna motocykla, zasmrodzimy sobie atmosferę na długie miesiące. Pogadaj z ludźmi. Chcę, żeby ten, kto kupił tego harleya, sam się przyznał. Jeżeli wciąż jest w mojej jednostce, ma jeszcze dziś stawić się w tym biurze z wypełnionym wnioskiem o przeniesienie.

- Tak jest, szefie. - Trący stuknęła obcasami. - A jeśli nikt się nie przyzna?

- To nie byłaś ty, co?

- Nie - potrząsnęła głową Trący.

Ross uśmiechnął się z ulgą.

- I Bogu dzięki. Ty i Neil jesteście moimi najlepszymi ludźmi.

- Aż mnie mrozi, jak pomyślę, jak blisko byliśmy śmierci policjanta - powiedziała Trący. - To co robimy teraz? Cała operacja opierała się na wielkim zamówieniu Geor-ge'a oraz Neilu działającym na miejscu w Salcombe. Kto teraz wybada, jak Bandyci ściągają broń do kraju?

Ross przeczesał dłonią rzadniejące włosy.

- Powinienem być trzymać się roboty przy nieletnich świadkach - westchnął. - Robić wywiady, pisać raporty i przekazywać resztę detektywom, żeby oni martwili się, co z tym począć. Mówiłem ci, że to w następstwie morderstwa rodziny Scottów zainteresowałem się gangami motocyklowymi ?

Trący skinęła głową.

- Tak, kiedy przeniosłam się tu z narkotyków. Przez jakiś czas mieszkał pan nawet z tym chłopcem, który przeżył, prawda?

- To był świetny dzieciak, ten Dante - powiedział Ross w zamyśleniu. - Absolutnie tragiczna historia. Wciąż od czasu do czasu pisze maile do mojej Tiny.

-Jeśli szybko nie znajdziemy innego sposobu na infiltrację Bandytów, to gra skończona - powiedziała Trący. - Nie żebym chciała pouczać, ale chyba powinien pan wyjść i pogadać z zespołem, strzelić jakąś mówkę motywacyjną czy coś. Wszyscy pracowali jak woły i nastroje są samobójcze.

Ross milczał przez chwilę pogrążony we własnych myślach.

- Później - odrzekł wreszcie, a oczy rozbłysły mu nagłym olśnieniem. - Może nie zabrnęliśmy w tę rzekę łajna tak głęboko, jak wszyscy sądzą. Wychodząc, zamknij drzwi. Muszę zadzwonić.

Kiedy Trący ulotniła się, Ross wyciągnął notes z kurtki wiszącej przy drzwiach i mrużąc pod nosem, odszukał M jak Mitchum. Pod numerem gabinetu Jennifer poinformowano go, że odeszła na emeryturę, ale ktoś z zarządu domu dziecka Nebraska House oddzwonił kilka minut później i podyktował mu numer domowy.

- Przyszedł mi na ratunek, kiedy potrzebowałem bezpiecznego miejsca dla Dantego - powiedział Ross do słuchawki po wstępnej wymianie uprzejmości. - Wprawdzie nie powiedziałaś nic konkretnego o tym, dokąd go zabierają i co właściwie robi ten twój CHERUB, ale moje dochodzenie właśnie utknęło w martwym punkcie i tak się zastanawiałem, czy może moglibyście jakoś mi pomóc.

## 17. LOT

Sześć dni później

Bell 430 wystartował z heliportu w północnym Londynie i leciał już siedemdziesiąt pięć minut. Przy odrzutowej turbinie pracującej metr nad kabiną podróż śmigłowcem nigdy nie należy do dystygowanych, zaś dla oficerów policji Neila Gauche'a i Rossa Johnsona doświadczenie lotu stało się jeszcze dziwniejsze dziesięć minut po starcie, gdy drugi pilot nakazał im włożenie lotniczych hełmów z zaczer-nionymi szybami przyłbic.

Hełmy pozwolono im zdjąć dopiero, kiedy maszyna usiadła na lądowisku przed głównym budynkiem kampusu CHERUBA. Ross pomyślał, że przy prędkości maksymalnej w okolicach dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę śmigłowiec mógł zawieźć ich dokądkolwiek w Anglii i Walii, może nawet za południowy skraj Szkocji.

Drugi pilot skierował policjantów w stronę mężczyzny odzianego w odblaskową biel, stojącego przed złowieszczo ponurym betonowym bunkrem. Ross poczuł się dziwnie bezsilny, kiedy tak szedł porażony blaskiem pełnego słońca, mrużąc oczy nawykłe do mroku pod hełmem.

- Strome schody - ostrzegł mężczyzna w bieli. - Proszę się trzymać poręczy.

Ross położył dłoń na zimnej metalowej rurze i zstąpił w milczącą czeluść budowli, która kojarzyła mu się z wiktoriańskimi fortyfikacjami, jakie zwiedzał podczas wakacji na południowym wybrzeżu.

Schody wyprowadziły ich do niewielkiego pomieszczenia, wprost na biurko, zza którego podniósł się zwalisty strażnik. Ross i Neil wymienili spojrzenia i Neil parsknął śmiechem.

-To gdzie trzymacie latające spodki?

- Witamy w kampusie CHERUBA - powiedział strażnik. - Przykro mi, jeżeli nasze procedury bezpieczeństwa sprawiły panom jakikolwiek dyskomfort. A teraz muszę potwierdzić, że nie macie przy sobie żadnych urządzeń rejestrujących, telefonów komórkowych ani żadnych innych urządzeń elektronicznych, w tym aparatów słuchowych i stymulatorów serca.

- Pilot zabrał nam przed odlotem - wyjaśnił Neil, ale strażnik i tak omiótł im ubrania różdżką wykrywacza, po czym wskazał gestem rząd boksów.

- Proszę wejść do boksów i zdjąć ubranie, w tym bieliznę i biżuterię, łącznie z zegarkami i kolczykami. Następnie proszę założyć dostarczone pomarańczowe stroje i klapki.

Boksy przypominały sklepowe przymierzalnie z tą różnicą, że nie miały zasłonek u wejścia. Podczas gdy Neil i Ross przebierali się, strażnik uważnie przeglądał fotografie i dokumenty w teczce Rossa, stopniowo przekładając jej zawartość do przezroczystej foliowej torby. Następnie zważył torbę i opatrzył naklejaną etykietką.

- Nic z zawartości tej torby nie może pozostać na terenie kampusu - oznajmił, przyjmując beznamiętny ton, nie-pozwalający wątpić, że wygłaszał tę kwestię już setki razy. - Zawartość torby zostanie przejrzana i zważona przy wyjściu. Jeżeli w kampusie otrzymają panowie cokolwiek do wyniesienia na zewnątrz, przedmioty te należy przechować oddzielnie i przekazać do inspekcji przy wyjściu. Proszę niczego nie wynosić z kampusu bez pozwolenia. Wchodząc do kampusu, zobowiązujecie się nigdy i nikomu nie wspominać o jego istnieniu. Zgadzać się także poddać prześwietleniu i rewizji osobistej łącznie ze sprawdzeniem jam ciała na każde żądanie personelu CHERUBA. W wypadku jakiegokolwiek sytuacji alarmowej przed dzisiejszą wizytą lub po niej możecie zostać aresztowani i zatrzymani na czas nieokreślony. Jeżeli zgadzają się panowie na podane warunki, proszę tu podpisać i przejść przez bramkę skanera. Po drugiej stronie czeka na panów ich łącznik. Życzę miłego dnia.

Klapki i workowate kombinezony utrudniały sprawne poruszanie się. Jako policjanci Ross i Neil nawykli do sprawowania kontroli w każdej sytuacji, jednak ślepy lot śmigłowcem i upokarzające procedury zbiły ich nieco z panta-łyku.

Za bramką wkroczyli do trochę bardziej przyjaznego pomieszczenia. W poczekalni był ekspres do kawy z pełnym dzbankiem, chłodziarka do wody i czasopisma, ale dwaj gliniarze nie potrzebowali żadnej z tych rzeczy, ponieważ w środku już, ktoś na nich czekał: kobieta i chłopiec.

- Pani musi być Chloe - powiedział Ross, wyciągając rękę do kobiety, by ucisnąć jej dłoń, po czym spojrzał na chłopca i uśmiechnął się. - A ty strasznie urosłeś, od kiedy widziałem cię po raz ostatni.

Chloe Blake była najmłodszym pełnoprawnym koordynatorem misji w CHERUBIE. Jak większość osób z kadry dawniej sama była agentką. Utrzymywała się w formie za pomocą surowego reżimu treningowego, którego efektem była jej smukła, lecz muskularna sylwetka, akurat w tamtej chwili odziana w bawełniany dres i najki.

Dante uśmiechnął się i serdecznie uściskał Rossa.

- Przepraszam za te ciuchy i wszystko.

Neil wzruszył ramionami.

- Mnie tam nie przeszkadzają - powiedział pogodnie. - Myślę, że styl więźnia w transporcie bardzo do mnie pasuje. Czy wy, dzieciaki, też musicie przechodzić przez cały ten cyrk?

Dante potrząsnął głową.

- Ochrona czasem robi losowe rewizje, kiedy wchodzimy lub wychodzimy, ale agenci i kadra nie muszą przechodzić przez to co wy. No i oczywiście my wiemy, gdzie jest kampus. Chloe odchrząknęła i spojrzała na zegarek.

- Musimy przejść do budynku kontroli misji, to dziesięć minut spacerkiem. I Dante, naprawdę nie powinieneś omawiać z gośćmi żadnych aspektów naszego systemu bezpieczeństwa.

Po drugiej stronie kampusu Laura Adams zerknęła na zegarek, wychodząc z damskiej przebieralni z wciąż wilgotnymi włosami oraz mokrym kostiumem i zrolowanym ręcznikiem w foliowej reklamówce. Nawet tak dobrą pływaczkę jak ona musiała zmęczyć półtoragodzinna sesja aqua fitnessu obejmująca pływanie dystansowe, sprint pływacki, wodny aerobik oraz nurkowanie po woreczki do ćwiczeń i ciężarki rozłożone na dnie najgłębszej części basenu. Bolały ją ramiona i uda, a twarz wciąż miała czerwoną z wysiłku. Jej chłopak Rat czekał na korytarzu.

- Dłużej już nie mogłaś? - burknął naburmuszony, ruszając w stronę wyjścia. Laura cmoknęła z irytacją.

- To chyba normalne, że potrzebuję więcej czasu. Ty masz dwucentymetrowe włosy, które schną w pół minuty. Ja muszę swoje umyć, żeby nie śmierdziały chlorem, a potem jeszcze rozczesać, inaczej wyschną w strąki.

- To co, poodrabiamy razem lekcje czy jak? - zapytał Rat. - Moglibyśmy wstąpić do stołówki, spróbowałbym tych czekoladowych croissantów na gorąco, które właśnie zaczęli robić. Albo możemy pójść do biblioteki i poszukać materiałów do tej pracy na historię.

- Nie mogę - odparła Laura. - Mówiłam ci, matołku, mam odprawę. Wyszli z kompleksu basenowego i skręcili w południową alejkę, mijając się z grupą przegrzanych juniorów, którzy właśnie skończyli lekcje i szli ochłodzić się w basenie rekreacyjnym.

- Po co ty w ogóle jedziesz na tę misję? - zapytał Rat z nutką irytacji w głosie. Laura spojrzała na niego z lekkim niedowierzaniem.

- A jak myślisz, po co przez całe popołudnie wypruwałam z siebie flaki na basenie? Co za sens zostawać cherubinem, żeby później odrzucać misje?

- Ale przecież mieliśmy jechać razem do ośrodka letniego - jęknął Rat. - Jak chcesz to zrobić, skoro będziesz na misji?

- Fakt. Trochę szkoda wakacji - przyznała Laura. - Ale jeśli się nie załapię, dostanę ferie zimowe. Pójdę sobie na narty czy coś.

Rat cmoknął.

- Ale beze mnie.

- Wiesz, nie jesteśmy małżeństwem, Rat. Zawsze uważałam, że jeśli chodzi o nas, to akurat to jest super. Bethany miała chyba z sześciu chłopaków, odkąd się zeszliśmy. Dostaje kompletnego fioła na czymś punkcie, a trzy tygodnie później jest po wszystkim. A my, popatrz, wciąż jakoś dajemy radę.

- Dawaliśmy, dopóki nie pojawił się ten rudy goguś.

Laura parsknęła śmiechem.

- Dante?

- No a kto? - prychnął gniewnie Rat. - A ciebie przy nim normalnie nosi: Och, Dante, jaka zabawna historia!

Och Dante, jakie twarde bicepsy! Och, Dante, jesteś taki słodki, że pewnie kitujesz nutellą!

- Och, dajże spokój - westchnęła Laura. - Jak możesz w ogóle być o niego zazdrosny? Chłopak wrócił do kampusu po trzyletniej misji. Co złego w tym, że jestem dla niego miła?

- Nie jestem zazdrosny - odparł Rat. - Ale to, jak się do niego łasisz na oczach wszystkich, jest naprawdę obrzydliwe. A teraz jedziesz z nim na misję. Nie załapiesz się na wakacje w ośrodku letnim? Spoko, przecież weźmiesz sobie ferie zimowe. A z kim? No jasne, z marchewkowym cud-chłopcem!

Para skręciła w główną aleję prowadzącą do ośrodka kontroli misji i głównego budynku. O tej porze dnia roilo się na niej od cherubinów zmierzających w stronę jeziora, by odrabiać lekcje na trawie, albo idących w przeciwnym kierunku, na korty, o czym świadczyły rakietki tenisowe w ich dłoniach.

- Po prostu nie wiem, co powiedzieć - oznajmiła Laura. - Myślałam, że jesteś bardziej dojrzały.

- Jestem dojrzały - warknął gniewnie Rat. - Ale to nie znaczy, że chcę, żeby moja dziewczyna jawnie śliniła się do innego kolesia i robiła ze mnie debila.

- Cooo?! - zachłysnęła się Laura. - Kiedy się niby śliniłam?!

- A ja chcę tylko pojechać na wakacje ze swoją dziewczyną! - odkrzyknął Rat. - Co w tym złego?

-Nie zmieniaj tematu! Kiedy to niby śliniłam się do Dantego? Kiedy zrobiłam cokolwiek poza tym, że byłam po prostu miła dla kogoś, kto wrócił do swoich po bardzo długiej nieobecności?!

-Kiedy? Zawsze! - ryknął Rat. - Sposób, w jaki na niego patrzysz, te twoje flirciarskie uśmiešky, zalotne minki...

-Jesteś zazdrosny! - zakrzyczała go Laura, zatrzymując się i biorąc pod boki. - W dodatku totalnie niedojrzały. Nie mogę uwierzyć, że oskarżasz mnie o zdradę!

- A ja nie mogę uwierzyć, że zaprzeczasz, chociaż otwarcie próbujesz go podrywać! Laura spojrzała na zegarek.

- Spóźnię się na odprawę. Jadę na misję z Dantem i moim bratem. Potem prawdopodobnie pojedę z nimi także na późne wakacje i kto wie, może naprawdę poderwę sobie Dantego, bo nie zamierzam znosić twoich chorych jazd, kiedy zachowujesz się jak humorzasty, zazdrosny wał! Laura odwróciła się i gniewnym krokiem odmaszerowała przez trawnik, ponieważ tamtędy wiodła najkrótsza droga do budynku kontroli misji.

-A jedź sobie, mam to gdzieś! - krzyknął za nią Rat. - Jedź się myziac z tym durnym, rudym dupkiem! Zrób mu laskę!

- Ma większą szansę, niż ty kiedykolwiek będziesz miał, ty bezmózgi, aborygeński przymule! - odkrzyknęła Laura, po czym odwróciła się i wyrzuciła obie ręce w górę w gniewnym dwupalczym salucie.

\*

James Adams czekał już w gabinecie Chloe Blake w budynku kontroli misji, kiedy pojawiła się wraz z Dantem oraz Rossem i Neilem. w pomarańczowych wdziankach. Gabinet był obszerny, z zamszową kanapą noszącą już wyraźne ślady użytkowania oraz francuskim oknem, za którym rozpościerał się widok na czasy anten satelitarnych na trawniku przed budynkiem.

- Wziąłem tacę ze stołówki - powiedział James, wstając, by uścisnąć dłoń Rossowi i Neilowi, po czym wskazał na jedzenie. - Świeża kawa, kanapki, ciastka. Proszę, częstujcie się.

- Twojej siostry jeszcze nie ma? - zapytała Chloe.

-Jesteś zazdrosny! - zakrzyczała go Laura, zatrzymując się i biorąc pod boki. - W dodatku totalnie niedojrzały. Nie mogę uwierzyć, że oskarżasz mnie o zdradę!

- A ja nie mogę uwierzyć, że zaprzeczasz, chociaż otwarcie próbujesz go podrywać! Laura spojrzała na zegarek.

- Spóźnię się na odprawę. Jadę na misję z Dantem i moim bratem. Potem prawdopodobnie pojedę z nimi także na późne wakacje i kto wie, może naprawdę poderwę sobie Dantego, bo nie zamierzam znosić twoich chorych jazd, kiedy zachowujesz się jak humorzasty, zazdrosny wał! Laura odwróciła się i gniewnym krokiem odmaszerowała przez trawnik, ponieważ tamtędy wiodła najkrótsza droga do budynku kontroli misji.

-A jedź sobie, mam to gdzieś! - krzyknął za nią Rat. - Jedź się myziac z tym durnym, rudym dupkiem! Zrób mu łaskę!

- Ma większą szansę, niż ty kiedykolwiek będziesz miał, ty bezmózgi, aborygeński przymule! - odrzyknęła Laura, po czym odwróciła się i wyrzuciła obie ręce w górę w gniewnym dwupalnym salucie.

James Adams czekał już w gabinecie Chloe Blake w budynku kontroli misji, kiedy pojawiła się wraz z Dantem oraz Rossem i Neilem w pomarańczowych wdziankach. Gabinet był obszerny, z zamszową kanapą noszącą już wyraźne ślady użytkowania oraz francuskim oknem, za którym rozpościerał się widok na czasze anten satelitarnych na trawniku przed budynkiem.

- Wziąłem tacę ze stołówki - powiedział James, wstając, by uściśnąć dłoń Rossowi i Neilowi, po czym wskazał na jedzenie. - Świeża kawa, kanapki, ciastka. Proszę, częstujcie się. -Twojej siostry jeszcze nie ma? - zapytała Chloe.

- Nie - odpowiedział James. - Ma przyjść prosto z treningu na basenie.

Przebywanie w towarzystwie Rossa sprawiało Dantemu widoczną przyjemność. Nie mógł wprawdzie opowiedzieć mu o swojej misji w Irlandii, ale w rozmowie przemycił kilka mglistych szczegółów dotyczących życia w kampusie i wypytywał policjanta o Tinę, która obecnie uczyła się, by zostać adwokatem.

- Martwi mnie wygląd Dantego - powiedział Ross, rzucając Chloe poważne spojrzenie. Chloe pokiwała głową, po czym usiadła za swoim biurkiem i przyjęła od Jamesa filiżankę herbaty.

- Przejrzeliśmy zapisy wideo z twoich rozmów z Dantem w dwa tysiące trzecim. Fizycznie bardzo się zmienił, a długie włosy i nowy akcent także mu pomogą, ale chcemy kompletnie go przeфарbować, nie tylko głowę, ale też włosy na całym ciele. Pokażemy mu też, co robić, żeby nie było rudych odrostów.

- Sporządziliśmy portret komputerowy - powiedział Dante, podając Rossowi kolorowy wydruk. - Tak mógłbym wyglądać.

- Blondyn, jak ja i moja siostra - wtrącił James.

- No i rzecz jasna, nie mogę nazywać się Dante - dorzucił Dante. - Mogę być Johnem, to gładkie nijakie imię.

- Wygląda nieźle - pokiwał głową Ross, patrząc na wydruk. - Myślę, że udział Dantego w tej misji to nasz ogromny atut. Nie widział Salcombe od pięciu lat, ale zapewne wie więcej o Fihrerze i tym, jak działają Bandyci, niż ktokolwiek z nas.

Dante uśmiechnął się.

- Poza tym, że nie ma na świecie nikogo, komu bardziej ode mnie zależałoby na posadzeniu Fihrera za kratkami.

- Po mojej przygodzie w pszenicy w zeszłym tygodniu myślę, że zajmuję drugie miejsce, tuż za tobą - dodał Neil.

- Zeby skutecznie zinfiltrować południowodevoński chapter Bandytów, każdy z nas będzie musiał przejść pewną fizyczną transformację - powiedziała Chloe. - James ma szesnaście lat, ale na potrzeby misji stworzymy mu tożsamość siedemnastolatka.

- To oznacza, że będę miał motocyklowe prawo jazdy i będę mógł spróbować zakumplować się z młodszymi członkami Monster Bunch - wtrącił z satysfakcją James. -



Jeździłem już wcześniej motocyklami, ale przez ostatnich kilka wieczorów ostro trenowałem z instruktorem na drogach wokół kampusu.

- Laura będzie w zasadzie sobą - ciągnęła Chloe - ale ja jestem tylko o dziesięć lat starsza od Jamesa, więc muszę się trochę postarzeć, żeby mogła uchodzić za jego mamę. Zmiana garderoby i parę siwych pasemek powinny wystarczyć.

- Wracając do Laury, chyba powinna już tu być - zauważył Dante.

Laura była pięćdziesiąt metrów dalej i właśnie użyła skanera siatkówki oka, by wejść do centrum kontroli misji. Była wycieńczona po treningu pływackim i długim marszu przez kampus w koszmarnym skwarze.

Kłótnia z Ratem wytrąciła ją z równowagi. Stanowili parę niemal od czasu, kiedy się poznali, czyli od trzech lat. Jak dotąd była to ich najpoważniejsza scysja, ale Laura nie przysięgałaby, że naprawdę zerwali ze sobą na dobre. Nie uważała, by kiedykolwiek okazywała Dantemu szczególne względy, ale zastanawiała się, czy mogła flirtować z nim bezwiednie, ponieważ polubiła go już tego ranka, kiedy obudzili się razem w kampusie, zaś jego muskularne ciało i egzotyczne rude włosy naprawdę się jej podobały.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, porzucając przy drzwiach torbę z mokrymi rzeczami i szybko ściskając dłoń Neilowi i Rossowi.

- Dobrze - powiedziała Chloe zza biurka. - W ciągu minionego tygodnia James, Laura i Dante przyswoili sporo wiedzy na temat Brigands South Devon. Ross przywiózł ze sobą kolejną porcję informacji, które będziecie musieli przestudiować, oraz zapozna was z celem waszej misji. Ross dźwignął się z kanapy i stanął obok biurka Chloe, opierając się o narożnik blatu.

- Myślę, że wszyscy z grubsza wiecie, jaka jest sytuacja - zaczął z uśmiechem. - Zamawiamy dużą ilość broni poprzez człowieka znanego jako Dusikotek, który jest prezesem londyńskiego chapteru Bandytów. Mamy nadzieję, że tak duża dostawa poważnie obciąży zasoby Bandytów z South Devon, a zwłaszcza ich system przemytu nielegalnej broni. Pierwotnie to Neil miał zaangażować się w realizację zamówienia i zdobyć dla nas informacje o sposobach działania Bandytów, został jednak zdemaskowany, dlatego teraz to zadanie przypadnie wam trojgu. Chloe uniosła dłoń na znak, że pragnie coś wtrącić.

- Oczywiście rozumiecie, że podczas gdy Neil miał podjąć próbę przeniknięcia w szeregi Bandytów, wy będziecie musieli dokonać rozpoznania w mniej bezpośredni sposób. Ross skinął głową.

- Najpierw James. Na misji będziesz miał siedemnaście lat i wiecznie psujący się motocykl, co daje ci znakomitą wymówkę do kręcenia się przy warsztacie salonu motocyklowego w centrum handlowym nieopodal klubu Bandytów. Miejmy nadzieję, że taki młody zbik jak ty nie będzie miał trudności z zakumplowaniem się z innymi młodymi motocyklistami trzymającymi się na obrzeżach gangów Monster Bunch i Psów Wojny.

- Oba te gangi przyjmują znacznie młodszych członków i o wiele łatwiej dostać się do nich niż do samych Bandytów - wyjaśnił Neil. - Jednak lepiej będzie, jeśli zamiast na siłę starać się o przyjęcie do klubu, skoncentrujesz się na najbardziej szemranych typach z klubowego towarzystwa. Wiem na pewno, że niektórzy z tych młodziaków zarabiają kasę, wykonując brudną robotę dla Bandytów: rozprawdzają w swoich szkołach zioło albo robią za kurierów, kiedy trzeba pojechać pociągiem do Londynu czy Manchesteru i dostarczyć klientowi pistolet.

- Jasne - powiedział James. - Jest szansa, że będę miał czas wstąpić do gangu?

Neil pokręcił głową.

- Puściliśmy już w ruch sprawę z zamówieniem. Nasz podstawiony kupiec powie, że ma kłopoty z gotówką, i opóźni zakup o kilka tygodni, ale nie możemy pogrywać z Dusikotkiem

przez wieczność. Twoje zadanie to zdobyć informacje w jak najkrótszym czasie. Jeśli to nie zadziała, przerywamy całą operację.

Ross podjął opowieść.

- Laura i Dante zaatakują problem z innej strony, poprzez syna F.iihrera Joego. Zadanie Dantego to zostać jego najlepszym kumplem.

- Znowu - mruknął Dante. - Był moim przyjacielem przez całe lata.

Ross skinął głową.

- Zadanie Laury jest podobne, z tym że mamy nadzieję, iż przyciągnie uwagę Joego jako potencjalny materiał na jego dziewczynę.

- Chyba że to gej. - James wyszczerzył się złośliwie.

- A wtedy to Dante będzie musiał się z nim...

- Błeee, ohyda! - jęknął Dante.

- James, bądź poważny! - zirytowała się Chloe.

- No dobra, poważne pytanie - uśmiechnął się James.

- Wiemy, że Fiihrer to zbrodniarz, któremu od lat udaje się unikać kłopotów. Kiedy zabił całą rodzinę Dantego, nawet nie stanął przed sądem. Skąd pewność, że jego nastoletni synek będzie w ogóle cokolwiek wiedział o brudnych sprawkach Bandytów?

Odpowiedział Neil.

- Wiemy, że Fiihrer jest blisko ze swoim młodszym synem. Kto wie, może mały rozpuści jęzor, jeśli da mu się parę piwek. Albo może chłapnie coś, czego nie powinien, próbując zaimponować dziewczynie.

- Warto spróbować - skinęła głową Laura. - A co z nadzorem elektronicznym? No wiecie, jeśli wejdziemy do domu Fiihrera albo siedziby klubu, to będziemy podrzucać pluskwy i tak dalej?

Ross pokręcił głową.

- To nic nie da. Mamy tam podsłuch już od dwóch lat. Bandyty porozumiewają się szyfrem, kiedy rozmawiają przez telefon albo mają spotkanie w siedzibie, a wszystkie newralgiczne sprawy omawiane są twarzą w twarz, zwykle na jakiejś otwartej przestrzeni i bez świadków. W skrócie tak wygląda wasza misja. Mieliśmy nadzieję, że Neilowi uda się wniknąć w organizację Bandytów na znacznie wyższym poziomie, niż wy będziecie w stanie, ale nie udało się. Nie będę udawał, że nasze szanse powodzenia są wielkie, ale mam ogromną nadzieję, że podejmiecie to wyzwanie, ponieważ Bandyty z South Devon sprowadzają do kraju całą masę broni. Uważam, że nawet dwudziestoprocentowa szansa jest warta ryzyka, ponieważ ta broń zabija ludzi na ulicach. Chloe pokiwała głową z aprobatą.

- Nie wiem, czy wasza trójka czytuje w ogóle jakieś gazety, ale przestępstwa z użyciem broni wśród młodzieży stają się plagą brytyjskich miast.

- Ja w to wchodzę, dobrze wiecie - powiedział Dante, wzruszając ramionami.

- Ja też - dodał James.

- Laura? - zapytała Chloe.

Laura wciąż myślała o swojej kłótni z Ratem. Bardzo chciała pojechać z nim do ośrodka letniego, a z drugiej strony, nawet jeżeli naprawdę troszkę flirtowała z Dantem, Rat przegiał ze swoją reakcją.

- Przepraszam - powiedziała po chwili, otrząsając się z zamyślenia. - Jestem wykończona po treningu. Biorę tę misję, oczywiście.

18. SALCOMBE

Chloe potrzebowała trzech dni, by załatwić kwatery w Salcombe i dograć organizacyjne detale misji.

Był niedzielny poranek. James klęczał w swoim pokoju, przetrząsając spakowaną torbę, by mieć pewność, że niczego nie zapomniał, kiedy na progu stanęła Kerry, żeby się pożegnać. W jej głosie pobrzmiwał smutek i James uznał, że to dobry moment, by przekonać się, dokąd zmierza ich związek.

- Ta misja jest ściśle związana z kontrolowanym zakupem broni, który policja już puściła w ruch - wyjaśnił, odkrywając z ulgą, że jego iPod spoczywa bezpiecznie w bocznej kieszeni. - Nie wydaje mi się, żeby potrwiała dłużej niż miesiąc czy dwa. A w ogóle to ostatnio nieźle się nam układało, nie sądzisz?

Kerry roześmiała się.

- Zawsze tak jest, dopóki nie zaczniemy ze sobą chodzić.

James zamknął suwak bocznej kieszeni i wstał.

- No, ale teraz jesteśmy starsi. Próbowaliśmy też szczęścia z innymi. Wiem, że zrywaliśmy ze sobą już dwa razy, ale moim zdaniem miało to więcej wspólnego z tym, że byliśmy młodzi i niedojrzali, niż z czymkolwiek innym.

Kerry podeszła tak blisko, że jej nos prawie dotknął jego podbródka. Było jeszcze wcześniej i miała na sobie tylko koszulkę i luźne szorty w których spała. Jej zapach był podniecający i przez głowę Jamesa przebiegły wizje, w których rzucał ją na łóżko, zdzierając spodenki, ale Kerry złamałaby mu kark, gdyby źle ocenił jej sygnały, więc poprzestał na ostrożnym pocałunku w usta.

Po trzydziestu sekundach spędzonych w wilgotnym zwarciu połączonym z satysfakcjonującym miętoszeniem pośladków James poczuł, że jest odpychany. Stanęli naprzeciwko siebie, ciężko oddychając i mierząc się badawczymi spojrzeniami.

- Dlaczego przestałaś? - przełamał milczenie James.

Kerry wzruszyła ramionami.

- Nie wejść w to akurat wtedy, kiedy wyjeżdżasz - powiedziała obojętnym tonem. -

Zwłaszcza przy twojej reputacji.

-Jakiej niby reputacji? - zdumienie Jamesa było niemal szczere.

- Reputacji kolesia rzucającego się z jęzorem i łapami na każdą dziewczynę, jaka znajdzie się w polu jego widzenia

- odpowiedziała Kerry zaczepnym tonem. - Kiedy wrócisz, możemy pogadać o odnowieniu naszego związku.

-Czyli uważasz, że powinniśmy? - zapytał James.

- A co, jeśli wyślą cię na misję, zanim zdążę wrócić?

- Właśnie o to mi chodzi - powiedziała powoli Kerry.

- Nie chcę zaczynać jakiegoś wielkiego związku długodystansowego. Nie chcę, żebyś mnie zdradził, i nie chcę zdradzić ciebie. Nigdy nie wiadomo, mogą mnie wysłać na roczną misję, na której jakiś opalony, nieprzyzwoicie bogaty ogier zwali mnie z nóg swoim urokiem.

- To przecież ja - wyszczerzył zęby James. - Jestem opalony, niezły ze mnie ogier i możesz mnie mieć tu i teraz. Założę nawet dureksa, jak ładnie poprosisz.

Kerry wiedziała, że James nie mówi poważnie, i parsknęła śmiechem.

-James, może i jesteś słodki pod pewnymi względami, ale męczyzna moich marzeń nie ma syfa wielkości truskawki na karku.

- To hormony - stropił się James, nieświadomie drapiąc się w szyję. - Po prostu znak, że aż kipię męskością.

- Możesz to nazywać męskością, ale dla mnie to po prostu ropna wydzielina - odparła Kerry, po czym dała Jamesowi szybkiego całusa i podeszła do drzwi. - Muszę iść, prowadzę trening juniorów w dojo o wpół do dziewiątej. Życzę udanej misji. Napisz esa, okej?

- Oczywiście - zapewnił James, czując ukłucie żalu, kiedy Kerry znikła na korytarzu. Zamknął drzwi kopniakiem, po czym porwał linijkę z biurka. Wzniósł ją wysoko przed sobą i stanął przed lustrem na drzwiach szafy, na szeroko rozstawionych nogach. Wypchnąwszy biodra do przodu, przemówił głębokim basem:

- Na moc, jaką tchnęła we mnie wielka bogini Helisa, przysięgam, iż nastąpi dzień, w którym posiadę cudne dziewczę Kerry Chang!

Natychmiast poczuł się jak ostatni dureń i zaśmiał się z własnej głupkowatości, ale wciąż chichotał pod nosem, kiedy pięć minut później taszczył swoje torby w stronę windy.

Dante został blondynem, a nieznacznie posiwiła Chloe przygotowała sobie przed misją kompletną garderobę dystyngowanej mamy.

Chloe i troje nastolatków odbyli trwającą pół dnia podróż w komfortowym wnętrzu rangę rovera. James otrzymał prawo jazdy na czas misji i mimo protestów Laury - przysięgającej, że jej brat prowadzi fatalnie i że na pewno ich wszystkich pozabija - Chloe pozwoliła mu poprowadzić na ostatnim odcinku trasy, po tym jak zjedli lunch w ogródku bardzo przyjemnego przydrożnego baru za Bristollem.

Ich nowym domem była nowoczesna, czterosypialniowa willa, dwadzieścia minut drogi od plaży i centrum Salcombe. Bogate nadmorskie miasteczko turystyczne pękało w szwach o tej porze roku i Biuro Pilnych Relokacji Służb Bezpieczeństwa musiało wydać niewielką fortunę na wynajęcie domu i wyposażenie go w sposób pasujący do legendy agentów.

Nazwisko rodziny brzmiało Raven. Chloe Raven była trzydziestosiedmioletnią rozwódką, która wyniosła się z Londynu od zamożnego męża pracującego w City4. Jej siedemnastoletni syn James Raven był uczniem liceum, zaś Laura Raven chodziła do drugiej klasy gimnazjum. Aby uniknąć zbieżności z prawdziwą tożsamością, Dante został Johnem Ravenem, bratem bliźniakiem Laury.

James był najstarszy, więc zobowiązał się zanieść walizki Laury i Chloe do sypialni na piętrze.

- Walizka- jaśnie pani - oznajmił teatralnym tonem, wchodząc do pokoju Laury i zastając ją wyciągniętą na nagim materacu.

Jego siostrze przypadł obszerny pokój z balkonem wychodzącym na estetycznie zaprojektowany ogród.

-Ta... - chrząknęła Laura i poskrobała się pod pachą.

-Wszystko w porządku? - zapytał James. - Przez cały dzień prawie się nie odzywasz.

- Mam doła - oznajmiła Laura dramatycznym tonem.

James nie widział jej tak przygnębionej od czasu, kiedy zmarła ich mama.

- Jakoś to rozwiążecie z Ratem - powiedział, starając się mówić pogodnie, ale nie nazbyt pogodnie.

Laura usiadła gwałtownie.

*4 The City - finansowo-handlowa dzielnica Londynu (przyp. tłum.).*

- A skąd ci przyszło do głowy, że chcę cokolwiek rozwiązywać? Zachował się jak zazdrosny palant.

James wyszczerzył zęby radośnie.

- Wcale się nie dziwię. Po tym jak łąsiłaś się do Dantego...

- Wcale się nie łąsiłam! - oburzyła się Laura. - Wy, faceci, jesteście wszyscy tacy sami. Otwarcie ślinicie się do ładnych lasek, wieszacie sobie na ścianach zdjęcia cyców wielkości futbolówek, a jak dziewczyna któregoś odezwie się do kogoś innego, to od razu zdzira, tak?!

James chciał tylko być miły i nie miał zamiaru angażować się w problemy miłosne siostry.

- Dobra, nieważne - powiedział zgaszony. - W każdym razie jestem pewien, że jakoś się to rozwiąże, w ten czy inny sposób.

Laura cmoknęła pogardliwie i skrzyżowała ręce na piersi, patrzyła złym wzrokiem, jak jej brat wycofuje się z pokoju. Na parterze przy schodach leżała druga torba Laury, ale James zawahał się; nie miał ochoty taszczyć jej na górę tylko po to, by zebrać kolejną porcję batów.

- Fajna chata, nie? - zagadnął Dante, wnosząc do holu lodówkę turystyczną z jedzeniem. - Widziałeś swój motor, James? Całkiem przyjemny sprzęt.

- Motocykl! - wypalił James w podnieceniu. - Zapomniałem! Gdzie on jest?

- W garażu - odpowiedział Dante. - Chloe zaparkowała tuż obok.

James wybiegł przez frontowe drzwi, prawie zderzając się z Chloe niosącą wielką torbę wypełnioną parasolkami i kaloszami.

- Mogę się przejechać? - wyrzucił z siebie pospiesznie.

- Właśnie miałam zaparzyć herbatę. Nie masz ochoty na podwieczorek?

- Tylko pięć, dziesięć minut, żeby wyczuć sprzęt - jęknął błagalnie James.

- No dobrze, jedź - uśmiechnęła się Chloe. - Włóż kask i jedź powoli, dopóki nie nabierzesz wprawy! - zawołała za odbiegającym już chłopcem.

Weszła do domu, zanosząc się śmiechem.

- Co cię tak bawi? - zainteresował się Dante.

- Wy, nastolatki - odpowiedziała Chloe. - W jednej chwili James zgrywa chłodnego i opanowanego, a w następnej piszczy z radości jak sześciolatek w gwiazdkowy poranek.

- Kocha te swoje motory - stwierdził Dante, nadstawiając ucha na terkot małego silniczka, który właśnie obudził się do życia w garażu.

Podczas misji w Ameryce przed trzema laty James miał okazję jeździć różnymi motocyklami, Terry Campbell pozwalał mu na krótkie przejażdżki po kampusie, zaś w ciągu minionych sześciu dni przeszedł intensywny kurs jazdy na prawdziwych drogach. Ale dopiero teraz James po raz pierwszy doświadczył poczucia wolności, jakie daje jazda na własnym motocyklu.

Mała honda dwieściepięćdziesiątka miała już kilka lat i tylko dwadzieścia dwa konie mechaniczne, ale żeby jeździć czymś mocniejszym, musiałby skończyć dwadzieścia jeden lat, a zresztą leciutka maszyna i tak rozpędzała się żwawiej niż większość samochodów i bez trudu wyciągała sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Co więcej, James miał doświadczenie z większymi motocyklami i teraz odkrywał, że zwinna dwieściepięćdziesiątka pod wieloma względami daje o wiele większą frajdę niż wielkie bestie, na jakich jeździły gangi w rodzaju Bandytów.

James podjechał w górę łagodnego wzniesienia. Luksusowe domy po obu stronach drogi należały do tego samego osiedla dla bogaczy co ich willa. Uliczka była ślepa, więc James zawrócił i jadąc z góry, rozpędził się do osiemdziesiątki, minął swój dom i wyjechał na szosę.

Przejechał prawie kilometr, utknął za kamperem trzymającym równe pięćdziesiąt na godzinę. Główna droga wiodąca do centrum Salcombe była zapchana samochodami, więc zjechał na trawiaste pobocze i zawrócił.

Wracając, zwrócił uwagę na rozległą działkę z niegu-stownym domem o ścianach imitujących mur pruski i wolno stojącym potrójnym garażem. Rozpoznał posesję z policyjnej fotografii, ale nie skojarzył, że to dom Fiihlera, dopóki nie ujrzał jego nazwy - Orle Gniazdo - wypisanej ciężką gotycką czcionką na drewnianym znaku.

Wypatrzywszy lukę w strumieniu aut, zjechał na pobocze, by zerknąć na podwórko człowieka, który był celem ich operacji. Stał tam zardzewiały niemiecki czołg lekki z drugiej wojny światowej, z armatą wycelowaną w ulicę, oraz tablica z napisem: „Strzelamy do intruzów”.

- Subtelnie - mruknął James do siebie, po czym odkręcił gaz i pomknął do domu. Wieczór był ciepły. Chloe nie miała ochoty na gotowanie kolacji po długiej podróży, więc pojechali do miasta. Patrząc na ulice Salcombe przez okna rangę rovera, Dante oddał się wspomnieniom. Widział niskie murki i skrzynki pocztowe, zza których wyskakiwał, by przestraszyć mamę, kiedy był mały. Pamiętał piekarnię, w której kupowała bułki z kiełbaskami i pączki, a nawet rozpoznał kilka starszych jachtów kołyszących się na przystani. Droga, która niegdyś wiodła do siedziby klubu Bandytów, nie zmieniła się. Dantemu ścisnęło się gardło, kiedy uświadomił sobie, że po raz ostatni był tutaj w noc, kiedy zamordowano jego rodziców.

- Wszystko z tobą w porządku, Dante? - zatroskała się Laura.

- Wspomnienia. - Dante wzruszył ramionami. - Nic, czemu nie dałbym rady.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli zaczniesz mówić do niego John - powiedziała Chloe. - Możemy zawrócić, jeżeli to dla ciebie zbyt wiele.

Dante potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Chcę być tutaj i wykonywać swoją robotę, a nie tłuc się po domu i zadreć bez sensu.

Miejsce dawnej bramy siedziby Bandytów zajmowała teraz łukowata betonowa rampa prowadząca do miejsc parkingowych za i pod długim dwupoziomowym kompleksem handlowym o nazwie Marina Heights. Na poziomie ulicy ciągnęła się szeroka promenada opatrzona zakazami jazdy na rowerach i deskorolkach, wypełniona tłumem wieczornych spacerowiczów. W tuzinie eleganckich sklepów handlowano takimi rzeczami, jak: akcesoria jachtowe, deski surfingowe i designerski sprzęt turystyczny.

Ostatni i największy sklep nosił nazwę Skóra i Chrom. Za jego szklanym frontem urządzono wystawę ekskluzywnych custom-bike'ów. Ludzie o mniej zasobnych portfelach mogli tam kupić rozmaite gadzety, od miniaturowych modeli motocykli po albumy i układanki z motocyklami. Koszulka suportera Klubu Motocyklowego Bandytów kosztowała dwadzieścia pięć funtów, były też klubowe kubki, podstawki pod drinki, breloczki i pluszowe misie w skórzanych kurteczkach. James pojechał na hondzie i dotarł na miejsce przed pozostałymi. Kiedy zaparkowali, Laura zastała go zapatrzonego przez szybę na czoper Arlena Nessa za dwadzieścia osiem tysięcy funtów, wykończony zielonym metalicznym lakierem, z siodełkiem zaledwie pół metra nad ziemią i wystrzelonym do przodu widelcem nadającym maszynie cztery metry długości.

- Tak myślałam, że cię tu znajdę - powiedziała wesoło. - Czy mi się zdaje, czy ten motor nie jest straszliwie praktyczny?

James wyszczerzył radośnie zęby.

- To prawda, w korku byłby upierdliwy.

- Nie chciałam tak na ciebie wcześniej najeżdżać - powiedziała Laura. - Przepraszam.

- E tam. - James wzruszył ramionami. - Nie można oczekiwać, że mały kobiecy mózdzek będzie działał racjonalnie przez cały czas.

- Kupa śmiechu, naprawdę - odparła Laura z przekąsem. - Czekać no, sprawdzę boki, bo chyba mi się naderwały. Chloe sprawdziła w Internecie i podobno tapas bar na górze jest całkiem niezły.

Na obu końcach galerii sklepów były schody prowadzące na dziedziniec pierwszego piętra z fontanną na środku i szeregiem restauracji za nią. Po jednej stronie zgrupowano bardziej eleganckie lokale pełne gości w garniturach i krawatach, zjadających oliwki i przyglądających się jachtom. Po drugiej stronie mieściło się amerykańskie, wąskie jak tramwaj bistro w stylu lat pięćdziesiątych oraz rząd stoisk, w tym barek z sokami i pączkarnia.

- Martin Donnington - powiedział cicho Dante, rozpoznawszy najstarszego syna Fiihlera pracującego za ladą stoiska z naleśnikami. - Kiedy ostatnio widziałem tę twarz, zrobiłem z niej miazgę na ringu bokserskim.

Laura i James pokiwali głowami.

Podczas gdy Chloe poszła do tapas baru sprawdzić, czy są wolne stoliki, troje nastolatków ruszyło przez dziedziniec, rozglądając się ciekawie po okolicy. Po ich lewej stronie wznosił się sześciopiętrowy luksusowy apartamento-wiec Marina View. Jego klimatyzowane, wyposażone w tarasy mieszkania należały do najbardziej pożądaných rezydencji w jednym z najdroższych nadmorskich miast w kraju.

- Widać, dlaczego Fiihlerowi tak zależało, żeby to zbudować - powiedział James. - Musiał zarobić miliony.

Dante uznał komentarz kolegi za mało taktowny, ale w głębi duszy sam myślał podobnie. Może gdyby jego tata nie sprzeciwił się budowie, wciąż mieszkaliby tutaj. Jego rodzice i rodzeństwo żyliby nadal, a na dokładkę pewnie byłiby bogaci.

Troje cherubinów dotarło w końcu na tylny kraniec dziedzińca, skąd rozpościerał się mniej atrakcyjny widok na parking na dole oraz śmietniki za sklepami i restauracjami. Za samochodami stał brzydki jednopiętrowy ceglany blok z ogromnym neonem w kształcie godła Bandytów. Nad głównym wejściem wisiała plastikowa tablica z napisem: „Cokolwiek wydarzy się w tym klubie, zostaje w klubie”.

- Co najmniej czterdzieści minut - oznajmiła Chloe, odnalazłszy dzieci. - Czekamy na stolik czy idziemy do bistra? Możemy też po prostu skoczyć na pączki, jeżeli nie jesteście jeszcze zbyt głodni po lunchu.

- Po tej stronie jest mnóstwo dzieciaków - zauważyła Laura, patrząc na grupę osobników mniej więcej w jej wieku kręcących się nieopodal, przy schodach na końcu dziedzińca. Większość była w plażowych szortach, w butach do surfingu lub bosy, ktoś nawet zataszczył na górę swoją deskę z plaży.

James zafiksował wzrok na nieco starszej dziewczynie opierającej się o poręcz trochę na uboczu. Była odwrócona tyłem, więc nie widział jej twarzy, ale wiatr łopotał jej długą sukienką, pokazując, że ma całkiem kształtną figurę.

- Laura ma rację, lepiej tu zostajmy - powiedział szybko. - Pokażemy twarze, obczaimy, kto jest kto...

- W porządku - powiedziała Chloe. - To ja pokręcę się z godzinkę po sklepach. Może zajrzę do tej włoskiej knaj-py, wyglądała na mniej zatłoczoną niż ten tapas bar.

To powiedziawszy, Chloe odwróciła się i zaczęła odchodzić, ale James i Laura ruszyli za nią, hałaśliwie kaszląc.

- Zapominasz o swoich matczynych obowiązkach - wyszczerzył się James.

Chloe roześmiała się, po czym wyjęła z portmonetki trzy dwudziestofuntowe banknoty i wręczyła po jednym każdemu z podopiecznych z prośbą, by nie wydali wszystkiego od razu.

Laura i Dante ruszyli w ślad za grupą młodych surferów, którzy poszli posilić się w bistrze, zaś James skierował swe kroki prosto ku długowłosej dziewczynie w sukience.

- Hej, piękna - zagadnął. - Gdzie byłaś przez całe moje życie?

Dziewczyna odwróciła się i uśmiechnęła z rozbawieniem. James odetchnął, widząc, że jej twarz dorównuje widokowi z tyłu.

- Kurczę, powalający tekst - powiedziała. - Jeszcze nigdy tego nie słyszałam.

- Sorka - stropił się James, ale zaraz uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Trochę głupio wyszło, nie? Jestem James. Dopiero co przeprowadziliśmy się z Londynu i nikogo tu nie znam, a ty wyglądałaś na samotną...

- Ashley - powiedziała dziewczyna, podając Jamesowi smukłą dłoń do uściśnięcia. - Fajny masz akcent. Prawdziwy z ciebie cockney.

- No, żeby nie - skinął głową James. - Sól tej ziemy, pani. Londyńczyk z dziada pradziada; ojciec mnia śmieci ta-chał na East Endzie, 'arakterny był z niego 'erbatnik i tak dalej. No więc jak to się stało, że taka ładna dziewczyna stoi sobie samotnie i gapi się na morze?

Ashley roześmiała się.

- Czekam, aż mój chłopak zaparkuje samochód.

- Aj... - zacukał się James. - To może uciekniemy gdzieś razem, zanim tu przyjdzie?

Ashley znów parsknęła śmiechem.

- Przepraszam, głupek ze mnie - powiedział James. - Chodzisz do liceum?

Ashley kiwnęła głową.

-A znasz Crossroads? - ciągnął James. - Mam się tam jutro zgłosić i zarejestrować na kursach.

Ashley skinęła głową jeszcze raz.

- Też tam chodzę. Szczerze mówiąc, to jedyne liceum w okolicy, jeśli nie liczyć paru prywatnych szkół dla bogaczy.

- Myślałem, że tu wszyscy są bogaci.

- Niezupełnie - odparła Ashley. - Większość domów nad zatoką i w centrum to letnie rezydencje ludzi, którzy normalnie mieszkają w Londynie czy gdzieś. Ale mamy paru tutejszych bogaczy, jak każde inne miasto. Rodzice Julka są dość nadziani. Jego ojciec jest sędzią; mieszka tam, w Marina View.

- Ten Julek to twój chłopak?

Ashley skinęła głową.

- O, właśnie idzie po schodach.

James wyjrzał za barierkę i z zadowoleniem skonstatował, że nie będzie musiał na siłę doklejać się do pary: Julian należał do grupy złożonej z pięciu dziewcząt i trzech chłopców.

- Idziemy posiedzieć w bistrze - oznajmiła Ashley, kiedy otoczyli ją przyjaciele. - Będzie raczej nudno, a żarcie mają podłe, ale jak chcesz, to chodź z nami.

James skinął głową, a wysoki kędzierzawy Julian pochylił się nad Ashley, by ją pocałować. Na zgiętym palcu po-dzwaniały mu kluczyki od fiata.

- Hej, Ash - zamruczał lubieżnie. - Sorry, że tyle to trwało; jakiś palant parkował chyba z dziesięć minut i zrobiła się kolejka na miłę.

- Julian, to jest James - powiedziała Ashley. - Dopiero co się sprowadził, a jutro zapisuje się do Crossroads. James, idziesz z nami do knajpy, prawda?

- Jeśli nie będę zawadzał - wzruszył ramionami James.

Trudno było nie zauważyć, że James startował do Ash-ley, i Julian nie był zachwycony.

- Hej, James - rzucił sucho i spojrzał na swoją dziewczynę. - Zawsze musisz ściągnąć jakiegoś przybłądę, Ash?

Kiedy James ruszył za grupą w stronę baru, Julian objął Ashley w pasie, żeby wyraźnie zaznaczyć, czyją jest własnością.

## 19. HEJ

### Poniedziałek

Salcombe obudziło wiele starych wspomnień, ale na widok Joego Dantego po prostu zatkało. Byli kumplami od czasu, kiedy biegali jeszcze w pieluchach, aż do nocy morderstwa Scottów. Dante często się zastanawiał, jaka byłaby reakcja Joego na wiadomość, że jego ojciec zabił rodzinę jego najlepszego przyjaciela.



We wczesnym okresie po morderstwie Dante marzył nawet, że Joe stanie u jego boku i potwierdzi historię o tym, jak został zmuszony do pobicia Martina na ringu. W rzeczywistości nigdy tego nie oczekiwał. Joe ubóstwiał swojego tatę, a nawet gdyby tak nie było, musiałby być niespełna rozumu, by pójść na policję wbrew woli Fihrera.

Trzynastoletni Joe był ewidentnie starszą wersją chłopca, którego Dante znał z dawnych lat, co napełniło go paranoicznym lękiem, że ktoś przejrzy jego fałszywą tożsamość mimo zapewnień ekspertów CHERUBA, że cztery lata, nowe nazwisko, akcent i zmiana koloru włosów zupełnie wystarczą.

Szkoła nie wymagała mundurków, więc każdy krąg towarzyski ubierał się według własnego stylu. Joe zadawał się z grupą nadętych przystojniaków w koszulkach polo designerskich marek, workowatych krótkich bojówkach albo džinsach uzupełnionych obuwem Vans lub Converse. Dante podejrzewał, że jego oldschoolowa koszulka Adidasa i džinsy Diesel uszłyby w tłoku, niestety, nie trafił nawet do klasy Joego, ponieważ mimo nacisków Chloe szkoła za nic w świecie nie chciała odstąpić od zasady rozdzielania rodzeństw do różnych klas.

I tak podczas gdy Dante sterczał samotnie w świetlicy drugoklasistów, próbując nie dać po sobie poznać, że obserwuje chłopców wokół Joego w nadziei, że któryś z nich będzie w jego klasie, Laura mogła zastosować podejście bezpośrednie. Udała zdezorientowaną, a potem podeszła do jednej z dziewczyn siedzącej ze skrzyżowanymi nogami na ławce na obrzeżach grupy Joego.

- Przepraszam - powiedziała, wyciągając przed siebie plan lekcji, który dostała w gabinecie opiekuna rocznika piętnaście minut wcześniej. - Jestem w drugiej C i pan Brankin powiedział, że najprościej będzie złapać kogoś z klasy, żeby pomógł mi trafić do naszej sali.

- Ja jestem w drugiej C - skinęła głową dziewczyna, bawiąc się włosami. - Jestem Anka. Fajne masz buty.

- Laura - przedstawiła się Laura z uśmiechem. - Na Co-vent Garden jest supersklep. Mają wszystkie limitowane serie nakówek i rzeczy, jakich nie uświadczysz w sieciówkach.

Chłopcy wokół Joego bardziej niż butami Laury byli zainteresowani jej piersiami i gołymi nogami i choć czuła się nieswojo ze świadomością, że wszyscy taksują ją wzrokiem, był to dokładnie ten efekt, na jaki liczyła, zakładając superkrótkie szorty i obcisłą bluzkę na ramiączkach.

Wszyscy w grupie przyglądali się jej z zaciekawieniem. Dziewczyna i dwaj chłopcy przesunęli się nieco w tył, umożliwiając Laurze dołączenie do kręgu. Kilkoro dzieci, w tym Joe, przedstawiło się, inni poprzestali na drobnych gestach powitalnych, takich jak skinienie głowy czy szybkie pokazanie dłoni.

Chłopiec stojący za Laurą był najwyższy ze wszystkich. Przygarbiony zwiślał nad brzegiem grupy i choć sam nie zabierał głosu, śmiał się nienaturalnie głośno z komentarzy co popularniejszych kolegów, czyniąc boleśnie widocznym fakt, że nie tyle należy do towarzystwa, ile próbuje się do niego wkupić. Wyczuwając sposobność zabłyśnięcia tanim żartem, zaoferował Laurze uścisk dłoni, który przyjęła podejrzliwie.

- Cześć, poznaj Chrisa - powiedział chłopak, mówiąc głośno, by wszyscy go usłyszeli. - Włożyć ci penisa?

Chłopcy wybuchnęli histerycznym rechotem, a dziewczyna imieniem Jane kopnęła Chrisa w kostkę i nazwała świnią. Laura w pierwszym odruchu chciała wyrwać dłoń z uścisku i zasypać kolesia obelgami, ale była doświadczoną agentką CHERUBA i scenariusz zaprzyjaźniania się z obcymi dziećmi odgrywała wystarczająco często, by rozpoznać nadarzącą się okazję.

Wyswobodziwszy dłoń, Laura mocnym pchnięciem odsunęła Chrisa od siebie i porwała plecak stojący na podłodze między jego nogami. Zerknęła na zewnątrz, by upewnić się, że na dole nikogo nie ma, po czym z rozmachem cisnęła plecak przez otwarte okno.

- Jesteś psem - wykrzywiła się zawadiacko, podczas gdy Chris odzyskiwał równowagę. - Aport!

Chris wytrzeszczył oczy na Laureę.

- Suka! - wypalił z furią. - No i po co to zrobiłaś?!

Gang jednak śmiał się już z niego, a nie z nim, i nie było sposobu na odegranie się na dziewczynie na środku zatłoczonej świetlicy. Z buraczkową twarzą ruszył do wyjścia ewakuacyjnego, by zgarnąć plecak, zanim padnie łupem kogoś innego.

- Niezły ruch! - zawołała Jane triumfalnie.

Anna uśmiechnęła się szeroko do Laury.

- Prosił się o coś takiego przez cały rok.

Kiedy Chris wrócił z plecakiem na ramieniu, Joe jakby zapomniał, że śmiał się z tekstu o penisie równie głośno jak inni.

- Może pójdziesz sprawdzić, czy nie ma cię za drzwiami? - zaproponował kwaśnym tonem. Choć Chris górował wzrostem nad wszystkimi, to Joe był samcem alfa i pozostali chłopcy zwarli szyki tak, by intruz nie miał gdzie stanąć.

- I tak miałem iść do kibla przed rejestracją - mruknął Chris żałośnie i wyszedł.

Dante wciąż stał na uboczu i Laura uzmysłowiła sobie, że ma szansę na wprowadzenie go do grupy, skoro już zaskarbiła sobie jej przychylność.

- John, chodź tutaj! - zawołała do niego, po czym spojrzała na Annę i Jane. - A to jest mój młodszy braciszek.

Dante stanął przy ławce obok Anny i uśmiechnął się.

- Ale jak możesz być młodszym bratem Laury, skoro oboje chodzicie do drugiej? - zapytała Anna.

- Bliźniaki - wyjaśnił Dante. - Jestem o szesnaście minut młodszy.

- Fajny masz akcent, taki irlandzki - powiedziała Jane. - Dlaczego ona tak nie mówi?

- Wywalili mnie z mojej starej budy w Londynie, więc papa wykopał mnie do jakiejś dziury z internatem w Irlandii. Byłem tam dwa i pół roku.

Dante spostrzegł, że inni chłopcy patrzą w jego stronę. Joe zmrużył oczy.

- Wyglądasz jakby znajomo - zauważył. - Znamy się?

Dantemu zabiło serce

- A mieszkałeś kiedyś w Londynie? - zapytał.

Joe potrząsnął głową.

- W życiu. Po prostu wyglądasz jak jeden chłopak, którego znałem. Ale tamten był rudy i raczej nie pokazałby twarzy w tych stronach.

Kilka chwil później zabrzmiał dzwonek na lekcję. Dante z zadowoleniem zauważył, że Jane i dwaj chłopcy zmierzają do jego klasy. Zwolnił trochę, by poczekać na Laureę, i zanim się rozstali, szepnął jej do ucha:

- Sprawna robota, siostró.

- Odpręż się i bądź pewny siebie - powiedziała Laura, kiwając głową. - Nie naciskaj, spraw, żeby to oni chcieli się z tobą zaprzyjaźnić, a nie widzieli, że jest odwrotnie.

Dante przeszedł te same szkolenia co jego niby-siostra i już miał powiedzieć, że na jej miejscu zrobiłby to samo, ale powstrzymał się. Musiał przyznać, że Laura po mistrzowsku wykonała swoje zadanie, integrując się z najpopularniejszymi dziećmi z ich rocznika, jeszcze zanim usłyszeli pierwszy dzwonek.

James musiał zapisać się na kursy maturalne w liceum Crossroads. Aby ułatwić sobie życie, wybrał matematykę i fizykę, które miał już zdane, po czym przenudził się przez test

wyrównawczy - mający sprawdzić, na jakim jest poziomie w stosunku do innych uczniów - celowo zawałając kilka zadań, żeby nie wyjść na zbytniego mądrą.

W porze lunchu wyszedł na boisko i odszukał grupę dzieci, z którymi poprzedniego wieczoru szwendał się po Marina Heights. Siedzieli na trawie wokół wielkiego drzewa, z przyniesionymi z domu sałatkami lub kanapkami, i nabijali się z Jamesa, który jako jedyny jadł podejrzenie oklapłego burgera i zimne frytki ze stołówki.

Specjalnie usiadł obok Ashley i uśmiechał się do niej słodko, kiedy tylko jej chłopak Julian patrzył w ich stronę. James nie pałał do niej szczególnym afektem, ale był atrakcyjnym młodzieńcem i lubił wykorzystywać swoje walory, a wkurzanie Julka sprawiało mu szczególną frajdę. Natomiast z punktu widzenia misji znacznie bardziej interesujący był przyjaciel Juliana Nigel.

Chociaż było ciepło, Nigel nosił glany i skórzaną kurtkę. Szkoła leżała pod miastem i dzieci, które nie chciały czekać na autobus albo rodziców, potrzebowały własnego środka lokomocji. Na parkingu królowały prastare Citroeny i Fordy, kilkoro uczniów mieszkało dość blisko, by dojeżdżać do szkoły na rowerze, a wydzielony obszar zarezerwowano dla motocykli i skuterów. Dwieściepięćdziesiątka Jamesa nie mogła zrobić wrażenia na motocyklistach formatu Bandytów, ale na szkolnym parkingu prezentowała się imponująco w otoczeniu motorowerów i tanich, chińskich i indyjskich skuterów. Po lunchu pod drzewem James wszedł między jednoślady, by pokazać Nigelowi swoją hondę.

Nigel poznał Jamesa z chłopcem o imieniu Ben, posiadaczem sześćsetcentymetrowego kawasaki. Ben chodził do wyższej klasy. Za rękawem koszulki trzymał paczkę papierosów, miał trójkątną brodę i był w towarzystwie swojej wiotkiej jak papier dziewczyny, którą nazywał Daisy.

- Jak ci się udało kupić sześćsetkę? - dopytywał się Nigel. - To chyba nielegalne, co?

Ben był cool, ale nawet w przybliżeniu nie tak bardzo cool, jak lubił o sobie myśleć. Na pytanie Nigela zrobił taką minę, jakby cała sprawa była jakąś mroczną tajemnicą, ale James, który nałogowo czytywał pisma motocyklowe, orientował się w temacie.

- Musisz mieć ograniczniki - powiedział. - Ale ubezpieczenie za sześćsetkę musi być horrendalne.

- Jakie ograniczniki? - zmarszczył brwi Nigel.

- Takie dynkisy w zapłonie i gaźniku zmniejszające moc silnika - wyjaśnił James. - Na nasze prawo jazdy można jeździć najwyżej trzydziestokonnym sprzętem, ale to nie znaczy, że nie można kupić czegoś mocniejszego i tymczasowo założyć ogranicznik.

Nigel spojrział z obrzydzeniem na motocykl Bena.

- Czyli to nie jest szybsze od mojej kozy?

Ben zaśmiał się z wyższością.

- Nowy ma prawie rację, ale nie, mogę się z tobą ścigać o każde pieniądze. Wiesz, ile jechałem tym sprzętem na autostradzie? Dwieście dziesięć.

- Czyli jak, łamiesz prawa fizyki czy co? - zapytał Ben z niedowierzaniem.

Ben wziął się do tłumaczenia.

- Kupujesz motocykl, tak? U dealera zakładasz blokadę, odbierasz zaświadczenie o mocy silnika, a potem prosisz grzecznie mechanika w salonie, a on odkręca kilka śrubek i odblokowuje motor.

- Super - powiedział Neil.

- Tak, super, dopóki nie zgrną cię gliny - ostrzegł James.

Ben wzruszył ramionami.

- Ryzyko zawsze jest, ale jak się trochę pośmiga porządnym przecinakiem jak mój, to te wasze dwieściepięćdziesiątki robią się jak rowerki.

Nigel prychnął kpiąco.

-Tylko który dealer zrobi ci nielegalną przeróbkę?

- Każdy komis motocyklowy - odparł Ben. - A nawet niektóre autoryzowane salony firmowe, jeżeli dasz do zrozumienia, że chętnie zostawiłbyś u nich parę patoli, ale tylko wtedy, jeśli wydadzą atest na zmniejszoną moc, a potem zdejną blokadę.

- Kupiłeś tę kawę w Skórze i Chromie? - zapytał Nigel.

- Jasne - przytaknął Ben.

- Wczoraj zjrzałem do ich salonu - powiedział James. - Same chromy, frędzle i ciężkie krówska po dwadzieścia tysięcy sztuka. Sprzęt dla tłuściochów z niską samooceną i problemami z erekcją.

Nigel roześmiał się.

- To cały problem z drogimi motorami i sportowymi furami: zanim człowiek wzbogaci się na tyle, żeby sobie taki kupić, jest już stary, łysy i wygląda na niej jak przy-głup.

James, Ben i Daisy parsknęli śmiechem, ale śmiech dziewczyny był dziwny. James spojrział w jej szkliste oczy i uznał, że musiała pociągnąć kilka buchów trawki.

- Ten salon jest dla turystów i bogatych snobów z letnich rezydencji - powiedział Ben. - Ale przy siedzibie Bandytów mają warsztat i cały hangar używanych motorków.

- Widziałem wczoraj paru Bandytów - pochwalił się James. - Przeróżające draby.

- Lepiej z nimi nie zadzierać, ale generalnie są w porządku - powiedział Nigel. - Mój starszy brat mówi, że jak ktoś lubi motocykle i przypadnie im do gustu, to stawiają mu drinki przez całą noc.

- Poza tym to świetni mechanicy - dodał Ben. - To znaczy bardziej entuzjaści niż kapitaliści. Jak pójdziesz do Chromu i jesteś dzieciakiem z pasją, chociaż bez kasy, to potraktują cię fair. Załatwią ci przyzwoity sprzęt za przyzwoitą cenę i nie zedrą za serwis.

- Są naprawdę w porządku - powtórzył Nigel. - Zwłaszcza dla mojego brata, bo on należy do Monster Bunch.

- Monster co? - zainteresował się James, choć oczywiście dobrze wiedział, o czym mowa.

- Monster Bunch - wyjaśnił Nigel. - Taki gang motocyklowy. Jeżdżą z Bandytami, ale są przeważnie młodszy, no i dostać się jest z dziesięć razy łatwiej. Mój starszy brat jest członkiem, choć teraz go nie ma, bo siedzi na uniwerku.

- Mój kuzyn jest w Monster Bunch, więc znam tam paru ludzi - powiedział Ben. - Dzięki temu koleś ze Skóry i Chromu dali mi motor na kredyt. Nawet pomogli mi znaleźć pracę, żebym mógł spłacać raty.

- A jak pojedę do nich z moją hondką, to mi do niej zjrzą? - zapytał James.

Ben pokiwał głową.

- Pewno. A co się dzieje?

- Coś z hamulcem - skłamał James. - Jak ją kupiłem, wszystko było okej, ale teraz, kiedy dam mocniej po heblach, przednie koło najpierw prawie nic, a potem nagle załapuje i blokuje się, aż dymi mi z gumy.

Ben zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Dziwne, że ten twój bzykacz jeździ na tyle szybko, żeby zadymić gumę.

- Rozpędzałem ją do stu czterdziestu - ponownie skłamał James. - Nie mam dziś lekcji po południu. Mógłbym przejechać się do Salcombe i zobaczyć, czy jakiś mechanik by jej nie obejrzał.

Nigel spojrział na zegarek.

- Mogę pojechać z tobą, James? Nie mam nic do roboty, a tak może zagadam w sprawie tych blokad czy coś.

Szkołę Jamesa dzieliło od Marina Heights trzydzieści minut jazdy. Nigel jechał przodem, pokazując koledze kilka przyjemnych skrótów wiodących polnymi drogami i ścieżkami wydeptanymi przez łąki. O drugiej w poniedziałkowe popołudnie kompleks handlowy był jak wymarły i chłopcy zaparkowali motocykle na jednym miejscu niemal kompletnie pustego parkingu na tyłach sklepów.

Dwaj młodzieńcy ruszyli z kaskami w dłoniach w stronę warsztatu motocyklowego. Wielkie stalowe śmietniki były przepełnione po weekendzie i wzmocniony upał smród gnijącego jedzenia uderzył ich w nozdrza, kiedy przechodzili pod martwym neonem na klubie Bandytów. James zauważył kamery celujące we wszystkie strony świata, kraty na wszystkich oknach oraz solidne stalowe słupki gotowe zatrzymać każdego, kto próbowałby wtargnąć do klubu, taranując budynek pojazdem.

- Co sądzisz o tych Bandytach? - zapytał James.
- Straszne bandziory - wyznał Nigel. - Mieszkam tu całe życie, ale wciąż trochę robię po nogach, jak widzę któregoś z nich.
- Widziałeś jakieś akcje?
- Ja nie - pokręcił głową Nigel - ale czyta się różne rzeczy w lokalnych gazetach. Parę tygodni temu znaleźli jakiegoś kolesia z głową wgniecioną w chodnik. Jest taki śle-

py punkt, którego nie widzą kamery monitoringu, i tak się jakoś składa, że właśnie tam nieznani sprawcy spuszczają łomot ludziom, których Bandyty nie polubią.

- Czyli lepiej ich unikać? - uśmiechnął się James.
- Z miejscowymi żyją dobrze - powiedział Nigel. - Urządzają nawet charytatywne dni otwarte i różne imprezy w klubie. Po prostu nie wolno ich wkurzać. Szczerze mówiąc, to wolę ich niż takich bikerów pozerów jak Ben.

James zdziwił się.

- Wydawał się całkiem spoko.

Nigel wzruszył ramionami.

- To w sumie fajny facet, pewnie, ale u niego liczy się tylko poza. Image. Spojrzysz na gościa i od razu widzisz, że każdego ranka spędza pół godziny na stawianiu sobie włosków i przystrzyganiu tej kretyńskiej bródki. I zawsze nosi te fajki za rękawem koszulki, jakby myślał, że jest drugim Jamesem Deanem czy kimś.
- Za bardzo się stara - powiedział James.
- Właśnie - skinął głową Nigel. - Prawdziwi bikerzy mają wszystko gdzieś. Palą, ćpają, bzykają puszczałskie laski, jeżdżą na zajebistych motorach i miażdżą każdego, kto im podskoczy. Jak skończę osiemnastkę, mój brat mówi, że załatwi mi członkostwo w Monster Bunch. Może nawet w te wakacje pojedę na swój pierwszy zlot, tylko muszę załatwić sobie transport.
- Ekstra - ucieszył się James. - Ale po co transport? Przecież masz motor.

Nigel potrząsnął głową.

- Gangi jeżdżą w szyku sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt na godzinę. Nie nadążysz za nimi na dwieście pięćdziesiąt-ce, a nawet gdybyś jakimś cudem utrzymał się przy grupie, starsi robiliby sobie z ciebie takie jajca, że szybko byś wy-miękł. Nie, muszę załatwić sobie miejsce w autokarze albo wozie technicznym.
- Czytałem trochę o zlotach - powiedział James. - Musi być fajnie. A co z twoim kumplem Julianem, jedzie z tobą?

- Gdzie tam - zaśmiał się Nigel. - Dorastaliśmy razem, ale teraz jesteśmy ledwie kolegami ze szkoły. Jego ojciec jest sędzią. To rozpieszczony bachor, ale starzy trzymają go krótko. Jak przytarł gdzieś wóz niedługo po tym, jak go dostał, to mało mu łąba nie urwali. A jak znaleźli skręta w jego pokoju, miał szlaban przez cały miesiąc.

James i Nigel minęli klub i dotarli do budynku warsztatu. Nieskazitelnie czyste wnętrze wypełniały metalowe szafki narzędziowe na kółkach i potężne hydrauliczne podnośniki unoszące motocykle na dostateczną wysokość, by mechanicy mogli pracować, nie kładąc się na podłodze. Ze stojącego pod ścianą boom-boksu leciał Lynyrd Skynyrd.

W tylnej części budynku mieścił się sklep o ścianach obwieszonych kosztownymi akcesoriami motocyklowymi. Po jednej stronie hali warsztatowej wisiały w powietrzu trzy harleye na różnych etapach rozbiórki i renowacji. Jednym z nich był wyjątkowo obskurny rat bike z godłem Bandytów wymalowanym na baku.

Kiedy James podszedł bliżej, by mu się przyjrzeć, jak spod ziemi wyrósł przed nim nagi tors mężczyzny z kępami włosów wyrastającymi z każdej fałdy ciała.

- Nigdy nie dotykaj motocykla Bandyty, chyba że znudził ci się wyraz własnej twarzy - warknął yeti.

- Niczego nie dotykałem - zapewnił pospiesznie James, spuszczać wzrok na sztywne od smaru i brudu lewisy mechanika.

James wiedział, że ma przed sobą Bandytę o ksywie Amant. Mężczyzna wyglądał, jakby ostatnio kąpał się przed kilkoma dekadami, a zamiast wody kolońskiej używał benzyny.

-Jeśli przyszlście tu w sprawie motocykla, musicie wejść o tam, po metalowych schodach i pogadać z Kasą.

James kojarzył Kasę z akt policyjnych: trzydziesto-ośmioletni wytrawny biker z szeregiem niewielkich wyroków na koncie, od lat związany z klubem Bandytów. Neil Gauche twierdził, że Kasa wielokrotnie odrzucił sposobność zostania prospektem, ponieważ był dumny ze statusu samotnego jeźdźca i nie miał ochoty brać udziału w wewnętrznych intrygach i przepychankach, jakie nieuchronnie wiązały się z członkostwem w klubie.

Minąwszy dwóch schludnych mechaników w turkusowych kombinezonach, chłopcy wspięli się po schodach, by zastać Kasę siedzącego za biurkiem, w dżinsach i koszulce ACDC. Za jego plecami otwierał się widok na dużą salę o wyłożonej białymi płytkami posadzce upstrzonej czarnymi śladami opon. Pomieszczenie wypełniały ustawione w szeregach pojazdy, od wysłużonych harleyów i włoskich ścigaczy po różowe lambretty i poobijane quady.

Kiedy James wyłuszczył swój problem z hamulcem, Kasa wręczył mu wizytówkę i powiedział, że musi zadzwonić do działu serwisowego i umówić się na wizytę w tygodniu. Tymczasem Nigel pobuszował nieco po salonie i znalazł pół tuzina motocykli podobnych do kawy Bena. Wszystkie miały po kilka ładnych lat, ale przeważnie zaledwie kilka tysięcy kilometrów na liczniku i cenę po lepszej stronie dwóch tysięcy funtów.

- Masz dwieściepięćdziesiątkę, tak? - zapytał Kasa, który zwęszył potencjalnego klienta. - Jesteś bratem Willa?

Nigel skinął głową.

- Fajne macie sprzęty - pociągnął nosem. - Ale na razie tylko patrzę.

- A patrz sobie, ile chcesz - uśmiechnął się biker.

James okraczył półlitrową kawasaki ER5 za tysiąc osiemset funtów i przysiadł ciężko, próbując zawieszenie.

- Idealna maszyna dla takiego młodziaka jak ty - powiedział Kasa. - Łatwa w prowadzeniu, pięćdziesiąt koników, w trasie można trzymać sto sześćdziesiąt.

- Potrzebna byłaby blokada, a to by ją trochę spowolniło, prawda? - powiedział Nigel.

Kasa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak między nami, kup pięćdziesięciokonny motor, a założymy ci blokady, wydamy atest i dopilnujemy, żebyś nie poczuł żadnej różnicy, jeżeli łapiesz, o co mi chodzi.

- Fajnie, ale to nie zmienia faktu, że nie mam tysiąca ośmiuset funtów - uśmiechnął się James.

- Może nie musisz mieć - wzruszył ramionami Kasa. - Zobaczmy, twój stary motor policzymy jako zaliczkę za co najmniej cztery setki. Zostanie ci tysiąc czterysta do spłacenia rozłożone na trzy lata przy zerowym oprocentowaniu, wychodzi mniej niż dziesięć funtów tygodniowo.

- Możecie pożyczać nam pieniądze? - zdumiał się Nigel.

Kasa pokręcił głową.

- Papiery musi podpisać rodzic. Ale to czysta formalność. Wszystkie nasze motocykle są absolutnie pewne. Widzieliście nasz warsztat na dole, wszystkie sprzęty na sprzedaż są tam rozbierane na części i dokładnie sprawdzane. Twój kumpel siedzi na motorze, który przejechał mniej niż dziewięć tysięcy kilometrów. W zasadzie jest po prostu dobrze dotarty, ale płacisz jedną trzecią tego, co jakiś frajer wybulił w salonie trzy lata temu.

James uśmiechnął się, wyobrażając sobie siebie mknącego autostradą na potężnej pięćsetce.

- Może zapytam mamę...

- Mnie by się przydało coś mocniejszego, jeżeli mam pojechać na zlot w lecie - wyznał Nigel. - Ale ubezpieczenie będzie pewnie zabójcze.

Usłyszawszy to, Kasa wyszedł z trybu sprzedawcy i odezwał się bardziej autentycznym tonem:

- Z kim masz jechać na ten zlot?

- Z Monster Bunch - odpowiedział Nigel. - Mój brat mówi, że spróbuje mi coś załatwić, jak wróci z uniwerku za parę tygodni.

- Will ciągle jeździ na tym wymęczonym Sportste-rze 883?

Nigel skinął głową.

- Wydał kupę kasy na remont. Wygląda obłędnie, ale to straszna padaka.

- Mamy tu własną filozofię, jeśli chodzi o sprzedawanie motocykli - powiedział Kasa, znowu przełączając się na tryb handlowca. - Jesteście młodzi. Na razie nie pachniecie forszą, ale motocyklowa pasja to rzecz na całe życie. Wolę teraz wysłać was stąd na dobrym, niezawodnym spręcie, żeby potem zedrzeć z was skórę, kiedy będziecie starsi i przyjdziecie wybulić dziesięć kafli na harleya.

James i Nigel roześmiali się.

- Znaście Zgryza? - zapytał Kasa.

James kojarzył ksywę, ale przecząco pokręcił głową.

- Coś słyszałem - powiedział Nigel.

- Zgryz jest teraz prawą ręką Fiihrera - wyjaśnił biker. - Zarządza Marina Heights: ekipy sprzątające, technicy, bistro i kioski z fast foodem. Nie da wam pracy marzeń, ale płaci minimum sześć funtów za godzinę. Możecie pracować w soboty, a w wakacje wyrabiać nawet czterdzieści i więcej godzin w tygodniu. Jak nie będziecie się objać, bez problemu spłacicie motocykl w ciągu jednego lata.

Nigel pociągnął nosem.

- Fajnie, tylko wie pan, jak trudno jest dostać robotę w Marina Heights? Każdy dzieciak w Salcombe chciałby się tam dostać plus jakiś milion gości spoza miasta, którzy przyjeżdżają na plażę surfować.

Kasa powoli skinął głową.

- Taak, ale jakbyście nie zauważyli, Marina Heights prowadzą Bandyce. Jesteśmy bikerami tak samo jak wy. Jeśli kupicie motocykl u nas, dam cynk Zgryzowi i wasze nazwiska wjadą na szczyt listy kandydatów na sobotnich i wakacyjnych pracowników. Wystarczy, że wybieriecie sprzęt, przyprowadzicie jednego z rodziców i załatwione. Moglibyście wrócić do domu na jednej z tych bestii jeszcze dzisiaj.

James był bystrym dzieciakiem, ale jeszcze nigdy nie spotkał tak wytrawnego handlarza jak Kasa, zaś perspektywa przebulania całego lata na odblokowanej pięćsetce uciskała mu wszystkie czułe punkty.

- Ale mam smaka na tę erkę - westchnął, wychodząc na słońce za Nigelem. - A ty jak, wzięłyś coś dla siebie?

Nigel potrząsnął głową.

- Żaden motocykl nie jest wart całego lata czyszczenia kibli, smażenia burgerów i zdrapywania gum z chodników. Poza tym zarabiam już na własne potrzeby, sprzedając zioło Julkowi i całej tej jego bandzie. Wyciągam ze trzy, cztery dychy tygodniowo, ale wystarcza na własny towar i ubezpieczenie motocykla, a wysiłek żaden.

- Ładnie - James pokiwał głową z uznaniem. - No, ale mógłbyś zapłacić za motor kasą za zioło.

- Ta, jasne - prychnął Nigel. - I przyjechać do domu na wielkiej pięćsetce, a mamusia na pewno nie zapyta, skąd wzięłem na nią pieniądze.

- Racja - przytaknął James.

- Ale gdybyś chciał kiedyś coś przypalić, to po prostu powiedz.

James potrząsnął głową.

- Próbowałem parę razy, ale jakoś mi nie wchodzi. Obrzydliwie się potem czuję.

- Pewno dlatego, że jarałeś jakiś tani szajs - powiedział Nigel. - Mój towar jest najwyższej jakości. Wszystko z tutejszych upraw, z Devonu. Sto procent ekologii, poziom THC: księżycowy..

- Pomyślę, może kiedyś się skuszę - odpowiedział James, dosiadając swojej hondy i składając nogą podpórkę. - Co teraz chcesz robić?

- Strasznie śmierdzą - wyznał Nigel. - Pojadę do domu, wezmę prysznic i nie wiem, może napocznę to wypracowanie, które mam zadane. Wieczorem wszyscy spotykają się na plaży. Jak dasz mi swój numer, to puszcze ci esa, gdzie i kiedy.

## 21. LODY

Chloe spędziła popołudnie na zakupach w supermarkecie, a kiedy dzieci wróciły do domu, oznajmiła, że na kolację jest cokolwiek, co wybiorą sobie z zapasów zgromadzonych w ich ogromnej amerykańskiej chłodziarkozamrażarce.

James dopadł mikrofalówki pierwszy i zrobił sobie lasa-gne. Oznajmiwszy, że curry, które odgrzewali Laura i Dante, zasmradza całą kuchnię, poszedł do pokoju dziennego, ale nie uciekł od zapachu na długo, bo kilka minut później oni także weszli tam ze swoim jedzeniem.

-Nie jesz? - zapytała Laura, patrząc na Chloe, która siedziała na fotelu z piętami pod pośladkami.

- Zjadłam porządny lunch w tapas barze - wyjaśniła ko-ordynatorka.

- I jak? - zainteresowała się Laura.

- Bardzo dobre żarcie - pochwaliła Chloe. - A jeden oldboy, który siedział koło mnie, zaczął mnie trochę podrywać. Dziany facet, sądząc po złotym roleksie, no i zaprosił mnie na jednodniowy rejs swoim jachtem.



- Uuuu, Chloe ma chłopaka - zaśmiał się Dante, mocząc chleb naan w swojej kurczakowej kormie.

- To tak jak ty - zauważyła Laura kąśliwym tonem. - A przynajmniej już niedługo, sądząc po tym, jak podpiesz-czaliście się z Anką w autobusie po szkole.

Na wzmiankę o dziewczynie James zbystrzał.

- Fajne cycki? - wypalił odruchowo.

Dante roześmiał się.

- Nie za duże, ale fajne.

- O czym mówimy? - nie dawał za wygraną James. - Kiwi? Jabłka? Pomarańcze? Mango? Melony?

Laura cmoknęła z irytacją.

- James, nie wszyscy faceci są takimi prosiakami jak ty.

Jednak Dante zaskoczył ją.

- Duże jędrne pomarańcze, z ambicjami w stronę grejpfrutów - zamlaskał z miną konesera.

- Ale to i tak nic w porównaniu z dziewczyną, z którą chodziłem w Irlandii.

Laura doznała szoku, kiedy Dante potrząsnął sobie przed piersią złożonymi w miseczki dłońmi.

- Jezu, jesteś gorszy niż mój brat! - zawołała zgorszona i trzepnęła go zwiniętym programem telewizyjnym.

- To tylko cycki - wzruszył ramionami James.

- Cycki, cycki, cudowne wielkie cycki! - zaśpiewał Dante fałszywie.

Chloe spojrzała krzywo na chłopców.

- Hej, nie zamierzam tu siedzieć i słuchać, jak gadacie o piersiach - powiedziała twardo. - Trochę szacunku, dobrze? Jak byście się czuli, gdybyśmy gadały przy was o rozmiarach członków, he?

James spojrzał na swoją plastikową tackę, ścigając łyżką ostatni kęs lasagne.

- A jak stoimy z budżetem misji? - zapytał. - No bo może się okazać, że potrzebuję dwóch kafli na nowy motor. Plus ubezpieczenie.

Laura skrzywiła się drwiąco.

- A do czego ci potrzebny ten nowy motor?

- Kroi się zaproszenie na zlot z Monster Bunch - wyjaśnił James. - Jeśli to wyjdzie, Nigel mówi, że muszę mieć motocykl, który trzyma w trasie sto, sto dwadzieścia na godzinę.

James pragnął tego motocykla najbardziej na świecie i dlatego pominął dwa dość istotne fakty: po pierwsze, Nigel ani razu nie wspomniał, że James także mógłby pojechać na zlot, a po drugie, powiedział, że Bandy ci jeżdżą w formacji do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, nie stu dwudziestu.

Chloe poprawiła się na fotelu, nie wyglądała na zachwyconą.

- O jakim motocyklu mówimy? - zapytała.

- Kawasaki, pięćsetka. Naprawdę piękna, niecałe dziewięć tysięcy kilometrów przebiegu.

- Już sobie wybrałaś! - zaśmiała się Chloe. - A miałaś tylko poprosić mechaników, żeby zajrzeli ci do hamulców. Wiesz, nie za bardzo to widzę. I tak musiałam napisać specjalny raport dla komisji etyki, żeby przekonać ich, że można bezpiecznie pozwolić szesnastolatkowi na prowadzenie takiego motocykla, jaki już masz.

James wzruszył ramionami.

- Ale większe motocykle są pod wieloma względami bezpieczniejsze. Wyobraź sobie, że jedziesz autostradą, a przed tobą wielka ciężarówka wali ci w twarz wodą z kałuż i żwirem. Na słabym motorze masz przerąbane. Na mocniejszym dajesz łychę i wyprzedzasz kołesia w sekundę.

Chloe głośno wciągnęła powietrze.

- Nie rób sobie nadziei, James.

Laura uśmiechnęła się złośliwie.

- Myślę, że powinniście puścić go na wyścigowym potworze. Jak rozplaska się na jakimś murze przy dwustu na godzinę, odziedziczę dwa razy więcej pieniędzy z majątku po mamie, kiedy skończę osiemnastkę.

- Skoro nie potrafisz powiedzieć nic konstruktywnego, Laura, to po prostu się zamknij, dobrze? - powiedział James z irytacją, po czym zwrócił się do Chloe, starając się ukryć swoją desperację: - Słuchaj, nie jestem idiotą. Będę dbał o motocykl i używał go z głową. A jeśli kupię go na raty, Kasa powiedział, że pogada ze Zgryzem, który załatwi mi wakacyjną pracę w Marina Heights, żebym mógł spłacać kredyt. W ten sposób będę mógł być znacznie bliżej Bandytów. Ostatni argument zdawał się trafiać Chloe do przekonania. James uświadomił sobie, że od tego powinien zacząć, żeby nie wyglądało na to, że po prostu próbuje dorwać się do fajniejszego motocykla.

- Przypuszczam, że to mogłoby nam pomóc - powiedziała ostrożnie Chloe.

- Ekstra - ucieszył się James. - Salon jest dziś otwarty do siódmej. Musisz podpisać dokumenty do umowy kredytowej.

- No chyba z byka spadłeś! - skrzywiła się Chloe. - Nie wezmę wyłącznej odpowiedzialności za wypuszczenie szesnastolatka na motocyklu wyciągającym sto dziewięćdziesiąt na godzinę. Muszę porozmawiać z prezeską i komisją etyki.

James był nieco rozczarowany, ale od początku było mało prawdopodobne, że dostanie swój motocykl marzeń natychmiast, a Chloe przynajmniej wydawała się otwarta na sugestię. Dwa tuziny licealistów kręciły się po betonowej platformie nad piaszczystą zatoczką dwa kilometry od centrum Salcombe. Plaża i morze omywające ją łagodnymi falami były nowością dla Jamesa, ale dla reszty młodzieży było to zwyczajne miejsce spotkań, gdzie mogli się odprężyć, po-wyglupiać, poflirtować i złapać ostatnie promienie słońca przed końcem dnia. Nigel sprzedał trochę marihuany dwóm chłopcom i James odniósł wrażenie, że mógłby sprzedać znacznie więcej, gdyby wszyscy nie byli tak doszczętnie splukani po weekendzie. James był londyńczykiem zarówno w swoim prawdziwym, jak i fikcyjnym życiu i wszyscy zarzucali go pytaniami o sklepy i miejsca warte odwiedzenia.

Julian i jego grupa umawiali się niezobowiązująco na kilkudniowy wakacyjny wypad do Londynu, ale nie mieli pomysłu, gdzie się zatrzymać, a ponadto wszyscy mieli zaplanowane zagraniczne wojaże z rodzicami, w różnych terminach, i James był przekonany, że to jedno z owych wspólnych przedsięwzięć, które nigdy nie dochodzą do skutku.

Po pewnym czasie usiadł na betonie pod barierką pomiędzy Ashley a jej przyjaciółką Caitlyn. Caitlyn nie przyszła z żadnym chłopakiem. Miała proste, ciemne włosy. Była niewysoka, lecz całkiem zgrabna. James pomyślał o uderzeniu do niej, ale ostatecznie uznał, że będzie lepiej, jeśli przez dzień czy dwa pozostanie skoncentrowany na misji, zanim spróbuje szczęścia z jakąś dziewczyną. Poza tym szalenie bawiły go wściekłe spojrzenia, jakie rzucał mu Julian za każdym razem, kiedy udało mu się rozbawić Ashley.

Kiedy słońce wreszcie zaszło, zerwał się chłodny wiatr i wszyscy ruszyli do centrum Salcombe, żeby przekąsić coś w Marina Heights. Julianowi praktycznie para poszła z uszu, kiedy Ashley zamiast do jego fiata wsiadła na hondę Jamesa, i na parkingu pod Marina Heights zaatakował jak rozjuszony byk.

- To chyba niezbyt bezpieczne dla niej, taka jazda bez kasku - wycedził, trzasnąwszy drzwiami auta. - Widzę, że swój jednakowoż założyłeś.

- No i co? - James wzruszył ramionami. - Ashley to duża dziewczynka, Julek.

-Jeśli mam być szczery, to myślę, że powinieneś się od nas odwalić.

Ashley westchnęła głęboko, kiedy James odpowiedział, parodiując wytworny akcent Juliana:

- Cóż, jeśli ja mam być szczerzy, to raczej ty powinieneś się odwalić.

Ashley weszła pomiędzy najeżonych chłopców.

- Na miłość boską, Julian, on tylko mnie podwiózł!

- Gram w rugby, wiesz? - powiedział Julian, dźgając palcem kieszeń koszuli Jamesa. -

Dobrze ci radzę, nie zadzieraj ze mną.

Inni chłopcy, którzy jechali z Julianem, zdążyli już wysiąść z samochodu. Wszyscy zorientowali się, że ich kolega przeżywa atak zazdrości, i dwaj nakłaniali go, żeby dał sobie spokój.

- Nie będę się kłócił z debilem - machnął ręką James, po czym odwrócił się i ruszył w stronę schodów wiodących do baru.

Julian nie wytrzymał i zamachnął się.

-Przeستاń! - krzyknęła Ashley, kiedy pięść musnęła Jamesowi tył głowy. - Zachowujesz się jak dupek!

Cios był żaloszny, ale James nie mógł odpuścić, nie wychodząc na mięczaka. Błyskawicznie odwrócił się, złapał Juliana za głowę i grzmotnął nią w maskę jego fiacika.

Grupie mogło się nie spodobać, gdyby postąpił z nim nazbyt brutalnie, ale musiał zaznaczyć swoją wyższość. Błyskawicznie przypomniawszy sobie, że Julian schował kluczyki od samochodu do kieszeni kurtki, zręcznym ruchem wyciągnął je, cofnął się o kilka kroków i potężnym wymachem cisnął zdobycz na blaszany dach klubu Bandytów.

- Wystartuj do mnie jeszcze raz, to cię zmiażdżę -ostrzegł, podczas gdy kluczyki przetoczyły się z brzękiem o metr, by zatrzymać się na kępie mchu.

Julian nie chciał wyjść na tchórze, ale poczuł siłę Jamesa, kiedy ten przycisnął go do samochodu.

- Chryste! - krzyknął. - No i jak ja mam teraz tam wejść?!

James wyszczerzył zęby w szyderczym uśmiechu.

- Zapukaj i spytaj Bandytów, czy nie mają drabiny.

Ashley potrząsnęła głową pogardliwie i oddaliła się

w stronę schodów. James obawiał się, że grupa zacznie postrzegać go jako czarną owcę, ale kiedy wszedł na schody za Ashley i Nigelem, z ulgą spostrzegł, że trzech chłopcy za nim śmieją się z kłopotu Juliana. Caitlyn podsumowała nastroje, mówiąc mu, że okazał godną podziwu powściągliwość, nie odwzajemniając ciosu.

Dotarłszy na górę, skierowali się do bistra. Zajętych było dwie trzecie miejsc, a kiczowata szafa grająca brzęczała popem z lat pięćdziesiątych. Grupa innych licealistów, jedzących przy stolikach nieopodal otwartego frontu lokalu, przywitała ich skinieniami głowy i uśmiechami, po czym Nigel wcisnął Jamesowi w dłoń dziesięciofuntowy banknot.

- Muszę coś załatwić - powiedział z tajemniczym uśmiechem. - Weź mi cheeseburgera z frytkami i colą, a sobie co tam chcesz.

Ale kiedy James odwrócił się z pieniędzmi, Ashley już zamawiała przy kasie.

- Podwiózłeś mnie, więc ja stawiam - oznajmiła słodkim tonem.

Ashley zapłaciła także za Nigela, a kiedy zajęli miejsca przy stoliku, by poczekać na jedzenie, usiadła obok Jamesa i położyła mu rękę na kolanie. Jamesowi podobał się czarny lakier na jej paznokciach i delikatny meszek na ramieniu.

- Powinnaś pogadać z Julianem - powiedział cicho. -Jestem tu nowy. Nie chcę zaczynać od robienia jakichś kwasów.

- Chrzanić go, traktuje mnie jak swoją własność - odparła Ashley, pokazując środkowy palec laminowanemu blatowi. - Gram w rugby! - zadrwiła. - Złamałeś go na tym samochodzie jak gałązkę.

James uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Kiedyś podnosiłem ciężary - wyznał skromnie. - Do tego karate i trochę kick boxingu. Nie jestem agresywnym człowiekiem, nie biłem się, odkąd skończyłem dwanaście lat, ale najlepiej ze mną nie zaczynać.

Ashley zamruczała z uznaniem, a po przeciwnej stronie stolika Nigel przysiadł się do Caitlyn.

- Z Julianem wszystko w porządku? - zapytał James.

Nigel parsknął śmiechem.

- Jasne, że tak. Jego kluczyki są na dachu klubu Bandytów, a jego dziewczyna trzyma rękę na twoim kolanie. Jestem pewien, że z nim wszystko jest w najlepszym porządku.

James zmarszczył brwi.

- Hej, to przecież twój kumpel.

- Kumpel, który wisi mi dwie stowy - odciął się Nigel. - Nigdy nie płaci za swój szajs.

Gdybym go nie znał od podstawówki, wziąłbym kogoś z Monster Bunch, żeby wykopał z niego mój dług.

- Jego ojciec jest sędzią - zauważyła Caitlyn.

- No i jeszcze to - uśmiechnął się Nigel.

Caitlyn niczego nie zamówiła, ale kiedy jedzenie zjawilo się na stole, przysunęła się do Nigela i zaczęła skubać jego frytki. James uświadomił sobie, że ich czwórka dryfuje w stronę podwójnej randki. Był rozdarty. Z jednej strony myślał o misji i o swojej rozmowie z Kerry, z drugiej -

Ashley była całkiem seksowna, zaś kompas moralny Jamesa zawsze wariował, kiedy znalazł się bliżej niż dziesięć metrów od atrakcyjnej dziewczyny.

Opróżniony talerze, czwórka wyszła na zewnątrz w niemal całkowitą ciemność. Jachty na przystani bieliły się w świetle księżyca niczym odległe zjawy, a stoliki wewnątrz restauracji po dorosłej części dziedzińca rozświetlał wątki blask świeczek. James nie zwrócił uwagi na młodszą dzieci siedzące grupami pod stoiskami fast foodów, ale Nigel namierzył całującą się parę, której jedną połowę stanowił Dante.

- Patrzcie na te gołąbeczki - zakpił Nigel. - Nie zapomnij, że masz być w domu przed dziewiątą, Anka.

Anna oderwała się od Dantego i kazała Nigelowi spadać na bambus. James stanął za Nigelem i uśmiechnął się drwiąco.

- Czyżby to twoja młodszą siostrzyczka wymieniała płyny z moim młodszym braciszkiem? Jak słodko!

- Zostawcie ich w spokoju - powiedziała Ashley ze śmiechem, odciągając Jamesa do tyłu. - Od razu widać, że to twój brat. Macie ten sam kształt szczęki.

-Lubię pomarańczki! - rzucił enigmatycznie James na odchodnym.

Dante powstrzymał śmiech, kiedy przyciągnął Annę do siebie, by podjąć przerwane pieszczoty.

- Dziewczyny, chcecie wstąpić do mnie? - zapytał Nigel. - Mamy nie ma, obsługuje jakieś wieczorne przyjęcie. Mogę skrócić gigablanta i usmażymy sobie mózgi.

James wzdrygnął się na propozycję palenia marihuany: agentów CHERUBA obowiązywał zakaz zazywania nielegalnych narkotyków. Na szczęście Ashley rozwiązała jego dylemat.

- Nie mogę się dzisiaj upalić - oświadczyła kategorycznie. - Jutro mam próbny ze statystyki. Na koniec poprzedniego semestru miałam C, a z tym nie dostanę się na żadne porządne studia.

- A ja jutro mam pierwszy normalny dzień szkoły - dodał James.

Ale Caitlyn obdarzyła Nigela przymilnym uśmiechem.

- A ja bym chętnie coś przypaliła.

Nigel wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy: on i Caitlyn sami, i do tego ujarani. James nie znał Caitlyn zbyt długo i zastanawiał się, czy skończą w łóżku.

Schodząc za Ashley i Nigelem po metalowych stopniach wiodących na parking, James jeszcze raz spojrzął za siebie. Dante znów obściskował się z Anną, a nieco dalej zauważył też Laurę siedzącą na barierce w otoczeniu chłopców i dziewcząt. Sprawiała wrażenie swobodnej i zadowolonej, a w jej grupie był także Joe. Wyglądało na to, że każdy nawiązał kontakt z właściwymi ludźmi i że misja nie mogła zacząć się lepiej.

James spojrzął na Ashley, kiedy zeszli ze schodów i stanęli z boku na pustym miejscu parkingowym dla niepełnosprawnych.

- Jestem dobry w statystyce - uśmiechnął się. - Mógłbym ci pomóc w nauce, u ciebie, u mnie, gdzie chcesz.

- Naprawdę jesteś dobry czy mówisz tak po to, żeby wbić się do mnie? - zapytała Ashley zaczepnie.

- Jestem dobry - zamruczał James i pochylił się do pocałunku, ale zanim doszło do kontaktu, Nigel krzyknął z oddali:

- James, lepiej chodź tu i popatrz!

James odwrócił się do kolegi i puścił biegiem przez parking, ujrawszy swój motocykl pokryty strugami różowej mazi. Z bliska widać było, że pojazd został dokładnie wysmarowany lodami czekoladowo-truskawkowymi. Pokruszony rożek sterczał z roztopionej kałuży na kanapie, broczącej słodkimi zaciekami na plastikowe osłony boczne i silnik.

- Julian - sapnął gniewnie James. - Jak dorwę gnoja, połamię mu kręgosłup. Gdzie jego wóz? Wykopię z niego każdy kawałek szkła!

- Nie ma go już - zauważyła Ashley.

Nigel kiwnął głową.

- Julian mieszka w Marina View. Pewnie kopsnął się do domu po zapasowe kluczyki. Oni mają strzeżony parking w podziemiach.

- Skoczę do ciastkami i przyniosę trochę chusteczek - zaoferowała się Ashley.

Nigel przykucnął, by przyjrzeć się bliżej hondzie Jamesa.

- Ja bym pojechał do domu i od razu wymył to wszystko gąbką. Jak tak zostawisz, zaschnie na skorupę. Żeby ci tylko nie pochrzało elektryki.

- Szit! - zaklął James.

Nigel wstał, a Caitlyn natychmiast otoczyła go ramieniem.

- Nie pomogę ci tu wiele - powiedział, wzruszając ramionami. - Nie obrazisz się, jeśli już spłyniemy?

Para dosiadła motocykla i odjechała w mrok, a na schodach zatupała Ashley, niosąc w dłoni pięciocentymetrowy plik chusteczek jednorazowych. Razem zabrali się do pracy, próbując oczyścić najbrudniejsze miejsca, ale lody były lepkie, a rozmoczone chusteczki rwały się, pozostawiając na całej kanapie białe strzępki.

- Boże, Julian to taki zazdrosny palant... - westchnęła Ashley. - Bardzo mi przykro, James, że tak się stało.

- Muszę pojechać do domu i porządnie to splukać. Mogę cię podwieźć, ale zniszczyłabyś sobie tę fajną sukienkę. Sorry...

- Nie ma sprawy - machnęła ręką Ashley. - Wezmę taksówkę albo pójdę piechotą. To tylko kwadrans drogi stąd.

- Sorry - powiedział James jeszcze raz i cisnął przemoczoną kulę chusteczek do rynsztoka. Ashley wyjęła telefon z płóciennej torby.

- Będą inne wieczory - uśmiechnęła się. - Podaj mi swój numer. Zadzwoń jutro, może się gdzieś wybierzemy.

## 22. PLANY

Piątek rano

Pogoda zepsuła się i mżawka zasnuwała okna mokrymi smugami. James leżał na łóżku ubrany tylko w skarpetki i slipy, w których przespał noc. Przy uchu trzymał komórkę.

- No to w co jesteś ubrana? - zamruczał.

Po chwili na jego twarz wypełził gigantyczny uśmiech.

- Czarny jest sexy! Wiesz, co chętnie bym zrobił? Wśliznąłbym ci się do łóżka, przysunął bardzo blisko i...

James zamilkł, kiedy przez otwarte drzwi do pokoju wpadła Laura.

- Przestań świntuszyć ze swoją dziewczyną i złaż na dół!

- Muszę kończyć - rzucił James do Ashley, po czym zatrzasnął telefon i spojrzał z pretensją na siostrę.

- Nie słyszałaś o pukaniu?

Laura uśmiechnęła się cierpko.

- Nie słyszałaś o zamykaniu drzwi, kiedy bawisz się sam ze sobą?

- Rozmawiałem przez telefon - zaprotestował James.

- Chloe chce zwołać radę wojenną, zanim ja i Dante pójdziemy do szkoły.

James wciągnął dzinsy, włożył koszulkę i zbiegł do kuchni, gdzie zaskoczył go widok Chloe własnoręcznie smażącej jajecznicę.

- Siedzimy tu już od sześciu dni - powiedziała koordynatorka, zdejmując jajka z gazu i wyjmując z szafki cztery talerze. - Potrzebne mi raporty z waszych postępów. Laura, Dante, jak tam sytuacja z Joem?

- W porządku - powiedziała Laura. - Zrobiłam pierwszy krok. Joe nie ma dziewczyny, więc wystawiam swoją kandydaturę. Jest wyszczekany, ale odnoszę wrażenie, że tak naprawdę chłopak po prostu nie ma śmiałości do płci przeciwnej.

- Zbliża się weekend - zauważyła Chloe. - Może już czas pójść na całość i zaprosić go na randkę?

Laura pokiwała głową.

- Też o tym myślałam. Będzie tylko kłopot ze znalezieniem odpowiedniej chwili, kiedy nie będzie go otaczało szesnastu przygłupich kumpli.

- Cóż, niech to będzie twój priorytet - powiedziała Chloe, celując w Laurę palcem. - Pamiętaj, ta misja musi posuwać się szybko. Wolę ryzykować i kilka razy dać ciała, niż nie podejmować żadnego ryzyka, gwarantując, że nie osiągniemy niczego. A co u ciebie, Dante?

- Mam problem ze zbliżeniem się do Joego - wyznał Dante. - Nie jestem w jego klasie. Parę razy zamieniliśmy kilka słów, ale to popularny uczeń, więc trudno mi naciskać.

Laura pomogła Chloe przenieść na barek cztery talerze z jajecznicą na tostach.

- Spędzasz dużo czasu z Anną - powiedziała Chloe bez ogródek. - Robisz to dla dobra misji czy własnego?

Pytanie zirytowało Dantego.

- Dobrze się czuję z Anną, Chloe, ale na wypadek gdybyś zapomniała, z nas wszystkich to ja mam najwięcej powodów, by chcieć sukcesu tej misji.

- Okej, rozumiem - powiedziała Chloe, unosząc dłoń w obronnym geście. - Zastanawiałam się tylko, czy nie moglibyśmy wykorzystać twoich relacji z Anną, żeby pomóc Laurze w

zbliżeniu się do Joego. Na przykład... mógłbyś przy okazji szepnąć Joemu do ucha, że twoim zdaniem podoba się Laurze, a potem zaaranżować coś w rodzaju podwójnej randki albo wspólnej wyprawy na zakupy. Gdybyście chcieli zrobić coś w weekend, jestem gotowa podwieźć was do galerii handlowej w Exeter albo do kina, dokądkolwiek.

- To mogłoby zadziałać - skinęła głową Laura.

- Dobrze, to wasze zadania na dzisiejszy dzień w szkole i weekend - oświadczyła Chloe. - A teraz James. Co u ciebie?

James wzruszył ramionami.

- Chodzę do szkoły, mam towarzystwo, czasem chodzimy razem do Marina Heights albo na plażę. Gdybym miał pół roku, mógłbym zagwarantować, że z czasem nawiązałbym pewne kontakty i pomału zakotwiczył gdzieś na obrzeżach organizacji Bandytów. Ale ty chcesz, żebym działał szybko, a z drugiej strony każesz mi walczyć z jedną ręką związaną za plecami.

Laura jęknęła, przewracając oczami.

- Tylko nie zaczynaj znowu o tym głupim kawasaki.

-A Nigel? - zapytała Chloe. - Sprzedaje trawkę. Wiemy, że to Bandyki kontrolują handel narkotykami w tej okolicy. Nie możesz się dowiedzieć, skąd bierze towar?

- W końcu pewnie się dowiem - skinął głową James. - Ale takich pytań nie zadaje się po czterech dniach znajomości. Poza tym dlaczego miałbym być tego ciekaw, skoro wciąż powtarzam mu, że nie palę?

- A gdyby zmontować jakąś akcję z większym zamówieniem? - zapytał Dante. - No wiesz, mógłbyś wspomnieć, że jacyś twoi znajomi z Londynu są zainteresowani pierwszorzędnej jakości towarem Nigela. Albo będzie chciał załatwić to sam, albo pośle cię do kogoś wyżej.

- Niegłupie - zgodził się James. - Z tym że dałoby mi to kontakt tylko z kimś, kto jest nieznacznie wyżej w łańcuchu dostaw, pewnie z jakimś młodszym członkiem Monster Bunch, który rozprawdza towar pomiędzy szkolnych dilerów jak Nigel. Nadal uważam, że jeśli oczekujemy szybkich rezultatów, najlepszą opcją byłoby rozwiązanie, o którym mówiłem wam już w poniedziałek, a tu minął prawie tydzień i nic, Chloe.

Laura cmoknęła z niesmakiem.

-James, marzyłeś o takim motorze, odkąd trzy lata temu wróciłeś z Arizony. Tylko o to tu chodzi.

- Kurde! - James plasnął dłonią w stół bliski- utraty cierpliwości. - Mówiłem już, jak to działa. Idziemy do salonu, Chloe daje do zrozumienia, że nie stać jej na motocykl, no chyba żebym wziął się do jakiejś pracy, Kasa gada ze Zgryzem, Zgryz załatwia mi jakąś parszywą robotę w Marina Heights, czyli w miejscu, gdzie są Bandyki i wszystkie inne gangi.

- Dlaczego zwyczajnie nie złożysz podania o pracę? - wzruszył ramionami Dante.

- Bo to jest Devon - zirytował się James. - Może w Londynie tak jest, że byle szczeniak wchodzi sobie do fast foodu, wypełnia wnioski i dostaje pracę. W Devonie i Kornwalii jest najwyższe bezrobocie w kraju. W mojej szkole jest setka ludzi, którzy zabiliby za jakąkolwiek dorywczą pracę.

Chloe westchnęła głośno.

- Rozmawiałam o tym z Zarą. Powiedziała, że decyzja należy do mnie, a ja chciałabym mieć pewność, że mogę ci zaufać, powierzając tak szybki motocykl.

-No to na co jeszcze czekamy, do diabła! - krzyknął James, klepiąc się w uda i podrywając z barowego stołka.

Chloe cofnęła się odruchowo i Jamesowi zrobiło się głupio. Osiągnął już wiek, w którym mógł fizycznie nastraszyć dorosłego - zwłaszcza kobietę - ale nie zawsze brał to pod uwagę.

Ale Chloe była też ekscherubinką i otrząsnąwszy się z początkowego szoku spowodowanego wybuchem Jamesa, podeszła do niego i dźgnęła palcem w pierś.

- Czytałam twoje akta, Jamesie Adams - powiedziała gniewnie. - Może i dobry z ciebie agent, ale sprawność twoich procesów decyzyjnych pozostawia wiele do życzenia. Jeżeli pozwolę ci kupić ten motocykl, a ty potem pojedziesz i zrobisz coś wariackiego, to ja stracę pracę, a ponieważ mieszkam w kampusie, stracę także dom i większość przyjaciół.

- Przepraszam za ten wybuch - powiedział James, unosząc dłonie i opadając na stołek. - Próbuję tylko zaznaczyć, że naciskasz na mnie, żebym wykonywał swoją robotę. Może masz rację. Może dostanę tę pracę i odkryję, że donikąd mnie to nie prowadzi. Wiem tylko tyle: Marina Heights należy do Bandytów i pracując tam wieczorami i w weekendy, będę na znacznie lepszej pozycji do węszenia, co się tam dzieje, niż jeśli poprzestanę na szwendaniu się po okolicy z Nigelem i Ashley.

Chloe potrzęsnęła głową i westchnęła.

- Dobrze - powiedziała. - Dziś rano masz lekcje, a potem zawiozę cię do Marina Heights i spróbujemy załatwić ci pracę i motor. Ale pamiętaj, jeden głupi numer i twoje jaja należą do mnie.

James nie wiedział, czy uśmiechnąć się z zadowoleniem, czy przełknąć ślinę pod ciężarem mrocznego spojrzenia koordynatorki.

Laura cmoknęła z niesmakiem.

- Niezły z ciebie cwaniak, James.

Plan Chloe zadziałał: Joe usiadł obok Laury w autobusie odwożącym ich ze szkoły. Trzymał jej dłoń nad dzielącym ich podłokietnikiem, ona zaś pochyliła się w bok, by wesprzeć głowę na jego ramieniu. W porównaniu ze znakomicie wysportowanymi chłopcami z CHERUBA wydawał się misiówaty, a także czarująco naiwny. Może w obecności kolegów Joe był wyluzowany i zachowywał się jak samiec alfa, ale poza klasą tracił animusz, a jego spocone dłonie i bełkotliwe wypowiedzi kazały Laurze podejrzewać, że jego życie miłosne nigdy nie wykroczyło poza kilka całusów skradzionych na szkolnej dyskotecie.

- Co chcecie dzisiaj robić? - zapytał Joe, wysiadłszy wraz z Laurą, Dantem i Anną z autobusu na przystanku kilometr od centrum Salcombe.

-John i Laura mieszkają dziesięć minut drogi w tamtą stronę - powiedziała Anna. - A ich mama jest zawsze bardzo fajna, kiedy do nich przychodzi.

Laura poczuła przyptyw paniki. Jej zadaniem było dostać się do domu Fiihrera.

- Przejeżdżałam kiedyś koło waszego domu - powiedziała przymilnie do Joego. - Macie ten superczołg na trawniku. Można do niego wchodzić?

Joe rozejrzał się zakłopotany.

- Wiesz, niby można otworzyć klapę, ale to tylko stara skorupa. Jest cały zardzewiały i zalany wodą.

Laura ścisnęła dłoń Joego i zamiauczała jak sześciolatka:

- Ja chcę zobaczyć czooołg!

Joe roześmiał się i westchnął z rezygnacją.

- Mama pewnie jest w domu, ale ona jest w porządku. Tylko że, widzicie, mój dom jest trochę... dziwny.

- Intrygujące - powiedziała Laura. - Jak to?

-Wiecie, że na mojego ojca mówią Fiihrer, co nie?

Wszyscy pokiwali głowami. W szkole często się o tym wspominało.

- Na swój sposób jest okej, ale on naprawdę obstawia się całym tym faszystowskim gównem. To nie tylko czołg.

Mamy dywaniki ze swastykami, a na kominku stoi popiersie Hitlera.



Anna uśmiechnęła się z lekkim obrzydzeniem.

- Ale cyrk - mruknęła.

- Cyrk, właśnie - zgodził się Joe.

Wyczuwszy, że Joe szykuje się do odparcia propozycji, Laura pocałowała go w szyję.

- Nikt nie wybiera sobie rodziców - powiedziała łagodnie. - Nasz tata na przykład to totalny debil.

- Fryta pierwszej klasy - przytaknął Dante. - Zdradził mamę cztery razy, zanim wreszcie kopnęła jego smętną dupę i przeprowadziła się z nami tutaj.

Pocałunek dodał Joemu odwagi i w jego głos zaczęła na powrót wkradać się zwykła zadziorność.

- A zresztą niech będzie - uśmiechnął się zawadiacko. - Idziemy do cyrku. Mam w swoim pokoju X-boksa, kupę filmów i różne inne rzeczy.

Przy ruchliwej wiejskiej szosie nie było chodnika, szli więc gęsiego, dopóki nie dotarli do bramy Orlego Gniazda. Po krótkim przystanku w celu poskakania po czołgu wmaszerowali do hallu domu. Mama Joego wybiegła z kuchni, by ich przywitać. Zbiwszy fortunę na budowie Marina Heights, Fihrer przeprowadził się do większego domu, dlatego Dante nie znał Orlego Gniazda, za to mamę Joego pamiętał doskonale.

Marlena Donnington zawsze była tęgą, ale przez ostatnich pięć lat jeszcze bardziej przybrała na wadze, a gruby makijaż i głęboka opalenizna z solarium ani trochę nie poprawiały jej wyglądu. Ale Dante pamiętał, że zawsze była dla niego bardzo miła. Nagle przypomniały mu się grille u Bandytów, wyprawy na zakupy i spanie z Joem w namiocie, kiedy byli mali.

- Jak miło poznać jakichś twoich przyjaciół - ucieszyła się szczerze Marlena. - Chcecie trochę pepsi i chipsów?

Albo, jak jesteście głodni, mogę wam zrobić kanapek z szynką. Aha, i przepraszam, że tak się czepiam, ale gdybyście mogli zdjąć buty w domu...

Ściągając trampki, Dante przypomniał sobie, że zawsze lubił kanapki mamy Joego, bo smarowała je masłem, podczas gdy jego mamę było stać tylko na margarynę.

- O tak, zdycham z głodu - rzucił Joe.

- Ale ja jestem wegetarianką - powiedziała Laura.

- Ja też - dodała Anna.

- Mogłabyś zrobić różne? - zapytał Joe. - Z szynką, z serem, z ogórkami i co tam jeszcze masz. I daj jakieś chipsy.

- Widzę, że wielu z was, nastolatków, przechodzi ostatnio na wegetarianizm - powiedziała Marlena, uśmiechając się do dziewcząt. - Przyniosę wam kanapki do pokoju Joego.

- Miła ta twoja mama - zauważyła Anna, kiedy zaczęli wspinaczkę po schodach w stronę sypialni Joego.

Orle Gniazdo było ładnie urządzone i mogłoby być domem każdego zamożnego biznesmena, gdyby nie oprawne w ramki fotografie bikerów oraz straszące tu i ówdzie popiersia Hitlera.

- To twój tata jest prawdziwym faszystą? - zainteresowała się Laura.

- Gdzie tam - zachnął się Joe. - Głównie to on interesuje się historią i takimi tam.

- Słyszałam, że Bandyści nie wpuszczają do swojego gangu nikogo, kto nie jest biały - powiedziała Anna.

Joe wskazał na Laurę.

- Tak jak mówiła Laura, rodziców się nie wybiera. Mój tata robi różne rzeczy, część z nich, jak jeżdżenie na złoty, motocykle i tak dalej, jest super, ale niektóre jego ekstremalne jazdy mnie wkurzają.

Dante był ciekaw, czy morderstwo jego rodziców miało cokolwiek wspólnego z opiniami Joego. A może to po prostu standardowa postawa dzieciaka, który osiągnąwszy pewien wiek, odkrył, że

jego starzy to nie bogowie. Tak czy owak Dante poczuł się znacznie lepiej w kwestii dalszego zacieśniania więzi ze swoim dawnym przyjacielem, ale też nabrał złych przeczuć w sprawie perspektyw wyciągnięcia z Joego użytecznych informacji.

- No więc to jest właśnie mój pokój - powiedział Joe, otwierając drzwi.

Cały bałagan krył się za drzwiami wielkiej wnękowej szafy i w pokoju panował względny ład. Joe miał ogromne łóżko, niesamowity komputer do gier Alienware i wielki telewizor ciekłokrystaliczny z zestawem głośników Surround.

-Ty rozpieszczony gnojku! - Dante radośnie wyszczerzył zęby. - Te kolumny, ale one muszą dawać.

- No! - poruszył brwiami Joe, wyciągając z szafki DVD Green Day Bullet in a Bible. - Dźwięk Surround jest niesamowity. Chcecie posłuchać?

-Amerykański idiota - pokiwał głową Dante. - Ta piosenka jest po prostu obłędna.

Podczas gdy odtwarzacz miał ostrzeżenia o prawach autorskich, Laura opadła na puf, zaś Anna i Dante usiedli na kanapie i całowali się, dopóki nie zagrzała muzyka.

-Jezu, za głośno! - wrzasnęła Laura, ale nikt nie usłyszał jej przez huk.

Wybuchnęła śmiechem, kiedy odwróciwszy się, ujrzała Dantego podskakującego wysoko w górę, grającego na niewidzialnej gitarze i kręcącego młynce swoimi długimi włosami.

Joe podkręcił dźwięk jeszcze bardziej i wskoczył na łóżko, gdzie włączył się do rywalizacji, wywijając jeszcze dziksze hołubce niż Dante. Niewiele myśląc, Laura wspięła się do niego, złapała za ręce i razem zaczęli odbijać się jak na trampolinie, tak wysoko, że przy każdym podskoku włosami zamiatała sufit.

Zabawa trwała do trzeciego skoku, przy którym Joemu omsknęła się noga na krawędzi materaca i chłopiec runął na Dantego i Annę, powalając ich na podłogę. Pociągnięta za rękę Laura straciła równowagę i także rymnęła w dół, kończąc na Joem, z zakleszczonymi pod sobą nogami Anny i z lekka woniejącą skarpetą Dantego przy twarzy.

Kiedy wśród zdyszanych chichotów próbowali wygramolić się z płataniny kończyn, do pokoju weszła mama Joego, trzymając tacę z czterema szklankami, butelką coli, chipsami i stertą kanapek na talerzu.

- Ściszczone trochę! - krzyknęła i porwawszy z dywanu pilot, zaczęła szukać właściwego przycisku.

Gdy wreszcie udało się jej ściszyć muzykę, usłyszała śmiechy czworga nastolatków, rozbawionych, ale też nieco zawstydzonych.

- Przepraszamy - powiedział Joe, odbierając od mamy pilota i wciskając guzik wyciszenia.

- Ale z was banda wariatów - zaśmiała się Marlena Don-nington. - Nie przeszkadza mi, że się bawicie, ale słyszałam to aż w kuchni.

## 23. LONDYN

Sobota rano

Chaptery Bandytów działały w dwudziestu trzech krajach. Wszystkie używały tego samego godła i przestrzegały klubowego regulaminu stworzonego w chapterze macierzystym z Long Beach w Kalifornii. Każdy członek gangu musiał mieć motocykl marki Harley Davidson i przejść przez zawył proces rekrutacji. Zobowiązany był też płacić klubowe składki, uczęszczać na cotygodniowe mityngi, jeździć na dwa obowiązkowe zloty rocznie i hojnie zasilać klubowy fundusz prawny.

Chaptery również musiały stosować się do pewnych zasad. Każdy miał liczyć co najmniej sześciu pełnoprawnych członków, w tym prezesa, wiceprezesa i funkcyjnego. Klub powinien być

stałym budynkiem z miejscem do spotkań towarzyskich, miejscem do pracy przy motocyklach i noclegownią dla gości. Pełnoprawny Bandyta mógł w dowolnej chwili wejść do każdego klubu Bandytów na świecie i pozostać w nim tak długo, jak chciał.

Oprócz narzuconych ogólnie reguł wiele zależało od majątku chapteru. Istniały kluby w Argentynie, tylko nieznacznie lepsze od blaszanych baraków, podczas gdy chaptery takie jak Long Beach i South Devon miały siedziby w specjalnie wybudowanych gmachach z nowoczesnymi systemami bezpieczeństwa, klimatyzacją i mnóstwem pokoi gościnnych, które nawet jeśli nie zachwyciłyby żadnej mamy stopniem czystości, to z pewnością były komfortowe. Londyński chapter tkwił pomiędzy dwiema skrajnościami: jego klub mieścił się w pubie nad kanałem niedaleko stacji Kings Cross, zakupionym za kilkaset funtów jeszcze w latach sześćdziesiątych, kiedy lokal wciąż otaczały powojenne ruiny. Teraz jego kamery systemu monitoringu i zamurwane ceglami okna wyróżniały się w otoczeniu niewysokich biurowców i tanich hoteli. Od czasu do czasu turyści zbaczali z nadbrzeżnej alejki, by zrobić sobie zdjęcie na tle malowanego godła Bandytów i lśniących chromem motocykli przed wejściem.

Klub Bandytów Londyn miał całodobową ochronę i monitoring obsługiwany przez prastarego bikera zwanego Pikey, który mieszkał na poddaszu lokalu. Pikey stracił płuco w wyniku zapalenia płuc i rzeził, kiedy wychylił się za barierkę, by zawołać w stronę ciasnego baru na dole.

- Kebab przy domofonie. Mówi, że przyszedł do ciebie, szefie.

Dusikotek śmierdział wodą i papierosami. Rznął w pokera do trzeciej rano, a noc odespał na materacu na podłodze gabinetu prezesa, nie zadawszy sobie nawet trudu, by zdjąć głany.

Opancerzone stalową blachą drzwi miały elektryczny zamek i tajny agent policji George Khan pchnął je, kiedy tylko usłyszał brzęczenie elektromagnesu. Odsłoniło się przed nim mroczne wnętrze obscurnego pubu z wykładziną czarną od brudu i wypalonych blizn po papierosach. Stół do bilardu i automaty do gier wyglądały na nowe, zaś barowy kontuar wymontowano, żeby zrobić więcej miejsca (w klubach Bandytów jedzenie i drinki były darmowe, chociaż nieczłonkowie, którzy przed wyjściem nie wsunęli zwitka banknotów do jednej z puszek na datki, narażali się na bliskie spotkanie z pięściami i butami braci).

- Mieliśmy tu problem ze szczurami, ale były tak znie-smaczzone, że w końcu same uciekły - zarechotał Dusikotek, kiedy George przestąpił próg, po czym nagle spowaźniał. - Niestety, będziesz pan musiał wyskoczyć z naszków.

Rewizja osobista była standardowym postępowaniem wobec każdego, kto wchodził do klubu w interesach. Dwaj inni Bandytów siedzący przy stolikach po drugiej stronie pomieszczenia obrzucili George'a wrogimi spojrzeniami, kiedy ściągał koszulkę i opuszczał szorty, by pokazać Dusikotkowi, że nie ma żadnego urządzenia rejestrującego przylepionego do skóry.

- Komórkę i klucze zostaw na stole - powiedział Dusikotek. - Na wszelki wypadek. Następnie wyprowadził George'a przez niskie drzwi z boku pomieszczenia. Prowadziły do jego gabinetu o ścianach pokrytych grubą warstwą przypiętych pinezkami fotografii, wycinków z gazet i nabazgranych pospiesznie notatek. George spojrział z przerażeniem na poplamiony materac i poblądł, kiedy przytłaczająca mieszanka zapachowa dymu z cygar i potu prezesa wyparła mu powietrze z płuc.

- Możemy tu bezpiecznie rozmawiać? - zapytał, siadając ostrożnie na rozwalającym się krześle, podczas gdy Dusikotek usadowił się za stertami papierów na swoim biurku.

- Kiedy mnie nie ma, gabinet jest zamknięty na klucz - powiedział prezes. - Co tydzień cały klub jest skanowany na obecność pluskiew. Zresztą robię biznesy z tego pokoju od osiemdziesiątego trzeciego i nigdy nie było żadnej wtopy.

George przesunął na kolana sportową torbę Nike i wyjął z niej pakunek z banknotami.

- Niestety, mam tu tylko czterdzieści dwa tysiące - powiedział nerwowo.

Dusikotek gwałtownie pochylił się do przodu.

- Miały być sześćdziesiąt trzy - zasyczał. - Załatwiam ci broń za sześćset patoli, a ty nie masz nawet na dziesięć procent zaliczki?

- Mogłem mieć w poniedziałek - odparł George. - To nie jest kwestia posiadania gotówki, tylko manipulowania nią tak, żeby nie wykryły jej służby walki z praniem pieniędzy.

Dusikotek zacmokał, kręcąc głową.

-Jadę do Devonu dzisiaj. Powiedziałem swojemu kontaktowi, że będę miał całą zaliczkę w gotówce,

- Wszystko, co mogę zrobić, to przeprosić - powiedział George. - Ale odpłacę za to.

Brakujących dwadzieścia jeden tysięcy dostanie pan do wtorku i dorzucę jeszcze pięć stów ekstra na dodatkowego kuriera, który pojedzie z gotówką.

- Pięć stów plus wydatki - oznajmił Dusikotek. - Bilet kolejowy pierwszej klasy i taksówki, czyli powiedzmy, że w sumie wyjdzie tysiąc ze wszystkim.

George wiedział, że to rozbój w biały dzień, ale nie zamierzał spierać się z prezesem.

- Doceniam pańską elastyczność - powiedział tylko.

Dusikotek wypatrzył na biurku opróżnioną do połowy

butelkę bourbona Rebel Yell i wlał trochę do wyszperanego skądś brudnego kubka.

- Wy... tam ze Wschodu, to nie pijecie, co nie?

- Nie, dziękuję - odpowiedział George.

- Co kraj, to obyczaj - uśmiechnął się biker. - Zdajesz pan sobie sprawę, że jeśli nie dostarczę pełnej zaliczki od razu, to wasza dostawa też spóźni się o parę dni?

Agenci CHERUBA potrzebowali czasu i były to słowa, po jakie George przyjechał na to spotkanie.

- Zdarza się - powiedział filozoficznie Dusikotek. - Ale ostrzegam, że zleceniobiorcy mogą nie być tak wyrozumiali jak ja. Jeśli opóźnicie spłatę kolejnej raty, mogą podbić cenę, a może nawet zgarną zaliczkę i jeżeli o mnie chodzi, to będzie to sprawa wyłącznie między wami. Ja służę tu tylko jako kontakt.

- Wiem - skinął głową George. - Kiedy tylko podpiszemy umowę i ustalimy datę dostawy, zacznę umawiać transfery.

Dusikotek chrząknął.

- Następną ratą wyniesie czterdzieści procent, jak tylko uzgodnimy plan dostaw, a potem druga połowa kwoty.

-Jakoś to przeżyję - powiedział George.

- Czyli ustalone. - Dusikotek klasnął w dłoń. - Dobra, zaraz ma tu wpaść parę osób, zanim otworzymy, a oficjalnie nawet nie mogę tu wpuszczać kolorowych, więc lepiej brykaj pan stąd.

Zanim George wstał, udał kaszlnięcie i wypluł na dłoń bryłkę gumy z ukrytym w środku mikroskopijnym urządzeniem podsłuchowym, którą niepostrzeżenie przykleił pod siedziskiem krzesła. W barze spostrzegł, że jego komórka i klucze nie leżą dokładnie tam, gdzie je zostawił, i wychodząc na słoneczną ulicę, stwierdził, że ktoś zadzwonił na ostatni wybrany przez niego numer.

Na szczęście był to aparat dostarczony przez CHERUBA: wszystkie kontakty i wiadomości tekstowe w jego pamięci były odpowiednio sfabrykowane. Kiedy tylko George oddalił się od budynku klubu, wystukał numer #61 1042#, który przemienił telefon w odbiornik sygnałów urządzenia podsłuchowego.

George ruszył brzegiem kanału, słuchając rozmowy Du-sikotka z Pikeyem.

- Czterdzieści dwa kafle - powiedział Dusikotek. - Kusi mnie, żeby nie wspominać o tym Fiihrerowi i zatrzymać kasę dla siebie.

Pikey mówił bardziej rozważnie.

- Nie wiesz, kim są ci ludzie - powiedział ostrzegawczo.
- Może się okazać, że jak skubniesz tych gości, zaraz zleci się tu rój brudasów z Birmingham, żeby wszcząć rozróbę. Albo wyznaczyć nagrodę za nasze głowy.
- To tylko jakiś dzieciak - powiedział Dusikotek.
- Tak, ale kto stoi za nim? - zapytał Pikey. - Jedyne, co o nich wiemy, to że mogą zdobyć sześćset tysięcy. A to oznacza, że siedzą po uszy w narkotykach i raczej nie będą trząść portkami przed paroma tłustymi kolesiami w skórzanych kurtkach.
- Co racja, to racja - zaśmiał się Dusikotek. - Weźmy nasze piętnaście procent i niech South Devon kula się dalej z tym gównem. A ty jak, jedziesz z nami do Devonu?
- Raczej zostanę i popilnuję budy - odpowiedział Pikey.
- Przez te hemoroidy na motorze czuję się, jakbym siedział na grillu.

Kasa zmobilizował cały swój urok, kiedy Chloe usiadła po drugiej stronie jego biurka i jąła przeglądać umowę kredytową spisana sześciopunktową czcionką.

- Wszystko zgodnie z prawem - zapewnił biker. - To standardowa umowa pomiędzy panią a firmą kredytową Midland Retail.

Chloe uśmiechnęła się.

- Czyli mogę się nie bać, że przyjdzie do mnie biker w skórze i przestrzeli kolana, jeśli spóźnię się ze spłatą raty?

- Nie, na pewno nie - zaśmiał się Kasa, podczas gdy Chloe wpisywała swoje fałszywe nazwisko w okienku.

- I jeszcze dwa na końcu - dodał. - No i potrzebujemy podpisu dorosłej osoby na wniosku ubezpieczeniowym.

James, który stał z tyłu, uśmiechnął się szeroko, kiedy mechanik potoczył jego nową, półlitrową radość i dumę w dół rampy, by zainstalować ograniczniki mocy.

- Pan zrobi tak, żeby to nie działało - szepnął mu James, a mechanik odpowiedział mrugnięciem.

- Dopiero się wprowadziliście? - zapytał Kasa.

- Rozeszłam się z mężem - wyjaśniła Chloe. - Dostałam tłustą sumkę z ugody i postanowiłam wynieść się z Londynu.

- Wszystko jasne - uśmiechnął się Kasa. - Młodo pani wygląda jak na mamę Jamesa.

- Co też pan mówi - parsknęła Chloe. - Proszę spojrzeć na te siwe włosy!

- W klubie Bandytów będzie dziś fajny balecik. Byłaby pani zainteresowana?

Udział w imprezie Bandytów mógłby bardzo pomóc w misji, ale byłoby podejrzane, gdyby była żona maklera giełdowego pałała entuzjazmem do bikerskich bibek, dlatego Chloe skrzywiła się z niechęcią.

- No co pani zależy? Kiedyś trzeba rozpuścić włosy! - namawiał Kasa wesoło. - Kiedy ostatnio była pani na naprawdę szalonej imprezie?

Chloe zachichotała.

- Minęło już trochę czasu, no i zgaduję, że klub Bandytów to trochę żywsze miejsce niż koktajl party na Primrose Hill.

## 24. JAZDA

- Jak tam twoja mała japońska rakietka? - zapytał Zgryz, stojąc w kancynie dla personelu przy antresoli pomiędzy dwoma poziomami Marina Heights.

Pozbawione okien pomieszczenie wyposażono w kilka stołów i krzesel, lodówkę, zlew oraz ekspres do kawy, ale w ciepłe dni wszyscy spędzali przerwy na zewnątrz.

- Jeszcze nie jeździłem - wyjaśnił James. - Dopiero montują mi blokadę.

- Montują wadliwie, mam nadzieję - uśmiechnął się Zgryz.

- No jasne - skinął głową James.

- Twoja podstawowa pensja wynosi pięć funtów za godzinę - powiedział Zgryz. - Siedem funtów po ósmej wieczór i osiem, jeśli pracujesz po północy. Jeżeli będziesz miał problem z wyrobieniem się na ustalone godziny, nie czekaj do ostatniej chwili z poinformowaniem mnie. Co powiesz na pełną sobotę i dwa wieczory po szkole?

- Może być - odpowiedział James. - Co będę robił?

- Każdy zaczyna od sprzątania i różnych prac porządkowych: toalety, śmietniki, śmieci na chodnikach. Następnym etapem jest sprzedawanie w kiosku z fast foodem, a najwyższa ranga to praca w bistrze albo kierowanie jednym z kiosków.

- Ekstra - skinął głową James. - Pracowałem kiedyś w Deluxe Chicken, więc mam jakieś tam doświadczenie w obsłudze klientów i w ogóle.

- Będę pamiętał - pokiwał głową Zgryz. - Nigdy nie wiadomo, kogo możemy potrzebować. James zapamiętał kilka szczegółów z przeszłości Zgryza i postanowił przypodobać się nowemu szefowi.

- A wie pan, wygląda pan znajomo. Nie był pan przypadkiem zapaśnikiem?

Zgryz ukazał dziąsła w szerokim uśmiechu.

- A ty skąd wiesz?

- Pamiętam. Z dzieciństwa. Walczył pan w tych porannych programach wrestlingowych, które nadawali na kanale sportowym. Dropsik McGlone, tak?

- Zaliczyłem tylko trzy telewizyjne walki - uśmiechnął się Zgryz. - Niezłą masz pamięć, młody.

- Nadal pan walczy?

- Gdzie tam - machnął ręką Zgryz. - Trenowałem trochę na obozach letnich, ale teraz prowadzę Marina Heights i nie mogę zniknąć na parę tygodni w sezonie turystycznym. Poza tym szczyt formy mam już za sobą. Przez jakiś czas prowadziłem klub dla młodzieńców, uczyłem ich boksu i trochę zapasów, ale zamknąłem interes. Jakiś facet próbował mnie zaskarżyć, po tym jak własny syn złamał mu rękę. No i wprowadzili te wszystkie przepisy o niekaralności przy pracy z dziećmi, a ja akurat mam dość barwną przeszłość.

- Szkoda - posmutniał James.

- Na dziś mam komplet ludzi - oznajmił Zgryz. - Ale mogę dać ci zadanie specjalne, jeżeli chcesz zacząć zarabiać od razu.

James przede wszystkim chciał pojeździć na nowym motocyklu, kiedy tylko będzie gotowy, ale kilka dodatkowych godzin pracy mogło pomóc w wywarciu korzystnego wrażenia na szefie.

- Mogę robić cokolwiek - powiedział z przekonaniem. - Umiem ciężko pracować.

Zgryz wręczył mu przepustkę, krótkofalówkę i niebieski kombinezon roboczy, po czym zniknął, by za kilka chwil wrócić, ciągnąc za sobą ciśnieniową myjkę. Zaprowadziwszy Jamesa na podziemny parking pod apartamentowcem Marina View, powiódł go pomiędzy szeregami luksusowych samochodów do ściany, na której widniał częściowo wypełniony kontur tagu graffiti: „Eklipz 08”.

- Dorwaliśmy kolesia, który to malował, i więcej już tego nie robi - uśmiechnął się lodowato Zgryz. - Niestety, zmyć to można tylko pod ciśnieniem.

Pokazawszy Jamesowi, skąd wyciągnąć wąż i jak podłączyć myjkę, Zgryz zademonstrował, w jaki sposób najlepiej zmywa się farbę ze ściany.

- Spray i niezmywalne pisaki w końcu schodzą, ale beton jest porowaty, więc zajmuje to trochę czasu - wyjaśnił Zgryz. - Masz przed sobą cztery, pięć godzin pracy. W połowie zrób sobie przerwę, a kiedy skończysz, zamelduj się u mnie.

Kiedy James założył ochronne gogle i skierował na ścianę silny strumień wody, krótkofalówka u jego boku głośno zatrzeszczała.

- Ekipa sprzątająca numer jeden natychmiast do kiosku z pączkami - oznajmiła skrzekliwie.

- Jakiś dzieciak narzy-gał na chodnik. Zgarnijcie to, zanim ludzie zaczną w to wchodzić.

Kiedy James skończył pracę, było już wpół do czwartej. Biuro kierownika budynku mieściło się na tyłach restauracji. Zgryz siedział za zabałaganionym biurkiem i mówił coś do młodzieńca, w którym James rozpoznał Martina, szesnastoletniego syna Fiihrrera.

- To jest ten chłopak, o którym ci mówiłem - powiedział Zgryz do Martina, podczas gdy James zamykał za sobą drzwi.

Martin górował wzrostem nad Jamesem, ale był znacznie odeń węższy. Miał na sobie czarne dżinsowe rurki i ciemnoniebieską koszulę z krótkimi rękawami, zaś jego wystudiowanego stylu dopełniał wąziutki skórzany krawat zawieszony luźno na szyi oraz strzępiasta fryzura na emo. Chudzielec wyciągnął dłoń do Jamesa.

- Hej - przywitał go. - Dobrze się bawisz?

- No ba! Zmywałem graffiti przez bite cztery i pół godziny. Czysta frajda.

Zgryz obejrzał wymytą przez Jamesa ścianę na jednym z ekranów za swoją głową.

- Wygląda na to, że nieźle się spisałeś.

- Słyszałem, że kupiłeś nowy motocykl - powiedział Martin. - Jak się sprawuje?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział James. - Nie mogę się doczekać, kiedy go wreszcie dosiędę.

- Pomocnica Martina właśnie zadzwoniła, że jest chora i nie może dziś przyjść - wyjaśnił Zgryz. - W sobotnie wieczory zawsze jest ruch, a dzisiaj szczególnie, bo mamy otwartą imprezę u Bandytów. Krótko mówiąc, Martin potrzebuje pomocy w naleśnikami między szóstą a północą. Masz jakieś plany?

James wzruszył ramionami.

- Miałem zadzwonić do Ashley, mojej dziewczyny, ale nie umawiałem się konkretnie, więc chyba mógłbym pomóc.

- Dobrze by było, gdybyś przyszedł wcześniej - powiedział Martin. - Pokażę ci, co i jak, i będziesz miał chwilę na przeciwienie smażenia, zanim zaczniesz się młyn.

- Żaden problem - uśmiechnął się James. - No to skoro mam serwować żarcie, to lepiej skoczę do domu umyć się i tak dalej.

- Miłego ujeżdżania motocykla - rzucił za nim Zgryz, kiedy obaj chłopcy skierowali się do wyjścia.

James cisnął mokry kombinezon do szafki na zapleczu i pognął po schodach w dół, do warsztatu Skóry i Chromu. Mechanik rozpoznał go z wcześniejszej wizyty i zadzwonił mu kluczykiem pod nosem.

- Można jechać - oznajmił z uśmiechem. - Twoja mama zabrała wszystkie papiery do domu.

Tylko uważaj! Motocykl jest odblokowany, ale miałbym wyrzuty sumienia, gdybyś w drodze do domu owinął się wokół jakiegoś drzewa.

Włożywszy skórzane ubranie do jazdy na szorty i koszulkę, James odpalił motocykl. Wszystko, od ciężaru po głośność silnika, wydawało się większe niż w hondzie, na której przyjechał tego

ranka. Czując w piersi ukłucie lęku, odpuścił nieco sprzęgło i niepewnie pulsując gazem, wytoczył się z warsztatu.

Kawasaki mruzczało przyjemnie, kiedy przemykał obok kolejki samochodów próbujących dostać się na parking Marina Heights. Ulice były zatłoczone pojazdami sobotnich zakupowiczów i James spędził kilka minut zablokowany za białym vanem na głównej ulicy. Dopiero kiedy potok aut wyniósł go na wylotówkę wiodącą w stronę domu, wypatrzył dziurę w ruchu z naprzeciwka i odkręcił gaz, żeby wyprzedzić.

Z wydechu dobył się piękny ryk i zanim James zdążył mrugnąć, już wskazówka prędkościomierza dotknęła stu kilometrów na godzinę i musiał musnąć hamulce, żeby zwolnić przed powrotem na własny pas ruchu. Kusilo go, żeby dać pełny gaz i sprawdzić, jak szybko może pojechać jego nowa zabawka, ale wolał najpierw nabrać wyczucia, więc zadowolił się spokojną sześćdziesiątką, z wiatrem wciskającym się za kołnierz kurtki i słońcem trochę zbyt mocno przypiekającym plecy.

- Zgryz cię chyba polubił - zauważył Martin.

James stał wewnątrz budki z naleśnikami ubrany w dżinsy, białą koszulkę polo i firmowy fartuch Marina Heights.

- Rozpoznałem go z czasów, kiedy jeszcze walczył - wyjaśnił, patrząc, jak Martin leje płynne ciasto na jedną z trzech okrągłych płyt grzewczych do smażenia naleśników francuskich.

- Musiał posikać się ze szczęścia, kiedy o tym wspomniałeś - powiedział Martin, rozprawiając ciasto okrężnymi ruchami plastikowej łopatką. - Sztuczka polega na tym, żeby dać akurat tyle tłuszczu, żeby ciasto nie przywierało. Potem patrzysz, kiedy góra placka zaczyna się ścinać i wtedy odwracasz łopatką, żeby przyrumienić z drugiej strony.

- Strasznie tu gorąco - sapnął James, ocierając pot z czoła.

Potoczył wzrokiem po zbiornikach ze składnikami

i lśniących nierdzewną stalą maszynach otaczających go ze wszystkich stron. Pojemniki z nadzieniem do naleśników

- od lodów bananowych po mieloną wołowinę w chili

- ustawiono w szeregach pod szklanym kontuarem. Za ladą stał ekspres do kawy i herbaty oraz chłodziarka wypełniona napojami.

- Przyzwyczaisz się - odpowiedział Martin, przenosząc parujący placek na plastikową półkę, gdzie dodawało się nadzienie i sosy. - Dobra, łap chochlę i spróbuj sam. Bez ciśnienia, ale ta dziewczyna, która się dziś rozchorowała, jest gorzej niż beznadziejna, więc jeśli się przyłożysz, niewykluczone, że zostaniesz tu na stałe. Chyba lepsze to, niż przetykać kible.

James zwilżył płytę grzejną olejową mgiełką, po czym ostrożnie wylał na nią łyżkę ciasta. Kiedy rozprowadził je łopatką, kilka kropel ściekło poza krawędź płyty.

- Nabrałeś ciut za dużo - powiedział Martin - ale jest ładnie, równo rozsmarowane.

Widzisz, jak masa błyszczy od wilgoci? Kiedy tylko przestanie, to znak, że pora odwracać.

- Aha, patrzcie, oto człowiek pracy! - zarechotał Julian po drugiej stronie kontuaru.

- Hej, palancie - odpowiedział James, piorunując spojrzeniem kręcone włosy rywala i jego radośnie wyszczerzoną twarz.

- Pilnuj naleśnika - ostrzegł Martin. - Teraz weź łopatkę i przewróć, zanim się przypali.

- Widziałem wcześniej, jak zmywasz graffiti - pochwalił się Julian tonem pełnym poczucia wyższości, podczas gdy James biedził się z odwracaniem naleśnika. - Ja na przykład nie muszę pracować, bo moi starzy nie są biedotą.

- Odwal się, Julian - powiedział Martin.

Julian uśmiechnął się złośliwie.

- Co mówiłeś, mój mały przyjacielu geju? Powiedziałeś już swojemu tacie?



- Nie wstydzę się mojej orientacji seksualnej - burknął Martin.
- Och, James, widziałem twój nowy motocykl. Nie wiem, może kupię lody i pójde przyjrzeć mu się dokładnie.

James był zdecydowany usmażyć swój pierwszy naleśnik jak należy, ale kiedy tylko rzucił placek na półkę, wychylił się za ladę tak szybko, że Julian nie zdążył się cofnąć. James złapał go za fraki i pociągnął do siebie, by wtłoczyć przerażoną twarz w szklany blat.

- Dotknij mojego motoru, a przeciągnę cię przez ten kontuar i usmażę ryj na płycie - ostrzegł morderczym głosem, po czym puścił.

Julian odskoczył od lady i poprawił koszulę, dokładając starań, by nie wyglądać na wzburzonego.

- Miłej nocki - wyszczerzył się obleśnie.
- Załatwione - uśmiechnął się James. - Zwłaszcza po mojej zmianie, kiedy będę pukał twoją byłą.

Kiedy Julian odszedł, twarz Martina rozjaśnił radosny uśmiech.

-Julian to pacan nad pacany. Jeśli jeszcze raz dotknie twojego motoru, powiedz Zgryzowi. Cały parking jest obstawiony kamerami, a Bandydzi nie przepadają za ludźmi, którzy pastwią się nad motocyklami.

- Zapamiętam - kiwnął głową James, którego uwagę znów całkowicie pochłaniał naleśnik. - No i jak mi poszło?

- W sumie dobrze - powiedział Martin. - Jest trochę za-kalcowaty na środku, bo wzięłeś za dużo ciasta, no i kiedy przyjdzie prawdziwy klient, zalecałbym trochę więcej „proszę” i „dziękuję”, za to mniej grożenia usmażeniem twarzy czy przeleceniem dziewczyny, okej?

Brigands MC South Devon urządzali wieczór otwarty w każdą trzecią sobotę miesiąca. Dla uboższych chapterów tego rodzaju imprezy były sposobem na ściągnięcie ludzi z zewnątrz i zarobienie nieco grosza na sprzedaży jedzenia i narkotyków. W wypadku chapteru z South Devon chodziło w większym stopniu o relacje z miejscową społecznością.

Zamknięte drzwi, kamery nadzoru i hałaśliwe motocykle odstraszały ludzi, tym bardziej że dekańska policja regularnie przedstawiała Bandytów jako zagrożenie. Jednak dla wielu miejscowych i turystów jedyną szansą na kontakt z Bandytami były otwarte wieczory, podczas których Führer i jego załoga przedstawiali się na tryb przyjaznego zachowania.

W klubie serwowano darmowe jedzenie i drinki, podczas gdy na terenie za budynkiem urządzano oddzielną imprezę dla miejscowych dzieci i nastolatków. Zabawę kończył o północy pokaz fajerwerków, po którym publikę wypraszano, a klub na powrót stawał się zamkniętym klubem prywatnym.

O wpół do dziesiątej niebo było już czarne, a Marina Heights dygotała lekko od muzyki rockowej dobiegającej z siedziby Bandytów. Laura szła po promenadzie z Joem, Dantem, Anną i kilkorgiem innych znajomych. Od biegania po plaży miała piasek w butach, a w palce parzył ją naleśnik z czekoladą, bananem i orzechami.

- Dobre to - mlasnęła z zadowoleniem. - Ja robię o niebo lepsze, ale biorąc pod uwagę, że przyrzędził to mój brat...

- Twój brat zdecydowanie nie lubi, kiedy strzelasz na niego palcami i wołasz: „Chłopcze!” - uśmiechnął się Joe.

W klubie mogli dostać tylko napoje bezalkoholowe, dlatego przed przeniesieniem się do Marina Heights młodzież tradycyjnie zaprawiała się na plaży. Laura wypła tylko puszkę piwa i dwa łyki wódki z butelki Joego, za to Joe i Dante pozwolili sobie na więcej. Teraz ssali miętówki i za wszelką cenę starali się trzymać pion: ewidentnie pijanych nie wpuszczono by do klubu.

Okazało się, że niepotrzebnie się bali. Kiedy tylko Joe zbliżył się do wejścia klubu, dostał się w niedźwiedzi uścisk - połączony z odbierającym dech klepaniem po plecach -zbirowato wyglądającego prospekta Bandytów o ksywie Puszek.

- Twój tata kazał mi cię przysłać do niego, kiedy przyjdiesz - oznajmił Puszek. - Jest tam gdzie zwykle.

Joe zaniepokoił się. Czyżby miało to coś wspólnego z notką ze szkoły w sprawie tej nauczycielki, której naubliżał parę dni temu?

Ze wszystkich dzieci tylko Laura i Dante nie byli jeszcze w klubie. Główna sala była równie szara i nieciekawa jak ceglane mury na zewnątrz: lśniący wypolerowany parkiet, czworokąt składanych stolików z jedzeniem, krzesła, niewielka estrada z didżejem i gromada dzieciaków podskakujących wśród migoczących świateł. Wystarczyłoby dorzucić dwie tablice z obręczami do koszykówki i miejsce byłoby nie do odróżnienia od dyskoteki w szkolnej sali gimnastycznej. Darmowy bar obwieszono ogromnymi tablicami namawiającymi gości, by wspierali miejscowy chapter Bandytów, kupując bilety na loterię, i choć bikerzy wspinali się tego dnia na szczyty kurtuazji i nienagannych manier, wciąż trzeba było nie lada odwagi, by poczęstować się drinkiem bez ofiarowania datku.

Dla Laury największą niespodzianką była grupa wątych starszych pań siedzących przy stole na plastikowych krzesłach albo wózkach inwalidzkich, przytupujących i postukujących do rytmu laskami. O to, by miały pełne kubeczki, dbało kilku młodszych członków Monster Bunch i Psów Wojny. Żaden biker nie chciałby spędzać soboty w taki sposób, ale Fiihrer kazał im się uśmiechać, bo na imprezie miał pojawić się reporter z lokalnej gazety, a bikerzy ściskający babcie robili gangowi świetną reklamę.

Joe zniknął, by odszukać ojca, ale wrócił, jeszcze zanim reszta grupy przeszła przez salę, by dołączyć do młodzieży na zewnątrz. Podbiegł do Laury i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem."

- Mój tata chciałby cię poznać - oznajmił z miną zdradzającą zakłopotanie.

Laura uniosła brew.

- Co? Dlaczego?

-Nie wiem, ale on jest tutaj wielkim wodzem i naprawdę lepiej robić, co każe.

Joe ujął Laurę za rękę, a kiedy precyzyjnie się między kilkoma tańczącymi parami, a potem przez warstwę ludzi tłoczących się przy stolikach, Laura spostrzegła Chloe siedzącą na jednej ze stojących pod ścianami skórzanych ław i pochłoniętą ożywioną konwersacją z Kasą.

- To właśnie ona - powiedział Joe, przekrzykując gwar.

Laura poczuła się nieswojo, stając przed grupą mężczyzn rozpartych na skórzanych fotelach wokół okrągłych stolików. Rozpoznała Fiihrera: małego, tęgiego człowieczka ze szpetnym wąsikiem à la Hitler i długim skórzanym płaszczem przewieszonym przez oparcie fotela. To, że wszyscy pozostali usadowili się przodem do niego, nie pozwalało wątpić, że to on jest tutaj szefem.

W grupie byli „plecowi” Bandyty z chapterów w Londynie i South Devon, starsi rangą członkowie Psów Wojny, a także kilku egzotycznych gości noszących naszywki Bandytów z Australii i Afryki Południowej.

- Mój syn ma swoją pierwszą dziewczuchę! - ryknął z dumą Fiihrer. - Najwyższy czas, do diaska!

Zgryz zarechotał głośno.

- Na to, że Martin sobie jakąś przygrucha, raczej nie możesz liczyć, nie?

- Ten pedryl nie jest moim synem - fuknął Fiihrer.

- Mam taką teorię, że Marlana dała mleczarzowi. Nie mogło być inaczej.

Laure i Joego oblał rumieniec wstydu. Fiihrer wskazał na siedzącego obok niego tłustego mężczyznę.

- Pamiętasz tego faceta, Joe? To Dusikotek, prezes chap-teru Londyn.

- Jasne - skinął głową Joe. - Miło znów pana widzieć.

-Właśnie dyskutowaliśmy o tym, kto ma lepszy klub

- zahuczał Dusikotek. - Nasze trzydzieści pięć lat historii kontra wasz sterylny ceglany kloc.

- Ale musisz przyznać, szefie, South Devon ma lepiej -odezwał się jeden z londyńskich Bandytów z nutką zawiści w głosie. - My się kulamy fordziakami, a ci chłopcy posuwają merolami, które trzymają w garażach większych niż moje mieszkanie.

- Patrzcie no na mojego chłopaka! - zarechotał Fiihrer, wzniesając wśród bikerów wtórną falę śmiechów. - W życiu nie widziałem, żeby Joe był taki przymulony. No co się tak wstydzisz, synu? Powiedz swojej łasencji, żeby tu przyszła i dała swojemu przyszłemu teściowi buziaka. Laura zbliżyła się niepewnie i pospiesznie cmoknęła Fiihrera w policzek. Pachniał jakąś podejrzaną wodą po golaniu, której zapach tracił jednak na wyrazistości pod naporem smrodu siedzącego obok Dusikotka. Führer uroczystym gestem wyciągnął z kieszeni portfel i wręczył Joemu dwie dwudziestki.

- Masz, zabawcie się - wyszczerzył się radośnie. - Piękna z ciebie dziewczyna, Laura, miło było poznać.

Joe wziął pieniądze, odwrócił się do Laury i z poczuciem winy w oczach wyprowadził ją pomiędzy stolików.

- Przepraszam cię za to - wymamrotał, kiedy oddalili się na bezpieczną odległość. - Nie miałem pojęcia, że ojciec zrobi coś takiego.

Laura wzruszyła ramionami.

- Spoko, bywało gorzej.

Jakby dla pogłębienia zażenowania Joego Führer poderwał się z fotela, grzmotnął pięścią powietrze i krzyknął dość głośno, by usłyszało go pół sali:

- Dawaj, synu! Pchnij ją tam raz ode mnie!

Ścigani oblesnym rechotem Bandytów i rumieniąc się ze wstydu, Laura i Joe pomknęli do tylnego wyjścia, by dołączyć do znajomych na dworze.

## 25. PIZZA

W ciągu dwunastu wieczorów po swoim pierwszym dyżurze w kiosku z naleśnikami James opanował sztukę smażenia na płytach grzewczych, nauczył się, jak przyrządzać cappuccino i latte, nie parząc palców gorącą parą, oraz jak wyglądać na zapracowanego, kiedy Zgryz albo jeden z kierowników zaglądał w poszukiwaniu dodatkowej pary rąk potrzebnej do wycierania stolików lub opróżniania koszy na śmieci.

James szybko zaprzyjaźnił się ze swoim nowym szefem Martinem. Posada u boku szesnastoletniego syna Fiihrera stanowiła nieoczekiwaną premię, ale Martin trzymał się od ojca na dystans i mimo wielu godzin rozmów w naleśnikami James nie zdołał wydobyć z niego żadnych użytecznych informacji.

W szkole Martin był bezwzględnie dręczony z powodu swojej orientacji seksualnej. Porzucił naukę jeszcze przed małą maturą i pracował w budce z naleśnikami przez siedem dni w tygodniu, zbierając pieniądze na podróż po świecie z przyjacielem.

Fiihrer nie był dumny z tego, że ma syna geja, ale mama Martina Marlana chroniła go, a nazwisko stawiało go na uprzywilejowanej pozycji: jako kierownik kiosku Martin zarabiał

całkiem przyzwoite pieniądze, a w porównaniu ze znacznie popularniejszym bistrem czy smażalnią ryb praca w naleśnikarni była lekka, łatwa i przyjemna.

- No więc jak ci idzie z Ashley? - zapytał Martin.

Było kilka minut po ósmej i niebo nabrało już pomarańczowej barwy. Martin stał na zewnątrz kiosku, paląc ręcznie skręconego papierosa. James tkwił w środku; oparty o kontuar wystawiał spoconą twarz do podmuchu małego plastikowego wiatraczka ustawionego na chłodziarce do napojów.

- Miła jest - odpowiedział po chwili. - Fajna z niej kum-pela.

- Próbowalesz już coś teges?

- Bez powodzenia, niestety - westchnął James. - Nie kumam jej: jak wychodzimy w soboty razem, to jara zioło jak parowóz, ale co niedziela grzecznie zasuwa do spowiedzi, a głowę ma równo zabetonowaną całym tym szajsem o miłości i małżeństwie, który starzy wtarli jej w mózg. Martin roześmiał się i pstryknąwszy niedopałkiem ponad krawędzią dziedzińca, wkroczył w obezwładniający skwar wnętrza kiosku.

- Witaj w klubie. Przynajmniej nie jestem jedynym seksualnym frustratem w okolicy - uśmiechnął się.

Twarz Jamesa wykrzywił łobuzerski uśmiech.

- Coś ci powiem, kładź się na ladzie, ściągaj porty i jakoś sobie nawzajem pomożemy.

- Ouu, byłoby super! - zaszczebiotał Martin i zatrzepotał rzęsami.

James odwrócił się, słysząc gniewne stukanie pięćdzieści-sięciopensówki na szklanym kontuarze. Przy ladzie stała trzydziestokilkuletnia mama trzymająca za rękę małą dziewczynkę. Jej zmarszczone brwi wyrażały irytację.

- Ładnie się panowie zachowują. I to przy dziecku! - powiedziała z wyrzutem.

- Tak, bardzo przepraszam - powiedział James i odchrząknął, osłaniając usta dłonią, by ukryć grymas rozbawienia. - Czym mogę służyć?

- Sprzedajecie lody?

James potrząsnął głową i wskazał dłonią poza kiosk, na koniec kolejki ludzi.

- Dwie budki dalej - wyjaśnił.

Kobieta dźgnęła palcem szklany blat nad pojemnikiem z lodami.

- A co to jest to w takim razie?

-Jeśli życzy sobie je pani w gorącym naleśniku, służę uprzejmie - odparł James.

- Świeżo smażone, bardzo smaczne - dodał Martin.

- Ale jeżeli chce pani same lody, to nie mamy nawet wafelków ani niczego, w co można by je włożyć.

- Moglibyście nałożyć trochę do kubeczka na kawę.

James i Martin wymienili się spojrzeniami.

- Nic z tego - powiedział Martin. - Nie mam takiego guzika na kasie.

Kobieta potrząsnęła głową ze wzgardą.

-Jestem pewna, że mielibyście tu znacznie większy ruch, gdybyście sprzedawali lody - oznajmiła i oddaliła się, by dołączyć do kolejki dwa kioski dalej.

- I właśnie dlatego ich nie sprzedajemy, głupia pipo

- powiedział Martin, przeciągając się i ostentacyjnie ziewając.

- Skoro już wypaliłeś, to mogę teraz ja zrobić sobie przerwę? - zapytał James.

-I tak nie ma ruchu - powiedział Martin i spojrział na zegarek. - Weź sobie pół godziny, ale nie oddalaj się za bardzo na wypadek, gdyby zrobiła się kolejka.

- Dzięki, szefie - uśmiechnął się James i otworzył drzwi kiosku, ale nim uszedł pięć kroków, uśmiech spelzł mu z twarzy na widok kobiety o imieniu Noelene.

Noelene nosiła czerwoną obcisłą koszulkę polo z wyhaftowanym na piersi napisem „kierowniczka zmiany” i promieniowała ową dziarską, pozytywnie myślącą, pracoholiczną powierzchownością, przez którą nastoletni podwładni nienawidzili jej do szpiku kości.

- A ty dokąd, James? - zapytała, mówiąc z ciężkim nowozelandzkim akcentem.

Gdyby James użył szarych komórek, powiedziałaby No-elene, że idzie do chłodziarki na zapleczu bistra po ciasto na naleśniki, ale zamiast tego zaskoczony zaczął bąkać coś pod nosem o dziesięciominutowej przerwie.

- O nie, nie, nie, mój słodziutki - rozpromieniła się No-elene i polakierowanym paznokciem o barwie dopasowanej do koloru koszulki wskazała wejście do bistra. - Mam duże zamówienie, które trzeba natychmiast dostarczyć do klubu Bandytów. Poza tym rozejrzyj się, spójrz, ile jest do zrobienia: ludzie czekają, trzeba umyć z tuzin stolików, jeżeli nie więcej. Naprawdę uważasz, że w porządku jest urywać się na przerwkę, podczas kiedy twoi koledzy urabiają sobie ręce po łokcie?

James gotował się z bezsilnej złości.

- Dobra, okej... Idę po jedzenie.

- Nie podoba mi się twoja postawa, panie Raven - rzuciła ostrzegawczo Noelene za przygarbionym Jamesem. - I podciągnij spodnie, żebym nie musiała oglądać twoich gatek. To nie jest skatering!

- Skatepark, dumna babo - mruknął pod nosem James, wchodząc do restauracji.

Bistro kipiało gwarem. Łowiąc nosem zapach rozgrzanego oleju i pikli, James skinął głową kilku znajomym twarzom, kolegom Laury i Dantego. Przy ladzie stał dwupoziomowy wózek załadowany pudełkami pączków, smażonych kurczaków, burgerów, a także opakowanych w folię aluminiową dań z chińskiej restauracji na droższym końcu dziedzińca.

Czarnoskóry kucharz wynurzył się z zaplecza i wcisnął do wózka jeszcze trzy pudełka z pizzą.

- Lepiej się z tym pospiesz - powiedział z lekkim uśmiechem. - Podasz Bandytom zimne żarcie, to wyniosą cię stamtąd na kopach.

- Jasne - skinął głową James.

Do klubu nie było daleko, ale dopiero wytoczywszy wózek przed lokal, James uświadomił sobie, że nie zjedzie z nim po schodach. Musiał obrać przeraźliwie długą drogę w dół podjazdu dla niepełnosprawnych wiodącego na promenadę przed budynkiem, a potem obejść dookoła wszystkie sklepy, nim wreszcie mógł skrócić do klubu na tyłach Marina Heights.

Minęło pięć długich minut, zanim dostał się do klubu i przetoczył wózek przez wyludnioną główną salę. Garstka prospektów Bandytów, ich dziewczyn i członków satelickich gangów rozsiała się wokół zaśmieconych stolików, gdzie dwie soboty wcześniej Fiihrer wprowadził w zażenowanie Laure. Pełnoprawni członkowie klubu spotykali się w oddzielnym pomieszczeniu z tyłu sali. James przełknął ślinę i zapukał.

Drzwi otworzyły się.

- Pozwól tu, chłopcze! - ryknął Fiihrer ze swojego miejsca u szczytu stołu.

Kłęby papierosowego dymu wznosiły się leniwie ku stropowi. Ponad dwudziestu Bandytów siedziało w fotelach z orzecha i skóry. Pomieszczenie wyglądałoby na korporacyjną salę konferencyjną, gdyby nie odzież zebranych oraz kolekcja średniowiecznej broni i narzędzi tortur, którą ozdobiono boczną ścianę.

James popchnął wózek w stronę Fiihrera, pokonując opór grubego zielonego dywanu. Rozpoznał Zgryza i zwrócił uwagę na obecność Dusikotka oraz dwóch innych Bandytów z Londynu, która niemal na pewno oznaczała, że kolejna, czterdziestoprocentowa rata płatności za broń została już dostarczona.

James skulił się ze strachu, kiedy Fiihrer poderwał się z fotela, wyrwał dwudziestocentymetrowe ostrze z cholewy i zastąpił mu drogę.

- Masz wszystko, co zamówiliśmy? - ryknął, wykrzywiając twarz we wściekłym grymasie.  
- Jest morderczo gorące?

Ku przerażeniu Jamesa inny Bandyta dźwignął się od stołu i stanąwszy za nim, wyciągnął jeszcze większy nóż.

- Eee... nie ja to przygotowywałem - wybełkotał James. - Ale leciałem najszybciej, jak mogłem.

Próbował racjonalizować: przecież nawet Bandyty nie zadźgaliby przypadkowego nastolatka, który przyniósł im pizzę; ale nie było łatwo zachować zimną krew, będąc osaczonym przez dwóch szalonych drabów trzymających ogromne noże.

Fiihrer odchylił wieczko pudełka z pizzą, nadział trójkąt hawajskiej na czubek noża i zgarnąwszy językiem serowy sopol, odgryzł mały kawałek.

- Letnia - skrzywił się i wolną ręką złapał Jamesa za koszulkę Marina Heights.

Pozostali Bandyty zasycieli z niesmakiem.

- Zabić gnojka! - wrzasnął ktoś zza stołu, ale kilku bi-kerów parsknęło śmiechem, w konsekwencji paląc cały dowcip.

Fuhrer podniósł nóż na wysokość swojej głowy, dokładnie naprzeciwko oczu Jamesa.

- Masz szczęście, dzisiaj okażę ci łaskę, ale kiedy następnym razem przybiegniesz z żarciem dla mnie, lepiej, żebyś miał zadyszkę - wycedził, po czym wbił nóż w tynk, tuż obok głowy Jamesa, i puścił rękę.

Kiedy James odsunął się lekko od dygoczącego noża, Bandyta stojący za nim kazał mu nadstawić dłonie, po czym sypnął w nie garścią monet i pięciofuntowych banknotów.

- Twój napiwek - wyjaśnił.

- Muszę przyznać, że nieźle się trzymałeś - zaśmiał się Fiihrer. - Pamiętajcie tego dzieciaka, co się poryczał i błagał nas na kolanach: „Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!”.

Gruchnęła salwa śmiechu. James szybko przeniósł pudełka z jedzeniem na stół i z pustym już wózkiem wycofał się do drzwi. Kiedy wydostał się do głównej sali, spostrzegł, że wszyscy bikerzy pijący przy stolikach patrzą w jego stronę.

-Dali ci popalić, co? - Śliczna dziewczyna w obcisłej różowej bluzce uśmiechnęła się współczująco. - Lubią się trochę zabawić, kiedy trafi im się nowy dostawca.

Banda odzianych w skóry zbirów wymachujących nożami przed twarzą nastolatka klóciła się z wyobrażeniem Jamesa o dobrej zabawie, ale jego zadaniem było wkupienie się w łaski bikerów, a to oznaczało między innymi, że muszą go śmieszyć ich dowcipy. Pokiwał głową z uśmiechem i zachowując się, jakby nie stało się nic wielkiego, pchnął wózek w stronę wyjścia.

Kiedy był już prawie przy drzwiach, z toalety dla mężczyzn tuż przed nim wychynęła dziwnie znajoma twarz: młody mężczyzna ubrany w osobliwą mieszankę retro-stu-denckich ciuchów, której głównymi elementami były wąskie czarne sztruksy, długi szal, oraz skórzana kurtka długości trzy czwarte z barwami Monster Bunch na plecach. James skinął mu głową.

- Ty jesteś James? - zapytał mężczyzna. - Cześć, jestem bratem Nigela.

Ściskając mu dłoń, James dostrzegł podobieństwo.

- Will, tak? Wróciłeś z uczelni?

- Wczoraj rano - powiedział Will. - Brat mówił, że jesteś chętny na przejażdżkę swoją nową motorką na Herbatkę Buntowników w Cambridge.

James skinął głową.

- Fajnie byłoby ruszyć nią w trasę, ale Nigel ma tylko dwieściepięćdziesiątkę, więc chyba raczej nie pojedziemy.

Will wzruszył ramionami.

- Proponowałem mu przejazd samochodem mojej dziewczyny, ale powiedział, że i tak ma coś ważnego do załatwienia w ten weekend. Ale mówi, że jesteś w porządku, więc jak chcesz, możesz jechać za Monster Bunch. Nie będę twoją niańką, ale mogę przedstawić cię wielu ważnym osobom, a jak dasz się poznać z dobrej strony, kto wie, jak daleko cię to zaprowadzi. James bardzo chciał pojechać na ten zlot nie tylko dla dobra misji, ale też dlatego, że była to niepowtarzalna okazja na długą podróż jego nowym motocyklem.

- Brzmi super - uśmiechnął się, próbując nie okazywać nadmiernego podniecenia. - Będę musiał pogadać ze starszą, ale jestem pewien, że nie będzie miała nic przeciwko.

## 26. INTERES

Laura, Joe, Dante i Anna spędzali razem większość wolnego czasu. Jeździli pociągiem na zakupy do Exeter, chodzili do kina, a raz Joe spędził niedzielny poranek na plaży, usiłując nauczyć Laure surfowania. Dni powszednie były mniej rozrywkowe: głównie szkoła, a potem wspólne odrabianie lekcji.

Kiedy była ładna pogoda, wieczorami chodzili na plażę, przeważnie, by spędzać czas wśród znajomych ze szkoły, w hałaśliwej grupie, na widok której spacerujące pary przechodziły na drugą stronę ulicy. Po plaży przenosili się do Marina Heights, żeby przekąsić coś w jakimś fast foodzie.

Droga łącząca plażę z Marina Heights była wyasfaltowana, ale biegła zygzakiem wzdłuż zbocza dla złagodzenia stromizny. Dzieci zawsze obierały krótszą trasę, przecinając pas piasku, ignorując znak „uwaga, spadające kamienie”, przeskakując przez murek, a potem wspinając się stromą ścieżką wiodącą prosto w górę.

W ciągu minionych lat zdarzyło się kilka wypadków i niektóre dzieci, w tym Joe, korzystały ze ścieżki wbrew kategorycznemu zakazowi mamy. Dziewczyny mogły się jakoś wymigać, jeśli szły w butach na obcasie albo sandałach, ale każdy chłopiec, który poszedł bezpieczną drogą, narażał się na bezlitosne drwiny kolegów.

Jak zwykle chłopcy pognali przodem, zbaczając w niepewne skrót, popychając się nawzajem i robiąc mnóstwo hałasu. Laura i Anna wspinały się ścieżką wraz z trzema innymi dziewczynami, starannie wybierając miejsca, w których stawały stopy na osypującym się zboczu. Rozmawiały o przystojnym studencie, nauczycielu plastyki.

- Wszystkie laski lecą na pana Zipfa - zauważyła Anna.

- Ale on jest jakiś obleśny. Na przykład jak flirtuje z tą swoją grupą piętnastek, rwie je bez żenady!

- W końcu to facet - Laura wzruszyła ramionami.

- Wszyscy faceci to tylko włochate worki spermy.

Dziewczęta parsknęły śmiechem.

- Wolalabym sto razy twojego brata Jamesa niż Zipfa

- wyznała rozmarzonym tonem dziewczyna imieniem Penny. - Fajny jest. Mógłby mi kiedyś zrobić naleśnik...

- To ten fartuch - Anna pokiwała głową z miną znawczyni. - Faceci w fartuchach są sexy.

- Nie mów w ten sposób o moim bracie - wzdrygnęła się Laura. - Brrr!

Dante, Joe i dwaj inni chłopcy przysiedli na barierze przeciwwypadkowej przy szosie, na szczycie ścieżki, mniej więcej piętnaście metrów przed dziewczynami.

- Zdycham z głodu - jęknął Dante. - Hej, ruszcie te tłuste tyłki, kaszaloty!

Zanim Laura zdążyła wymyślić stosowną odpowiedź na obelgę, jej uwagę odwróciła wiadomość tekstowa od Rata: „Nie możemy PRZYNAJMNIJ pogadać?”.

Laura nie była pewna, czy chce pogodzić się z Ratem po powrocie do kampusu, ale postanowiła go podręczyć i skasowała wiadomość, nie wysławszy odpowiedzi.

Przelazłszy przez barierę, dziewięcioro nastolatków przecięło jednopasmową drogę wyjazdową z Marina Heights, by wspiąć się po trawiastym nasypie i wybiec na promenadę. Jeden z kolegów Joego naraził się na gniew personelu ochrony, biorąc rozpęd i startując do dzikiego slalomu na swojej deskorolce.

- Nie popisuj się! - krzyknął za nim Joe, próbując objąć Laurę ramieniem, ale Anna złapała ją za rękę i odciągnęła na bok.

- Musimy iść do łazienki - oznajmiła z naciskiem. - Do zobaczenia na górze przy kioskach, chłopcy.

- Dokąd idziemy? - zapytała Laura.

- Rozepnij ze dwa guziki - powiedziała Anna, sięgając koleżance do kołnierzyka. - Pokaż trochę cycków.

Laura spostrzegła, że Anna prowadzi ją w stronę Nigela i jego kolegi Juliana.

- O co chodzi? - zapytała.

- Muszę pożyczyć od brata trochę kasy - wyjaśniła Anna. - Dowiedziono naukowo, że kiedy chłopak widzi kawałek cycka, jego IQ automatycznie spada o trzydzieści punktów.

- Ty też masz cycki, chciałam zauważyć - powiedziała Laura urażonym tonem.

- Co ty, Nigel to mój brat! Zapomniałaś? To byłoby chore, nie sądzisz?

Laura niechętnie rozpięła dwa górne guziki koszuli i dziewczęta podeszły do Juliana i Nigela, którzy sprawiali wrażenie pogrążonych w ożywionej dyskusji.

- Ale po co ci ta kasa? - zapytał Julian. - Niedługo cię splecę.

- Potrzebuję kogoś z samochodem - nalegał Nigel. - No weź! Umorzę ci połowę długu i dodam pół uncji ziela na krechę. To dobry interes.

- Sam nie wiem - odrzekł Julian, potrząsając bujnymi lokami. - Daj mi się zastanowić.

Laura pojęła, że zaprzyjaźniony z bikerami i handlujący marihuaną Nigel rozprawiający o pieniądzach i samochodach może stanowić interesujący trop. Niestety, Anna przerwała chłopcom rozmowę.

- Hej, Nigel - zaszczebiotała słodko.

- Odwal się, Anka - wypalił Nigel. - Mówiłem już, nie pożyczam ci żadnych pieniędzy.

- Pliiiiiz! - błagała Anna. - Jestem kompletnie splukana.

Nigel spojrział na Laurę.

- Chyba rozpięła ci się koszula - powiedział z uśmiechem, wskazując palcem na jej pierś. - Wszystkie zboczy-sławy będą ci się wgapiać w dekollet.

Laura rzuciła się do nerwowego zapinania koszuli, a Anna szturchnęła brata pięścią w ramię.

- Nigel, jak nie pożyczysz mi dwóch dyszek, powiem mamie nie tylko, gdzie trzymasz towar, ale też, że jutro zamierzasz urwać się ze szkoły z tym tutaj panem Kędzierzawym, żeby dostarczyć komuś coś na pewno bardzo nielegalnego.

Oczy Nigela zwięzły się w szparki.

- A ty skąd o tym wiesz?

Anna wyszczerzyła zęby szyderczo.

- Bo widzisz, jak się zapisuje coś długopisem w notatniku koło telefonu, to wszystko odbija się na następnej stronie...

- Oż w dupę! - przeląkł się Nigel. - Powiedz mi, że wydarłaś tę stronę, zanim mama coś zobaczyła.



Anna uśmiechnęła się niewinnie.

- Oczywiście, że wyrwałam - powiedziała promiennie. - Ponieważ bracia i siostry pomagają sobie nawzajem w potrzebie, nieprawdaż?

Nigel zwiesił głowę w bezsilnej rezygnacji. Niechętnie wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni i wręczył Annie dwa banknoty po dziesięć funtów.

- To na zawsze, tak? - upewniła się Anna.

- Muszę już iść, Nigel - poinformował Julian, wycofując się ostrożnie.

- O nie! Nic z tego, cwaniaczkule! - zaprotestował Nigel, łapiąc kolegę za ramię. - Ja nie żartuję, Julian. Jeżeli wycofasz się z tego, co obiecałeś, to wpadłem jak śliwka w gówno, a jeśli do tego dojdzie, to chrzanię, odsprzedając twój dług Brudnemu Dave'owi. Ciekaw jesteś, co się z tobą stanie, jak go nie spłacisz?

Laure zaintrygowało tajemnicze i najwyraźniej nielegalne przedsięwzięcie chłopców, ale Anna myślała tylko o pieniądzach.

- Na zawsze, tak? - powtórzyła, rozciągając usta w najsłodszy ze swoich uśmiechów młodszej siostrzyczki.

- Tak! - wypalił zniecierpliwiony Nigel. - Weź sobie. A ty, Laura, posłuchaj, nie będzie mnie jutro w szkole. Możesz poprosić Jamesa, żeby wziął dla mnie arkusze z pracą domową z matmy?

- Dobra - skinęła głową Laura.

- Och, jak ja uwielbiam skubać moich starszych braci

- westchnęła Anna z błogim uśmiechem.

- Dobra, zrobię to - wycedził gniewnie Julian. - Puść mnie już, palancie.

Laura nie mogła przeniknąć zamiarów Nigela i Juliana.

- Co twój brat chce zrobić jutro? - zapytała Annę.

- Nie wiem dokładnie. - Anna wzruszyła ramionami.

- Wiem tylko, że któryś z Bandytów zlecił mu dostarczenie czegoś do Bristolu. Julian miał go zawieźć swoją furą, ale stchórzył w ostatniej chwili.

Zadawanie zbyt wielu bezpośrednich pytań mogło wydać się podejrzane, dlatego Laura spróbowała zagadnąć od innej strony.

- A jeśli twój brat skończy w więzieniu czy coś?

- Pewnie skończy - powiedziała Anna z przekonaniem, po czym uśmiechnęła się szeroko. - A wtedy będę mogła dostać dużą sypialnię.

Laura roześmiała się.

- Jesteś podła! Ale poważnie, wdepnął w jakieś głębokie łajno?

- To możliwe - odpowiedziała Anna, kiedy obie wspięły się na szczyt schodów. - Pewnie nawet głębiej niż mój starszy brat Will, jeśli mam być szczerą. I owszem, czasem się o niego boję, ale nie mogę mówić mu, jak ma żyć, a jaki jest sens martwić się rzeczami, na które i tak nie ma się wpływu?

Informacja była zbyt świeża, by Laura mogła domyślić się wszystkich konsekwencji, ale wiedziała, że musi jak najszybciej przekazać ją Chloe.

- Zaraz wracam - powiedziała, zerkając na Jamesa w naleśnikami. - Pójdę powiedzieć bratu o tej pracy domowej, zanim zapomnę.

Martin mył stoliki na zewnątrz, więc Laura mogła spokojnie wszystko opowiedzieć, podczas gdy James przyrządzał jej dwa naleśniki czekoladowo-pomarańczowo-ana-nasowe, za które po znajomości policzył jak za jeden.

- Najciekawszy w tym wszystkim jest samochód - skomentował James. - Nigel to drobny diler, a nie potrzebujesz czterech kółek, żeby dostarczyć parę gramów konopi.

- Wracam do Anki, może wyciągnę od niej coś więcej
- powiedziała Laura, biorąc z lady dwa kartonowe pudełka z gorącymi naleśnikami w środku. - Dasz radę zniknąć na parę minut i zadzwonić do Chloe?
- Noelene czai się, żeby mi odgryźć tyłek, ale spróbuję
- odrzekł James.

James zatelefonował do Chloe z zacisza nieczynnej toalety Marina Heights. Koordynatorka zareagowała pozytywnie i powiedziała, że zadzwoni do Rossa Johnsona, a później oddzwoni, by poinformować Jamesa, co postanowili. Dziesięć minut przed końcem jego zmiany w naleśnikami Chloe zadzwoniła, by oznajmić, że czeka na parkingu.

- O fuuj! - skrzywiła się, kiedy James usiadł obok niej w range roverze i trzasnął za sobą drzwiami. - Ależ jedzie od ciebie naleśnikami.
- Ashley też jęczy z tego powodu - skinął głową James.
- Czy twoja przepustka Marina Heights daje ci wstęp na parking pod Marina View? - zapytała Chloe, kładąc Jamesowi na kolanach papierową torebkę.
- No pewnie.

James rozchylił brzegi torebki; zawierała niewielką czarną kasetkę z dwoma przyciskami, mały słoik wypełniony brązową mazią, przyrząd przypominający zszywacz tapi-cerski oraz mniejszą szarą skrzynkę.

- Rozpoznajesz wszystko? - zapytała Chloe.
- Z wyjątkiem tego brązowego - odpowiedział James.
- To błoto z naszego ogrodu zmieszane z żółtkami jaj, żeby wysychało na twardo.

Rozsmarujesz to na tablicy rejestracyjnej.

- Jasne - przytaknął James. - A przy okazji, widziałem dziś Dusikotka z Fihrerem w klubie. Zgaduję, że przywiózł ćwierć miliona od George'a?

Chloe pokiwała głową.

- Przed wyjazdem Dusikotka George spotkał się z nim w Londynie. Mówi, że pierwsza partia broni przyjedzie w ciągu tygodnia.

- To jaki jest plan w kwestii wycieczki Nigela i Juliana?
- Neil Gauche i jeden z naszych młodszych koordynatorów pojedą za Julianem.

Załatwiliśmy też wsparcie devon-skiej policji. Neil będzie podsłuchiwał rozmowy w aucie i zdecyduje, czy i kiedy ich zgarnąć.

- Dobra - powiedział James i otworzył drzwi samochodu. - Załatwię to i zobaczymy się w domu.

Chloe skinęła głową.

- Lepiej się zmywaj. Za pięć minut mam odebrać Laure, Dantego i jakichś ich znajomków. James wyskoczył z range rovera i ruszył szybkim krokiem przez promenadę. Było już dziesięć po dziesiątej i choć w lokalach na górze wciąż panował umiarkowany ruch, wszystkie sklepy były zamknięte i dolny poziom był całkowicie wyludniony, jeżeli nie liczyć ekipy sprzątaczy i młodej pary całującej się na trawniku między różanymi krzewami.

James przeciągnął kartę przepustki przez czytnik i popchnął drzwi we wnęce pomiędzy dwiema witrynami. Wszedł do środka i po kilku krokach skręcił w ciążący się za sklepami korytarz. Posadzka i ściany były z surowego betonu, a pod stropem biegły rury i pęki kabli zwieszające się centymetry nad jego głową.

Był w tym miejscu tylko raz, pierwszego dnia pracy, kiedy Zgryz kazał mu zmywać graffiti.

Drzwi na końcu korytarza otwierały się na metalowe schody prowadzące w dół, na podziemny parking pod Marina View, gdzie mieszkała rodzina Juliana.

Każde miejsce parkingowe było przypisane do konkretnego mieszkania i James bez trudu odszukał czerwonego fiata Juliana zaparkowanego obok jaguara XF należącego do jego ojca. James wiedział, że cały kompleks Marina Heights jest obserwowany przez jednego agenta ochrony, dlatego bardziej obawiał się zauważenia przez przypadkowego przechodnia niż przez kamery nadzoru na końcach każdego rzędu pojazdów.

Wyciągnął czarną kasetkę z kieszeni spodni i wcisnął guzik. Chloe zaprogramowała urządzenie na nadawanie częstotliwości, na jaką reaguje centralny zamek samochodu Juliana. Błyśnięcie kierunkowskazów upewniło Jamesa, że przyrząd zadziałał.

James otworzył drzwi i usiadł bokiem na fotelu kierowcy. Za pomocą niby-zszywacza wstrzelił w tkaninę podsu-fitki trzy igły nadajników podsłuchowych, po czym wysiadł i jak najciszej zamknął drzwi z powrotem. Rozejrzawszy się czujnie, dla pewności, że wciąż jest sam, wcisnął drugi guzik pilota, by zablokować zamki.

Przechodząc do kolejnego etapu, przykucnął przy przednim kole, wsunął rękę pod błotnik i przytwierdził do blachy magnetyczne szare pudełko. Był to nadajnik lokalizacyjny pełniący także funkcję wzmacniacza i przekaźnika sygnałów mikronadajników wewnątrz samochodu.

Ostatnie zadanie było najbrudniejsze. James odkręcił wieczko słoika, zanurzył w nim dwa palce i rozsmarował pecynę błotno-jajecznej mazi na przedniej tablicy rejestracyjnej, czyniąc trzy litery kompletnie nieczytelnymi. Ponieważ wóz stał przodem do ściany, nie było mowy, by Julian mógł zauważyć to przed odjazdem.

James wytarł dłoń serwetką z naleśnikami, wrzucił ją do papierowej torby, po czym wstał i ruszył z powrotem w stronę schodów. Pozdrowił znajomego sprzątacza na korytarzu i wszedł do szatni po swój kask i strój do jazdy.

Zanim zasunął suwak skórzanej kurtki, wyjął z kieszeni telefon i wysłał Chloe wiadomość: „Zrobione!”.

## 27. PRZEDSTAWIENIE

### Piątek

Julian i Nigel opuścili Marina Heights o wpół do dziewiątej w błogiej nieświadomości, że wloką za sobą ogon w postaci dwóch samochodów jadących niecały kilometr za nimi. Jednym z nich był radiowóz devońskiej policji z dwoma umundurowanymi funkcjonariuszami w środku; w drugim, nieoznakowanym, oficer KGOGM Neil Gauche i jego pomocnik, koordynator misji CHERUBA Jake McEwen, nasłuchiwali każdego słowa wypowiedzianego w wozie Juliana. Narkotykowy biznesik Nigela i rola Juliana jako jego zadłużonego klienta regularnie stawały się zarzewiem konfliktu między dwoma siedemnastolatkami, ale ich przyjaźń sięgała korzeniami szkoły podstawowej i podczas podróży chłopcy wspominali szczeniące lata: jak zostawali u siebie na noc, przyjęcia urodzinowe, przygody w drużynie skautów i wspólne grywanie na PS2. Na A3 8 panował spory ruch, ale potok samochodów przemieszczał się gładko i w ciągu osiemdziesięciu minut dotarli do Exeter oraz początku autostrady M5. Julian trzymał czerwonego fiata na środkowym z trzech pasów, a wskazówkę prędkościomierza przyklejoną do stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

- Jak ci tam idzie z Caitlyn? - zapytał Julian, kiedy skończył wyprzedzać ciężarówkę.

Dzień był pogodny. W radiu leciało How Soon is Nowf Smithsów, ale dźwięk silnika niemal zagłuszał muzykę.

- Caitlyn jest ostra. - Nigel uśmiechnął się kącikiem ust. - Przepała większość moich dochodów, ale rekompensuje mi to w inny sposób... jeśli łapiesz, o co mi chodzi.

- Często zadajesz się z tym Jamesem Ravenem? - zapytał Julian.

- Większość czasu spędzam z' Caitlyn, ale widzimy się czasem. To niezły bystrzacha, wiesz? W dwie godziny rozprawił się z zestawem zadań z matmy, których ja w ogóle nie mogłem ugryźć.

- Zawaliłem sprawę z Ashley - przyznał Julian.

Nigel skinął głową.

- Jak chcesz zgrywać macho, kiedy koleś zarywa do twojej panny, to lepiej się najpierw upewnij, że nie ma trzeciego dana w karate, a w wolnych chwilach nie trenuje kick boxingu.

- Kitujesz! - zawołał Julian z niedowierzaniem.

- On tak mówi, a wygląda, jakby nie kłamał - powiedział Nigel. - W każdym razie ja nie zamierzam sprawdzać.

-Jezu Chryste! - jęknął Julian, waląc pięścią w kierownicę. - No powiedz, kuźwa, jakie było prawdopodobieństwo, że to się zdarzy?

Nigel obejrzał się przez ramię i spostrzegł, że zatrzymuje ich policyjne bmw.

- Przekroczyłeś prędkość?

Julian wskazał tarczę prędkościomierza.

- Sto dziesięć jak w pysk strzelił!

- Pewnie rutynowa kontrola - powiedział uspokajająco Nigel. - Zatrzymaj się i nie denerwuj.

Julian miał prawo jazdy dopiero od pół roku i łamał sobie głowę, co też mógł zrobić nie tak.

Ujechali jeszcze pół kilometra, zanim na zewnętrznym pasie otworzyła się luka. Julian skręcił za wielką cysternę Shella i natychmiast zjechał na pobocze.

Kiedy tylko samochód ostatecznie znieruchomiał, megafon pomiędzy błyskającymi niebieskimi światłami na grillu radiowozu szczeknął wzmocnionym głosem policjanta.

- Proszę wyłączyć silnik i położyć dłonie na kierownicy.

Kierowca radiowozu pozostał na swoim miejscu, a jego

towarzysz, mężczyzna o azjatyckich rysach, wysiadł z wozu i podszedł do fiata. Nigel opuścił szybę, a policjant przykucnął i zwrócił się do Juliana po drugiej stronie.

- Czy wiesz, dlaczego was zatrzymaliśmy?

Julian potrząsnął głową.

- Pojęcia nie mam. Trzymałem równo sto dziesięć. Niektórzy na prawym pasie jechali znacznie szybciej.

Policjant pokręcił głową.

- Teraz powolutku wysiądź z samochodu i przejdź na przód. Weź ze sobą prawo jazdy i dokumenty wozu.

W pulsującym huku mijających ich ciężarówek Julian otworzył drzwi i wysliznął się na zewnątrz. Przeszedł przed samochód i otworzył usta ze zdumienia na widok ubłoconej nieczytelnej tablicy rejestracyjnej.

- Nie miałem pojęcia - powiedział, rozkładając ręce. - Musiał mnie opryskać samochód przede mną czy coś...

Policjant poskrobał błotną skorupę czubkiem buta i pokręcił przecząco głową.

- Zaschnięte na amen. Minał co najmniej dzień albo dwa.

- Mam skrobaczkę do szyb - powiedział Julian. - Mogę to zaraz oczyścić.

- Oczywiście, że tak zrobisz, ale i tak muszę wypisać ci mandat.

Julian wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Za ubłocone blachy?

- Zero tolerancji - wyjaśnił policjant. - Żebyś wiedział, ilu cwaniaczków próbuje takich numerów, żeby uniknąć fotoradarów...

Kiedy policjant to mówił, z radiowozu wysiadł jego kolega i podbiegł do rozmawiających.

- Numery w porządku - oznajmił i zbliżył się do pierwszego policjanta i szepnął mu coś do ucha.

Azjata przez dłuższą chwilę studiował prawo jazdy Juliana, po czym zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

- Skąd jedziecie, chłopcy?

- Z Salcombe - odrzekł Julian.

- Nie powinniście być w szkole?

- Mamy dzień nauki w domu.

Policjant uśmiechnął się.

- Nie wygląda mi to na naukę. Dokąd zmierzacie, jeśli wolno spytać?

- Do Bristolu - odpowiedział Julian. - Odwiedzić znajomych.

- Dziś rano doszło do poważnego incydentu na lotnisku w Exeter - powiedział policjant. - Dwaj młodzi mężczyźni dopuścili się brutalnego rabunku, a potem uciekli z lotniska czerwonym hatchbackiem. Macie może coś do powiedzenia w tej sprawie?

- Czy mielibyście coś przeciwko temu, żebyśmy przeszukali wasz wóz? - dodał drugi policjant, spoglądając przez szybę nad bagażnikiem na stertę kartonowych pudełek z napisem „Kwiaciarnia u Józefiny”.

Julian podniósł dłonie w obronnym geście.

- Nie mamy z tym nic wspólnego.

Nigel obserwował kolegę z kabiny samochodu. Hałas przejeżdżających samochodów był zbyt głośny, by mógł dosłyszeć słowa, ale serce zabiło mu żywiej, kiedy mowa ciała Juliana zaczęła zdradzać szybko rosnące zdenerwowanie.

Biały policjant sięgnął po krótkofalówkę, by zameldować o zatrzymaniu i poprosić o więcej szczegółowych danych o podejrzanych. Była to zwykła maskarada - incydent na lotnisku był fikcją wymyśloną po to, by dać policjantom pretekst, tak zwaną rozsądną podstawę do legalnego przeszukania samochodu.

- Podejrzani opisani jako dwaj mężczyźni w wieku od osiemnastu do dwudziestu lat, jeden blondyn, jeden szatyn

- powiedział policjant do kolegi.

Azjata uniósł jedną brew i przeniósł wzrok na Juliana.

- Jesteś pewny, że mówisz prawdę?

Julian gwałtownie potrząsnął głową.

- To jest jakaś niewiarygodna bzdura! Mam siedemnaście lat i nie byłem nawet w pobliżu tego lotniska.

- No to nie masz się czego obawiać - powiedział Azjata uspokajającym tonem. -

Potrzebujemy waszej zgody na przeszukanie samochodu.

- A co, jeśli odmówię? - zapytał Julian.

- To był bardzo poważny incydent - wyjaśnił policjant.

- Jeżeli odmówicie, będziemy zmuszeni was aresztować, ale kiedy już do tego dojdzie, trzeba będzie odbębnić całą procedurę, co oznacza, że zamiast kilku minut spędzicie z nami parę godzin, jak nie lepiej.

Julian niechętnie wręczył kluczyki Azjacie, który kazał Nigelowi wysiąść z wozu i stanąć obok z rękami na dachu, po czym obszedł samochód i otworzył bagażnik. Pięć długich pudełek z kwiaciarni leżało jedno na drugim i policjant natychmiast zauważył, że ciężar ich zawartości zgniótł pudełka na spodzie.

Wodząc po bagażniku podejrzliwym wzrokiem, naciągnął na prawą dłoń gumową rękawiczkę, a potem odchylił klapkę, która przytrzymywała tekturowe wieczko. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy uniesione wieczko odsłoniło cztery częściowo zmontowane karabiny automatyczne AK47. Dwadzieścia minut później Julian i Nigel pozbawieni butów i pasków od spodni siedzieli przed biurkiem w pokoju przesłuchań, ze skutymi za plecami dłońmi.

- Żądam prawnika! - krzyknął Julian, kiedy Jake Mc-Ewen wszedł do pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. - Jestem nieletni! Mam specjalne prawa!

- Jedyne prawo, jakie masz, to prawo do zamknięcia mordy, zanim wbiję ci ten dumy loczkowaty łeb w ścianę! - ryknął McEwen.

McEwen był dwudziestodwuletnim byłym agentem CHERUBA. Obecnie pracował tam jako młodszy koordynator misji. Większość czasu spędzał w kampusie, wykonując analizy środowiska misji, pisząc raporty i robiąc mnóstwo innych rzeczy, jakimi jego starsi rangą koledzy woleli się nie zajmować, ale dzięki swojej agresywnej naturze oraz sylwetce boksera wagi ciężkiej od czasu do czasu otrzymywał zlecenie wyjazdu w teren, kiedy CHERUB potrzebował kogoś nastraszyć.

- No, misiaczki, wdepnęliście w nie lada gówno - zagrmiał McEwen. - Ile wy właściwie macie lat, szesnaście, siedemnaście?

- Siedemnaście - odpowiedział Nigel.

Julian odwrócił się do kolegi.

- Nic nie mów, to przesłuchanie jest nielegalne - powiedział szybko, po czym spojrzał na McEwena. - Powinni tu być nasi adwokaci. Rozmowa powinna być nagrywana.

McEwen stanął za Julianem, położył mu dłoń na potylicy i uderzył jego głową w blat.

- Złożę skargę - jęknął Julian. - Mój ojciec jest sędzią. To pogwałcenie moich praw człowiek... Głowa stuknęła głucho, gdy McEwen powtórzył zabieg.

- Od tej pory za każdym razem, kiedy użyjesz słowa prawa, walnę twoim łbem o stół - wysyczał do ucha oszołomionemu nastolatкови i wyprostował się. - To jest budynek biurowy, nie posterunek, ja jestem ze służb wywiadowczych, a nie z policji, a zanim zdążysz złożyć oficjalną skargę, to miejsce zostanie wypatroszone do gołych ścian. Nie będziecie mieli żadnego sposobu, żeby mnie wysledzić, a dwaj policjanci, którzy was zatrzymali, zaprzeczą, że cokolwiek wiedzą w tym temacie. Krótko mówiąc, musicie przywyknąć do myśli, że jestem waszym bogiem.

Nigel i Julian wymienili zaleźnione spojrzenia.

- Wiecie, jak by się wszystko odbyło, gdybyśmy rozegrali to według przepisów? - uśmiechnął się McEwen. - No więc zatrzymujemy was. Bandyci przysyłają jakiegoś cwane go prawnika, który każe wam trzymać gębę na kłódkę. Wy zeznacie, że nie mieliście pojęcia, co jest w tych pudłach, w sądzie przyznajecie się tylko do nielegalnego posiadania broni, a ponieważ jesteście parą słodkich pacholąt z klasy średniej, nigdy wcześniej niekaranych, dostajecie tylko trzy do sześciu miechów poprawczaka. Po waszym wyjściu Fiihrer przesyła wam po parę kafli jako wyraz wdzięczności za to, że nie puściliście farby.

- Nie możesz ignorować prawa, stary - pokręcił głową Julian.

McEwen złapał Juliana za kołnierz, poderwał go z krzesła i brutalnie grzmotnął jego ciałem o blat.

- Nie jestem twoim starym - wycodził złowrogo. - A ty naucz się szanować mordę, misiu, żebyśmy nie musiał ci jej ciągle zamykać.

Julian chlipnął żałośnie i osunął się z powrotem na krzesło. Z rozbitego nosa kapiała mu krew.

- Macie dwa wyjścia - oznajmił McEwen, przykucając za plecami Juliana i Nigela. - Jesteście tylko parą dzieciaków odwalających kurierskie zlecenie. Tak naprawdę mało nas

interesujecie. Interesują nas za to informacje: kto dostarczył wam broń, z kim i gdzie macie się spotkać, ile wam płać i od kogo dostajecie pieniądze. Plus oczywiście wszystko, co waszym zdaniem może nas zainteresować. Jeśli dostaniemy te informacje, puścimy was wolno i odjedziecie tą swoją fiacina w siną dal. Doręczycie przesyłkę i dopóki nie zaczniecie fikać, będziemy udawać, że nasze miłe spotkanie nigdy nie miało miejsca.

-Jeśli Bandydzi dowiedzą się, że sypnęliśmy, zabiją nas

- wymamrotał Nigel ponuro.

- Ale się nie dowiedzą - powiedział McEwen. - Pod warunkiem, że nie będziecie oszczędni z mówieniem nam prawdy.

- A drugie wyjście? - zapytał Nigel.

Twarz McEwena rozjaśnił promienny uśmiech.

- Tak jak mówiłem, nie jesteśmy specjalnie zainteresowani przymknięciem dwóch nastoletnich kurierów. Dlatego po prostu skonfiskujemy wam broń jako materiał dowodowy, potem potrzymamy was tutaj pięć albo sześć godzin i odeskortujemy z powrotem do Salcombe w waszym fiacie.

Minęło kilka sekund, nim w umysłach młodych podejrzanych wykrystalizowała się świadomość implikacji takiego rozwiązania.

- Pomyślą, że ukradliśmy tę broń - powiedział wreszcie Nigel. - Albo zatłuką nas na śmierć, próbując dowiedzieć się, co zaszło.

- Spoko, możecie spróbować opowiedzieć im o mnie.

- McEwen wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. -Wszystko: jak porwał was tajny agent, który zabrał was w jakieś niewiadome miejsce, a potem po prostu wypuścił bez oskarżenia.

Nigel przeczesał dłońmi włosy.

- Nigdy w to nie uwierzą - wyszeptał zdruzgotany.

McEwen uniósł brwi.

- Tak myślisz, stary?

- To jest oburzające - westchnął Julian. - W demokratycznym społeczeństwie...

Nigel odwrócił się gwałtownie w stronę kolegi.

- Przestań wreszcie chrzanić o prawach i społeczeństwach, dobrze? To nie jest lekcja WOS-u, palancie.

- Co? Ja jestem palantem? - najeżył się Julian. - To ja nas w to wrobiłem? Co mi odbiło, że w ogóle się na to zgodziłem za głupie dwie stowy długu!

- Hola, dziewczyny, spokojnie - powiedział stanowczo McEwen. - Przestańcie biadolić.

Czas podjąć decyzję.

- Mogę dostać chusteczkę czy coś? - zapytał Julian, ściskając palcami krwawiący nos.

- Tak naprawdę to wszystko przeze mnie - powiedział Nigel, patrząc na kolegę. - To ja zorganizowałem przerzut, on tylko miał mnie podwieźć.

- Zgadnij, jak głęboko mam to w dupie - uśmiechnął się McEwen, rzucając Julianowi paczkę chusteczek, po czym wyciągnął z biurka magnetofon. - Gotowi odpowiedzieć na kilka pytań?

Julian przytknął chusteczkę do nosa, a Nigel niechętnie skinął głową.

- Jakbyśmy mieli jakiś wybór - burknął.

- Dobra, zaczniemy od początku - powiedział McEwen. - Mów powoli i w stronę mikrofonu. Przeliteruj co trudniejsze nazwiska i pamiętajcie: wciśnij mi jakiś kit, a niebawem zobaczymy się znowu. Kto skontaktował się z tobą w sprawie zlecenia na dostarczenie broni?

## 28. KONWÓJ

Sobota

Odjazd na Herbatkę Buntowników w Cambridge miał nastąpić o dziewiątej przed klubem Bandytów. Za dwadzieścia dziewięć mieszkańców Marina View, którzy zapłacili za swoje apartamenty od jednego do trzech milionów funtów, obudziło poranne słońce i ryk stu motocykli. Wyjazd na zlot był prawdziwym spektaklem. Jeźdźcy dokonywali ostatnich kontroli poziomu oleju i ciśnienia w oponach, a ci, którzy mieli problemy techniczne, regulowali sprzęt w warsztacie Skóry i Chromu. Między jednośladami kręciły się dziewczyny, żony i dzieci motocyklistów; niektóre czekały, by pomachać odjeżdżającym na pożegnanie, inne wsiadały do jednego z trzech autokarów wyładowanych bagażami, alkoholem i sprzętem do grillo-wania. Dante, Laura i Chloe przyjechali, by wyprawić Jamesa w drogę. James był podniecony, ale też nieco przestraszony. Jeszcze nigdy nie jeździł motocyklem w długie trasy, a w dodatku musiał jak najszybciej zacząć nawiązywać kontakty ze starszymi bikerami, jeżeli miał w końcu choć trochę przysłużyć się misji.

Kiedy James oddalił się, by znaleźć prowadzącego i zapytać o swoje miejsce w formacji, Laura wypatrzyła Joego stojącego wraz z rodzicami w grupie Bandytów. Fuhrer wyglądał jak zawsze poza tym, że zamiast długiego skózanego płaszcza włożył krótszy, oferujący większy komfort podczas jazdy motocyklem w upalny dzień. Za to mama Joego przeszła szokującą transformację z kury domowej w dziewczynę bikera, zamieniając kardigany od Marksa i Spencera na skózaną kurtkę z naszywką „Własność Bandytów South Devon”, bluzkę z lycry kończącą się kilka centymetrów nad obwisłą fałdą brzucha, obcisłe dzinsy i błyszczące czerwone szpilki.

- Ślicznie pani wygląda - powiedziała Laura.

- Raczej zenująco - skrzywił się Joe.

Fuhrer pocałował żonę i skarcił syna przyjaznym dziabnięciem w tył głowy.

- To najpiękniejsza dziewczyna na świecie - oznajmił promiennie.

Laura uśmiechnęła się do Marleny.

- Zawsze jeździ pani na zloty?

- Nigdy żadnego nie opuściłam - odpowiedziała Marlena z uśmiechem i zaskoczyła Joego soczystym buziakiem. - Nawet kiedy byłam w ciąży z tym małym żulem.

- Maamó! - jęknął Joe z niesmakiem i zaczął gorączkowo ścierać szminkę z policzka. - Idę do domu, kurde...

Marlena podsunęła mu palec pod nos.

- I masz słuchać brata. Nie waz się wszczynac żadnych kłótni, bo następny zlot przesiedzisz u babci.

Twarz Joego rozjaśnił szelmowski uśmieszek.

- Będę grzeczny. Przecież zawsze jestem.

- Tak, jasne - mruknęła Marlena i zwróciła się do Laury: - Bawcie się dobrze i do zobaczenia w niedzielę wieczorem.

Joe i Laura pomachali rodzicom Joego i skierowali się do bistra, które rozpoczęło pracę wcześniej specjalnie dla bikerów, a teraz zbijało kokosy na kanapkach z bekonem i śniadaniowych babeczkach.

- Wolność! - zawołał Joe i pocałował Laurę w policzek.

- To będzie najfajniejszy weekend w historii!

Kilka metrów od Fuhrera James usiłował przyciągnąć uwagę motocyklisty o ksywie Wymiot. Z gładko ogoloną głową, w designerskich okularach przeciwsłonecznych i dzwonach Diesla zamiast standardowych lewisów Wymiot wyglądał osobiście schludnie jak na Bandytę. Jako



kapitan trasowy chapteru South Devon to on organizował każdy szczegół klubowych wypraw motocyklowych, od kolejności motocykli w szyku po wyżywienie, noclegi, autokary i wozy techniczne.

Przepchnąwszy się między dwiema skórzanymi kurtkami, James stanął przed Wymiotem, który trzymał podkładkę z wpiętymi dokumentami i wyglądał na nieco zde-nerowanego.

- Raven, James - powtórzył za chłopcem Bandyta i sięgnął do płóciennego woreczka, skąd wyjął kilka prostokątnych świstków zalaminowanych, by nie rozmiękły w razie deszczu. -

Jedziesz na samym końcu z Pomarańczowym Bobem, młodym przyjacielem Monster Bunch. James skinął głową, a Wymiot wręczył mu papierki.

- Masz tu mapę trasy, na wypadek gdybyś się zgubił, twoją wejściówkę na Herbatkę Buntowników, a tu telefony do wozu technicznego, mój i naszych prawników. Ale nie dzwoń pod żaden z tych numerów, chyba że naprawdę będziesz musiał.

- Wszystko jasne. - James skinął głową po raz drugi.

- Dzięki.

Wymiot klepnął Jamesa w plecy.

- Jedź bezpiecznie i życzę zajebistego weekendu.

Pomarańczowy Bob okazał się chudym dziewiętnastolatkiem, który swoją ksywkę zawdzięczał zamiłowaniu do samoopalaczy. James odszukał go dzięki informacjom od brata Nigela Willa i chłopcy uścisnęli sobie dłonie.

- Witaj, partnerze - uśmiechnął się James.

Wymiot zaczął pokrzykiwać na jeźdźców, żeby zaczęli się ustawiać. Na parkingu zapanowała krótkotrwała gorączka ostatnich uścisków i pocałunków, po czym odprowadzający wycofali się na chodnik. James odnalazł swoją ER5 i tak długo kluczył wśród manewrujących maszyn, aż znalazł się na szarym końcu szeregu stu sześciu motocykli.

Istniała ścisła hierarchia określająca kolejność motocyklistów w szyku. Na czele jechał Führer i jego kapitan tra-sowy. Za nimi podążali pozostali oficerowie chapteru, w tym Zgryz, a dalej reszta pełnoprawnych członków klubu i wreszcie prospekci.

Za Bandytami mieli jechać motocykliści z Psów Wojny, a za nimi z Monster Bunch (oba gangi satelickie miały równy status, dlatego o tym, kto pojedzie przodem, zadecydował rzut monetą). Ostatnią grupę stanowili jeźdźcy nienależący do klubów. Byli wśród nich długoletni przyjaciele Bandytów, jak Kasa, młodzież, jak James, a nawet kilka żon i partnerek (kluby nie przyjmowały w swe szeregi kobiet), które wolały jechać motocyklem, niż tłoczyć się z innymi w autokarze. Dokładnie o dziewiętej Wymiot uniósł trąbkę na sprężone powietrze. Powietrzem wstrząsnął ogłuszający ryk, a Führer przegazował silnik i efektownie wyrwał z szeregu tuż przed Wymiotem, który po chwili zrównał się z wodzem. Następny wystartował Zgryz, a za nim kolejni motocykliści w dwusekundowych odstępach.

Byłoby łatwiej, gdyby od razu ustawili się w szyku para za parą, ale rozpoczęcie wyprawy skoordynowanym startem z szeregu było bikerską tradycją wymagającą dobrego panowania nad maszyną i wyczucia czasu. Wykonany jak należy, był to piękny balet tańczony do ryku motocykli i w kłębach dymu spod opon, ale jedno zgaśnięcie silnika lub inny błąd mógł zaowocować wypadkiem, rozbiciem szyku i najprawdopodobniej późniejszym poturbowaniem jeźdźca, który nawalił. Na szczęście pozycja Jamesa na końcu formacji oznaczała, że musiał martwić się tylko o sprawne zrównanie z Pomarańczowym Bobem. Kiedy szereg motocykli stopniał do zaledwie kilku maszyn, James opuścił przyłbicę kasku, pokazał Chloe i Dantemu uniesione kciuki i złapał za kierownicę.

Wystartował bezbłędnie, ale po chwili zaskoczył go widok dwóch spóźnionych Psów Wojny, którzy dołączyli do formacji tuż za nim. Przywykł już do poruszania się swoim motocyklem w

ruchu miejskim, ale trzeba było innego rodzaju umiejętności, by utrzymać się w szyku z Pomarańczowym Bobem obok siebie, dwoma motocyklami niecałe cztery metry przed sobą i jeszcze dwoma w tej samej odległości z tyłu.

Kiedy opuścili Salcombe i wjechali na A38, formacja przyspieszyła, aż żywopłoty za pobocznymi roztarły się w jednolitą smugę. Nawet w kasku hałas był ogłuszający. Ludzie w samochodach jadących z naprzeciwka wytrzeszczali oczy na motocyklistów i James czuł euforię, a jednocześnie lęk na myśl o prędkości i o tym, że wystarczyłoby jedno zbyt mocne przyhamowanie któregoś z jeźdźców albo zbyt głęboka dziura w drodze, by rycząca formacja przemieniła się w stertę pociętego metalu.

Przesłuchanie Nigela i Juliana ujawniło wiele faktów. Do najważniejszych informacji należał zamiar na kartel narkotykowy z Newcastle, dla którego były przeznaczone karabiny, oraz nazwisko Paula Woodheada, który zapłacił Nigelowi i powiedział mu, skąd ma podjąć broń. Woodhead był nieaktywnym południowodevońskim Bandytą, który wycofał się z życia klubu po wypadku motocyklowym i zamieszkał w ustronnej chatce nieopodal Dartmouth, dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Salcombe. Unikał policyjnego radaru od ponad dekady i jego pojawienie się jako części kontrolowanego przez Fihrera systemu przerzutu broni stanowiło ważny przełom w śledztwie.

Informacje były użyteczne, ale McEwen podejrzewał, że Nigel nie powiedział mu wszystkiego, co wie. McEwen chętnie poświęciłby przesłuchaniu więcej czasu, ale Julian i Nigel musieli zostać zwolnieni, inaczej nie zdążyliby dostarczyć broni do Bristolu i Bandydzi nabraliby podejrzeń.

Podczas gdy chłopcy byli wałkowani w pokoju przesłuchań, Neil Gauche zainstalował miniaturowe nadajniki podsłuchowe w ich telefonach komórkowych i portfelach. Nigel powiedział McEwenowi, że w sobotę rano mają spotkać się z Paulem Woodheadem, żeby odebrać zapłatę za kurs. McEwen zamierzał pojechać za chłopcami na miejsce spotkania i podsłuchać rozmowę w nadziei, że wyłowi z niej informacje o przyszłych dostawach, a w szczególności o ogromnym zamówieniu złożonym przez tajnego agenta George'a Khana poprzez londyński chapter Bandytów.

Ze zgoloną brodą, ściętymi włosami i pod nieobecność Bandytów w mieście Neil Gauche czuł się stosunkowo bezpiecznie w samochodzie zaparkowanym przy ulicy tuż pod Marina Heights.

Mikrofon w portfelu Juliana wylapywał przytłumione dźwięki porannego rytuału nastolatka, w tym sikania, pompek, chrupania płatków śniadaniowych oraz uprzejmej konwersacji z rodzicami na temat koncertu orkiestry kameralnej, na jakim byli w Torbay poprzedniego wieczoru.

Kiedy Nigel zadzwonił do niego na komórkę, Julian pożegnał się z rodzicami, zszedł do podziemi po samochód i podjął kolegę na końcu rampy wyjazdowej z parkingu Marina View.

McEwen i Neil czekali w małym bmw niecałe sto metrów dalej.

- Dartmouth - powiedział Nigel. - Pokażę ci, jak jechać. Byłem tam już na motocyklu.

- Odwiedziłeś wczoraj Caitlyn? - zapytał Julian, ruszając spod krawężnika.

Jego głos i postawa promieniowały wewnętrzną energią.

- No - przytaknął Nigel radośnie. - Zdaje się, że nieźle ci szło z tą dziewczyną przy barze.

- Dwadzieścia jeden lat - mlasnął Julian. - Dała mi swój numer. Może zadzwonię później i zaproszę ją na jakąś kolację czy coś.

- Czad - powiedział Nigel. .

McEwen ruszył, kiedy wóz Juliana zniknął za zakrętem. Sygnał nadajnika lokalizacyjnego pod błotnikiem fiata mogli odbierać w dowolnym miejscu w całym kraju, ale żeby podsłuchiwać rozmowy w kabinie, musieli trzymać się w odległości nie większej niż półtora kilometra od celu.

- Nie mogłem wczoraj zasnąć - poskarżył się Nigel.

- Ten facet, McEwen, jest przerażający.  
- Klatę mam całą w czarnych i szarych plamach - powiedział Julian. - Nos mam zatłoczone zakrzepłą krwią. Ważę siedemdziesiąt kilo, a on nawet się nie napiął, kiedy walnął mną o ten stół.

- Silny skunks - pokręcił głową Nigel.

McEwen i Neil uśmiechnęli się do siebie. Poważni kryminaliści, tacy jak Bandyce, nie rozmawiali otwarcie w samochodach, unikali rozmów przez komórkę i posługiwali się szyframi, ale Nigel i Julian byli parą zwyczajnych licealistów, którym nawet nie przyszło do głowy, że podczas przesłuchania ktoś mógł umieścić podsłuch w ich rzeczach i samochodzie.

- Jesteśmy kumplami od zawsze - powiedział Nigel.

- Przepraszam, że cię w to wciągnąłem.

- Od tej pory kupuję mój staj tylko za gotówkę - oznajmił Julian. - Żadnych długów, żadnych zobowiązań.

- Całe to gówno z przerzutem broni jest za ciężkie

- westchnął Nigel. - Brat nagrał mi coś innego na dziś wieczór, ale pogadam z Paulem, że nie chcę się w to mieszać. Jak sprzedaje się trawkę paru znajomym, to przynajmniej człowiek nie musi się bać, że MI6, czy nie wiem, kto tam nam groził, urwie mu jajca.

- Odbieramy kasę i odfruwamy, wolni i szczęśliwi! - zawołał radośnie Julian. - Pieniązki w kieszeni, żadnych długów i randka z napaloną słodziutką dwudziestojedynką.

- Jak za starych dobrych czasów - rozpogodził się Nigel. - Seks, trawa i imprezki.

Neil i McEwen trzymali się kilometr za chłopcami, dopóki czerwony fiat nie wjechał na teren wiejskiej posesji Paula Woodheada. Neil obejrzał ją sobie poprzedniego wieczoru i teraz minęli bramę, by zatrzymać się na polnej drodze kilkaset metrów od domu.

Woodhead otworzył drzwi ubrany w dżinsy i kalosze. Był postawnym mężczyzną, a kiedy chodził, przy każdym kroku jedno kolano ugięło się pod nim. Jego rzadziejące włosy były zaczesane do tyłu i tłuste od potu.

- Ale upał, co? - powiedział, zamykając drzwi za sobą.

- Przejdźmy się.

Woodhead był ostrożniejszy niż jego młodzi pomocnicy: zamiast zapraszać do domu, zabrał ich na dwustumetrową przechadzkę, zakończoną na skrawku otwartej przestrzeni pomiędzy dwiema porożniętymi blaszanymi szopami. Metal dał na strzępy sygnał z urządzeń podsłuchowych, a pracujący w jednej z szop generator zagłuszał rozmowę jednostajnym terkotem.

- Po dwie stowy na łebka - powiedział Woodhead i liznąwszy palec, zaczął starannie oddzielać banknoty od zwitka pięćdziesięciofuntówek. - Ponoć spóźniliście się z dostawą o czterdzieści minut. Pogrywanie w kulki z tymi ludźmi to niedobry pomysł.

- Korki na M5 - odparł Julian, wzruszając ramionami.

- Co mogłem zrobić?

- Za dwieście funtów mogłeś ruszyć zasrany tyłek z łóżka kapkę wcześniej - warknął Woodhead. - A teraz co do jutra...

- Właśnie, co do jutra - przerwał mu Nigel. - Mój brat Will wyjechał z miasta i starzy mojej dziewczyny wyjechali z miasta, więc jednak nie będę mógł wam pomóc.

Woodhead wytrzeszczył oczy, a głos przeszedł mu w piskliwy krzyk.

- Mamy zlecenie na dzisiaj, młody! Nie mam nikogo innego. Twój pryszczaty pysk nawet nie powąchałby takiej fuchy, gdyby nie to, że wszyscy moi zwykli ludzie pojechali do Cambridge.

- Przykro mi, Paul. Głupio wyszło, ale nie dam rady. McEwen i Neil usłyszeli metaliczny grzmot - to Nigel

został ciśnięty na blaszaną ścianę.

-A teraz posłuchaj mnie, ty torbo łajna! - krzyknął Woodhead. - Mamy umowę. Cztery stówki na łebka za dwie godziny na morzu plus pomoc przy załadunku i rozładunku na brzegu. I będziesz tam, bo jak zrobisz mnie w cienki drucik, to załatwię ci wizytę paru Bandytów. A wtedy oni załatwią ci dwa miesiące leżenia w szpitalu i wycia z bólu, bo każdą kostkę będziesz miał potrzaskaną młotkami.

- Dobrze, dobrze, pojedę! - powiedział Nigel, kuląc się ze strachu. - Ale nie dam rady wziąć brata. Już wyjechał.

- Weź jego - odparł Woodhead, wskazując na Juliana.

- Ja się na to nie zgadzałem - wypalił Julian nerwowo.

- To jest poważne przestępstwo. Ja w ogóle się nie znam na takich sprawach.

- Doceniam twoją szczerość - powiedział Woodhead

- ale potrzebuję na dzisiaj ludzi, a mam tylko was. Zapłacę cztery stówki plus cztery stówki Nigela, a ponieważ lubisz sobie przypalić, dorzucę trochę najlepszego szajsu, jakim kiedykolwiek wygładzałeś sobie fałdy na mózgu.

-Ja... przepraszam - wybąkał Julian, dygocząc tak mocno, że było to słychać. - To nie w moim stylu.

Woodhead odwrócił się do Nigela.

- Lepiej spróbuj przekonać swojego kolegę, bo jak nie zobaczą was na tej łodzi obu, to ty wylądujesz na intensywnej terapii.

-Mogę podzwonić... - powiedział niepewnie Nigel.

- Ściągnąć kogoś innego...

- Fantastyczny, kurde, pomysł! - zagrział Woodhead.

- To może od razu ogłoszenie u gazeciarza: przemytnik broni potrzebny od zaraz, nastolatek, noszenie ciężarów, kandydaci z przeszłością kryminalną mile widziani.

-Julian, musisz mi pomóc - powiedział Nigel błagalnym tonem. - Z moją działką i trawą to będzie ponad tysiąc za jeden wieczór. Proszę.

- Jeżeli ci pomogę, to chcę, żeby to był ostatni raz, kiedy jestem wciągany w tego typu akcję.

- Masz moje słowo - oświadczył Woodhead. - Do ciebie nic nie mam, Julek. To ten mały sukinkot składa obietnice, których nie może dotrzymać.

Kończąc zdanie, Woodhead pochylił się do przodu i wbił Nigelowi pięść w żołądek.

- Dureń! - krzyknął, kiedy Nigel z jękiem zgiął się wpół.

- Przegiąłeś pałę i po tej robocie lepiej nie pokazuj mi się na oczy. Dobra, spotykamy się przy pomoście dla wędkarzy w Kingswear punkt ósma. Łódź nazywa się „Brixton Riots”.

Nigel z trudem łąpał oddech i Julian musiał poprowadzić go w stronę fiata. Jakość dźwięku podsłuchu poprawiła się, kiedy głosy chłopców trafiły do mikrofonów w podsufitce samochodu.

Głos Juliana zdradzał głębokie zdenerwowanie.

-Jezu... W co ty mnie wpakowałeś, debilu?

- Przepraszam, stary - wykrztusił Nigel, kiedy jego przyjaciel uruchomił silnik. -

Uratowałeś mi tyłek. Oddam ci moje dwie stowy z wczoraj i masz u mnie darmowe dostawy trawy przez dwa miesiące.

Julian grzmotnął pięścią w deskę rozdzielczą.

- A jak nas złapią? A jak dorwie nas znowu ten zakapior McEwen?

- Nie wiem, nie wiem - jęknął Nigel z rozpaczą, kryjąc twarz w dłoniach. - McEwen zostawił mi numer. Mógłbym zadzwonić i powiedzieć mu, co jest grane.

- Nie ufam mu - powiedział Julian. - Nie wiemy, kim jest ani dla kogo pracuje. Ja mówię tak: zróbmy to, czego chce od nas Paul, a potem nie wychylajmy się i trzymajmy z dala od Bandytów, Monster Bunch i wszystkich zakapio-rów tego świata.

## 29. POPAS

Fuhrer prowadził swoją bandę szybkim pasem autostrady M5 z prędkościomierzem zablokowanym na maksymalnych dozwolonych stu dziesięciu kilometrach na godzinę. Nikt nie ważył się wyprzedzać go po wewnętrznej. Do formacji wkrótce dołączyły chaptery Monster Bunch z Plymouth i South Devon oraz zaprzyjaźniony kornwalijski gang o nazwie Branding Iron.

James znalazł się w środku kilometrowego sznura motocykli zakończonych kolorową zbieraniną wozów technicznych, busów i autokarów. Ryczały klaksony, dzieci machały bikerom z okien samochodów rodziców, zaś najbardziej euforycznym przeżyciem poranka był dla Jamesa moment, w którym drużyna hokeistek rozplaszczyła nagie piersi na szybach wyprzedzanego autobusu.

Jazda motocyklem jest bardziej wymagająca fizycznie niż prowadzenie samochodu. ER5 nie miała owiewek, które chroniłyby jeźdźcę przed wyrwijającym z siodła podmuchem, a palące słońce powoli gotowało Jamesa na miękko wewnątrz kasku, rękawic i grubej skórzanej kurtki. Kiedy dotarli do Stoke Gifford, pokonawszy mniej więcej połowę ponadtrzystukilometrowej trasy do Cambridge, James z wdzięcznością przyjął podany z przodu sygnał do zjazdu na stację benzynową połączoną z małą galerią handlową.

Rodzice przyciągali dzieci do siebie, a kilku przybyłych przed chwilą klientów skierowało się prosto do wyjścia, gdy potok motocyklistów zaczął wlewać się przez drzwi galerii, by napełnić bary i toalety hałaśliwym tłumem. Kiedy do holu wkroczył Fuhrer, przywitani go czekający w środku prezes Bandytów z Cardiff i Bristolu oraz sześciu opalonych na brąz Bandytów z Walencji w Hiszpanii.

James dołączył do rozkrzyczanej ciżby oblegającej Burger Kinga, ale przestrzeń przed kasami była szczelnie wypełniona ludźmi i szybko pojął, że nie ma najmniejszej szansy na obsłużenie, tym bardziej że starsi rangą Bandytów i Psy Wojny nieustannie pychali się przed niego. Wiedział, że jest twardszy od większości z nich, ale nie mógł wszczynać walki z całym gangiem, więc wycofał się do głównego holu i poszedł do sąsiedniego sklepu spożywczego.

Znowu natrafił na gigantyczną kolejkę przy kontuarze, ale tu bikerzy mieli dodatkową możliwość plądrowania, z której skwapliwie skorzystali. Zaczęło się od dwóch młodzieńców wypychających kieszenie miętusami i otwierających puszki piwa, a skończyło na ponad trzydziestu motocyklistach rozbijających się po sklepie z radosnym rechotem, kradnących co popadnie, przepychających się między sobą i przewracających regały z towarem.

Jamesowi zrobiło się żal dwóch kobiet za ladą. Jedna z nich zawołała o pomoc, kiedy Pies Wojny w kasku przewrócił ją na podłogę, by zgarnąć naręczną paczkę papierosów i cisnąć je w tłum.

Jamesowi bardzo chciało się pić, a jego niski status oznaczał, że kradzież była jedynym sposobem, w jaki mógł cokolwiek zdobyć, zanim przywódcy dadzą sygnał do odjazdu.

Wyszedł ze sklepu, pijąc łapczywie z półlitrowej butelki sprite'a, w drugiej ręce trzymając podwójnego marsa i tubkę minipringlesów. Krzywiąc się z obrzydzenia, przestąpił nad strugą moczu pozostawioną przez kilku Bandytów, którzy zrezygnowali z czekania w kolejce do toalety i obsikali bankomat.

Kilku bikerów wyganiało wycieczkę przerażonych emerytów na zewnątrz przez ćwierkające alarmem wyjście ewakuacyjne. Inna grupa Bandytów pastwiła się nad subiektem z Costa Coffee,

a kierownik sklepu Marks & Spencer dorobił się rozbitego nosa, próbując powstrzymać Bandytę z Cardiff przed ucieczką z butelką świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy i malin.

James był sam i nie nosił klubowych insygniów. Czyniło go to łatwym celem, w razie gdyby przybyła policja i zaczęły się aresztowania, więc postanowił wrócić do motocykla i być może zatankować, jeżeli kolejka nie będzie zbyt długa. Ale kiedy stanął w automatycznych drzwiach, ujrzał grupę dwudziestu pięciu mężczyzn biegnących przez parking w stronę głównego wejścia, porykujących wojowniczo, wymachujących pałkami i kręcących młyńce łańcuchami motocyklowymi. Z okrzykiem „Bandyckie waligruchy!” zaczęli wlewać się do budynku.

James cofnął się w głąb sklepu tuż przed tym, jak pierwsi napastnicy wparowali do centrum handlowego i natychmiast stratowali Psa Wojny czekającego w kolejce do toalet. Krew trysnęła na dobrych kilka metrów, kiedy łańcuch przeorał bikerowi twarz od ucha aż do nasady nosa.

- Mściwe Bękarty! - krzyknęło kilka osób jednocześnie.

James słyszał już tę nazwę: Bękarty były małym, ale budzącym postrach gangiem założonym przez dwóch byłych Bandytów, których wyrzucono za notoryczne łamanie obowiązującego w klubie surowego zakazu zażywania heroiny. Teraz, z sześcioma chapterami, Mściwe Bękarty były zaprzysiężonymi wrogami Bandytów.

Czyjś łokieć wytrącił Jamesowi butelkę z ręki, kiedy Bandyci i członkowie zaprzyjaźnionych gangów wysypali się ze sklepu, toalet i restauracji uzbrojeni w to, co akurat wpadło im w rękę. Od bikerów oczekiwano, że zawsze będą dzielnie walczyć w obronie honoru swojego klubu.

Tchórzostwo było podstawą do solidnego lania i wydalenia z bractwa.

James cofał się w głąb sklepu, patrząc na Zgryza, który rozbrajał jednego z Bękartów. Wyrwany z dłoni biker łańcuch wyleciał w powietrze i spadł na podłogę, by zwinąć się Jamesowi u stóp. Ten bez namysłu porwał broń, podczas gdy Zgryz bez widocznego wysiłku uniósł przeciwnika za plecy i grzmotnął jego głową w kamienny filar.

Siły Bękartów - w liczbie dwudziestu pięciu osób - nie dorównywały liczebnością zaatakowanym i ewidentnie dostawały lanie. James przykucnął pomiędzy kartonowymi pudłami za kasą, nieopodal dwóch skulonych sprzedawczyń obejmujących się i łkających pod kontuarem.

Naciągnął na dłoń skórzaną rękawicę, po czym owinął wokół niej połowę długości zdobycznego łańcucha, tworząc prowizoryczny kastet, który w razie potrzeby wydłużenia zasięgu ciosu mógł posłużyć także jako bicz.

- Gdzie tu się można schować? - zapytał kobiety pod ladą.

-W magazynie, ale nasz kierownik się tam zamknął - odpowiedziała jedna ze sprzedawczyń, dygocząc z przerażenia.

Walki w głównym holu najpierw osłabły, gdy większość Bękartów padła pod ciosami bądź umknęła z pola bitwy, a potem nasiliły się, kiedy napastnicy doczekali się spóźnionych posiłków. Druga fala Bękartów spłynęła z restauracji na piętrze, gdzie bikerzy najwyraźniej czekali w zasadzce, ale przegapili moment, w którym powinni przyłączyć się do natarcia grupy atakującej głównym wejściem.

James patrzył, jak z chaosu pięści, pałek i glanów w holu wyłania się młody chłopak i na słabnących nogach wtacza się półprzytomnie do sklepu. Z pleców sterczał mu nóż do chleba. Przez moment James był pewien, że to jego partner z formacji Pomarańczowy Bob, ale po chwili zorientował się, że rannym jest prospekt Mściwych Bękartów, niewiele starszy od niego samego. W pierwszym odruchu chciał udzielić pierwszej pomocy, ale nim zdążył cokolwiek zrobić, do sklepu wpadli z hukiem dwaj tłuści Bękarci trzymający za ramiona Brudnego Dave'a z Bandytów South Devon. Cisnęli go na szklany regał zastawiony pamiątkowymi taliami kart, porcelanowymi figurkami i inną tandetą, a kiedy ozdoby rozsypały się z brzękiem na posadzce, rudobrody Bękart uniósł młotek z główką zaostrzoną w złowrogi szpic.

James wyskoczył z kryjówki, biorąc zamach łańcuchem. Trafił Bękartą w dłoń, wytrącając z niej młotek, i natychmiast poprawił ciosem w brodatą twarz. Kiedy grubas zatoczył się w tył, Brudny Dave wyswobodził się z uchwytu drugiego napastnika i rozbił nim szklany front chłodziarki z napojami i kanapkami.

James porwał duży mosiężny model Clifton Bridge i z całej siły walnął nim przeciwnika w głowę, po czym ostatecznie pozbawił go przytomności owiniętą łańcuchem pięścią. Brudny Dave wciąż szamotał się z drugim Bękartem, ale zamiast ruszyć z odsieczą, James uznał, że najpierw powinien zawłaszczyć zaostrzony młotek, zanim ktoś inny dopadnie go pierwszy i użyje na nim. Odszukał młotek wzrokiem, ale kiedy pochylił się nad nim, kolejny Bękart wparował do sklepu i z marszu wymierzył mu cios w głowę. James na chwilę stracił ostrość widzenia, kiedy wielgachna pięść wbiła mu czaszkę w krawędź szklanej półki, ale zdążył zamachnąć się młotkiem, którego zaostzona główka wbiła się głęboko w kolano napastnika.

James wyrwał młotek z rany, uwalniając rozbryzg krwi, i szybko uskoczył, pozwalając, by wyjący z bólu biker runął na szklany regał. Podnosząc się, ujrzał kolejnego Bękartą szarżującego nań od strony drzwi. Był drobniejszy od poprzedniego i James powitał go potężnym hakiem, który skruszył mężczyźnie szczękę i powalił na zaścielające podłogę gazety i paczki papierosów. Podczas gdy James znokoutował trzech mężczyzn, Brudny Dave wciąż mocował się ze swoim pierwszym przeciwnikiem. Mężczyźni tkwili w zwarciu, jedną ręką ściskając jeden drugiego za szyję, a drugą zadając coraz słabsze ciosy. Choć James tak naprawdę nie był po stronie Bandytów, z całą pewnością nie był też po stronie Mściwych Bękartów - nie po tym, jak trzech z nich próbowało go zabić. Kipiąc strachem i wzburzeniem, James wbił grubemu Bękartowi kolano w brzuch. Kopnięcie złożyło go w pół, pozwalając Brudnemu Dave'owi na wyrwanie się z objęć przeciwnika i ogłuszenie go pięścią. James dokończył dzieła, pakując bikerą głową do wnętrza chłodziarki z taką mocą, że ze środka wypadła zgięta na pół metalowa półka.

James wyrzwał do holu i zobaczył pobojuwisko usiane rannymi bikerami rozciągniętymi na płytkach posadzki. Bandyty i ich sprzymierzeńcy najwyraźniej wygrali bitwę, ale za cenę dużych strat, zaś przy takiej obfitości użytej broni nie ulegało wątpliwości, że wielu walczących skończy w szpitalu, a może i na cmentarzu.

Zgryz, Fiihrer i garstka Bandytów z innych chapterów stali na zewnątrz głównego wejścia centrum handlowego i wykrzykiwali rozkazy. Podłoga wokół Jamesa była zalana krwią, walały się potraskane regały, a na półkach nie uchwalił się bodaj jeden artykuł.

- Stary, to było piękne - powiedział Brudny Dave, szczerząc się w radosnym uśmiechu i waląc Jamesa w plecy. - Uratowałeś mi dupsko.

James pamiętał, że zostawił odciski palców na młotku, więc zabrał narzędzie ze sobą i wyszedł ze sklepu, bardzo uważając, żeby nie wdepnąć w krew. Podążając za Dave'em, wyszedł na parking, skąd Fiihrer i prezes z Cardiff kierowali ewakuacją.

- Odjeżdżamy stąd wszyscy razem i w szyku! - wołał Fiihrer. - Jak któregoś zgarną gliny, nic nie gadać bez pozwolenia naszych papug.

- Co z rannymi? - zapytał Zgryz.

- Kto może chodzić, do autobusu. Tych, z którymi jest gorzej, zostawić; niech ich zabiorą karetki.

Nim Fiihrer skończył mówić, przez straskane szkło automatycznych drzwi wytoczył się jeden z Mściwych Bękartów, ściskając kurczowo brzuch. Zgryz bez słowa podszedł do niego i poczęstował brutalnym kopnięciem w głowę, po którym biker padł bez życia na ziemię. W tej samej chwili z budynku wybiegli dwaj młodzieńcy z Monster Bunch, niosąc naręcza kaset VHS.

- Dobra robota - uśmiechnął się Fiihrer.

- Dorwaliśmy kierownika i trochę przestawiliśmy mu pysk - pochwalił się jeden z chłopców. - Przysięga, że to wszystkie taśmy, jakie ma. Mamy je spalić?

- Nie. - Führer potrzęsął głową. - Mogą się jeszcze przydać. Ściągnijcie barwy i zasuwajcie na najbliższą pocztę. Wyślecie te taśmy ekspresem do kancelarii Burnham, Smith i Greaves, Salcombe High Street jeden-trzy-trzy. I niech przypadkiem nie wpadną w łapy glinom, bo poderżnę wam gardła.

- Tak jest! - zakrzyknęli gorliwie młodzieńcy i pobiegli do swoich motocykli. James słuchał tego wszystkiego, rozglądając się po parkingu. Tu i ówdzie dogasały ostatnie walki, a większość Bandytów skoncentrowała się na demolowaniu motocykli Mściwych Bękartów. Z budynku centrum handlowego wyłonił się kapitan Wymiot, popędzając przed sobą około trzydziestu bikerów.

-Jazda, jazda! - ponaglał.

James spojrział na Brudnego Dave'a.

- A co z formacją?

- Po prostu jedź. Musimy wydostać się z hrabstwa, zanim policja zorientuje się, co jest grane - odpowiedział pospiesznie Dave i pobiegł za Führerem do miejsca, gdzie zaparkowali Bandyci.

James ruszył za nimi, w biegu odwijając z dłoni zakrwawiony łańcuch i upychając go w kieszeni kurtki. Wiele motocykli padło ofiarą walk. James biegł wśród sponiewieranych maszyn leżących na boku w strzępach pociętej skóry i okruchach szkła z poprzetrąconych lusterek. Kilka harleyów Bandytów wgniotła w ścianę ciężarówka-holownik i James odetchnął z ulgą, odkrywając, że jego ER5 jest cała. Wyrwał kask z kufra za kanapą i dosiadł motocykla.

Potoczył się do wyjazdu z parkingu i zatrzymał, by przepuścić Wymiota, Führera i kilku innych Bandytów, ale jadący za nimi Brudny Dave zatrzymał się i dał mu wolną drogę jako wyraz wdzięczności i szacunku.

Część motocyklistów uciekła już wcześniej, ale większość czekała na Führera i James znalazł się nagle w szóstym szeregu otoczony Bandytami na harleyach i z sześćdziesięcioma motocyklami w ogniu za sobą.

James zdążył wypić tylko kilka łyków sprite'a, a kostki piekły go od zadanych ciosów. Spojrział na rozdartą skórę prawej rękawicy i pomyślał z niepokojem o zakrwawionym łańcuchu i młotku ukrytym pod kanapą jego motocykla. Gdyby policja zatrzymała go i przeszukała, miałby się z czego tłumaczyć.

### 30. RYBY

Podczas gdy Julian i Nigel wracali do Salcombe, McEwen zaprzestał śledzenia chłopców i skręcił w stronę nadmorskiej miejscowości Kingswear. Zanim dojechali na miejsce, Neil zdążył porozumieć się z centrum koordynacji misji w kampusie CHERUBA, które szybko ustaliło, że armatorem łodzi „Brixton Riots” jest firma krzak z Bułgarii.

Jechali statecznie wzdłuż brzegu, dopóki nie wypatrzyli porzewiałego kutra rybackiego pomalowanego niebieską farbą w takim odcieniu, jaki mają znaki początku autostrady. McEwen zaparkował za szeregiem polerów osiemdziesiąt metrów od łodzi i wyjął spod siedzenia miniaturową lornetkę Nikon.

- Wygląda na to, że nikogo tam nie ma - powiedział, skanując przez powiększające szkła pokład łodzi i gnijące strzepy rybackich sieci na brzegu. Po chwili zauważył napis wymalowany przez szablon na ścianie sterówki: „Do wynajęcia na wyprawy rybackie, całodniowe i krótsze. Profesjonalny instruktor. Dzwonić pod...”.



McEwen przedyktował numer telefonu komórkowego Neilowi, który wstukał go do laptopa.

- Numer jest zarejestrowany na niejakiego Johnny'ego Riggsa. Mieszka gdzieś tu w okolicy. Według historii bankowej facet siedem lat temu narobił długów na jakieś trzysta tysięcy i zbankrutował. Niekarany, trzy punkty karne na prawie jazdy za dziewięćdziesiąt trzy na godzinę przy ograniczeniu do siedemdziesiątki. Rozwiedziony, zasądzone alimenty, płaci przez Agencję Wsparcia dla Dziecka na syna i dwie córki.

- Wygląda mi na normalnego faceta - powiedział McEwen, wciąż oglądając „Brixton Riots”. - Najpewniej zbiedniały rybak szyprujący na łódce jednej z firm przykrywek Fiihrera.

- Co tam jeszcze widać? - zapytał Neil.

- Gównie wiem o łodziach rybackich, ale coś tu jest nie tak - powiedział McEwen tonem zdradzającym zaintrygowanie. - Z ośmiu stojących tu łajb „Brixton Riots” jest najbardziej zapuszczona, ale antenę radaru ma największą i do tego lśniąca nowością. Przez okno sterówki widać dwa wielkie monitory LCD, a z tyłu na pokładzie jest żółte podłużne urządzenie. Wygląda jak rakieta czy coś. Ma napis „Towmaster”, a nazwa producenta to coś jakby ANT...

Neil wystukał na klawiaturze hasło „ANT Towmaster”, a Google zapytało, czy miał na myśli „AMS Towmaster”. Kliknął „tak” i pierwszy odsyłacz na liście odpowiedzi przeniósł go na stronę ze zdjęciem żółtego torpedokształt-nego zasobnika.

Neil odczytał z ekranu nazwę i opis:

- Advanced Marine Systems Towmaster sześć-sześćdziesiąt, wysokoczuły system sonarowy do poszukiwań morskich. Numer jeden w ratownictwie okrętowym, archeologii morskiej i przemyśle naftowym.

- A więc takie z nich cwaniurki. - McEwen uśmiechnął się z przekąsem, opuszczając lornetkę. - Statek dostawca wpływa na płytkie wody i wywala za burtę pakunki z dragami, bronią i czym tam jeszcze. Potem „Brixton Riots” wyławia towar i wiezie na brzeg.

- Jak to rozegramy? - zapytał Neil.

- Miniaturowe kamery i mikrofony na łodzi - powiedział McEwen. - Mogę wśliznąć się tam i zasadzić parę pluskiew. Jakby kto pytał, jesteśmy parą turystów zainteresowanych wyprawą na rybki. Część kamer rozstawimy na brzegu, żeby nagrać wyjście w morze, powrót i przeładunek. Będziemy obserwować wszystko z wozu i pojedziemy za nimi, dokądkolwiek zabiorą ładunek po wylądowaniu.

- To powinno załatwić nam wszystkie kwestie - pokiwał głową Neil. - Myślę też, że nie od rzeczy byłoby jakieś wsparcie z mojego wydziału plus parę załóg w gotowości na wypadek przedłużonego pościgu.

- Przy takiej operacji nie ma czegoś takiego jak zbyt wielu ludzi - przytaknął McEwen. - Pogadaj z Rossem Johnsonem. Jeśli nie da rady, spróbuję ściągnąć kogoś z kampusu CHERUBA.

- Co ze sprzętem obserwacyjnym?

- W wozie nic nie mam - powiedział McEwen. - Ale Chloe trzyma pełną walizkę szpiegowskich gadżetów w domu w Salcombe.

Neil spojrział na zegarek.

- Jest pierwsza - powiedział. - Nie mamy zbyt wiele czasu, ale powinniśmy zdążyć.

Tuż po pierwszej po południu Dante, Joe, Laura i Anna podeszli do pancernego wejścia klubu Bandytów. Każde z nich ciągnęło za sobą wózek na zakupy albo walizkę na kółkach. Joe spojrział w prawo, w lewo, a potem przeciągnął kartę magnetyczną przez czytnik i otworzył drzwi. Wyludniona główna sala robiła upiorne wrażenie. Kroki dzieci niesły się echem po wysoko sklepionej przestrzeni przesiąkniętej wspomnieniem papierosowego dymu. Jedyne światło pochodziło z promieni słonecznych przeszywających trzy świetliki w dachu.

-Jest tu kto?! - zawołała Anna.

Czwórka nastolatków podeszła do samoobsługowego baru po drugiej stronie sali, kiedy na schodach wiodących z noclegowni na piętrze pojawił się zaspany, skacowany typek w bokserkach i poplamionej pizzą kamizelce. Dzieci nie miały dobrego pretekstu, by kręcić się po klubie, więc Joe zdecydował, że najlepszą obroną będzie atak.

- Kangur Mike - powiedział z przyganą w głosie. - To tak wygląda twoja ochrona obiektu? A gdybyśmy byli grupą szturmową wrogiego klubu, która zakradła się, żeby spalić siedzibę? Kangur Mike przeczesał palcami skołtunionie włosy.

- Co wy tu robicie, do diabła? - zachrypiął.

- Jestem Joe, syn Fihrera. Kazał mi sprawdzić, jak sobie radzisz.

Na słowo Fihrer Kangur Mike wyprostował się nagle i zamrugał oczami. Niepewnym gestem wskazał na schody za sobą.

- Aaa, no tak - powiedział, przeciągając samogłoski po australijsku. - No więc widziałem, jak wchodzicie, co nie? Znaczy nie wiedziałem dokładnie, coście za jedni, ale widywałem was tu przecież. Strzelba jest na górze gotowa, jakby kto przy laź szukać kłopotów.

- Spokojnie - powiedział Joe, unosząc dłonie. - Robimy dziś mały wieczorek towarzyski u moich rodziców. Tata powiedział, że możemy wziąć sobie trochę zarcia i coś do picia.

- Żaden problem. To ja już pójdę - powiedział Kangur Mike, odwracając się, by rozpocząć mozolną wspinaczkę po schodach. - Poradzicie sobie?

Kiedy zniknął z pola widzenia, czworo przyjaciół uśmiechnęło się do siebie.

- Frajer - prychnął Joe i otworzywszy magnetycznym kluczem drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”, wpuścił kolegów do przestronnego magazynku.

Jeden koniec pomieszczenia zdominowały srebrne drzwi ogromnej chłodziarkozamrażarki, gdzie Bandy ci przechowywali mięso na swoje imprezy z grillem, ale dzieci były bardziej zainteresowane paletami z piwem w puszkach na podłodze oraz butelkami wina i mocniejszych trunków ustawionych na półkach z płyty wiórowej.

Dante spojrział na piwo.

- Mówiłeś, że jakieś dwadzieścia osób, czyli jak wypijemy po cztery, to sto puszek wystarczy z zapasem.

- Weźmy więcej - powiedział Joe. - Sam wypiję ze dwanaście, piętnaście puszek.

Laura parsknęła śmiechem.

- A ty co, zawodowy gracz w strzałki?

Dante także się roześmiał.

- Chciałbym zobaczyć, jak wypijasz dziesięć piw, Joe. Skosi cię po trzecim.

- Trzy piwa lemoniadowe - powiedziała Anna.

Ale wzrok Laury zatrzymał się na szeregu zielonych butelek. Na twarzy wykwitł jej uśmiech szczęścia.

- Różowy szampan! Weźmy trochę, dobra?

- O nie, nic z tego - zaprotestował Joe. - Jest tylko sześć butelek i jest piekielnie drogi.

Bierzemy po trochu z różnych rzeczy: parę zgrzewek piwa, parę butelek tego, parę butelek tamtego. Tu jest tyle alku, że nikt niczego nie zauważy, jeżeli nie weźmiemy czegoś za dużo.

Anna odchyliła klapę babciwego wózka na zakupy, wsunęła do środka dwie zgrzewki piwa, po czym zaczęła na nich układać butelki wódki, dżinu i burbona. Po drugiej stronie spizarni chłopcy napychali walizki piwem, podczas gdy Laura czyściła lodówkę z soków i coli do drinków.

Joe zapiął zamek swojej walizki.

-Pijana orgio, oto nadchodzimy! - zawołał radośnie i pociągnął za pasek, omal nie wyłamując sobie ręki ze stawu. -Jezu, jakie ciężkie!

Anna i Laura doszły do podobnego wniosku w kwestii ich ładunku.

- W życiu nie zatargamy tego do autobusu - orzekł Dante.
- Mógłbym podwędzić ojcu samochód - powiedział Joe.
- To automat. Kiedy go kupił, dał mi się parę razy przejechać dookoła domu.

Laura i Dante nauczyli się prowadzić w CHERUBIE, ale dzieci jadące same luksusowym autem w biały dzień musiały zwrócić czyjąś uwagę. Ponadto bezpieczniej było nie przyznawać się do zbyt wielu ponadprzeciętnych umiejętności.

-A może po prostu zamówię taksówkę? - zaproponował Dante, wyjmując telefon z kieszeni.

Anna zachichotała i pieszczotliwie cmoknęła Dantego w policzek.

- Mój mądry chłopczyk - powiedziała z ustami w ciup.
  - No i trochę to mniej ryzykowne od kradzieży Führerowi fury za sześćdziesiąt tysięcy.
- Bitwa na stacji pod Stoke Gifford była straszna, ale policja nie miała ani dość odwagi, ani dość ludzi, by zatrzymać stuosobowy konwój opryszków na motocyklach, więc lekko uszczuplona banda znów sunęła bez przeszkód na Herbatkę Buntowników.

W Swindon Wymiot sprowadził grupę z autostrady, by kilka kilometrów dalej zarządzić nieplanowany postój na parkingu przed Tesco. Motocykliści ustawili się w kolejce po benzynę, a kobiety z jednego z autokarów czyściły półki supermarketu z kanapek, jajek po szkocku i porcjowanych placków z owocami.

Podczas zaimprovizowanego pikniku, jaki nastąpił później, James, niespodziewanie dla siebie samego, znalazł się w centrum uwagi, kiedy Brudny Dave zdołał zainteresować swoją historią krąg bikerów, ich kobiet i dzieci.

- Już widziałem ten szpic w swojej czaszce - opowiadał z werwą. - Aż tu nagle wyskakuje ten mały ninja i jeb! Koleś leży. A potem załatwiliśmy jeszcze czterech, bach, bach, jednego po drugim. Żaden miękodupy Bękart nam nie podskoczy, co nie, miszcu?

Dave objął Jamesa ramieniem i serdecznie potrząsnął, sprawiając, że jego wiśniowe ciastko Pana Kiplinga zsunęło się z aluminiowej tacki i piasnęło na asfalt. James nie przypominał sobie, by Dave brał jakkolwiek udział w jego walce, ale pominął ten szczegół milczeniem.

- Z dzieciaka będzie kiedyś super-Bandyta! - huczał Brudny Dave. - Założę się o własnego wacka.

- Niewielka stawka! - zawołała jedna z kobiet.

Wszyscy gruchnęli śmiechem z wyjątkiem Führera, który z poważną miną wyciągnął zaskoczonego Jamesa z kręgu i odprowadził na bok.

- Co się stało? - zapytał nerwowo James.

Führer uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że pokazałeś klasę tam w sklepie, ale nie chcielibyśmy, żeby cię zgarnęli. Masz łańcuch i młotek?

James wyciągnął łańcuch z kieszeni.

- Młotek jest w motocyklu.
- Nie dość, że twardy, to jeszcze bystrzacha. - Führer pokiwał głową z uznaniem. - Nigdy nie zostawiaj broni na miejscu przestępstwa; będzie cała w odciskach palców i twoim DNA. A łańcuch i młotek oddaj mnie.
- Po co? - zdziwił się James.
- Wóz techniczny nieco zmieni trasę. Kumpel znajomego prowadzi złomowisko, kawałek drogi stąd. Spali albo przetopi wszystko, co mogłoby nas obciążać.
- Jasne - powiedział James. - Pójdę po młotek.

- Rękawice będą ci potrzebne do jazdy, ale możesz mieć na nich krew, więc jak tylko dojedziemy na miejsce, wrzuc je do ognia. Mają tam budy z rzeczami dla bikerów, to sobie odkupisz. Jak cienko stoisz z forszą, zwróć się do mnie, to coś poradzimy.

- Jasne - powtórzył James.

Fiihrer był złym człowiekiem, ale trudno było nie podziwiać jego talentów przywódczych. Podczas gdy inni bikerzy paplali o swoich wyczynach bojowych, zajadając się pasztecikami, on działał niczym maszyna, przewidując posunięcia policji, tropiąc i niszcząc ślady, raz po raz dzwoniąc do swoich prawników w Salcombe.

- A teraz najważniejsze, dzieciaku - powiedział Fiihrer, podtykając Jamesowi palec pod nos. - Jak zatrzymają cię gliny, zamknij gębę na kłódkę i czekaj na przyjazd naszego prawnika. Nigdy ci nie udowodnią, że nie działałeś w samoobronie, chyba że wymknie ci się coś głupiego.

- Ale ja działałem w samoobronie - zaznaczył James.

Fiihrer uśmiechnął się złowrogo.

- Cóż, powiedzmy, że ten jeden raz puszcze ci to płazem.

### 31. KONKURS

Przepecone ubranie lepiło się Jamesowi do skóry, a pośladki pulsowały tęnym bólem po sześciu godzinach w siodle, kiedy gang dotarł wreszcie do miejsca, gdzie odbywała się Herbatka Buntowników. Przy dudniących dźwiękach coveru ACDC, dobiegających od sceny kilkaset metrów dalej, sznur motocykli wił się wzdłuż wiejskiej szosy pomiędzy łąkami okolonymi aluminiowym płotem.

Policjanci w odblaskowych kamizelkach filmowali zlot z poboczy drogi. Wymiot uprzedził wszystkich, by po dotarciu na miejsce spodziewali się zatrzymań i rewizji, ale trzeba mnóstwa funkcjonariuszy, by stawić czoła stuosobo-wemu gangowi motocyklistów, a policja Cambridgeshire była bardziej zainteresowana dbaniem o gładki przebieg zlotu niż przepytywaniem wybuchowej bandy w kwestii incydentu, jaki miał miejsce na obszarze cudzej jurysdykcji.

Herbatka była dorocznym zlotem organizowanym przez cztery londyńskie kluby motocyklowe. To, co zaczęło się dwadzieścia lat wcześniej od kilkuset motocykli i zabawy w londyńskiej sali tanecznej, teraz było największym zlotem motocyklowym w Europie odbywającym się na nieużywanym lotnisku RAF-u. Trwająca dwa dni impreza przyciągała co roku ponad dwadzieścia pięć tysięcy jeźdźców i entuzjastów motocykli.

Tak jak wszystko w świecie motocyklowych gangów wstęp na teren zlotu podlegał ścisłej hierarchii. Podczas gdy publiczność parkowała samochody i motocykle na zewnątrz, by wyrzuciwszy wszelkie jadło i napitki, ustawić się grzecznie w kolejce do rewizji, Fiihrer poprowadził swoją grupę na motocyklach do specjalnie otwartej bocznej bramy.

Tuż za wjazdem ciągnęła się szeroka asfaltowa aleja obstawiona z obu stron stoiskami z jedzeniem i wesołomia-steczkowymi atrakcjami. Bandy ci zdjęli kaski i rozpoczęli przedstawienie, przegazowując silniki, rycząc klaksonami i sunąc powoli przez rozstępujący się przed nimi tłum.

Z wiwatującej cizby wystąpił spocony Bandyta z Rotterdamu i wręczył Fiihrerowi flagę ze swastyką, którą ten przyjął z widocznym entuzjazmem. Błysnęła salwa fleszy, kamery obróciły się w stronę parady, a głośniki radiowęzła zachrypiały zapowiedzią:

- Panie i panowie, prosimy o gorące powitanie dla klubów Brigands MC South Devon, Bristol i Cardiff, Monster Bunch MC, Psy Wojny MC oraz Branding Irons!

Osiemdziesiąt procent tłumu stanowili zwyczajni motocykliści i ich rodziny, ale byli wśród nich także bikerzy ze wszystkich ważniejszych klubów krajowych i międzynarodowych. Przyjaciele Bandytów wznosili pięści i klaskali, członkowie pomniejszych gangów stali ze skrzyżowanymi ramionami i z szacunkiem kiwali głowami, podczas gdy wrogowie wystawiali środkowe palce, łapali się za krocza i wykrzykiwali obelgi.

Przeparadowawszy wzdłuż trzystumetrowej alei, Bandyty i ich towarzysze rozdzielili się i przyspieszyli, podążając za drogowskazami kierującymi ich do różnych stref Wzgórza Wyjętych spod Prawa. Pokryte przesuszoną trawą wzniesienie podzielono na obozowiska dla klubów, przy czym im wyższy był status gangu, tym wyższe zajmował on miejsce. Bandyty ustępowali rangą tylko jednemu potężnemu klubowi międzynarodowemu, który osiadł na szczycie Wzgórza Wyjętych szeregiem dwustu harleyów i klimatyzowanym klubem na kołach.

Obozowisko Bandytów było już gęsto zaludnione klubowiczami z Londynu, z północy kraju i rozmaitych chapterów zagranicznych, jak również kilkoma setkami gości z gangów satelickich. James odebrał od dyżurnego pro-spekta zafoliowaną plakietkę na smyczy z napisem „Bandyty MC - gość” i potoczył swoje kawasaki w stronę szeregu motocykli należących do gości i przyjaciół klubu. Bandyty ustawili swoje harleye wzdłuż granic obozu, by tworzyły prowizoryczne ogrodzenie oraz wystawę dla tych widzów z publiczności, którzy mieli dość odwagi, by zawędrować na Wzgórze.

Trzy autokary jadące za konwojem Bandytów ominęły paradę i zajęły na miejsce wcześniej. James wstąpił w krzątający się wokół nich tłumek, by wyłowić z luku bagażowego swój namiot i śpiwór. Obarczony dwoma tobołkami poszedł na zwiad, wypatrując miejsca na namiot, które z jednej strony byłoby dość daleko od ognisk i imprez, by dało się spać, a z drugiej - nie za blisko cuchnących przenośnych toalet na tyłach obozowiska.

-James, dziecino! - zawołał brat Nigela Will. - Słyszałem, że z ciebie to niezły killer jest! James powstrzymał uśmiech i podszedł do Willa stojącego w towarzystwie trzech członków Monster Bunch.

- Rozbij się koło nas - powiedział Will. - To moi kumple: Dziany, Rhoda i Szampon Junior. Wszyscy trzej byli przysadzistymi byczkami wyglądającymi na osiemnaście do dwudziestu lat, aktualnie w rozmaitych fazach pozbywania się odzieży motocyklowej. James uściśnął im dłonie i następny kwadrans poświęcił na rozstawienie namiotu, przebranie się w krótkie bojówki i koszulkę Ramones oraz wypicie piwa, które spędziło sześć godzin, grzejąc się w autokarze. Kiedy wszyscy byli gotowi, Will poprowadził Jamesa i swoich trzech przyjaciół w dół zbocza pomiędzy obozami rozmaitych gangów, przyspieszając w nerwowym milczeniu, kiedy mijali małe splachetki ziemi zajęte przez Mściwych Bękartów.

- Chcesz zgłosić Jamesa na prospekta Monster Bunch?  
- zapytał Dziany.

Will przytaknął skinieniem głowy.

- Kiedy skończę z Nigelem. To znaczy, jeżeli będziesz chciał, James. James uśmiechnął się.

- Zobaczmy, może Psy Wojny złożą mi lepszą ofertę.  
- To bezczelny gnojek! - zaśmiał się Szampon Junior i lekko walnął Jamesa w plecy, rozlewając mu piwo na koszulkę.

- No więc na co macie ochotę, panowie? - zapytał Will.  
- Seksnamiot? Przejdziemy się po deptaku? Motogięłda?  
- Seksnamiot - bez namysłu powiedzieli jednocześnie Dziany i Rhoda.  
- Co to jest? - zainteresował się James.

Will roześmiał się, a potem złapał Jamesa za przód koszulki.

- Jeżeli nigdy tam nie byłeś, to musisz od tego zacząć.
- I lepiej teraz, póki wciąż jesteś trzeźwy - dodał Rhoda.

U stóp wzgórza skręcili z głównego deptaka i skierowali się w stronę dużego sześciokątnego namiotu. Po krótkim przystanku w celu zakupu butelek zmrożonego budweysera zapłacili po cztery funty od łebka, podstawili dłonie do podstemplowania i weszli do środka. Starsi chłopcy dworowali sobie z Jamesa, pokazując na tablicę z napisem „Dozwolone od lat 18”.

Pod namiotem ustawiono około stu pięćdziesięciu składanych krzeseł, ale cała, jednolicie męska publiczność tłoczyła się z przodu, pod sceną. Dwie tandetne kolumny ryczały szlagierami, a na estradzie wiło się niemrawo sześć półnagich dziewcząt.

Kiedy James i chłopcy przepchnęli się pod scenę, muzyka nagle umilkła, a do mikrofonu podszedł smutny grubas w aksamitnej marynarce.

- Dobra, panowie, pożegnajmy nasze piękne amatorki gromkimi oklaskami. I przypominam: nasza zwyciężczyni wyjdzie stąd bogatsza o sto funtów, i to wy, publiczność, zdecydujecie która.

- Zdaje się, że większość przegapiliśmy - zauważył James. Will potrząsnął głową.

- To tak leci przez cały dzień. Striptiz, taniec na rurze, konkursy dla amateerek. W zeszłym roku mieli dwie Es-tonki w skórach chlaszczące się nawzajem biczami.

- A teraz posłuchajmy, jakie brawa zbierze nasza zawodniczka numer jeden! - zawołał zmęczonym głosem konferansjer.

Publiczność milczała, kiedy przed szereg dziewcząt wystąpiła ubrana w czerwone pończochy kobieta po pięćdziesiątce i zatrzepotała obwisłymi ramionami.

James parsknął piwem, które miał w ustach.

- Ożeż...! - jęknął. - Co to ma być?

- Zawsze tak robią - wyjaśnił Szampon Junior. - Dają jednego prawdziwego kaszalota, żeby podkreślić publikę.

Zawodniczki numer dwa i trzy zebrały trochę braw. Czwartą publiczność przyjęła dobrze z wyjątkiem grupy stojącej za Jamesem, którzy drwili z niej i nazywali dziwką. W obronie dziewczyny inna grupa mężczyzn ruszyła przez tłum w stronę szyderców i zanim James się obejrzał, dwie bandy bikerów zaczęły przepychankę tuż za jego plecami.

- Panowie, proszę was bardzo, to tylko zabawa! - zawołał konferansjer. - W takich sytuacjach mama mówiła mi, żebym wstrzymał oddech i policzył do dziesięciu.

- Poderżnę ci gardło! - ryknął do kogoś ogromny beczkowaty facet stojący tuż za Jamesem. Wyglądało to na czczą pogroźkę, dopóki w dłoni olbrzyma nie błysnął składany nóż motylek, który natychmiast zagłębił się w czyimś brzuchu.

Will i jego kumple zdążyli uciec przez lukę w tłumie, ale James znalazł się w pułapce pomiędzy sceną a tuzinem mężczyzn wymieniających się wściekłymi ciosami i kopniakami. Składane krzesła zaszurały na drewnianej podłodze potrącane przez uciekających w panice widzów, po czym przemieniły się w broń, kiedy bijatyka objęła cały namiot.

James nie chciał mieszać się do walk, a jego jedyną drogą ucieczki były trzystopniowe schodki prowadzące na scenę. Ale kiedy na nie wskoczył, ku jego zdumieniu tłusty konferansjer zastąpił mu drogę i kazał wracać na dół, po czym zamachnął się nań pięścią.

James gwałtownym skłonem uniknął ciosu.

- Próbuje się tylko wydostać! - krzyknął i walnął konferansjera otwartą dłonią w głowę. Półnagie uczestniczki konkursu uciekły ze sceny i gorączkowo zbierały swoje rzeczy za cienkim przepierzeniem. Kiedy James gnał przez scenę w stronę tylnego wyjścia, ktoś włączył światło.

Mniejsza z walczących grup uchodziła na zewnątrz, po Willu i jego kolegach nie było już śladu, a widząc z wysokości sceny naszywki bikerów, James spostrzegł, że dźgnięty nożem mężczyzna jest Bandytą z Londynu.

James zeskoczył z tyłu sceny i wybiegł za dwiema dziewczynami przez tylną klapę. Namiot przylegał do metalowego ogrodzenia terenu zlotu. James przestąpił ostrożnie przez rurę klimatyzatora i wiązkę kabli, ale wtedy z wnętrza namiotu dobiegł go krzyk bólu jednej z dziewczyn.

- Ty wredna suko! - wrzasnął konferansjer i uderzył dziewczynę jeszcze raz. - Gównu mnie obchodzi, gdzie jest twoje ubranie.

Brzmiało to bardzo niedobrze, więc James, niewiele myśląc, pognał z powrotem na scenę, gdzie zastał drobną uczestniczkę numer pięć stojącą boso i wciąż topless. Jej ciemne długie włosy były owinięte wokół dłoni konferansjera.

- Gdzie je masz?! - krzyknął grubas.

- Znajdź sobie kogoś własnych rozmiarów - warknął James ze złością.

Błyskawicznym ciosem rozbił konferansjerowi usta, a potem złapał za pulchny nadgarstek i wykręcił rękę za plecami.

- Puść jej włosy albo złamię ci rękę - rozkazał.

Konferansjer puścił dziewczynę, ale gdy tylko James uwolnił mu rękę, zamachnął się do ciosu.

- Jesteś za gruby i za wolny - pouczył go James, wyprowadzając trzy szybkie uderzenia. Tuścioch zatoczył się w tył, zachwiał i runął ze sceny na stertę krzeseł, by roztrąciwszy je z łomotem, wylądować twardo na tyłku.

James nie wiedział, kim jest gruby konferansjer, ale skoro prowadził tego rodzaju działalność rozrywkową na tego rodzaju imprezie, to musiał mieć wpływowych przyjaciół wśród bikerów. James nie miał najmniejszej ochoty kręcić się w okolicy na tyle długo, by ich poznać.

Wyjrzał za kulisy, gdzie uczestniczka numer pięć szukała czegoś wśród pomponów, ozdobnych batut, skórzanych biczów i pod klatką z papugą, klnąc głośno po hiszpańsku.

- Co tu się wydarzyło? - zapytał. - Dlaczego on cię bił?

- Ktoś zabrał moją bluzkę - wyszczała dziewczyna, kipiąc gniewem. - I jak ja mam teraz wrócić do siebie?

James nie widział nigdzie bluzki, więc ściągnął własną koszulkę i podał ją dziewczynie.

- Trochę przepocona - powiedział przepaszającym tonem. - Ale w sumie lepsze to niż pięć tysięcy facetów gapiących ci się na cycki.

- Mój bohater - powiedziała dziewczyna, obdarzając Jamesa słodkim uśmiechem.

Szybko wciągnęła koszulkę przez głowę, wsunęła stopy w płócienne tenisówki i wybiegła z namiotu. James pobiegł za nią.

- Niektórzy ludzie to straszne dupki - powiedział wzburzony, czując na nagich plecach ciepły dotyk słońca. - Rzucił się na ciebie, bo zapytałaś, czy nie wie, gdzie jest twoja bluzka? Twarz dziewczyny rozjaśnił figlarny uśmiech, a w dłoni pojawił się rulon dwudziestofuntówek, ukryty dotąd w kieszeni obciętych džinsów.

- Myślę, że miało to więcej wspólnego z kradzieżą pieniędzy na nagrodę - wyjaśniła. - I znikłabym stamtąd, za-nimby się skapował, gdyby ta dziwka trójka nie ukradła mojej bluzki.

James roześmiał się i obejrzał za siebie. Trzej bikerzy w kamizelkach z napisem OCHRONA i grupa sanitariuszy z noszami biegła w stronę namiotu, podczas gdy dwaj londyńscy Bandyści stali przy wejściu z telefonami przy uchu, prawdopodobnie zdając swoim szefom relację z wydarzeń.

- Trzymaj - powiedziała dziewczyna, wręczając Jamesowi czterdzieści funtów. -

Uratowałeś mi tyłek. Zasłużyłeś na działkę.

James uśmiechnął się i wziął pieniądze.

- Fajny masz akcent. Jesteś z Hiszpanii?

- Nikt ci nie wciśnie kitu, Sherlocku? - zaśmiała się dziewczyna.

- A tak w ogóle to jestem James.

- Właściwie to co taki superprzystojny chłopak jak ty robi z bandą oblesnych spaślaków śliniących się na cyc-konkursie?

James poczuł, że się rumieni.

- Kumple mnie zaciągnęli. Nigdy wcześniej nie byłem w takim miejscu. I na sto procent klaskałbym dla ciebie, jesteś o niebo ładniejsza od tamtych.

- Powinieneś pójść ze mną do mojego kampera - uśmiechnęła się dziewczyna, biorąc Jamesa za rękę i pociągając w tłum na deptaku.

- Powinienem? - zdziwił się James.

- Zmienię bluzkę - wyjaśniła - a wtedy ty odzyskasz swoją koszulkę.

### 32. KAMPER

Miniaturowy zdalnie sterowany czołg Panzer klekotał po zaniedbanym trawniku za domem Fiihrera. Obrócił gwałtownie wieżę w stronę T-34 Armii Czerwonej, koniec lufy błysnął pomarańczowo, a głośniczek pod obudową zabrzączał elektroniczną imitacją wybuchu.

- Pudło, śmierdziu! - krzyknął Dante, pokazując Joemu środkowy palec, po czym opuścił wzrok na trzymany w rękach nadajnik. - Jeszcze raz, które jest od wieży?

Dante nie mógł odnaleźć właściwej dźwigenki, ale panzer Joego był coraz bliżej, więc po prostu ruszył pełnym gazem do tyłu. Nie ujechał jednak daleko, bo czołg został brutalnie zatrzymany przez słupek karmnika dla ptaków. Joe strzelił i znowu chybił. Laura wyrwała mu z rąk nadajnik.

- Oddaj mi to, kurde...

Dante w końcu odgadł, jak się steruje wieżą. Niezwłocznie wyrwał naprzód spod karmnika, wycelował i strzelił.

- Bezpośrednie trafienie - oznajmił syntetycznym głosem nadajnik w dłoniach Laury. - Poziom uszkodzeń: piętnaście procent.

- Piętnaście procent, piętnaście procent! - Joe z irytacją przedrzeźniał urządzenie. - Wy macie już osiemdziesiąt. Jeszcze jedno trafienie w bok i leżycie.

Dla zwiększenia realizmu symulacji elektronika czołgów pozorowała przeładowanie armaty, umożliwiając oddanie następnego strzału nie wcześniej niż piętnaście sekund po poprzednim. Oznaczało to, że panzer Laury będzie gotowy do strzelania wcześniej niż T-34, dlatego Dante skręcił ostro przed czołgiem przeciwniczki i pognął pełnym gazem przez wysoką trawę, by poszukać schronienia za wąskim pniem młodej śliwy.

- Tylko nie podjeżdżajcie do stawu - powiedział Joe z niepokojem w głosie, kiedy rozpedzony panzer Laury podskoczył na wyboju, na moment odrywając się od ziemi. - Tata połamie mi nogi, jak coś im się stanie.

Czworo nastolatków puściło się pędem za czołgami. W biegu Anna trzepnęła Dantego po ramieniu.

- Moja kolej - zażądała.

- O nie! - odparł Dante. - Jesteś w tym cienka jak barszcz, a to nasza ostatnia szansa.

Na nadajniku Laury zapłonęła zielona dioda, sygnalizując gotowość do strzału. Laura zatrzymała czołg i wymierzyła armatę w skrawek czołgu Dantego wystający zza pnia drzewa.

- W życiu go tak nie trafisz - ostrzegł Joe, ale Laura strzeliła i chybiła. - Idiotka!

Anna posłała Dantemu wyczekujące spojrzenie.



- Dobra, "tylko nie schrzań tego, okej?" - powiedział Dante, podając jej nadajnik. - Lampka właśnie się zapaliła.

Po chybieniu Laura była wystawiona na atak, ale zamiast się wycofać, ruszyła do szarży na śliwę. Było to skalkulowane ryzyko obliczone na utrudnienie Annie wycelowania i skrócenie dystansu przed kolejnym strzałem.

- Uuups! - zawołała Arina, kiedy jej czołg ruszył gwałtownie do tyłu.

- Nie ten, ten jest od wieży! - gorączkował się Dante.

- Wyluzuj, dobrze?! - odkrzyknęła Anna.

Tymczasem czołg Laury zmniejszył odległość do czterech metrów.

- Strzelaj! Już! - wrzasnął Dante.

Anna obróciła wieżę w stronę nacierającego panzera i wcisnęła przycisk strzału.

- Za wcześnie! - zawył Dante z rozpaczą. - Wieża się jeszcze kręciła.

Elektroniczne głosy nadajników były innego zdania.

- Trafienie boczne. Czołg A, poziom uszkodzeń: trzydzieści pięć procent.

- Co?! - wrzasnął Joe, wytrzeszczając oczy. - Przecież jechaliśmy na czołówkę! Jak mogła trafić w bok?!

- Musiało się otrzeć pod kątem - zachichotał Dante i klepnął Annę w plecy. - To było ładne, Anka.

Zanim czołg Laury zasygnalizował gotowość do strzału, Anna beztrudnie ruszyła pełnym gazem naprzód. Laura szybko włączyła wsteczny, ale zamiast jazgotu elektrycznego silnika usłyszała niezdrowo brzmiący pisk.

Czołgi zderzyły się czołowo. Lewa gąsienica T-34 Anny wspięła się na kadłub panzera, uderzyła twardo w wieżę, po czym pojazd zsunął się na bok i przewrócił na grzbiet. Tymczasem Laura gorączkowo szarpała dźwignkami nadajnika.

- Nie działa - powiedziała, demonstrując to Joemu.

- Akumulator zdechł - wyjaśnił Joe.

- Masz zapasowy? - zapytała Laura, ale Joe potrząsnął głową.

- Zwycięstwo! - zakrzyknął Dante, śmiejąc się do Anny.

Laura cmoknęła z irytacją.

-Jakie zwycięstwo, skoro wasz czołg leży do góry nogami?

- I macie osiemdziesiąt pięć procent uszkodzeń - dodał Joe. - Dostaliście od nas w zadki. Koncertowo.

Joe przymrużył oko.

- To była walka na wyniszczenie - powiedział z uśmiechem. - Wciąż mamy energię i amunicję.

- Wasz akumulator wytrzymał dłużej tylko dlatego, że nie umieliście obsługiwać nadajnika - powiedział Joe.

- Wiesz, to czołgi twojego taty - odparła Anna. - Jeździłeś nimi już wcześniej.

Laura odkleiła od pleców przepoconą bluzkę i podniosła z trawy swoje trampki.

- Idę do środka - oznajmiła. - Muszę się czegoś napić, bo padnę.

Joe podniósł martwego panzera, a Dante postawił T-34 z powrotem na gąsienicach i poprowadził go zdalnie przez otwarte drzwi oranżerii. Laura poszła za czołgiem i natknęła się na brata Joego Martina wyciągniętego w skórzanym fotelu i czytającego „Timesa”.

- Co znaczą te zapasy piętzące się w korytarzu? - zapytał Martin, kiedy do oranżerii wkroczył Joe. - Czyżbyśmy planowali małe soiree?

- Na szczęście będziesz w naleśnikami - uśmiechnął się Joe. - Dlatego ty i twoje cioty nie jesteście zaproszeni.

Laura zdołała nawet polubić Joego, ale nienawidziła, kiedy dawał wyraz homofobicznym poglądom przejmowanym od ojca. Trzepnęła go w ucho.

- Nie bądź takim dupkiem.

- Ale nic nie szkodzi, Laura - powiedział Martin lekkim tonem. - Bigoteria jest oznaką małego umysłu, a trudno o mniejszy umysł niż Joego.

Dante uśmiechnął się z przekąsem.

-Jeśli myślisz, że jego umysł jest mały, to żałuj, że nie widziałeś jego wacka pod prysznicami po wuefie.

- Od razu widać, na co się gapisz - odciął się Joe.

Martin wstał i spojrzał na Joego z poważną miną.

- Jak zrobicie demolkę w domu, ojciec cię zabije.

- Nie, nie zabije. - Joe poruszył brwiami i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jestem jego złotym chłopcem. Jak się dowie, że urządziłem dziką imprezę, najwyżej poklepie mnie po plecach i powie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Martin westchnął.

- To przygnębiające, ale co do ojca, prawdopodobnie masz rację. Ale jak narobicie syfu, mama na pewno wykopie cię w następny tydzień.

- Z mamą sobie poradzę - skrzywił się lekceważąco Joe. - Więcej szczeka, niż gryzie. A poza tym przyjdą sami ludzie, których znam ze szkoły. Jak ktoś narzyga czy coś, to powiem Laurze, żeby wzięła rękawiczki i posprzątała.

Dante parsknął śmiechem.

- Jasne, dziewczyny uwielbiają sprzątać. To genetyczne.

Laura pokazała Joemu środkowy palec.

-Jeszcze trochę seksizmu i homofobii, a pewien mały głupi chłopczyk zostanie wykopany w przyszły tydzień, zanim jego mama wróci do domu.

James leżał na wąskiej pryczy z tyłu niewielkiego kempingowego volkswagena. Skóra lśniła mu od potu, z trudem łąpał oddech, a jego ubrania były rozrzucone na maleńkich szafkach kuchennych zajmujących przeciwległą ścianę kabiny. Do piersi tuliła mu się naga Hiszpanka. James szczyrzył zęby od ucha do ucha.

- Oż kurde, to było po prostu niesamowite! - sapnął z zachwytem.

Dziewczyna wystawiła język i zlizwała perłkę potu z piersi kochanka.

- Nie co dzień jest się ratowaną z opresji przez dużego napalonego chłopca. A tu co ci się stało? - zapytała, wodząc palcem pod jego sutkiem. - Jakaś szalona laska próbowała ci go odgryźć?

- Gdzie tam - uśmiechnął się James. - Wąż mnie ukąsił. Jakiś rok temu.

- Prowadzisz ciekawe życie - zamruczała dziewczyna.

- Na to wygląda - przytaknął, muskając końcem nosa jej szyję. - Słuchaj, trochę mi wstyd to mówić, ale nie bardzo pamiętam, jak masz na imię.

- To dlatego, że ci nie powiedziałam - powiedziała dziewczyna, odpychając jego głowę i siadając z pupą balansującą niepewnie na krawędzi pryczy. - Nie pamiętasz, gdzie rzuciłam skarpetki?

James roześmiał się.

- To jak, nie zamierzasz mi powiedzieć?

- Nie zamierzam - odpowiedziała dziewczyna, podnosząc zegarek z suszarki do naczyń i wsuwając go na nadgarstek. - A teraz muszę już iść do pracy.

Jamesowi zrzędzła mina.

- Na jak długo idziesz? Spotkamy się potem?

Hiszpanka zapięła czarny stanik i pochyliła się, by pocałować Jamesa w policzek.

- Słuchaj, fajnie było - uśmiechnęła się. - Ale to było to, co było, i nic więcej.

James nie był pewien, co to dokładnie było, ale nie chciał wyjść na naiwniaka, więc zmienił temat.

-To gdzie pracujesz?

- Mój ojciec i wujek mają furgonetkę. Robimy paellę.

- Aaa... - James pokiwał głową ze zrozumieniem. - Czyli podróżujecie.

- Latem - skinęła głową dziewczyna. - Wszystkie duże imprezy: V2, Reading, Glastonbury, Donnington, karnawał w Notting Hill i na kontynencie też. Zimą wracamy do mojej mamy i braci w Hiszpanii.

- Życie w trasie - powiedział James z nutką zawiści w głosie. - Brzmi ekstra.

- Podaj mi dzinsy - powiedziała dziewczyna, spoglądając na zegarek. - I lepiej zacznij się ubierać.

James niechętnie usiadł i sięgnął do szoferki, gdzie porzucił zdarte z dziewczyny spodnie.

Przyciągając je do siebie, zauważył ciemnoczerwony trójkąt wystający z tylnej kieszeni.

- Aha! - krzyknął triumfalnie, wyrywając paszport z jego kryjówki i otwierając go na stronie ze zdjęciem.

- Reina Cardinas - odczytał, imitując ciężki hiszpański akcent. - Nawet nazwisko masz seksowne.

Reina rzuciła się na niego ze złością.

- Wścibski wieprz - warknęła. - Oddawaj to!

- Ale byłaś słodka. - James uśmiechnął się do fotografii, na której Reina miała jakieś dwanaście lat. - Fajne kucyki.

Reina rzuciła mu złe spojrzenie i gwałtownym ruchem porwała swoje dzinsy i paszport.

- Palant - mruknęła, dużym palcem stopy podnosząc koszulkę Jamesa z podłogi i wrzucając ją mu. na kolana.

- To moje prywatne rzeczy, a ty musisz już iść. Niedługo przyjdzie mój tata.

-Jak to jest, że musisz jeździć z rodziną? - zapytał James, wsuwając ręce w rękawy koszulki Ramones i naciągając ją przez głowę na tors. - Nie powinnaś chodzić do szkoły?

Miał nadzieję, że dziewczyna otworzy się przed nim, ale jej ton pozostał suchy.

- Po tym jak wyrzucili mnie z trzeciej szkoły, tata powiedział, że bierze mnie ze sobą w trasę, żeby mieć na mnie oko.

- No to świetnie mu idzie - wyszczerzył zęby James, zakładając buty, ale Reina nie odwzajemniła uśmiechu i zanim zdążył cokolwiek dodać, znalazł się między rzędami ciasno zaparkowanych furgonetek, zmierzając w stronę Wzgórza Wyjętych spod Prawa.

### 33. SZLAK

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy Chloe zaparkowała range rovera w bocznej uliczce, kilkaset metrów od nabrzeża w Kingswear. Przeszła kawałek w dół stromo nachylnym chodnikiem i zapukała do tylnych drzwi furgonetki oznaczonej nazwą przedsiębiorstwa usług komunalnych.

Kiedy drzwi się otworzyły, wskoczyła do środka, dołączając do McEwena i Neila Gauche'a otoczonych rzędami monitorów i regałów z elektroniką.

- Wasza wysokość - powiedział McEwen sarkastycznie. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Chloe uśmiechnęła się.

- James jest w Cambridgeshire, Laura i Dante imprezują u Fiihrera, a że akurat nic nie było w telewizji, pomyślałam, że przyjadę i zobacze, czy nie potrzebujecie pomocy.

- Super - powiedział Neil.

- To jaki jest stan gry? - zapytała Chloe.

Odpowiedział McEwen.

-Johnny Riggs przyjechał i wszedł na „Brixton Riots” mniej więcej godzinę po tym, jak zamontowałem tam kamery i mikrofony. Przepłynął tankowiec, a potem Riggs sprzątał trochę na pokładzie. Paul Woodhead plus Julian i Nigel przyjechali tuż po szóstej. Słyszeliśmy, jak Nigel pyta, ile to może potrwać. Riggs powiedział, że ma nadzieję wrócić do portu przed dziewiątą i że cała akcja potrwa najwyżej do jedenastej.

- Jak tam nasz sprzęt?

- Sama zobacz - powiedział McEwen, wskazując na monitor pokazujący czysty obraz tylnego pokładu łodzi.

- Ustawiliśmy też parę kamer w porcie, a Neil zainstalował rejestratory i lokalizatory w samochodzie Riggsa i furgonetce, którą przyjechał Woodhead.

- Furgonetka - uśmiechnęła się Chloe. - Czyli przeładują towar do niej.

- Tak przypuszczam - przytaknął McEwen. - Straż przybrzeżna ma śledzić łódź na radarze, na wypadek gdyby spróbowali podrzucić ładunek gdzieś indziej. Ale najbardziej martwi mnie to, że nasz sprzęt nie jest przystosowany do pracy na morzu.

Chloe pokiwała głową.

- No tak, ale kości pamięci kamer przechowają obraz z pokładu, nawet jeśli padnie sygnał.

- Niby tak - zgodził się McEwen. - Ale co z pogodą? Woda, słońce, rozbryzgi i tak dalej?

- Przynajmniej morze jest spokojne - westchnął Neil, przyciągając puste krzesło na kółkach bliżej monitorów.

- Pewnie posiedzimy tu parę godzin, Chloe. Lepiej sobie usiądź.

Za kwadrans ósma w domu Fiihrera bawiło się już około dwadzieścioro dzieci, przeważnie trzynastolatków, choć było też kilkoro starszych lub młodszych o mniej więcej rok. Goście minęli już wiek, w którym bawiły ich piża-mowe party i przyjęcia urodzinowe, ale nie byli jeszcze całkowicie oswojeni z koncepcją imprezowania bez rodziców, z nieograniczonym dostępem do alkoholu i okazją do nawiązania bliższego kontaktu z przedstawicielami i przedstawicielkami płci przeciwnej.

Efekt był dziwny: chłopcy pili piwo wokół stołu bilardowego i przy tarczy do strzałek w pokoju wypoczynkowym na tyłach, podczas gdy nieco mniej liczna grupa dziewcząt skolonizowała kuchnię, by przyrządzać koktajle według przepisów z książki mamy Joego albo wyciągnąwszy się na leżakach w przyległej oranżerii, plotkować o życiu, a zwłaszcza o kłamstwach, jakich użyły, by wymknąć się na nienadzorowaną bibkę.

Po dwóch piwach Dante był lekko pijany i wychodząc z toalety na pierwszym piętrze, zderzył się z Anną.

- Ale nudna impreza - poskarżyła się, wspinając na palce, by pocałować Dantego w usta. - Przyszły same bez-mózgi.

Jej oddech zalatywał alkoholem, ale Dante nie skarżył się, kiedy pchnęła go na ścianę i wsunawszy dłoń pod gumkę szortów, przysunęła się do kolejnego, tym razem bardziej namiętłego pocałunku.

- Uuuu, Anka! - zachichotały figlarnie dwie przechodzące dziewczyny, po czym obie zniknęły w łazience.

- Lesby - zadrwił Dante.

Anna ujęła go za rękę i pociągnęła.

- Chodź, poszukamy jakiegoś ustronnego miejsca - powiedziała.

- Robisz się odważniejsza, kiedy sobie wypijesz - uśmiechnął się Dante, idąc za nią korytarzem po niemodnej turkusowej wykładzinie.

Pierwszy pokój, jaki otworzyli, należał do Martina. Obszerne pomieszczenie było podobne do sypialni Joego, ale zapełnione mniejszą ilością gadżetów, a na ścianie wisiała ogromna mapa świata z pinezkami wbitymi w miejscach, które Martin zamierzał odwiedzić podczas przyszłych wojaży.

Pokój Joego ominęli, a potem parsknęli śmiechem, kiedy otworzywszy sypialnię jego rodziców, ujrzeli gigantyczną bieliznę Marleny i namiotowate slipy Führera walające się po podłodze.

- Starzy ludzie mają takie okropne cielska - skrzywiła się Anna. - Chcę umrzeć młoda i piękna.

Z parteru, gdzie chłopcy grali w bilard, dobiegła ich stłumiona salwa wiwatów. Kiedy ucichła, dwie spotkane wcześniej dziewczyny wyszły z łazienki, a Dante i Anna, obawiając się zauważenia, skoczyli za podwójne drzwi na samym końcu korytarza.

- Łał - jęknęła Anna, patrząc wzdłuż wąskiego pomieszczenia w stronę wykuszowego okna obramowanego ciężkimi aksamitnymi zasłonami.

Tuż za domem teren opadał stromym zboczem i z okna roztaczał się widok na pomarańczowe niebo nad bezkresną przestrzenią pól. Pokój był gabinetem Führera i przypominał Dantemu kwatery niemieckich oficerów z setek telewizyjnych seriali o drugiej wojnie światowej. Nad kominkiem wisiał obraz przedstawiający Hitlera, a stojący obok sklepowy manekin był odziany w kompletny mundur oficera gestapo.

- Tata Joego ma mocno nie po kolei - orzekła Anna, tocząc wzrokiem po przedziwnym wnętrzu. - Patrz, ma też broń.

Dante spojrział na parę strzelb. Führer miał pozwolenie na posiadanie broni i gablota wyposażona była w przepisową szybę ze wzmocnionego szkła oraz solidny zamek. Poniżej wisiały odkryte półki zastawione kolekcją kuszy, od kosztownego, wykonanego ręcznie egzemplarza z lunetą po kilka sztuk tanich, ale całkiem potężnych kuszopistoletów.

- Niezbędna w domu każdego świra - zaśmiał się Dante, zdejmując z półki groźnie wyglądającą kuszę, by wycelować ją w koleżankę.

- Nie rób tak - zaprotestowała Anna, osłaniając twarz ręką.

- Przecież nie ma strzały - prychnął drwiąco Dante, nim odłożył broń na miejsce. - Głupia jesteś czy co?

Anna oparła dłoń na biodrze i nadąsała się.

- Nie jestem głupia, wiesz?

Język jej ciała mówił „pocałuj mnie” i Dante nie śmiał się sprzeciwić. Wkrótce wylądowali w przepastnym skórzanym fotelu, ona na jego kolanach, złączeni ustami, ruchliwymi dłońmi badając nawzajem swoje ciała. Trwało to do chwili, gdy Dante zauważył fotografię na ścianie nad szafką na dokumenty.

W domu Führera wisiało wiele fotografii, w tym kilka zdjęć Scotty'ego, ojca Dantego, ale ta była inna. Była na niej cała jego rodzina. Kiedy Führer spalił mu dom, pożar strawił wszystko z wyjątkiem kilku zdjęć niemowlęcia i teraz Dante rozpoznawał twarze, których nie widział od prawie pięciu lat.

Przypomniał sobie dzień, w którym ją wykonano: na zewnątrz starego klubu, podczas letniego grilla u Bandytów. Scotty przeżył się dumnie u boku człowieka, który zabije go rok później, w otoczeniu innych członków klubu. Zony tłoczyły się przy krawędziach oprawionego w ramkę zdjęcia, zaś dzieci kucaly bądź stały przed swoimi ojcami.

Holly miała wówczas kilka miesięcy, łysą główkę wtulała w ramiona mamy. Dante stał obok Joego, swojego najlepszego przyjaciela. Jego starszy brat Jordan wydymał policzki z zamiarem zepsucia zdjęcia, a siostra Lizzie klęczała na jednym kolanie z miną, jaką zawsze miała, kiedy była gdzieś, gdzie bardzo nie chciała być.

Dante widział tę minę tysiąc razy, ale przypomniał sobie ją dopiero teraz. Czuł się, jakby zdradził własną rodzinę, zapominając tak wiele szczegółów dotyczących jego najbliższych.

- Wszystko w porządku, John? - zaniepokoiła się Anna. - Zrobiłam coś nie tak?

Dante przypomniał sobie nagle, że to on jest Johnem, i szybko stał z przodu z policzka.

- To przez to piwo - powiedział słabym głosem. - Uciskasz mi pęcherz czy coś. Muszę znowu do łazienki.

Anna ześliznęła się na podłogę i Dante przebiegł korytarzem do sypialni Fihrera, gdzie zamknął się w łazience, by powstrzymać łzy.

James kręcił się po obozowisku Bandytów już od godziny, pochłaniając kolejne ciepłe piwa i pomagając wyładowywać z autokaru opały i pakiety gazet na ogromne ognisko, które miało zostać rozpalone na środku obozu. Nie było ono niezbędne dla ciepła, ale kluby podtrzymywały tradycję przyjaznej rywalizacji, która po zmroku przemieniała Wzgórze Wyjętych spod Prawa w las gigantycznych słupów ognia.

Nieco mniej przyjazne rywalizacje nasycaly atmosferę poczuciem zagrożenia i dźwigając drewno, James podsłuchiwał plotki i próbował złożyć z nich obraz sytuacji. Najłatwiejszy do zrozumienia był fakt, że gang Mściwych Bękartów pragnie zemsty po tym, jak niespodziewany atak w Stoke Gifford zakończył się ich klęską. Niektórzy twierdzili, że planują drugi atak.

Bękarci nie byli dość liczni, by móc poważnie zagrozić swoim arcywrogom, ale mieli sprzymierzeńców i po Wzgórzach krążyły pogłoski, że kilka klubów szykuje się do nocnego najazdu na obóz Bandytów.

Mówiono ponadto, że Bandyta z Londynu, pchnięty nożem w seksnamiocie, jest ciężko ranny, a zaatakował go członek gangu o nazwie Synowie Szatana. Chapter londyński i niektórzy Bandyty z północy kraju uważali Synów Szatana za wrogów, ale sytuację komplikował fakt, że chaptery South Devon i Cardiff robiły z nimi interesy i zależało im na szybkim wyciszeniu sprawy.

Wzgórze Wyjętych spod Prawa było siecią zmiennych sojuszy i jedyną konkluzją, do jakiej James doszedł, zanim rozpalono wielkie ognisko, była myśl, że czeka go długa i burzliwa noc.

Podczas gdy pierwsze płomienie lizały leniwie stertę polan, James z głową ciężką od piwa powędrował przez półmrok w stronę swojego namiotu. Spotkał przy nim Willa, Dziańskiego i Szampona Juniora, widząc ich po raz pierwszy, odkąd rozstali się w seksnamiocie ponad cztery godziny wcześniej.

- A ty gdzieś się podziewał? - zapytał Szampon, kiedy James położył się na plecach przed namiotem i zabrał do ściągania butów.

- Nigdzie. - James wzruszył ramionami i powąchał sobie stopę.

Dłonie miał czarne od papieru gazetowego, a warstwa dezodorantu na ciele skapitulowała pod motocyklowymi skórąmi gdzieś w okolicach Bristolu.

- Śmierdę jak cap.

- To jeszcze nic - uśmiechnął się Dziański. - Żałuj, że nie było cię tutaj w zeszłym roku, kiedy cały czas lało. Wzgórze było jedną wielką kupą błota, zafajdane od dołu po szczyt. I musieliśmy przez to pchać motocykle.

- Wciąż próbuję rozgryźć, jakąż to przygodę przeżył nasz młody przyjaciel - powiedział Will. - Bo widzisz, widzieliśmy, jak wychodzisz z namiotu z laską w twoich ciuchach.

James wzruszył ramionami.

- Tak, no i co? Musiałem pójść z nią do jej samochodu, żeby mogła wziąć bluzkę i oddać mi koszulkę Ramones.

- I to wszystko? - zapytał Will podejrzliwie. - To czemu nie było cię tak długo?

- Musiałem kupić to - wyjaśnił James, rozpinając klapę namiotu i pokazując parę nowiutkich motocyklowych rękawic. - Stare były całe pochlastane po tym, jak sieknąłem tamtego gościa łańcuchem, i Fihrer kazał mi je spalić.

- Czyżby? - uśmiechnął się Szampon Junior. - To skąd ta szminka na twojej twarzy?

- Zostało coś? Gdzie? - zapytał James, trąc policzek najczystsza częścią dłoni.

- Tak naprawdę to nigdzie - roześmiał się Szampon.

- Ale chyba się właśnie zdradziłeś, nie sądzisz?

- Poszliśmy za tobą - wyjaśnił Will. - I czekaliśmy na ciebie ładnych parę minut, dlatego wiemy, że było coś więcej niż tylko wymiana koszulek.

- I nie rozumiem, czego się tak wstydzisz - zaśmiał się Dziany. - Gdybym ja wszedł do seksnamiotu i skończył, zaliczając panienkę, krzyczałbym o tym z dachu.

- Dobra, przeleciałem ją - przyznał niechętnie James i osuszył swoją butelkę. - Nic nie poradzę, że jestem zajebisty. To żaden wyczyn, na mój widok dziewczynom majtki same spadają.

- Zarozumiały drań! - roześmiał się Will i nadstawił dłoń do piątki. - Oby tak dalej, bracie! Ale nim James zdążył unieść dłoń, powietrzem wstrząsnął potężny huk dobiegający gdzieś spod granicy obozu Bandytów. Wszyscy rozejrzeli się wokół, sądząc, że to wczesny pokaz fajerwerków. Will wstał.

- O w mordę - powiedział, patrząc ponad namiotami na dwa płonące harleje, które najwyraźniej polano benzyną. - Panowie, chyba właśnie wybuchła trzecia wojna światowa. Inni Bandyty pospiesznie odtaczali swoje motocykle od ognia, podczas gdy dwaj bikerzy z Londynu, których motocykle podpalono, gnali do wozu technicznego po gaśnice.

- To ci dwaj, których kumpla dźgnęli w seksnamiocie

- powiedział Dziany. - To musieli być Synowie Szatana.

- Chyba ich pogięło - powiedział z podziwem Will, podczas gdy szybszy z dwóch tłustych Bandytów dopadł swojego harleja i zaczął spryskiwać go białym proszkiem. - Mają z dziesięć razy mniej ludzi niż Bandyty.

- Spiknęli się z Bękartami - orzekł Dziany. - Musieli tak zrobić.

James uśmiechnął się.

- Chyba że zrobił to ktoś, kto chce, żebyśmy ruszyli na wojnę z Synami Szatana.

- To możliwe - przyznał Will. - A bo mało tu grubszych cwaniaczków?

Zar zwiększył ciśnienie w oponach płonących motocykli. Podczas gdy właściciele toczyli rozpaczliwą walkę z ogniem, jedna z gum wybuchła, a wtedy dwaj opaśli wąsacze odskoczyli w przestachu w tył i potknąwszy się jeden o drugiego, jednocześnie rymnęli na ziemię. Wyszedł z tego ślapstickowy skecz, ale nikt się nie roześmiał.

- Motorki na złom - westchnął Will ze smutkiem. - Nawet jeśli zgaszą ogień, zanim walnie benzyna i rozpirzy je na strzepy, wszystko będzie pokrzywione od gorąca.

Kiedy na miejscu akcji pojawiły się kolejne gaśnice i płomienie przygasły zduszone chmurą proszku, prezesi siedmiu chapterów Bandytów zebrali się na pilnej naradzie przy ogniu. Ich głosy były pełne gniewu i James słyszał każde słowo z odległości trzydziestu metrów.

Najbardziej szalał Dusikotek, który domagał się natychmiastowego uzbrojenia ludzi i ruszenia do ataku na Synów Szatana. Fihrer namawiał go, by podszedł do sprawy na chłodno i powstrzymał się od działania, dopóki nie ma pewności, kto stoi za atakiem.

-A gównu tam na chłodno! - wykrzyczał Dusikotek Führerowi prosto w twarz. - Mam jednego brata z wy-prutymi flakami, motory dwóch innych spalone na trawie, a ty mi mówisz, żebym się wstrzymał? A ja mówię: zetrzyjmy Bękartów i diablích synków z powierzchni ziemi! Teraz! Führer próbował go uspokoić, ale Dusikotek był głuchy na wszelkie argumenty. Patrząc na twarze tuzinów rozwścieczonych Bandytów wokół siebie, Führer uświadomił sobie, że już nikt nie chce go słuchać. Prezesi zarządzili głosowanie, które przegrał pięć do dwóch.

- Gany, kosy, pałki! - krzyknął Dusikotek do wiwatującego tłumu. - Zbierać graty i ruszamy. Bandyci idą na wojnę!

### 34. BOJE

Widok morza i światła księżyca podzielał na Nigela i Juliana dziwnie uspokajająco, kiedy wywołani z kajuty wyszli na tylny pokład. Nad burtami sterczały wędki, stwarzając wrażenie, że łódź została wynajęta na nocną wyprawę na ryby.

-Co się dzieje? - zapytał Julian, nie wiedząc, że jego wysoka postać i kręcone włosy zasłaniają obiektyw kamery o rozmiarach guzika przyczepionej do framugi za jego głową.

Riggs siedział w sterówce, podczas gdy Paul Woodhead stał na pokładzie i omiatał morze snopem światła potężnego reflektora.

- Sonar wykrył paczki na dnie - wyjaśnił Woodhead. - Wysłaliśmy już sygnał zwolnienia boi lokalizacyjnych. Możecie otwierać luk i szykować rampę.

Luk zamykała metalowa pokrywa na zawiasach. Trzeba ją było unosić oburącz, a kiedy kłapa opadła z łomotem na pokład, w nozdrza siedemnastolatków uderzył smród gnijących ryb.

- Są! - krzyknął Woodhead w stronę sterówki, kiedy pierwsza z trzech różowych fluorescencyjnych boi wypłynęła na powierzchnię trzydzieści metrów od łodzi.

Riggs zwiększył obroty silnika i skręcił ster do oporu. Woodhead odwrócił się do Juliana i Nigela.

- Na co jeszcze czekacie? Niech jeden złazi na dół i szykuje rampę.

Nigel nie kwapił się do schodzenia w smrodliwą czeluść, ale Julian wyświadczył mu wielką przysługę, zgadzając się na udział w akcji, więc wydawało się fair, by to Nigel wziął na siebie brudną część zadania. Metalowe dno luku zagrzmiało mu pod stopami, kiedy zeskoczył na dół, by wylądować na śliskiej od szlamu powierzchni i w centymetrowej warstwie przelewającej się wody. Ciepłe rybnie powietrze na chwilę odebrało mu dech. Julian podał mu z góry okratowaną lampę, którą powiesił na haku pod stropem.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Nigel nie odpowiedział, bojąc się, że zwymiotuje, jeśli odważy się otworzyć usta. Przykucnął i zanurzwszy ręce w brudzie, podniósł szeroką drewnianą deskę z hakami, którą zaczepiało się na kołnierzu wjazdu, by utworzyć pochylnię.

Kuter zastopował i teraz różowa boja podskakiwała na falach pięć metrów od lewej burty.

Woodhead rzucił kotwiczkę i przechwycił nią linę przytwierdzoną do podstawy boi. Następnie przyciągnął boję do burty, przeciągnął linę przez bloczek i owinął koniec na bębnie elektrycznej wyciągarki.

Rufa łodzi zanurzyła się głębiej, kiedy wyciągarka uniosła pakunek z morskiego dna pięćdziesiąt metrów poniżej. Z wody wyłonił się piaszkowy prostopadłościan wielkości lodówki owinięty gumową błoną i uszczelniony żywicą epoksydową.

- Hej, chodź no tu który! - zawołał Woodhead, wychylając się niebezpiecznie za burte, by złapać linę pod pakunkiem i wciągnąć go na pokład. Julian spróbował pomóc i omal nie zmiądzżyło mu ręki, kiedy łódź zakotłosała się i pakunek grzmotnął o kadłub.



Przy drugiej próbie Woodhead przechwycił linę pod pakunkiem kotwiczka, Julian złapał za górę i ciągnąc razem z całych sił, zdołali jakoś wtaszczyć ciężar na pokład.

- Jezu - sapnął Woodhead, rzućąc z wysiłku i ocierając pot z czoła. - Dobrze się spisaleś. A teraz tniemy.

Podczas gdy Riggs podprowadzał łódź do drugiej boi, Woodhead i Julian gorączkowo pracowali nad pakunkiem. Rozcięli gumową błonę, odwinęli na boki i zaczęli oglądać tekturowe pudła w środku.

- Wszystko suche - uśmiechnął się z ulgą Woodhead. - Całkiem sporo tu tych zabawek. Napisy na pudłach składały się głównie z chińskich „krzaczków”, ale nie trzeba było geniuszu, by zorientować się, co zawierają. Niektóre zrobiono ze zwykłej szarej tektury, ale inne były opakowaniami detalicznymi ozdobionymi kolorowymi rysunkami i napisami reklamującymi zalety zapakowanej w nie broni lub amunicji.

Wyławianie pakunków i przenoszenie towaru do ładowni było najbardziej ryzykowną częścią operacji, zwłaszcza w pogodną letnią niedzielę, kiedy na morzu roіło się od jachtów i motorówek, zaś jasny księżyc oświecał pokład, uniemożliwiając zatajenie podejrzanej aktywności przed śmigłowcami straży przybrzeżnej. Julian i Woodhead pracowali w pośpiechu, przenosząc ciężkie pudła na środek pokładu i spuszczać je po pochylni Nigelowi, który układał kontrabandę w cuchnącej ładowni.

Kto podróżował z Bandytami, od tego oczekiwano, że będzie walczył u ich boku. James nie miał innego wyboru, jak tylko przyłączyć się do tłumu, który wyszczał się spomiędzy namiotów, łapiąc blaszane śledzie, młotki, łańcuchy motocyklowe i wszelkie inne przedmioty, jakie mogły posłużyć za broń.

Choć Fiihrer głosił przeciwko walce, reputacja znakomitego przywódcy postawiła go na czele ataku. Dwa chaptery Bandytów, w tym londyński, miały ruszyć na Synów Szatana, cztery inne na liczniejszych od nich Bękartów, zaś chapter z Cardiff miał zostać, by bronić obozu. Większość przyjaciół klubu i członków zaprzyjaźnionych gangów stanęła u boku tych chapterów Bandytów, z którymi przyjechali na zlot, ale Cardiff nie miał zbyt silnego wsparcia, dlatego Fiihrer nakazał pozostać na miejscu także dwóm chapterom Monster Bunch.

Jako przyjaciel klubu James mógł pójść z dowolną grupą atakujących, ale przedkładając bezpieczeństwo nad powiększanie swojej wojennej sławy, postanowił zostać w obozie z Willem i innymi Monsterami. Kiedy sześć chapterów Bandytów ruszyło hałaśliwą szarżą w dół zbocza, James dołączył do linii obronnej przy granicy obozowiska. Stanął dwa metry od Willa, ze skrzyżowanymi ramionami, w nowych rękawicach motocyklowych i z łańcuchem owiniętym wokół lewej pięści.

Synowie Szatana byli silnym gangiem, ale ich czternaście chapterów bazowało w północnej Anglii lub Szkocji i tylko dwa z nich przyjechały na południe na Herbatkę Buntowników.

Przybywszy na teren ich obozu, Bandyty odkryli, że Synowie zdążyli się spakować i poszukać schronienia w innych rejonach Wzgórza Wyjętych spod Prawa. Było to coś w rodzaju zwycięstwa, ale najprawdopodobniej także początek waśni, która miała wybuchać utarczkami na zlotach i spotkaniach przez następne miesiące lub lata.

Bękarci byli trudniejszym przeciwnikiem. Wprawdzie Bandytów było więcej, ale należało się spodziewać, że każdy Bękart, jaki pokaże twarz po wcześniejszej klęsce, będzie twardy i dobrze uzbrojony.

Zbocza Wzgórza Wyjętych spod Prawa rozświetlał blask motocyklowych reflektorów i ogromnych ognisk. James wyłapywał wzrokiem fragmenty bitew w średniowiecznym stylu, z wrzaskami, jękami i szczękiem metalu.

- Powinniśmy być tam, na dole! - zawołał Will z przejęciem.

Ale Jamesowi nie podobało się to, co widział. W CHERUBIE nauczono go oceniać przeciwnika i atakować tylko wtedy, kiedy był pewien, że może wygrać. Dobrze pamiętał, jak jego koleżanka Gabriella omal nie umarła pchnięta nożem podczas ulicznego starcia, a jego szorty i koszulka nie stanowiły żadnej osłony.

- Idę na chwilę do namiotu - powiedział do Willa. - Wezmę parę śledzi.

Ale tak naprawdę zależało mu na ochronie. Wpełzł do namiotu i wyciągnawszy z plecaka dzinsy, w których przyjechał, oraz niebieską bluzę z kapturem, szybko włożył je na siebie. Dzinsy jako tako osłaniały nogi, zaś bluza była podszyta specjalnym materiałem utrudniającym przebicie jej nożem.

Kiedy wystawił głowę z namiotu, oślepiły go trzy snopy białego światła. Rzuciły je reflektory motocykli, które podkradły się do obozowiska Bandytów od tyłu, zza przenośnych toalet. James nie był pierwszym, który je zauważył, i podczas gdy gorączkowo wiązał buty, kilku Bandytów z Cardiff biegło już w ich stronę. Oślepiiony blaskiem nie mógł dostrzec, co robią intruzi, i zorientował się w ich zamiarach dopiero wtedy, kiedy nad rzędem nieharleyów należących do członków pomniejszych gangów wybuchła kula ognia.

Na widok płonących motocykli większość Monsterów opuściła stanowiska obronne i puściła się biegiem w stronę trzech jeźdźców, którzy tymczasem ryknęli silnikami, zawrócili i zjechali ze wzgórza. James dotarł do pożaru jako jeden z pierwszych.

Najpierw pomyślał o swojej ER5. Nie pamiętał dokładnie, gdzie zaparkował, i odetchnął z ulgą, wypatrywszy ją stojącą pięć metrów od płomieni. Pamiętał, jak trudno było ugasić dwa płonące harleye oraz że gaśnice z wozu technicznego zostały zużyte.

- Niech mi ktoś pomoże! - krzyknął, dopadając motocykla, który stał najbliżej płomieni, ale jeszcze się nie zapalił, i podnosząc tylne koło, by odsunąć pojazd od ognia.

Motocykl był ciężki, a żar palił Jamesa przez spodnie, ale już po chwili Bandyta z Cardiff złapał za przednie koło.

- Dobrze kombinujesz, chłopie - powiedział biker i zaczął wykrzykiwać rozkazy: - Hej, zabierajcie resztę sprzętu. Robimy przecinękę.

Przestawianie motocykli nie zajęło dużo czasu, ale nigdzie w pobliżu nie było wody, więc płonące pojazdy były skazane na zagładę. Jeden z właścicieli próbował siec ogień ułamaną z drzewa gałęzią, ale było to działanie tyleż rozpaczliwe co pozbawione sensu. Desperat był mniej więcej dwudziestoletnim członkiem Monster Bunch i przykro było patrzeć, jak rozpacza nad płonącym motocyklem. James pomyślał, że to prawdopodobnie najkosztowniejsza rzecz, jaką chłopak kiedykolwiek miał.

Ale nie było czasu na współczucie. Atak od tyłu był dywersją mającą odwrócić uwagę obrońców; tymczasem nowa fala bikerów wtargnęła do obozu od frontu. Ktoś krzyknął coś o wbijaniu noża w plecy, a James i Monsterzy ruszyli ostrożnie w stronę centrum obozowiska, gdzie kilku atakujących podbiegło do ogniska, by wetknąć w nie trzymane w dłoniach drągi.

Kije zapaliły się natychmiast, a niebieskie płomienie sugerowały, że końce nasączono benzyną. James uświadomił sobie, że obawy Fihrera co do opuszczania obozu były uzasadnione. Mściwi Bękarty i Synowie Szatana nie byli wystarczająco silni, by pokonać Bandytów, ale inny gang wykorzystał sytuację do wyprowadzenia starannie zaplanowanego ataku.

Bandyta z Cardiff podbiegł naprzód i oburącz pchnął jednego z napastników, posyłając go głową naprzód w ogień, ale było to drobne zwycięstwo w chaosie zagłady rozsiewanym przez bikerów z pochodniami szalejących po obozie Bandytów i podpalających namioty.

Kobiety zebrały dzieci i wybiegły z nimi na drogę za obozem. Broniący koczowiska Monsterzy i Bandyty walczyli dzielnie, ale ich siły szybko topniały pod naporem przeważającego liczebnie

wroga. Na pomoc setek Bandytów, którzy ruszyli wcześniej w dół wzgórza, nie mogli liczyć: było oczywiste, że zanim zorientują się, co zaszło, i przybiegną z odsieczą, będzie już za późno. James odwinął fragment łańcucha z dłoni i pobiegł w stronę swojego namiotu. Kilka metrów dalej inne namioty stały już w ogniu i kiedy przeskakiwał nad porzuconą butlą gazową z palnikiem, przyszło mu do głowy, że być może powinien wrócić prosto do motocykla. Z pewnością wielu bikerów przywiozło ze sobą kuchenki turystyczne i gdyby któraś z nich wybuchła od żaru, mogłoby się to dla niego źle skończyć.

Mimo to nie zmienił decyzji. W biegu zanurkował do namiotu, zgarnął kask i zawiesił sobie plecak na ramieniu, ale kiedy wycofywał się na zewnątrz, błękitny płomień pochodni przebił się przez nylon tuż przed jego głową.

Wdzięczny za wszystkie godziny treningów, do jakich zmuszano go w kampusie CHERUBA, James błyskawicznie podciągnął kolana pod brodę, wytoczył się z namiotu przewrotem w tył i zerwał na równe nogi.

Była to ostatnia rzecz, jakiej spodziewał się jego napastnik, i na widok oszołomionej, niebieskiej od ognia twarzy tyczkowatego bikera Jamés na chwilę poczuł się, jakby śnił dziwny sen o zombi. Niemal odruchowo machnął łańcuchem, rozrywając chudzielcowi policzek, po czym poprawił kopniakiem w nerki, powalając przeciwnika na namiot Szampona Juniora. Pochodnia wylądowała na brzegu nylonowego tropiku, który natychmiast zajął się ogniem.

Namiot Jamesa i tuzin sąsiednich płonęły żywym ogniem. Powietrze stawało się zbyt gorące, by można było nim oddychać, a chudy biker nie wykazywał ochoty do wstania. Pozostawiony swemu losowi udusiłby się albo co najmniej ciężko poparzył, więc James zawiesił sobie kask na rękę, a potem złapał nieprzytomnego za kostkę i powłókł między rzędami namiotów na otwarty spłachetek trawy.

Ignorując wrzaski pół tuzina bikerów tłukących się nieopodal, James przyklepał płomienie na dzinsach swojego niedawnego przeciwnika i przetoczył go po ziemi dla pewności, że znów nie zapłonie. Napis pod godłem na plecach jego kurtki głosił: „Bitch Slappers, Luton”. James spostrzegł, że część godła oderwała się wskutek wleczenia po ziemi, i przyszło mu do głowy, że kradnąc je, mógłby za-punktować u Bandytów. Wsunął palce pod naszywkę i oderwał ją zdecydowanym szarpnięciem, a w tej samej chwili huknął strzał. Dobiegł z odległego miejsca, gdzieś u stóp wzgórza, ale ostatecznie skruszył wszelkie wątpliwości Jamesa co do tego, czy powinien uciekać.

Pospiesznie wepchnął naszywkę do plecaka i uskoczył przed padającym Szamponem Juniorem, który za chwilę miał zostać stratowany przez trzech Slapperów. James pomyślał o włączeniu się do potyczki, ale w masowej bijatyce nawet najlepsze umiejętności nie chronią przed dźgnięciem w plecy albo nokautem od przypadkowego ciosu, a on i tak ryzykował już zbyt wiele.

Najcięższe walki nie dotarły jeszcze do tylnej części obozu. Dwaj najtwardsi Bandyty z Cardiff stali przy jednym z autokarów uzbrojeni w maczety. Pojazd czekał z włączonym silnikiem.

Wszystkie miejsca były zajęte przez kobiety i szlochające dzieci, ale do środka wciąż wsiadały następne, siadając innym na kolanach albo tłocząc się na stojąco w przejściu między siedzeniami. James podbiegł do swojego motocykla i spostrzegł, że ktoś musiał przejść się wzdłuż szeregu z młotkiem, tłukąc światła i przewracając maszyny na bok. Jego kawasaki zdawało się pod wpływem szczęśliwego uroku: jedynym uszkodzeniem, jakie dostrzegł w ciemności, był stłuczony klosz kierunkowskazu, najwyraźniej potracony przez leżącą obok hondę enduro. Dźwignąwszy hondę na jej podpórke, James dosiadł swojego kawasaki i założył kask. Plecak wciąż wisiał mu na jednym ramieniu i nie był nawet pewien, czy pozapinał wszystkie zamki, ale tym mógł zająć się później. Teraz musiał wydostać się ze strefy zagrożenia, najszybciej jak tylko się da.

James kopnął rozrusznik i usłyszał stłumiony chrobot. Serce podeszło mu do gardła na myśl, że motocykl został jednak uszkodzony, ale w rzeczywistości usłyszał Bitch Slappera, który cisnął kamienną płytą w boczne okno wypchanego ludźmi autokaru.

Ostatni pasażerowie wcisnęli się do środka i kierowca zaczął cofać z dwoma Bandytami z Cardiff wychylającymi się z otwartych drzwi. Wyprowadzając motocykl, James spostrzegł, że płyta odbiła się od wzmocnionego szkła, znacząc je tylko siatką pęknięć ale dzieci w środku wciąż krzyczały ze strachu, a kierowca nie mógł odjechać, dopóki nie wykonał trudnego manewru zawrócenia na obsadzonej drzewami alei.

Bitch Slapper podbiegł po płytę. Gdyby trafił w okno drugi raz, mógłby strzaskać szybę i ciężko poranić dzieci w autokarze. James wciąż miał łańcuch na lewej dłoni i teraz odwinął go, ruszając powoli z miejsca. Z jedną ręką na kierownicy odkręcił gaz i kawasaki szarpnęło do przodu, ostro nabierając prędkości. Na nierównym gruncie James musiał walczyć, by utrzymać motocykl pod kontrolą, ale zdołał jakoś skierować go w stronę autokaru, a kiedy przejeżdżał obok, zakręcił łańcuchem i ciał Bitch Slappera przez grzbiet, rozrywając mu skórzaną kurtkę i rozkrwa-wiając plecy.

Biker padł na twarz, a rozpędzony łańcuch zakręcił się Jamesowi w ręce i stuknął o kask, zostawiając na szybcie krechę pęknięcia. James wdusił oba hamulce, ale w tej samej chwili koła załomotały na korzeniach wielkiego drzewa. Przez ułamek sekundy był pewien, że wyrznie głową w pień. Rzucił motocyklem w bok i cudem ominął przeszkodę, zdrapując dzinsami korę. Tymczasem na drodze kierowca autobusu zakończył zawracanie i wyprostował przednie koła, by przeprowadzić pojazd obok kamiennej płyty i wijącego się na ziemi Bitch Slappera. James zatrzymał się, odetchnął głęboko i upchnął łańcuch w przedniej kieszeni bluzy, a potem zawrócił ciasnym łukiem i wyjechał na drogę.

Kilkaset metrów dalej, gdzie droga oddalała się od wzgórza, dogonił i wyprzedził autokar. Kilka kobiet przy oknach pozdrowiło go uniesionymi kciukami, a Bandyta z Cardiff w drzwiach pomachał mu maczetą, kiwając głową z uznaniem.

James przeciął drogę kołowania pomiędzy cieniami dwóch olbrzymich hangarów, które nie widziały samolotu od trzydziestu lat. Rozświetlone księżycowym blaskiem łąki po obu stronach były upstrzone całującymi się parami i rodzinami bawiącymi się na późnych piknikach. Ale choć na niektórych krańcach terenu zlotu było spokojnie, na głównym deptaku dawała się wyczuć atmosfera paniki. Środek asfaltowej alei zajmował sznur policyjnych furgonetek, a w stronę bramy płynęły potoki ewakuujących się motocyklistów i ich rodzin.

James sunął powoli poboczną alejką biegnącą równoległe do deptaku i przełknął ślinę na widok obskurnego stoiska z napisem „Hiszpańska Paella Cardinasów - sławna w całej Europie”, wymalowanym na tylnej ścianie. Wyobraził sobie Reinę stojącą w środku, ze związanymi w kucyk włosami, i poczuł ukłucie smutku.

Bramy, przez którą James wjechał na zlot wraz z Bandytami, pilnował biker w odblaskowej kamizelce ochrony.

- Chcesz stempel na wejście? - zapytał. - Co tam się dzieje na wzgórzu?

- Obłąd - odpowiedział James. - Wygląda na to, że policja szykuje się do wkroczenia do akcji, a ja nie mam zamiaru tam wracać.

Oświetlony reflektorami podjeżdżającego z tyłu autokaru James przejechał przez bramę i skręcił w prawo. Ruch był gęsty, ale korki tworzyły się głównie na parkingu dla publiczności, który szczęśliwie ominął. Większość pojazdów wypływała z terenu zlotu, ale co jakiś czas pojawiały się też auta jadące w przeciwnym kierunku, oślepiające go światłem reflektorów rozpraszającym się paskudnie na pęknięciu szybki kasku.

James stracił rachubę wypitych piw, a kiedy adrenalina wyparowała mu z żył, uświadomił sobie, że nie jest w stanie pozwalającym na pokonanie ponadtrzystukilometrowej trasy do Devonu. Musiał oszczędzać siły. Trzymał się blisko krawężnika, pozwalał wyprzedzać i nucił w kółko tę samą piosenkę Arctic Monkeys, żeby nie zasnąć.

Dotarłszy do podmiejskiego centrum handlowego, zajechał na parking przy McDonalddie i dokładnie rozejrzał wokół budynku dla pewności, że w pobliżu nie ma żadnych innych uciekinierów z Herbatki Buntowników. Nie było, ale James wiedział, że ich pojawienie się jest tylko kwestią czasu, a on nie chciał tkwić tu sam, kiedy pojawi się chapter rozjuszonych bikerów. Wyjął komórkę i zadzwonił pod awaryjny numer kampusu. Odebrał mężczyzna o birminghamskim akcencie.

- Wulkanizacja Jednorożec.

- Hej, Ranjit - powiedział James, czując przyływ otuchy na dźwięk znajomego głosu. - Mówi James, agent dwanaście zero trzy. Jestem jakieś dwadzieścia kilometrów od Cambridge na motocyklu. Chciałbym, żebyś zarezerwował mi pokój w hotelu gdzieś w pobliżu, a potem zorganizował jakąś furgonetkę, żeby jutro rano zabrała mnie stamtąd razem z motorem i zawiozła z powrotem do Devonu.

James czekał, podczas gdy dyżurny koordynator stukał w klawiaturę.

- Okej - powiedział wreszcie Ranjit. - Masz do wyboru trzygwiazdkowy albo pięciogwiazdkowy, oba w promieniu sześciu kilometrów od twojej obecnej pozycji. Który wolisz?

- Czekaj, niech pomyślę... - powiedział James. - Może pięciogwiazdkowy?

Ranjit roześmiał się.

- Po co w ogóle pytać, nie? Przesłałem namiary na hotel do twojego telefonu. Potrzebujesz czegoś jeszcze? Mam się skontaktować z Chloe?

- Tak, dryndnij do niej i powiedz, że się odezwę, jak tylko zamelduję się w hotelu i wezmę prysznic.

- Nie brzmi to najlepiej.

- Wykończony jestem - wyznał James. - To był naprawdę długi dzień.

### 35. KUZYNi

Dante starał się nie myśleć o przeszłości. Alkohol zaczął działać i impreza nareszcie się rozkręciła: za kwadrans dziesiąta nie można było przejść przez oranżerię, nie prze-stępując nad całującymi się parami, wystawione do ogrodu kolumny tętniły muzyką, a na trawie wokół nich płały boso dziewczęta. W pokoju wypoczynkowym panowała mroczniejsza atmosfera. Chłopcy zbyt pijani lub zbyt nieśmiali, by bawić się z dziewczynami, dobijali się kolejnymi drinkami i kłócili nad stołem bilardowym lub przy tarczy do strzałek.

Joe był podminowany. Laura starała się go uspokoić, ale coraz to nowe problemy szargały mu nerwy. Toaleta na górze była zatkana, ktoś zwymiotował na progu, właścicielka domku na sąsiedniej posesji zadzwoniła, żeby poskarżyć się na nieprzyzwoite tańce w ogrodzie, a w łóżku Martina Joe przyłapał dwie dziewczyny zwarte w miłosnym uścisku.

Ale najgorsze, że jedna z dziewczyn przyprowadziła starszego kuzyna, ten ściągnął grupę swoich kolegów i zanim Joe się obejrzał, po domu grasowała banda licealistów rozrabiających i wydzwanających po kolejnych znajomych.

- No i co ja mam zrobić? - zapytał Joe Laure, siedząc na najniższym stopniu schodów i patrząc tępo we własne, nerwowo podskakujące kolano. - Jak powiem, żeby spadali, to mnie wyśmieją. I wszyscy pomyślą, że jestem frajer.

Laura położyła mu dłoń na ramieniu.

- Mówiłam ci już: ja i John poprzemy cię, jeżeli postanowisz pójść tam i ich wyprosić. Z salonu z przodu domu gruchnęła salwa śmiechu, a przez przedpokój przemknęli dwaj młodzieńcy, których Joe wcześniej nie widział.

-A ci co za jedni, do ciężkiej cholery?! - zdenerwował się Joe. - Nie widziałem, żeby wchodzili.

- Nie sędzę, żeby zawracali sobie głowę wchodzeniem od frontu. - Laura wzruszyła ramionami. - Od razu pakują się do ogrodu i włączają przez oranżerię.

- Szit - jęknął Joe, ukrywając twarz w dłoniach. - Co ja narobiłem? A mogliśmy mieć dom tylko dla siebie. Wypilibyśmy trochę szampana, wykapali się w jacuzzi starych... Ale nie, ja musiałem urządzić tę durną imprezę!

- Następnym razem, co? - uśmiechnęła się Laura i pocałowała Joego w szyję. - Przynieść ci coś do picia?

- A co mi tam, dawaj - westchnął Joe. - Jakieś piwko czy coś. Równie dobrze mogę spróbować się trochę zabawić.

Laura potknęła się, wstając ze schodów, i uniknęła upadku tylko dzięki temu, że szybko złapała się barierki.

- Te szprycery są naprawdę niezłe - zachichotała i niespiesznie oddaliła się korytarzem w stronę kuchni.

Blat kuchenny pokrywały pozostałości po przyrządzeniu koktajli, drzwi lodówki były otwarte, a w bębnie pralki walały się puszki po piwie. Laura wzięła butelkę piwa Stella dla Joego. Nie zamierzała wypijać kolejnego szprycera, ale spostrzegłszy, że zostało już tylko kilka butelek, wetknęła głowę do lodówki, by wziąć jedną na zapas.

- Hej, piękna - wybełkotał brodaty młodzian, sięgając nad Laurą po piwo, a drugą ręką łapiąc ją za pośladek. - Jesteś... Fajniutka jesteś, wiesz?

Laura wyprostowała się gwałtownie, zaczepiając potylicą o półkę lodówki.

- Odwal się, pajacu! - krzyknęła, masując sobie głowę.

Chłopak wyrzucił biodra do przodu i znacząco poruszył wysuniętym językiem.

- Wiesz, że mnie pragniesz, maleeńka! - zawył.

Następnie zawył głośniejszym głosem, kiedy Laura dźgnęła go palcem w oko.

- Suka - syknął, upuszczając nieotwarte piwo i zataczając się tyłem na szafkę. - Tylko żartowałem.

- Pocałuj mnie gdzieś - wycedziła Laura i trzasnąwszy drzwiami lodówki, wybiegła z butelkami w ręce.

Była w połowie korytarza, kiedy usłyszała trzask rozbijanego okna w pokoju wypoczynkowym. Joe dotarł tam pierwszy i zastał grupę swoich kolegów ze szkoły szamoczących się ze starszymi chłopcami przy stole bilardowym. Okno padło ofiarą kija bilardowego, który wyrwali sobie dwaj rozjuszeni młodzieńcy.

- Hej, co tu się dzieje?! - krzyknął Joe, zastępując drogę otyłemu chłopcu mniej więcej w wieku Jamesa.

- Te palanty nie chcą nas puścić do stołu - wyjaśnił tłu-ścioch. - Powiedziałem tylko, że gram ze zwycięzcą.

- Te palanty to moi przyjaciele - odparł Joe. - A ty kim jesteś i dlaczego pętasz się po moim domu?

Grubas pchnął Joego obiema rękami.

- Masz coś do mnie, szczyłu?

- Zaraz sklepię ci mordę, tłusty balasie! - krzyknął Joe.

Do pokoju wpadli Laura, Dante i mnóstwo starszej młodzieży.

- Dostaniemy wreszcie ten stół czy nie? - zirytował się jeden z nich. - Coś mi się zdaje, że te gnojki proszą się o klapsa.

- A wiesz, czyj to dom?! - zawołał jeden z kolegów Joego. - Zaczynij coś tutaj, to skończy to Fuhrer.

- A gdzie on jest, bo nie widzę? - zaśmiał się gruby dzieciak. - Zatuczony stary rasista, pewnie linczuje jakichś Murzynów ze swoimi kumplami z Ku Klux Klanu.

Joe rzucił się naprzód. Minęło już kilka lat od jego ostatniego treningu ze Zgryzem, ale wciąż potrafił wyprowadzić przyzwoity cios i tłuścioch gruchnął bez życia na podłogę.

Wszyscy obecni gwałtownie wciągnęli powietrze i zapadła cisza.

- Myślę, że każdy, kto nie zna Joego, powinien okazać trochę klasy i wyjść - zasugerowała Laura.

Wszyscy koledzy Joego zgodzili się z nią podobnie jak niektórzy ze starszej ekipy, którzy zaczęli przepychać się do wyjścia, mrużąc usprawiedliwienia w rodzaju: „To i tak impreza dla małaolatów”, choć w rzeczywistości robili po nogach ze strachu przed Führerem.

Większość starszych gości zaczęła wychodzić, ale podczas gdy Laura i Joe wymieniali się uśmiechami ulgi, chłopak w koszulce Man United przebił kijem bilardowym kolejną szybę.

-Ja to walę, wiesz?! - wrzasnął.

- Palant - syknął Joe i rzucił się na licealistę.

Jednak jeden udany cios i trochę napędzanej alkoholem brawury nie przemieniły go w mistrza sztuk walki. Chłopak w koszulce Man United przechwycił go, ścisnął mu głowę ramieniem i przygrzmocił pięścią w oko.

Laura ruszyła na ratunek swojemu chłopakowi, a cała grupa kolegów Joego rzuciła się na starszych gości. Większość licealistów nie chciała kłopotów, ale pięciu najbardziej hardych imprezowiczów postanowiło nie poddawać się bez walki i wdało się w wymianę ciosów z ośmioma młodszymi chłopcami i Laurą.

Dante szarpnął najgroźniej wyglądającego licealistę, próbując oddzielić go od chudego dwunastolatka, ale przedobrzył i zatoczywszy się w przód, zatrzasnął skrzydło okna na głowie przeciwnika.

Laura uwolniła Joego od fana Manchester United, ale była pijana i beznadziejnie źle obliczyła kopnięcie karate. Wylądowała na poślankach, ale jej przeciwnik nie wykorzystał szansy, więc wyprowadziła wściekły obunożny kopniak, kiedy przymierzał się do uderzenia Joego.

Spośród pięciu licealistów, którzy zostali, by się bić, Laura i Dante obezwładnili po jednym, zaś dwaj inni zostali powaleni na podłogę i byli dalej zniechęceni do walki przez kolegów Joego.

Ostatni chłopak, mały i przysadzisty, ze skołunionymi czarnymi włosami, wskoczył na stół bilardowy i wymachiwał kijem, wrzeszcząc:

-No chodź tu który i spróbuj! Bezczelne gnoje!

Laura i Dante porozumieli się wzrokiem i zaatakowali jednocześnie. Podczas gdy Laura przechwyciła świszczący kij, Dante wskoczył z drugiej strony na stół i powalił grubaska szarżą rugby. Chłopak przygrzmocił podbródkiem w narożną kieszeń, po czym Laura złapała go za kark i ściągnęła ze stołu.

-Już dobrze, synku - powiedziała wesoło, klepiąc go lekko po policzku. - Pora wracać do domku, do mamusi.

Podczas gdy Laura odprowadzała pomrukującego chłopca do wyjścia, Dante uświadomił sobie, że dwaj licealiści na podłodze zbierają porządne baty, i odpędził bijących od ofiar. Kiedy ustały walki, kilka osób ze starszej grupy wróciło do pokoju, by zabrać rannych.

Bilardowy szermierz zaklął szpetnie, kiedy Laura strąciła go z frontowego ganku. Nieopodal koczowało jeszcze kilkoro imprezowiczów, w tym wymiotująca dziewczyna i chłopak o zakrwawionej twarzy. Większość starszych gości wyniosła się grzecznie na drogę, choć kilku odwzajemniło się za doznaną zniewagę, wyrywając kwiaty i krzewy, a jeden z chłopców krzyknął, że Fihrer to nazistowska świnia, po czym zerwał szyld Orle Gniazdo i cisnął nim nad żywopłotem.

Upewniwszy się, że na górze nie ma już nikogo ze starszych, Laura wyłączyła muzykę i kazała dziewczętom wejść do środka i zamknąć wyjście do ogrodu, dopóki nie wyszli wszyscy licealiści. Pozostali zebrali się w kuchni, gdzie Joe siedział na stołku, trzymając się za oko i tłumiąc łkanie, wśród pocieszających go dziewczyn. Laura, wciąż zdyszana po bójce, odszukała wzrokiem nieotwartą butelkę szprycera.

- Może trochę tu ogarniemy? - zaproponował Dante.

Dwie dziewczyny zaczęły zbierać puste puszki i butelki, a Dante ruszył na poszukiwanie szczotki i szufelki, by sprzątnąć szkło z pokoju wypoczynkowego. Przechodząc przez korytarz, zauważył radiowóz wjeżdżający na podjazd przed domem.

Gdy „Brixton Riots” zacumowała z powrotem w Kings-wear, Paul Woodhead podstawił swoją furgonetkę na nabrzeże i cała czwórka zabrała się do przenoszenia pudeł z bronią i amunicją do kabiny ładunkowej, co zajęło im dziesięć minut.

Zespół śledczy nie miał możliwości szpiegowania wszystkich naraz i obserwatorzy musieli się rozdzielić. Przede wszystkim nie wolno im było zgubić broni, więc McEwen w bmw i Neil Gauche w szpiegowskiej furgonetce pojechali za sygnałem nadajników w samochodzie Woodheada, trzymając się kilometr za nim. Chloe została w Kingswear, by obserwować Riggsa, który poszedł do pubu, oraz podsłuchiwać rozmowę w samochodzie Juliana.

- Czuję się, jakbym miał rozciągnięte ręce - poskarżył się Julian, zatraskując za sobą drzwi fiata. - Niezła gimnastyka.

- Jeszcze raz przepraszam, że cię w to wciągnąłem - powiedział Nigel, sadwiąc się obok kolegi. - Jedzie ode mnie rybami. Zasmrodzę ci wóz.

- Zapalisz? - zapytał Julian.

Nigel roześmiał się.

- Przydałoby się coś dla rozluźnienia nerwów. Mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę na oczy tego łajdaka Woodheada.

Rękami trzęsącymi się ze strachu i wysiłku Julian włożył sobie dwa papierosy do ust, zapalił je i podał jeden koledze.

- Przynajmniej zarobiłeś patola - westchnął Nigel.

- Jak chcesz, to bierz swoją połowę - odpowiedział Julian głosem skrzeczącym od dymu.

- To twoje pieniądze, Julian. Paul połamałby mi nogi, gdybyś nie przyjechał mi pomóc.

Julian chrząknął.

- A ty uratowałeś mnie przed utonięciem, kiedy zleciałem z tej huśtawki na linie.

- Zapomniałem o tym - uśmiechnął się Nigel. - Ile mieliśmy wtedy lat? Osiem, dziewięć?

- Nie chcę brudnych pieniędzy - oświadczył Julian. - Spłacę długi, ale zarabianie na szmuglu broni to zła karma. Wsadzę wszystko do jakiejś skrzynki na datki, na afrykańskie dzieci, ślepe pandy czy inne piardy.

- Ekstra - ucieszył się Nigel.

Julian uruchomił silnik i wyjechali na pustą przybrzeżną ulicę. Chloe pomyślała o pojechaniu za nimi do Sal-combe, ale nie mogąc wyobrazić sobie, co pożytecznego mogłoby z tego wynikać,



postanowiła zostać jeszcze trochę na wypadek, gdyby Riggs wrócił na łódź albo zadzwonił McEwen z prośbą o wsparcie.

- Wpakowaliśmy się w ciężkie gówno - westchnął Julian, jadąc po wybrukowanej alejce prowadzącej do drogi do Salcombe. - To znaczy tysiąc funtów za wieczór pracy to niby dużo, ale co by było, gdyby przytknęli nas za przemyt broni?

- O tak - uśmiechnął się Nigel. - Wtedy na pewno poszlibyśmy do kicia. Ale teraz mamy to już za sobą i przez cały czas byliśmy w rękawiczkach, więc na tych pudłach nie ma naszych odcisków palców.

Julian skręcił w lewo, na szosę, i parsknął śmiechem.

- Człowieku, naprawdę capisz tymi rybskami. Będziesz musiał spalić te ciuchy.

### 36. GLINY

Joe otworzył drzwi policjantce, podczas gdy jej kolega wrócił do bramy, by porozmawiać z grupą młodzieży czekającej na taksówkę.

- Czy mogę wejść? - zapytała pogodnym tonem. - Mielіśmy wezwanie od młodej dziewczyny w tym domu. Wydawała się nieco zaniepokojona tym, co się tu dzieje.

Policjanci byli regularnymi gośćmi w domu Fiihlera, który jednak pilnował się, by nie przechowywać tam nic obciążającego, zaś Joe otrzymał jasne instrukcje: miał być uprzejmy i pozwolić funkcjonariuszom na szukanie, jeżeli poproszą o zgodę.

- Nic wielkiego się nie zdarzyło - powiedział Joe, wpuszczając kobietę na korytarz zasłany łupinami orzechów i zgniecionymi puszkami. - Wybuchła mała awantura i wyleciały dwa okna. Policjantka skinęła głową i weszła do kuchni, gdzie przywitała gestem dziewczęta siedzące na szafkach.

- Z wami wszystko w porządku?

Dziewczyny pokiwały głowami, zerkając jedna na drugą z zakłopotaniem. Joe zastanawiał się, która z nich zadzwoniła na policję.

- Cóż - westchnęła policjantka. - Jeżeli to w ogóle jakieś pocieszenie, to widziałam imprezy, które skończyły się znacznie gorzej niż ta. Tak czy owak potraktujcie to jako ostrzeżenie. Jeśli macie urządzić nienadzorowaną

imprezę, upewnijcie się, że przyjdą tylko ci, których znacie i którym ufacie. A najlepiej nie urządzać jej w ogóle.

To przyjazne kazanie cofnęło Laurę do czasów podstawówki, kiedy dzielnicowy przychodził do szkoły, by opowiadać dzieciom o bezpieczeństwie na drogach. Młody funkcjonariusz, który w tej chwili wszedł do kuchni, był mniej sympatyczny.

- Mam tam chłopaka z rozbitym nosem. Wezwałem karetkę i kazałem mu czekać - powiedział sztywnym tonem do koleżanki, po czym zwrócił się do młodych: - Pewnie żadne z was nie ma pojęcia, co zaszło?

Dante skulił się za Anną, podejrzewając, że chodzi o chłopaka, którego przytrzymał oknem.

Policjantka wyprowadziła Joego na korytarz i odezwała się cicho:

-Ja chyba znam twoją mamę, prawda?

- Może pani znać - przytknął Joe. - Jest w straży sąsiedzkiej.

- Nie chciałabym być w twojej skórze, kiedy wróci do domu - uśmiechnęła się kobieta. -

Myślę, że będzie najlepiej, jeśli poproszę wszystkich, żeby poszli do domu, nie sądzisz?

Joemu było wstyd, że pozwala policjantce, by mu matkowała, ale z drugiej strony był wdzięczny, że zdjęła z niego część odpowiedzialności. Kobieta stanęła na progu kuchni

i zaklaskała w dłonie.

- Posłuchajcie wszyscy - powiedziała. - Myślę, że już czas zakończyć tę imprezę i wrócić do domu. Dzwońcie po rodziców, taksówkę czy po kogo tam musicie, a w czasie czekania możecie pomóc swojemu koledze Joemu posprzątać trochę ten bałagan.

Część gości mieszkała niedaleko i wyszła od razu, ale tuzin musiał poczekać na podwózkę i ci zabrali się do sprzątanania. Laura zajęła się wkładaniem brudnych talerzy i szklanek do zmywarki, Dante odkurzał i zamiatał, podczas gdy Anna myła podłogę w kuchni.

O wpół do dwunastej dwoje policjantów wyszło wraz z resztą gości, pozostawiając w domu tylko Joego, Laure, Annę i Dantego. Dom wyglądał nie najgorzej, ale Joe i tak spodziewał się kłopotów za szkody, których nie można było naprawić od razu: trzy rozbite okna, rozdarte sukno na stole bilardowym i olbrzymi penis z włochatymi jądrami wymalowany na tapecie w toalecie na piętrze.

Laura usiadła na stołku przed szumiącą zmywarką i wzięła z blatu swojego szprycera.

- Wiecie co? Wcale nie jest tak źle - czknęła, osuszywszy butelkę.

Joe właśnie wszedł do kuchni po tym, jak wyniósł przed dom worki ze śmieciami. Zdążył już trochę odzyskać humor i podszedł do Laury, by ją pocałować, ale kiedy pochyliła się ku niemu, straciła równowagę i rymnęła ciężko na podłogę. Dante przestraszył się i rzucił na pomoc, ale Laura złapała się za brzuch i zanosła histerycznym śmiechem.

Joe pomógł jej wstać, podczas gdy Dante oglądał butelkę po szprycerze.

- Ile ty tego wypijaś? - zapytał podejrzliwie.

- Uwielbiam te twoje słodkie małe pućki! - zaszczebio-

tała Laura, szczypiąc Joego w policzek i zataczając się prosto na niego.

Była ciężka i Dante musiał złapać ją w pasie, by nie przewróciła się razem z Joem. Chłopcy wzięli Laure pod ramiona i zaciągnęli do oranżerii, gdzie usadzili ją na kanapie.

- Te szpryki są przepyyyszne! - zapiątała Laura. - Chłopaki, włamcie się do klubu i zwińcie jeszcze trochę, co? Proooszę!

Anna stanęła za chłopcami.

- Może zaparzę jej mocnej kawy czy coś?

Dante westchnął.

- Trzeba by połowy rocznych zbiorów Brazylii, żeby ją otrzeźwić.

- Dzwońeś do waszej mamy? - zapytał Joe.

Dante wiedział, że Chloe bierze udział w operacji nadzoru.

- Jest na randce i wścieknie się, jak ją zobaczy w takim stanie.

Druga część zdania była prawdą. Agenci CHERUBA musieli dopasowywać się do otoczenia, dlatego w sytuacjach towarzyskich wolno im było pić i palić, choć w granicach rozsądku, ale kiedy było się tak pijanym jak Laura, nietrudno było stracić czujność i chlapać coś niezgodnego z przyjętą przykrywką, więc gdyby Chloe dowiedziała się o opilstwie Laury, dziewczyna miałaby poważne kłopoty.

- Zaprowadzę ją do domu - westchnął Dante. - Może jak się przejdzie, to trochę otrzeźwieje.

- Ale ja wogle nie jestem pyjana - zaprotestowała Laura i stanęła na baczność z wyprostowanymi rękami niczym żołnierz gotowy do odmaszerowania.

Joe spojrział na Annę.

- A co z tobą?

- Nakłamałam mamie, że nocuję u Tracy - odpowiedziała Anna. - Tyle że tata Tracy już dawno ją odebrał.

- Możesz zostać tutaj - zaproponował Joe.

- Tylko szadnego bara-bara - wybełkotała Laura, zaciskając pięść. - To mój fasset, więc łapska przy sobie, jasne?!

- Chodź, siostra - jęknął Dante, łapiąc Laurę za rękę i pociągając do wyjścia. - Pójdziemy sobie do domu.

Joe wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

- Mam taczkę, chcesz?

Anna parsknęła śmiechem, a Laura wytoczyła się do przedpokoju, trzymając się ścian i tłumacząc, że czuje się świetnie i że nie potrzebuje pomocy. Potem potknęła się o wycieraczkę i rozciągnęła jak długa na ganku.

- O... kurczaczki - zachichotała, a Dante przyskoczył, by pomóc jej wstać. - Kto to tu położył, he?

-To na razie, widzę cię jutro! - zawołał Dante do Joego, ruszając wzdłuż podjazdu z ręką Laury przewieszoną przez kark. - Albo może w poniedziałek w szkole.

- Nie, jeśli zobaczę cię pierwszy - odpowiedział Joe, po czym pożegnał Dantego uniesionym kciukiem i zamknął drzwi.

Początkowo wybryki nietrzeźwej Laury wydawały się nawet zabawne, ale zanim pokonali długi podjazd i skręcili w stronę domu, jej potykanie się i chichoty zaczęły działać Dantemu na nerwy. Wkrótce chodnik się skończył i weszli na trawiaste poboczne szosy. Dante zatrzymał się, złapał Laurę za rękę i szarpnął, by przykuć jej uwagę.

- Nie wiem, czy Chloe jest w domu - powiedział poważnym tonem. - Ale jeśli zobaczy cię wracającą w takim stanie, zawieszą ci prawo wykonywania misji, więc weź się w garść i przestań wreszcie się wydurniać!

Laura wystawiła język.

- Bibubibu - zapiszczała, po czym parsknęła śmiechem, opryskując Dantego śliną. Dante ścisnął jej dłoń i przybrał najbardziej stanowczy ton, na jaki było go stać.

- Ja nie żartuję, Laura. To poważna sprawa.

- Auu, boli - skrzywiła się Laura, próbując wyswobodzić rękę.

Dante zaniepokoił się, bo choć Laura była kompletnie pijana, wciąż znała kilka skutecznych ciosów i chwytów, nie puszczał jej jednak, bo wiedział, że wtedy go zignoruje.

- Zachowujesz się jak kompletna idiotka - syknął. -Chcesz, żebym cię tu zostawił? Bo jeśli o mnie chodzi, to nie ma problemu.

W tej samej chwili szosą przemknęła wielka terenowa toyota, rozwiewając Laurze włosy.

-Jak mnie zaraz nie puścisz... - zaczęła gniewnie Laura, ale nagle jej twarz złagodniała. - Wiesz, masz takie podniecające oczy, jak się złościsz.

Nim Dante zdążył mrugnąć, Laura uwiesiła mu się na szyi i zaczęła całować. Była atrakcyjną dziewczyną, więc instynktownie otworzył usta i przyciągnął ją do siebie, ale po kilku sekundach przeważył rozsądek. Dante odepchnął Laurę zdecydowanym gestem.

- Przestań - powiedział twardo. - Oboje trochę za dużo wypiliśmy, no a co będzie, jak zobaczy nas ktoś znajomy? Mamy być rodzeństwem, pamiętasz?

Laura ruszyła przed siebie o własnych siłach. Szła nieco chwiejnie, ale Dante trzymał się blisko, pilnując, by się nie przewróciła ani nie wpadła pod koła przejeżdżających samochodów. Nagle odwróciła się do niego z poważną miną, kiwając palcem przed twarzą.

- Myślę, że jesteś jednym z tych fajnych facetów, Dante - powiedziała nieco bełkotliwie. - Większość chłopców wykorzystałaby sytuację. Gdybyś był jak mój brat, do tej pory zdążyłbyś ściągnąć mi bluzkę.

- Uważaj na samochody - ostrzegł Dante, kiedy mały ford śmignął tuż obok, rycząc klaksonem.

Dante złapał Laurę za ramiona i naprowadził na pobocze. Przynajmniej teraz poruszali się szybciej i znacznie łatwiej było iść bez jej ciężaru uwieszonego na karku. Ostatni odcinek drogi do domu wiódł wzdłuż znacznie spokojniejszej ulicy, ujętej między szerokie chodniki. Ulica pięła się lekko w górę, przecinając łagodnym łukiem osiedle luksusowych domów, na którym mieszkali. Dante rozluźnił się trochę, skoro zeszli z ruchliwej szosy, ale teraz bał się, że zobaczy ich wracającą z zadania Chloe albo że Laura narobi hałasu i obudzi sąsiadów.

Nie spodziewał się jednak, że ujrzy ją przedzierającą się przez żywopłot u wylotu ich ulicy.

- Gdzie ty leziesz?! - zirytował się.

- Zaraz zleję się w majtki - poskarżyła się Laura. - Dwie sekundy, dobrze?

Dante cmoknął.

- Jesteśmy trzysta metrów od domu! Nie musisz chodzić w krzaki.

Ale Laura nie zatrzymała się przepelniona pijacką determinacją, a kiedy w końcu przedarła się na drugą stronę, Dante usłyszał młażnięcie ślizgającego się buta, a potem okrzyk i dźwięk jakby rozpinanego suwaka.

- Laura, nic ci nie jest? - zawołał, rzucając się za nią w żywopłot.

Przedarłszy się przez zarośla, pojął, że Laura musiała potknąć się o wysoką do kolan barierkę. Następnie ześlizgnęła się dwa metry w dół czterdziestopięciostopniowego betonowego spadku, by wylądować w kanale odpływowym zapobiegającym zalewaniu drogi wodą spływającą ze wzgórza.

- Nic ci nie jest? - powtórzył Dante z niepokojem.

Przekroczył barierkę i ostrożnie stawiając stopy, ruszył w dół betonowej pochyłości. Na szczęście po niedawnej fali upałów kanał był całkowicie suchy. Było już ciemno, ale w świetle księżycy dało się dostrzec bolesny grymas na twarzy Laury.

- Ale walnęłam... Spadłam na rękę... - stękała dziewczyna. - Nie wiem, co sobie zrobiłam, ale boli jak jasna cholera.

McEwen zatrzymał się pół kilometra dalej i patrzył przez lornetkę, jak Paul Woodhead cofa swoją furgonetkę do wnętrza zrujnowanego budynku gospodarczego około kilometra od swojego domu w Dartmouth. Zamknąwszy wrota na kłódkę, Woodhead założył kask i skórzaną kurtkę, po czym dosiadł małego terenowego motocykla i wrócił na drogę.

- No i co teraz? - zapytał Neil przez policyjną radiostację w furgonetce obserwacyjnej.

- Zostanę tutaj i zobaczę, co będzie - odpowiedział McEwen. - Ty jedź za yamahą

Woodheada. Chyba jedź do domu, ale lepiej mieć pewność.

- Zrozumiałem i wykonuję - zameldował Neil.

McEwen wyjął ze schowka latarkę, kamerę i przyrząd

do forsowania zamków, a potem wysiadł z bmw i ruszył w stronę szopy. Zbliżył się powoli i przez lornetkę dokładnie obejrzał budynek ze wszystkich stron, upewniając się, że nie ma na nim skrzynek alarmów ani kamer nadzoru. Potem podszedł jeszcze bliżej i poświecił latarką na ziemię przed wrotami, szukając drutów potykaczy i czujników ruchu.

Budynek był uspokajająco prymitywny, podobnie jak dwu-dźwigniowa kłódka, którą McEwen otworzył za pomocą spiłowanego klucza i mocnego uderzenia od spodu. Drewniane wrota otworzyły się ze zgrzytem, a koordynator podskoczył ze strachu, kiedy jego radio pisnęło sygnałem.

- Jest w domu - powiedział Neil. - Widziałem przez okno sypialni, jak się rozebrał i poszedł do łazienki.

- To nie siedź tam bez sensu, wracaj do mnie - powiedział McEwen. - Jestem już w środku.

- Zaraz będę.

McEwen okrążył furgonetkę Woodheada, bacznie wypatrując urządzeń alarmowych. Uznawszy, że jest bezpieczny, naciągnął na dłonie foliowe rękawiczki i wyjął z kieszeni miniaturową kamerę. Tylne drzwi furgonetki nie były zamknięte na klucz. McEwen skrzywił się, wciągając w nozdrza zapach ryb, i wbudowaną w kamerę lampą oświetlił pudła z bronią.

- Można by z tym zacząć niedużą wojenkę - powiedział z uśmiechem kilka minut później, kiedy do szopy wszedł Neil. - Granaty, karabiny, naboje, jest nawet granatnik przeciwpancerny. Neil zamarł w zdumieniu.

- George nie zamawiał granatnika.

McEwen wzruszył ramionami.

- Może mają innych klientów. A może to do prywatnego arsenału Fiihrrera.

- Co teraz? - zapytał Neil.

- W bmw mam trochę miniaturowych nadajników lokalizacyjnych - odpowiedział McEwen. - Możemy użyć ich do śledzenia poszczególnych paczek, z tym że, niestety, te maluchy są znacznie mniej niezawodne od wielkich bydłaków, które przyczepiamy do samochodów.

- A potem poczekamy i zobaczymy - dopowiedział Neil. - Pytanie brzmi: jak długo? Godziny? Dni? Tygodnie?

- Spodziewam się, że Bandy ci będą chcieli dostać swoje pieniądze jak najszybciej - powiedział McEwen, po czym spojrzał na zegarek i ziewnął. - Jedyne, co wiem na pewno, to że jestem na służbie, odkąd rano zwlokłem się z wyrka, i mam nadzieję, że twój szef, pan główny inspektor Ross Johnson, niedługo przyśle tu kogoś, kto nas zmieni.

Neil pokręcił ponuro głową.

- Ktoś ma przyjechać z Londynu, ale obawiam się, że czeka nas jeszcze co najmniej kilka godzin czuwania.

### 37. DOM

James spędził noc na olbrzymim cudownie wygodnym materacu i zdążył zjeść śniadanie w łóżku przed ósmą, kiedy przybył kierowca z kampusu, by zabrać jego i motocykl z powrotem do Salcombe. W niedzielny poranek drogi były puste, a ponieważ prowadząc furgonetkę zarejestrowaną na nieistniejącą organizację, nie dostaje się mandatów, ponad pięćset kilometrów trasy zdołali pokonać w niespełna pięć godzin.

Według Radia Cambridge zamieszki podczas Herbatki Buntowników zaowocowały poranieniem kilkunastu osób nożami, czterema przypadkami ciężkich poparzeń oraz jedną ofiarą śmiertelną. James nie mógł dopuścić, by zobaczono go wracającego furgonetką, dlatego zatrzymali się na poboczu dwadzieścia cztery kilometry przed Salcombe. Dzień był piękny i kiedy James stoczył motocykl z pochylni i odjechał, tylko lekki ból głowy i pęknięta szyba kasku przypominały mu o wczorajszych wydarzeniach. Na pustych drogach, wśród zielonych krajobrazów, czuł się, jakby jechał przez telewizyjną reklamę.

Długa trasa, jaką pokonał poprzedniego dnia, bardzo poprawiła jego zaufanie do własnych umiejętności jeździeckich. Prowadził szybko, a kiedy zatrzymał się na wyłożonym kostką podjeździe przed domem, pomyślał, że chętnie by zawrócił i odbył wycieczkę jeszcze raz. Stał przed drzwiami i poszperał w plecaku, ale nie mogąc znaleźć klucza, wcisnął guzik dzwonka. Otworzyła Laura w basenowych kłapkach i koszulce Green Day Jamesa.

- Nie masz kluczy, głupku? - rzuciła nieprzyjaźnie.

- Patrz, a tak się głowiłem, gdzie się podziała ta koszulka - powiedział James. - Co się stało? Wyglądasz naprawdę fatalnie.

- Biba u Joego - wyjaśniła Laura beznamiętnym tonem, po czym uniosła rękę, demonstrując gipsowy opatrunek.

- Komu przywaliłaś? - zaśmiał się James.

- Bardzo śmieszne - odburknęła Laura i weszła do kuchni.

James poszedł za nią i patrzył, jak sięga do szafki, by

wyjąć z apteczki dwie musujące tabletki paracetamolu. Kiedy wrzuciła je do szklanki z wodą, do kuchni wszedł Dante, roztaczając wokół siebie woń trawy. Nagi tors błyszczał mu od potu.

- Zastrane moje szczęście - poskarżył się żałośnie. - Laura nie może pchać kosiarki ze złamanym nadgarstkiem, a ty pojawiaasz się akurat wtedy, kiedy schowałem już sprzęt do garażu. Rozgrzany po jeździe James napełnił kubek wodą z kranu i wypił ją kilkoma potężnymi łykami.

- Wciąż nie powiedziałaś mi, jak załatwiłaś sobie nadgarstek - zauważył, odstawiając kubek.

Laura machnęła niecierpliwie dłonią.

- Niech Dante opowie - mruknęła. - Idę jeszcze do łóżka. Powiedzcie Chloe, że jak będzie robić lunch, to ja nic nie chcę.

- Nawet przepysznej kanapki z marynowanym burakiem i surową wątróbką? - zapytał James z zaczepnym grymasem.

- Szkoda, że jej nie widziałeś wczoraj - powiedział Dante cicho, kiedy Laura poczłapała na górę, do swojego pokoju. - Wychłała chyba z tuzin szprycerów. Była kompletnie ululana. Próbowała się odlać w krzakach na końcu ulicy i zleciała do kanału.

James wybuchnął śmiechem.

- Jaja sobie robisz! Przecież ona nigdy się nie upija. Ciągle powtarza, że nie znosi smaku alkoholu.

- Myślałem, że dostanie się jej od Chloe - ciągnął Dante. - Na szczęście ból nadgarstka trochę ją otrzeźwił, zanim Chloe dotarła do szpitala.

James uznał opowieść za szalenie zabawną.

- Ekstra! Mam kolejną rzecz, którą mogę ją wkurzać. Chloe jest w domu?

- Wyleguje się na tarasie i czyta „Sunday Timesa”, kiedy ja flaki sobie wypruwam w tym upale - powiedział Dante z goryczą. - Dobra, idę wziąć prysznic.

James poszedł do ogrodu, gdzie zastał wyciągniętą na leżaku Chloe w ogromnych czarnych okularach. Czytała dodatek „Style” i James pomyślał, że wygląda seksownie w szortach i limonkowym staniku od bikini. Poprzedniego wieczoru skontaktował się z nią i opowiedział o wszystkim, co się stało podczas Herbatki Buntowników, pominąwszy jednakże dwie godziny, które spędził w kabinie wozu kempingowego.

- Wróciłeś bez problemów? - zapytała Chloe.

- Bezboleśnie - potwierdził James. - A hotel był fajny, więc przynajmniej porządnie się kimnąłem.

- Był telefon do ciebie jakąś godzinę temu. Brudny Dave.

James uśmiechnął się od niechcienia.

- Facet czci mnie jak bohatera, odkąd uratowałem mu dupsko wczoraj podczas tej bijatyki. Jakbym to dobrze rozegrał, mógłbym dzięki niemu wejść między Bandytów.

- Po to tu jesteś - uśmiechnęła się Chloe i sięgnęła po butelkę olejku do opalania, która stała tuż poza zasięgiem jej palców. - Podaj mi to, proszę.

- Nie nadwężaj się, dziewczyno - zaśmiał się James, przysuwając stopą butelkę. - Zapisałaś numer?

- Jest na żółtej karteczce przy telefonie - skinęła głową Chloe.

Plastikowa butelka pierdnęła donośnie, kiedy Chloe ścisnęła ją nad podstawioną dłonią. James poszedł do salonu i z tamtejszego telefonu zadzwonił na komórkę Dave'a.

- Jesteś w domu? Wszystko w porządku? - zapytał Dave.

- Właśnie przyjechałem - odpowiedział James. - Sorka, że się zerwałem, ale wszystko nieźle się pochrzańiło. Mama urwie mi tyłek: mam rozwalony kask, rozwalony migacz w kawie, a mój namiot, śpiwór i wszystkie inne rzeczy są skremowane.

- Nikt nie ma ci za złe - odpowiedział Dave. - W autokarze była Marlenka, żona Führera. Mówi, że z ciebie niezły bohater. Fajnie załatwiłeś tego Bitch Slappera.

- To gdzie teraz jesteście?

- W hotelu koło Cambridge. W sumie gdzieś z pięćdziesięciu uciekinierów. Wyjechaliśmy niedługo po tobie i autokarze. Führer jest wściekły na Dusikotka. Reputacja Bandytów leży w gruzach.

- Nie powinniśmy wychodzić z obozu całą kupą - przytaknął James. - Wyszliśmy na totalnych pacanów. Co z twoim moto?

- Mnie się akurat poszczęściło - powiedział Dave. - Führer stracił sprzęt. Zgryz miał swojego speedstera niecały miesiąc, a teraz ma wypaloną ramę. Będzie z tego wojna, mówię ci, w klubie i poza nim.

James zdawał sobie sprawę, że nie jest dobrze. Podczas przygotowań do misji czytał o wojnach pomiędzy gangami motocyklistów w Kanadzie, USA, Holandii, Australii i Skandynawii.

Wszystkie prowadziły do strzelanin, zamachów bombowych i tuzinów trupów. Spośród wszystkich krajów o licznych społecznościach motocyklowych Wielka Brytania była jedynym, który nie widział jeszcze poważniejszego konfliktu, ale incydent podczas Herbatki może to zmienić.

- Wiesz, że jestem lojalny - powiedział James. - A w ogóle to zadzwoniłeś, żeby sprawdzić, co u mnie, czy masz jakąś sprawę?

- Miałbym pewną propozycję - przyznał Dave. - Chodzi o coś, na czym zarobiłbyś o niebo więcej, niż przewracając naleśniki, ale to nie jest sprawa na telefon. Dziś wieczorem powinienem już być w Salcombe. Dałbyś radę spotkać się ze mną jutro w Marina Heights?

- Rano mam szkołę - powiedział James. - Ale mogę przyjść gdzieś na czwartą.

McEwen i Neil spędzili noc w bmw, na zmianę obserwując szopę, pilnując, czy nikt nie próbuje wywieźć broni. Kiedy dochodziła już pierwsza po południu, a oni wciąż nie doczekali się zmienników, Neil zadzwonił do Rossa Johnsona.

- Rozumiem pańską sytuację, sir - powiedział do telefonu - ale jesteśmy na służbie od dwudziestu siedmiu godzin bez przerwy. Ktoś musi nas zmienić. Jeśli teraz ktoś przyjdzie po tę broń, McEwen i ja nie jesteśmy nawet w stanie porządnie go śledzić. Jesteśmy na środku pustkowia. Od wczorajszego popołudnia nie miałem nic w ustach.

Neil zakrył telefon dłonią i przekazał odpowiedź szefa McEwenowi.

- Ross mówi, że ma kłopot, bo nie ma budżetu na nadgodziny, a sześcioro swoich najlepszych ludzi musiał posłać na dochodzenie w sprawie rozróby na Herbatce Buntowników. Nasi zmiennicy już są, ale pojechali zameldować się w hotelu.

McEwenowi rozszerzyły się oczy. Ku przerażeniu Neila były cherubin wyrwał mu telefon z dłoni.

- Mówi McEwen - prawie krzyknął do mikrofonu. - A teraz słuchaj, ty ciotowaty pingwinojebco z gównem na wargach! Od wczoraj nie jadłem, nie spałem, nie srałem, siedzę kołkiem w bryce gorącej jak samo piekło, a ty mówisz mi, że moi zmiennicy poszli się zameldować w hotelu?! Co jeszcze, kuźwa, muszą zrobić, zanim się raczą zjawić? Skoczyć do knajpeczki na śniadanko? Zaliczyć dziewięć dołków w pitch-and-putta5?

Jako główny inspektor Ross Johnson nie nawykł, by mówiono doń w taki sposób, a zwłaszcza by robił to dwudziestodwuletni młodzian.

- Słuchaj no, młody człowieku... - huknął.

- Tylko mi tu nie młodyczłowiekuj, kozi zwisie! - ryknął McEwen, a Neil skurczył się w swoim fotelu. - Jak pracujesz z CHERUBEM, to robisz, co my każemy, a ja mówię: każ swoim ludziom przerwać, cokolwiek teraz robią, i natychmiast zmienić moją dupę! Kto, do jasnej cholery, idzie meldować się w hotelu, kiedy zespół w terenie nie jadł od osiemnastu godzin?! McEwen odrzucił telefon Neilowi tak mocno, że odbił mu się od kolana i uderzył w drzwi, gubiąc pokrywkę baterii.

- Już dobrze? Wyrzuciłeś wszystko z siebie? - zapytał Neil sucho.

- Bez obrazy - sapnął McEwen. - Po prostu spędzam dużo czasu, pracując z policjantami, i muszę powiedzieć, że większość z nich to durne gównojady.

Neil westchnął.

- Ross nie jest głupi. Po prostu nie mamy ani ludzi, ani pieniędzy, których potrzebujemy. Podczas gdy Neil składał z powrotem telefon, McEwen wyszedł rozprostować nogi. Pozycja stojąca zapewniała

5 Pitch-and-putt - odmiana golfa, rozgrywana na małym polu (przyp. tłum.).

mu lepsze pole widzenia, ale koordynator nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Lornetka! - krzyknął, sięgając przez okno samochodu.

Powiększony obraz potwierdził przypuszczenia: za drzewami po drugiej stronie szopy zaparkowała policyjna furgonetka, a za żywopłotem zajmowali pozycję dwaj uzbrojeni policjanci.

- Co oni tutaj robią?! - krzyknął rozpaczliwie McEwen. - Rozpirzą mi całą operację! McEwen wyrwał swoją legitymację Intelligence Service z kurtki rzuconej na tylną kanapę i puścił się biegiem przez pole. Nim dotarł do szopy, wybiegło mu naprzeciw sześciu mundurowych, a zza żywopłotu szczeknął megafon:

- Tu policja. Zatrzymaj się i ręce do góry!

- A wał się! - wrzasnął z furią McEwen, pędząc co sił w stronę sierżanta.

Huknął strzał ostrzegawczy, wzbijając chmurkę kurzu jakieś pięć metrów za biegnącym.

Wszystko działo się w głuchej wiosce i nawet jeśli miejscowi nie zobaczyli nadjeżdżającej policji, wystrzał musiała usłyszeć połowa sąsiadów.

- Nie ruszaj się! - zachrypiał megafon. - Na kolana i ręce za głowę.

McEwen zatrzymał się i opadł na kolana, klnąc na otaczających go gliniarzy. Ich przełożonym był zwalsty sierżant ubrany w kompletny strój bojowy z kaskiem, kamizelką i ochraniaczami. Dowódca skierował czterech swoich ludzi do szopy, po czym wyciągnął pałkę i podszedł do McEwena.

- Potrzebujecie całego tego sprzętu, żeby zdobyć drewnianą szopę? - zapytał McEwen drwiąco i pomachał swoją legitymacją. - Jestem ze służby wywiadu. Ta stodoła jest pod obserwacją, a wy właśnie zawaliliście mi ważną operację.

Sierżant porwał legitymację McEwena i obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem. Nie był pierwszym policjantem w karierze McEwena, który nie rozpoznawał podsuniętej mu pod nos legitymacji służb wywiadowczych.

- Skąd to wytrzasnąłeś, synku? Kupiłeś w pubie czy sam sobie załaminowałeś?

Sierżant zaśmiał się z własnego dowcipu, a w tej samej chwili rozległ się łomot: to jego podwładni zaatakowali drzwi stodoły taranem.



- Będziecie pływać w głębokim gównie, kiedy moi przełożeni się o tym dowiedzą! - krzyknął McEwen.
- Skuć to coś i wsadzić do busa - powiedział sierżant do stojącej obok policjantki i krokiem" zwyczajcy ruszył pod górę w stronę stodoły, ale w tym momencie nadbiegł zdyszany Neil Gauche, wymachując bardziej rozpoznawalną odznaką policyjną.
- Hej, on jest ze mną! Sierżant Neil Gauche, Grupa Operacyjna do spraw Gangów Motocyklowych. Co się tutaj dzieje?  
Od strony szopy dał się słyszeć okrzyk policjanta.
- Tu jest broń, sierżancie! Cała furgonetka wyładowana ganami!  
Sierżant popatrzył na Neila i pokręcił głową.
- Nie wiem, kim jesteście i co się tutaj dzieje. Wiem tylko, że nas wysłał tu komendant główny Devonu, więc jak chcecie wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy, to lepiej spytajcie jego.  
Neil wskazał na McEwena.
- On jest ze mną. Może pozwolicie mu wstać.
- Czemu nie. - Sierżant wzruszył ramionami i oddał McEwenowi legitymację. - Intelligence Service, he? Coś nie wyglądasz mi na Jamesa Bonda, młody. Ani nawet na specjalnie inteligentnego, szczerze mówiąc.  
Sierżant znów zaśmiał się z własnego żartu, ale śmiech urwał się gwałtownie, kiedy McEwen złapał go za przód kuloodpornej kamizelki i grzmotnął głową w twarz.

### 38. PECH

Prezeska Zara Asker przyrządziła niedzielną pieczeń, ale zamiast zjeść obiad z rodziną, musiała pojechać na lotnisko RAF-u w pobliżu kampusu CHERUBA, skąd mały dyspozycyjny odrzutowiec zabrał ją do Exeter.

Chloe czekała na nią na terminalu lotniska, z którego pojechały prosto do sali pobliskiego hotelu, gdzie w ostatniej chwili udało jej się wynająć salę konferencyjną. Jako jeden z najmłodszych koordynatorów w kampusie Chloe czuła się niepewnie w obecności swojej szefowej.

- Ross Johnson nie da rady przyjechać - powiedziała Chloe, prowadząc Zarę przez parking w stronę głównego wejścia do smętnego hoteliku.

Zara nie była w dobrym nastroju.

-Jeśli ja mogę przylecieć aż z kampusu, choć jestem w siódmym miesiącu ciąży, to dlaczego, do ciężkiej cholery, koleś nie może tu dotrzeć z Londynu?

- Jest w Cambridge - wyjaśniła Chloe. - Ma prasę na karku po rozruchach na Herbatce Buntowników.

- Dobra, a kto jest?

- Zastępczyni Rossa, inspektorka Tracy Jollie.

- Ma zgodę na wtajemniczenie w działania CHERUBA? - zapytała Zara.

- Postaraliśmy się o zgodę dla całej trójki - powiedziała Chloe - Rossa Johnsona, który i tak wiedział już o CHERUBIE, Neila Gauche'a i Tracy Jollie. Reszta ludzi Johnsona wie o kontrolowanym zakupie broni, ale nie o operacji CHERUBA.

Zara kiwnęła głową i obie skręciły w długi korytarz z szeregiem zamkniętych drzwi sal bankietowych po jednej stronie.

- To jedyne miejsce blisko lotniska, jakie udało mi się znaleźć w tak krótkim czasie - wytłumaczyła Chloe przepaszającym tonem.

- Jestem pewna, że jest w porządku - powiedziała Zara, wyczuwając zdenerwowanie koordynatorki. - Co z dziećmiakami? Jak przyjęły wiadomość o nalocie policyjnym?

- Laura i James są dość doświadczonymi agentami, by spodziewać się, że coś może pójść nie tak. Gorzej z Dantem. Chłopak ma bardzo osobisty stosunek do tej misji. Naprawdę zależy mu, żeby posłać Fiihrera za kratki.

Sala konferencyjna miała okna wychodzące na pas startowy małego lotniska w Exeter oraz standardowe wyposażenie: długi stół, projektor na półce i flipchart, plus talerz ciastek i termos gorącej wody do napojów.

Zebrani czekali na Zarę już od ponad czterdziestu minut. Neil i McEwen nie mieli jeszcze okazji się zdrzemnąć i zachowywali przytomność tylko dzięki saszetkom rozpuszczalnej kawy, które wysypywali sobie wprost na język. Laura siedziała przy stole z głową opartą o blat, a James i Dante zbudowali wieżę z małych kartoników mleka UHT.

Przywitawszy gestem dzieci, Zara uściśniła dłonie z Tracy i usiadła u szczytu stołu.

- Dobrze - powiedziała, przysuwając się z krzesłem do blatu. - Co wiemy o tych policyjnych nalotach? Kto je zarządził i dlaczego?

Inspektorka Tracy Jollie odchrząknęła i zaczęła mówić.

- Rozmawiałam przez telefon z komendantem Devonu i spotkałam się z inspektorem, który wydał rozkaz przeprowadzenia porannego nalotu. Wczoraj wieczorem Neil i McEwen obserwowali czterech ludzi wyładowujących broń z łodzi „Brixton Riots”. Jednym z nich był młody chłopak, niejaki Julian Hargreaves. Nasz zespół zakończył nadzór nad nim po tym, jak opuścił port.

- Dlaczego? - przerwała Zara.

- Brak ludzi - powiedział McEwen. - Byłem tylko ja, Neil i Chloe. Uznaliśmy, że lepiej będzie pójść za bronią.

- Jak rozumiem, Julian rozstał się ze swoim kolegą Nigelem i udał do swojego mieszkania w Marina View - podjęła Trący. - Kiedy dotarł do domu, zaczął rozmyślać o tym, w co był zamieszany i do czego posłuży broń i amunicja, w której przemyście pomagał.

James słyszał już tę historię i teraz parsknął ze wzgardą.

- No nie, Julek nie jest typem, któremu sumienie przeszkadzałoby spać. Bardziej prawdopodobne, że wyjarał dzointa dla ukojenia nerwów, upalił się jak biedronka i dostał paranoi, że go zgarną.

- Być może - skinęła głową Trący. - To jednak nie ma znaczenia. Ważne jest to, że Julian postanowił porozmawiać z ojcem i przyznać się do tego, co zrobił. Jonty Hargreaves jest sędzią sądu koronnego z doświadczeniem na polu prawa kryminalnego. Zrobił to, co zrobiłby na jego miejscu każdy ojciec prawnik, a mianowicie poszukał rozwiązania najkorzystniejszego dla swojego syna. I tak sędzia Jonty Hargreaves kazał synowi napisać i podpisać oświadczenie, w którym wyjaśnił, jak pozwolił wciągnąć się w operację przemytniczą Paulowi Woodheadowi, by ratować skórę swojemu przyjacielowi Nigelowi. Następnie Jonty zadzwonił do swojego starego przyjaciela, komendanta devońskiej policji, i panowie zawarli układ.

- Skąd Julian wiedział, gdzie Woodhead zawiózł broń? - spytała Laura.

- Woodhead musiał coś chlapanąć, kiedy pracowali na łodzi - zasugerował McEwen.

- Dziś z samego rana Jonty i Julian stawili się na policji. - podjęła Trący. - Julian wręczył swoje oświadczenie inspektorowi wskazanemu przez komendanta. Przyznał się tym samym do poważnego przestępstwa, ale ma dopiero siedemnaście lat, nie był nigdy karany, a jego zeznanie miało doprowadzić do skonfiskowania znacznej ilości nielegalnej broni, jak również aresztowania Riggsa i Woodheada.

Zara pokiwała głową. Wiedziała, jak działa prawo w wypadku nieletnich, lepiej niż większość prawników i sama dokończyła opowieść.

- Czyli teraz Julian stanie przed sądem i przyzna się do paru pomniejszych zarzutów, a sędzia weźmie pod uwagę to, że przyznał się dobrowolnie. A ponieważ ma siedemnaście lat, wciąż jest nieletni i po osiemnastce znów będzie miał czyste konto.

- W skrócie tak to wygląda - westchnął Neil. - Tyle że akcja czcigodnego sędziego „Ratujmy Julka przed więzieniem” zrujnowała nasze szanse na podążenie za dostawą do miejsca przeznaczenia i zdobycia dowodów łączących Fiihrera i innych starszych rangą Bandytów ze szmuglem broni. Wisienką na torcie jest to, że zapłaciliśmy Bandytom trzysta tysięcy zaliczki, której prawdopodobnie nigdy nie odzyskamy. Krótko mówiąc, totalne upokorzenie.

Dante zerwał się, przewracając krzesło.

-Ten skurwiel Führer... - krzyknął i walnął dłonią w stół, by dać upust wściekłości. - To chyba najfartow-niejszy bydlak na tej planecie! Nic się do niego nie lepi. Dajcie mi gana, przystawię mu go do pyska i pomaluję mu ganek jego własnym mózgiem.

Chloe wstała i podeszła do Dantego.

- Uspokój się, chłopie - powiedziała łagodnie. - Wszyscy tutaj chcemy zobaczyć Führera za kratkami, ale od początku wiedzieliśmy, że szanse tej misji są nikłe.

- Nie wcieraj mi tego gówna - Dante z furią potrząsnął głową. - Dla was wszystkich to tylko gra. Tu się wygra, tam się przegra, a jak się przegra, to zawsze można odrobić straty przy następnej robocie. A ja patrzyłem, jak Fiihrer bierze spluwę i zabija po kolei całą moją rodzinę! Zara wstała i odezwała się stanowczym tonem:

- Dante, wiem, że to wszystko jest dla ciebie bardzo trudne, ale nawet CHERUB nie stoi całkowicie ponad prawem. Owszem, są na tym świecie kraje, których władze nie patyczkują się, tylko zabijają każdego, kto im się nie podoba, ale osobiście cieszę się, że nie muszę żyć w jednym z nich.

- Przepraszam - mruknął Dante, odstępując od Chloe i podnosząc swoje krzesło. -

Zachowałem się nieprofesjonalnie. Po prostu wkurza mnie do łez, że Fiihrerowi wciąż wszystko uchodzi na sucho.

- To całkowicie zrozumiałe - skinęła głową Zara. - A jak wam szło z zadaniem CHERUBA, zanim to się stało?

Odpowiedziała Laura.

- Mnie i Dantemu raczej słabo. Dowiedzieliśmy się, że Nigel ma wziąć udział w jakimś nielegalnym przedsięwzięciu, poprzez Ankę, jego siostrę, ale szczerze mówiąc, to był czysty fart. Naszym głównym celem był Joe Donnington zgodnie z założeniem, że będzie wiedział coś o działalności swojego ojca, ale chłopak nie wie niczego. Raczej wstydzi się ojca, który przebiera się za Hitlera, i trzyma się od niego na dystans.

-Joe to dobry dzieciak - dodał Dante. - Dawniej był moim najlepszym kumplem i gdyby żyli moi rodzice, pewnie wciąż by nim był, ale o tym, jak Bandytci przemycają broń i narkotyki, nie wie więcej niż ja.

- Rozczarowujące - mruknęła Zara. - A ty, James?

James poprawił się na krześle i oczyścił gardło chrząknięciem.

- Na początku szło bardzo powoli - powiedział. - Jeszcze w piątek powiedziałbym, że nie jestem bliższy infiltracji organizacji Bandytów niż na początku misji. Ale wyjazd na Herbatkę Buntowników wszystko zmienił. Brudny Dave uwielbia mnie, inni Bandytci zaczynają uważać mnie za cenny nabytek i jestem pewniakiem na liście przyszłych członków Monster Bunch, jeśli pokręcę się trochę z nimi latem.

- Czarna rozpacz - westchnęła Chloe. - Akurat kiedy James doprowadził do przełomu, który tak bardzo był nam potrzebny, drugi koniec akcji wybuchł nam w twarz.

- W poniedziałek mam spotkanie z Brudnym Dave'em

- powiedział James. - Powiedział, że chce mi coś zaproponować, żebym mógł zacząć porządnie zarabiać.

- Wiesz może jak? - zapytała Trący.

James potrząsnął głową.

- Powiedział, że nie chce rozmawiać o tym przez telefon, czyli wiadomo, że chodzi o coś nielegalnego.

Zara kiwnęła głową i splotła palce przed sobą.

-No cóż... - zaczęła i wciągnęła powietrze z sykiem.

- Wiem, że to się wam nie spodoba, ale CHERUB musi przerwać tę operację.

- Na miłość boską! - jęknął Dante.

- Nie wrzeszczcie na mnie - powiedziała Zara. - Każdą misję CHERUBA zatwierdza nasza komisja etyki. Wasze zezwolenie obejmowało próbę infiltracji Bandytów i współpracę z zespołem do spraw gangów w celu zdobycia dowodów na powiązanie przetrzutu z Führerem i innymi Bandytami. Misja zakończyła się w chwili, gdy transport broni przejęła devońska policja.

- Mogli mnie załuc na tym zlocie albo coś jeszcze gorszego! - zaprotestował James. - Mogę podejmować ryzyko, proszę bardzo, ale co za sens, kiedy wyrywają nam dywan spod nóg? Zwłaszcza kiedy mam to spotkanie w poniedziałek.

- Wiem - skinęła głową Zara. - Nie uważam, że powinniśmy całkowicie dać sobie spokój z Bandytami, tym bardziej że trzy aresztowania najpewniej nie powstrzymają ich od przemytu broni. Mówię tylko, że misja, z którą was tu posłano, jest skończona. Wy, dzieciaki, możecie powiedzieć swoim kolegom, że wasi rodzice chcą się pogodzić i że wracacie do ojca w Londynie na okres próbny. Chloe może współpracować dalej z Rossem Johnsonem. Może razem opracują kolejną misję wykorzystującą kwitnące relacje Jamesa z Bandytami. Na razie zatrzymamy dom w Salcombe, a ponieważ zbliżają się wakacje, wasze zniknięcie w związku z parotygodniowym wyjazdem do Londynu będzie jak najbardziej uzasadnione.

- A co z moim poniedziałkowym spotkaniem z Brudnym Dave'em? - zapytał James. - Nie zaszkodzi chyba, żebym poszedł i posłuchał, co chce mi zaproponować?

- Zgoda - skinęła głową Zara.

- Czyli kto miałby wrócić? - zapytał Dante. - Wszyscy czy tylko Chloe i James?

Zara wzruszyła ramionami.

- Zapewne tylko Chloe i James, ale oczywiście to zależy od nowej misji i jej celów.

- Jeżeli w ogóle jakaś będzie - powiedział James.

Trący odezwała się z niespodziewanym entuzjazmem:

-Jeżeli James ma szansę na przeniknięcie w szeregi Bandytów, to może być ogromny przełom. Zwłaszcza teraz, kiedy szykuje się wojna gangów.

Zara podniosła się z krzesła.

- Czy ktoś ma jeszcze coś do dodania?

Nikt się nie odezwał, choć Dante wydał z siebie przeciągły jęk, by przypomnieć wszystkim, jak bardzo jest rozczarowany. Zara uściśnęła dłonie Trący i Neilowi, po czym policjanci opuścili salę.

- Odwiozę dzieciaki do Salcombe - powiedziała Chloe.

Zara wycelowała palec w McEwena.

- A ty zostań tutaj - powiedziała twardo. - Komendant główny nie jest specjalnie zadowolony z powodu złamanej kości policzkowej jednego ze swoich sierżantów. Ja także nie jestem.

McEwen wzruszył ramionami i zrobił minę małego chłopca przyłapanego na kradzieży cukierków.

- To wszystko przez ciężki stres i skrajny niedobór snu
- oznajmił.
- Ach tak - powiedziała Zara, wyraźnie nieprzekonana.
- Cóż, zatem ucieszy cię wiadomość, że będziesz miał całe pół roku na leczenie stresu i przemęczenia, pracując w podziemiach naszego głównego budynku. W archiwum czeka, o ile pamiętam, pięć tysięcy pudeł z aktami do zdigitalizowania i przekatalogowania.

### 39.FUCHA

Zaraz po popołudniowej lekcji matematyki James udał się prosto do warsztatu Skóry i Chromu, by umówić się na wymianę tylnego kierunkowskazu. Podwójne wrota warsztatu były otwarte i James przeżył mały szok na widok tuzina osmalonych harleyów ustawionych w szeregu pod ścianą. Były wśród nich wypalone wraki, ale także mniej poważne przypadki motocykli lekko tylko uszkodzonych od żaru.

- Niepiękny widok - skomentował James, wciągając powietrze między zębami, kiedy Kasa zszedł po schodach z salonu na górze i stanął obok niego. - Będzie ze sto tysięcy na straty. Kasa pokiwał głową.

- A to tylko te, które da się uratować albo przynajmniej mają jeszcze jakieś części do odzysku. Cztery kompletne złomy zostawiliśmy na miejscu.

- Masakra - powiedział James. - A co z pańskim?

Kasa wskazał na złotego softaila.

- Nie wygląda bardzo źle, ale stał blisko ognia, a żar był morderczy. Stopione plastiki, kable popalone, cała elektryka do wymiany. Co najmniej dwa, trzy dni roboty i pójdzie mnóstwo kasy na części.

- Niedobrze - pokręcił głową James. - Ja miałem fart.

- Mam w salonie drugą taką erkę jak twoja - powiedział Kasa. - Jak chcesz, to wezmę migacz z tamtej. Nowy na pewno nie przyjdzie przed piątkiem.

- Nie widzę przeszkód - odrzekł James. - Ile to będzie kosztować?

- Pięćdziesiąt sześć funtów za część i tyle - powiedział Kasa. - Fihrer powiedział, żeby nie brać od ciebie pieniędzy za robociznę za to, co zrobiłeś przy autokarze.

- Ekstra - ucieszył się James. - Doceniam. Ile czasu to zajmie?

- Robótka na góra dwadzieścia minut. Mogę ci to zmienić od razu.

- Super - uśmiechnął się James i wskazał ręką w stronę Marina Heights. - Mam spotkanie z Brudnym Dave'em. Będzie okej, jak pójde i wpadnę po moto za jakieś pół godziny?

- No pewnie - skinął głową Kasa. - A przy okazji... Nie widziałem twojej mamy od tygodnia. Pozdrów ją ode mnie.

Był kolejny upalny dzień i w połowie wspinaczki na poziom restauracji James zdjął motocyklową kurtkę i przewiesił ją sobie przez ramię. Brudny Dave pomachał mu zza stolika w ogródku francuskiej restauracji zamkniętej na czas przerwy pomiędzy lunchem a kolacją. Przed sobą miał butelkę wody mineralnej i popielniczkę najeżoną niedopałkami.

Siadając przy stoliku, James zauważył bezszczękowy kask motocyklowy wykończony imitacją włókna węglowego, leżący na wolnym krześle. Większość klubowych bi-kerów jeździła w kaskach bez szczęki, które wprawdzie chroniły gorzej od zamkniętych, ale zapewniały znacznie lepszą widoczność, no i wyglądały dziesięć razy fajniej.

- To dla ciebie - oświadczył Brudny Dave.

James wyszczerzył się w radosnym uśmiechu. Podobny kask reklamowano w czasopiśmie za ponad trzysta funtów.

- Jest obłądny - zachłysnął się, ale zaraz spochmurniał. - Ale nie mogę go przyjąć. To za dużo.

Dave wzruszył ramionami i zassał haust dymu z własnoręcznie skręconego papierosa.

- Gdyby nie ty, skończyłbym z zaostrzonym młotkiem w czaszce - powiedział po chwili. - Poza tym Bandyki kupują w Skórze i Chromie po kosztach, a na tych rzeczach jest ze sto pięćdziesiąt procent marży.

James powąchał wyłożone miękką skórką wewnątrz kasku, podziwiając słoneczne refleksy na chromowanym pa-łaku podbródkowym.

- Każdy inny zrobiłby to samo na moim miejscu - powiedział cicho.

- Kolejna rzecz, o jakiej chciałbym pogadać, może ci dać o wiele fajniejsze zarobki niż smażenie naleśników - powiedział Dave. - Jesteś zainteresowany?

- Robieniem kasy? Zawsze.

James przypuszczał, że sprawa będzie dotyczyła narkotyków, ale gdyby chodziło o przemyt broni, CHERUB mógłby przedłużyć mu misję.

Dave uśmiechnął się.

- Na Herbatce widziałem, jak biegasz po obozie bez koszulki. Masz niezłe mięchy. Trenujesz coś?

- Trochę ciężarów i takie tam - skinął głową James, zastanawiając się, czy Dave nie zamierza zaproponować mu pracy bramkarza lub kogoś w tym rodzaju. - A jak mieszkałem w Londynie, trenowałem sporo karate i kick boxingu.

- Bo widzisz, w mojej branży młodość to podstawa. Chłopak w twoim wieku może zarobić kupę pieniędzy.

James był nieco zdezorientowany.

- No dobra, ale co to za branża?

- Myślałem, że wiesz. Prowadzę połowę stripklubów w Devonie. Myślisz, że dlaczego nazywają mnie Brudny Dave?

Szczęka Jamesa praktycznie stuknęła o blat i Dave przewrócił oczami, widząc jego minę.

- Wiem, co sobie myślisz - powiedział, unosząc dłonie w uspokajającym geście. - Rozbieranie się przed kolesiami nie czyni cię gejem. Czyni cię natomiast nadzianym. Masz siedemnaście lat, ale wyglądasz na mniej. Dałbym ci skąpy kostiumik i postawił na scenie w moim klubie w Taunton. Potańczyłbyś trochę, poprzężył bicepsy, pokręcił tyłkiem przed twarzą jakiegoś starego pedała i kasował pięć dych za czterogodzinną zmianę. Ale najlepsze, że wszystkie napiwki twoje, a przy twoim młodym wieku to może być fura kasy.

Zszokowany James popatrzył na Dave'a błędnym wzrokiem.

- Wkręcasz mnie, prawda?

- Absolutnie nie - zapewnił Dave. - Chcesz, zabiorę cię do klubu i sobie zobaczysz.

Kierownik z chłopakami dobiorą ci jakiś kostium, nauczą paru tanecznych ruchów i poradzą, jak postępować z klientami.

Wykonując misje dla CHERUBA, James bywał w przeróżnych sytuacjach, ale żaden kurs ani szkolenie nie mogło przygotować go na coś takiego i jego twarz stopniowo nabierała buraczkowej barwy.

- Eee... No wiesz... - bąknął spłoszony. - Znaczą trochę mnie zaskoczyłeś i w ogóle, więc... Może daj mi z dzień czy dwa, żebym mógł się zastanowić, dobra? Zadzwoń.

- Zdenerwowałeś się, wiem, pewnie wręcz zawstydziliłeś. Ale to jest kompletnie zrozumiałe - powiedział Dave i wskazał palcem w stronę smażalni naleśników. - Ale możesz całą noc smażyć naleśniki i zarobisz ile? Dwadzieścia pięć, trzydzieści funtów? W twoim wieku i z twoim ciałem mógłbyś zarabiać dwadzieścia razy więcej. Dlaczego nie

miałbyś wykorzystać własnych atutów?

Laura uznała, że w życiu nie słyszała niczego zabawniejszego. W ataku obłąkanego rechotu stoczyła się z kanapy i wylądowała na podłodze, jedną dłonią ściskając się za brzuch, a drugą waląc miarowo w dywan.

- Och... Boże, proszę cię... Och, nie chcę już się śmiać - kwiczyła w krótkich przerwach pomiędzy kolejnymi napadami. - Nie mogę oddychać... Zaraz umrę...

Chloe robiła wszystko, by zachowywać się jak odpowiedzialna dorosła i poszła do kuchni, by się uspokoić, ale James wciąż słyszał, jak chlipie i pociąga nosem, popłakawszy się ze śmiechu.

- Przestańcie, to nie jest aż tak śmieszne - naburmuszył się i cisnął w Laurę pilotem od telewizora.

- A właśnie, że jest - zapiszczała z oczami szklistymi od łez. - O Boże, ale będzie, jak powiem wszystkim w kampusie!

Kilka chwil później w przedpokoju pojawił się rower, a za nim Dante, który właśnie wrócił od Anny ze wspólnego odrabiania lekcji.

- Co was tak rozbawiło? - zapytał, wchodząc do saloniku.

- James dostał propozycję pracy jako striptizer w gejowskim klubie Brudnego Dave'a w Taunton - wyjaśniła Chloe, wchodząc do pokoju z kuchni.

Powiedziała to spokojnie, ale kiedy tylko nawiązała kontakt wzrokowy z Laurą, znowu parsknęła niepohamowanym rechotem. Dante nie skręcał się ze śmiechu tak bardzo jak dziewczęta, dopóki Laura nie wskoczyła na stolik do kawy i nie zaczęła tańczyć.

- Ouuu, jestem James i robię striptiz, wsuwajcie mi kasę za gacie! - zawołała śpiewnie.

- No i jak, zgodziłeś się? - zapytał Dante drwiąco. - Już widzę cię na tej scenie! A dookoła banda grubych, obleśnych biznesmenów śliniących się na twój widok...

- Myślę, że to wprost doskonały sposób na infiltrację Bandytów - uśmiechnęła się Chloe. - Pociągniemy misję ze dwa lata, a jak nie wyjdzie, przynajmniej będzie miał niezły fach w rękę. Albo raczej w gaciach!

Laura parsknęła śmiechem i spadła ze stolika na kanapę, wyginając sobie boleśnie kciuk.

- I dobrze ci tak - powiedział James do siostry, kiedy złapała się za palec i zasyczała z bólu. - Idę na górę, muszę się przebrać do pracy.

- W skórzany kapelusz i stringi? - zapytał Dante, przyprawiając Laurę o kolejny atak śmiechu.

James ruszył gniewnie ku drzwiom, ale Chloe zatrzymała go w pół drogi.

- A tak bardziej na poważnie - westchnęła. - Skoro już wiemy, że propozycja Brudnego Dave'a nie dotyczy przemytu broni, lepiej zacznij szykować się do wyjazdu. Chcę, żebyście wszyscy powiedzieli waszym znajomym, że wygląda na to, że zejdę się z powrotem z waszym ojcem i w najbliższy weekend wyjeżdżamy do Londynu. Pilnujcie tylko, żeby nie palić za sobą mostów, na wypadek gdyby ktoś z nas miał tutaj wrócić na kolejną misję.

#### 40. ROZSTANIA

Był czwartek, godzina dziewiąta trzydzieści; James miał definitywnie zakończyć swoją karierę sprzedawcy naleśników za równe pół godziny.

Parujący placek plasnął na blat przygotowawczy. James nałożył nań kulkę lodów waniliowych, dorzucił kilka ząbków pomarańczy z puszki, sypanął mielonych orzechów, po czym zawinął naleśnik i przełożył go na tekturowy talerzyk.

- Voilà! - zawołał wesóło, a jego dziewięcioletni klient porwał jedzenie i pognął do swoich rodziców i niepełnosprawnego brata, siedzących przy jednym ze stolików.

James odwrócił się do Martina i wykrzywił twarz w udanej rozpacz.

- Ach, jak strasznie będzie mi tego brakowało! - zaszlo-chał.

- Ta, jasne - powiedział Martin z przekąsem. - Ja mam tylko nadzieję, że jak Zgryz przyśle mi następcę, to równie przystojnego jak ty.

- Zastanów się. Jakie są na to szanse? Jeden na dziesięć milionów? - powiedział James, szczerząc zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Jak Ashley przyjęła wiadomość o twoim wyjeździe?

James wzruszył ramionami.

- Nie wyglądała na wstrząśniętą. Wiesz, nie wydaje mi się, żeby to zostało mi we wspomnieniach jako jeden z największych romantycznych związków w moim życiu.

- Jak chcesz, to możesz już iść - powiedział Martin.

- Chcesz się jeszcze z kimś pożegnać czy coś?

- Muszę jeszcze skoczyć na górę do Zgryza, oddać moją przepustkę, ale to chyba wszystko... Ach, i jeśli Noelene jest gdzieś w okolicy, mógłbym jej powiedzieć, że jest smutną pomarszczoną pipą.

Rozwiązując fartuch, James zdumiał się na widok Nigela i jego brata Willa podchodzących do stoiska.

- Nasza siostrzyczka Ania jest zrozpaczona, że twój braciszek wyjeżdża - poskarżył się Will. - Kiedy jedziecie?

- Jutro - rzucił James, po czym zwrócił się do Nigela:

- A co u ciebie?

- Moje życie jest całkowicie i kompletnie utopione w sraczu - odpowiedział Nigel fałszywie radosnym tonem.

- Widziałem reportaż o tej przechwyconej broni w poniedziałek w wiadomościach - skinął głową James. - Szkoła aż huczy od plotek.

- Gliny zgarnęły mnie w niedzielę rano - powiedział ponuro Nigel. - Przymknęły mnie, przeszukały dom, znalazły mój towar i śmierdzące rybami ciuchy, które całkowicie pogrzebały moje szanse na jakiegokolwiek alibi.

- Czyli dostałeś oskarżony? - zapytał James.

Nigel skinął głową.

- Wyszedłem za kaucją. Bandyci załatwili mi niezłą prawniczkę, ale nawet jak się przyznam, babka mówi, że nie minie mnie odsiadka w poprawczaku.

- Przesraniutko. - James pokiwał głową ze współczuciem. - Na długo cię mogą posadzić? Odpowiedział Will:

- Prawniczka mówi, że na osiemnaście miechów do trzech lat. Powiedziała, że broń na ulicach to ostatnio gorący temat, więc to nie za dobry moment na stawanie przed sędzią z oskarżeniem o przemyt karabinów.

- A trzy uncje trawy znalezione pod moim łóżkiem też nie pomogą - westchnął Nigel. - W zeszłym roku już dostałem ostrzeżenie za posiadanie.

James lubił Nigela, ale jakoś nie mógł wymyślić nic, co mógłby mu powiedzieć, a co pasowałoby do powagi sytuacji. W końcu dał za wygraną.

- Przykro mi, stary - powiedział.

- Na pewno nie aż tak jak mnie - burknął Nigel.

- James, nie widziałeś gdzieś tego worka z gównem, kapusia Julka? - zapytał Will.

- Nie - odrzekł James. - Ani w szkole, ani tutaj.



- Nie pokaże się teraz - powiedział Nigel. - Za dużo tu bikerów i wie, że sklepaliby mu czaszkę na płasko. Byłem dumnie, że postanowiłem go w to wciągnąć. To mięczak. Nic dziwnego, że spanikował i poleciał do tatusia.

- Może i dostanie po łapkach od prawa, ale jak mnie zobaczy, to lepiej niech zwiewa i nie patrzy dokąd - wycedził Will. - Z tego, co wiem, jaguar jego tatusia już miał bliskie spotkanie z kilofem któregoś z Psów Wojny.

- Ashley mówiła, że podsłuchiwała nauczycieli, którzy mówili, że na ostatni rok Julek pójdzie do szkoły prywatnej

- powiedział James.

- To by się zgadzało - mruknął Nigel. - Pewnie do jakiejś z internatem, a jego ojciec ma mieszkanie w Londynie, więc szanse na zobaczenie jego mordy w tych stronach są moim zdaniem zerowe.

- Paul Woodhead to były zaprzysiężony Bandyta - zauważył Will. - Więc chłopak niech lepiej ogląda się za siebie.

James wzruszył ramionami.

- Z drugiej strony skoro ojciec Julka jest sędzią, a Bandyty mają tylko na głowie po awanturze na Herbatce Buntowników, mogą po prostu dać sobie z nim spokój.

- Mojego ojca ledwie to obeszło - zgodził się Martin.

- Jego priorytet to załatwić porachunki z Dusikotkiem i Bandytami z Londynu. Potem musi odzyskać miejsce Bandytów w kolejności dziobania, wypowiadając wojnę Bękartom i innym gangom.

James był zaskoczony komentarzem Martina. W ciągu całego czasu, jaki przepracowali razem w naleśnikami, był to pierwszy wypadek, w którym z jego ust padła jakakolwiek wypowiedź na temat poczynań Bandytów.

- No dobra - ożywił się Nigel, postukując jednofunto-wą monetą o kontuar. - Zanim w kiciu przejdę na mokry salceson ze zdechłymi karaluchami w środku, mogę chyba zrobić sobie dobrze. Daj mi naleśnik z bananem, migdałami i miodem z dodatkową bitą śmietaną i rumowo-ro-dzynkową polewą.

Tymczasem w domu Dante był w swoim pokoju, pakując koszule i bieliznę do niebieskiej skrzynki. Skończywszy, zatrzasnął plastikowe wieczko i złapał za uchwyty, by zanieść skrzynkę do pozostałych w przedpokoju na dole, ale mijając pokój Laury, zatrzymał się. Z powodu upału miała lekko uchylone drzwi i Dante zauważył ją leżącą bez ruchu na łóżku, twarzą do ściany.

- Wszystko w porządku? - zapytał nieśmiało, wtykając głowę do środka.

- Tak - odpowiedziała Laura, ale mimowolne pociągnięcie nosem zdradziło ją.

Dante wszedł do pokoju, omijając cztery na wpół spakowane skrzynki.

- Co się dzieje? - zapytał.

Laura wahała się przez kilka sekund. Najpierw chciała powiedzieć Dantemu, żeby się nie wtrącał, potem udać, że nic się nie stało, ale w końcu pojęła, że potrzebuje z kimś porozmawiać.

- Myślałam o Joem - powiedziała, siadając na łóżku. - Wiem, że to głupie. Jestem wyszkoloną agentką, powinnam unikać angażowania się w bliskie związki podczas misji i tak dalej, bla, bla, bla.

- Annie też jest przykro, że wyjeżdżam - skinął głową Dante.

Laura uśmiechnęła się.

- Zabawne. Wszyscy chłopcy w kampusie ciągle się chwala, jakie to laski pozaliczali na misjach, a dziewczyna ma tylko trząść portkami: o Boże, jakiś straszny chłopak na pewno będzie chciał się do mnie dobrać.

Dante roześmiał się.

- Albo to, albo zaszufadkują cię jako wampa czy puszczalską.

- Właśnie - powiedziała Laura, jednocześnie uśmiechając się i pociągając nosem. - Ale Joe to taki miły chłopak. Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, w tych jego designer-skich ciuchach, pozera zgrywającego twardziela przed kumplami, pomyślałam, że to ciołek. Ale teraz naprawdę fajnie nam razem. Na początku był taki słodki. No bo jeszcze nigdy nie miał dziewczyny i strasznie się spinał.

- Koleś jest w porządku - zgodził się Dante. - Dziwi mnie, że nie jesteście razem w wasz ostatni wieczór.

- No właśnie - nadąsała się Laura. - Jego ciotka akurat przeszła operację. Mama zaciągnęła go do niej w odwiedziny.

- Gówniana sprawa - westchnął Dante. - Anka ma klub pływacki, ale powiedziała, że wpadnie do mnie jutro w drodze do szkoły.

- Powiedz, czujesz coś do niej?

- Coś tam czuję - powiedział Dante z wahaniem. - Ale... tylko nie rozpowiadaj o tym w kampusie. Niech to zostanie między nami. No więc kiedy byłem na misji w Belfaście, była tam taka jedna dziewczyna, Harriet. Chodziliśmy ze sobą ponad rok, a potem, przez to, że moja misja skończyła się, tak jak się skończyła, nawet nie mieliśmy okazji się pożegnać.

- Och, to strasznie smutne - szepnęła Laura współczująco.

Dante wyjął z kieszeni szortów portfel zapinany na rzep. Wcisnął palce do jednej z kieszonek i wysunął z niej paszportową fotografię ciemnowłosej dziewczyny o okrągłej twarzy i wielkich brązowych oczach.

- Jest piękna - powiedziała Laura. - Ja do tej pory miałam szczęście. Jeżeli nie liczyć koni, to jest to pierwsza misja, na której się w kimś zadurzyłam.

- Na pewno oboje jakoś to przeżyjemy - uśmiechnął się Dante, cofając się do wyjścia. - Dobra, lepiej już zaniosę swoją skrzynkę na dół.

Laura wskazała na swoje skrzynki na podłodze.

- Rozumiem twój ból - powiedziała z uśmiechem.

Na korytarzu Dante schował fotografię do portfela i podniósł skrzynkę z ubraniami. Schodząc po schodach, pomyślał o Joem i jego mamie, a potem przypomniał sobie, że nie ma ich w domu. Ustawiwszy swój ładunek na szczycie piętrzącej się w przedpokoju sterty skrzynek, wyjął z kieszeni komórkę i wyszedł frontowymi drzwiami.

Słońce już zaszło i ganek oświetlała tylko powozowa lampa, atakowana wytrwale przez puszystą ćmę. Dante rozsunął telefon i wystukał numer domowy Joego. Joe i Marlena byli w szpitalu, a Martin pracował z Jamesem w Marina Heights. Ale gdzie był Fihrer?

Kiedy Dante nabrał pewności, że za chwilę włączy się automatyczna sekretarka, usłyszał głos Fuhrera:

- Tak, kto mówi?

Dante nie odezwał się, ale serce zabiło mu żywiej. Szybko zakończył połączenie. Niebo było czarne, a łąki za domem szumiały w delikatnej bryzie, dokładnie jak pięć lat wcześniej, w nocy, kiedy zginęli jego rodzice. Chłopak pomyślał o swoim powracającym koszmarze: ucieczce przez pola przed Fihrerem i jego strzelbą, z ciałkiem małej siostrzyczki śliskim od krwi. Teraz, kiedy Fihrer był w domu sam, a misja CHERUBA się skończyła, miał swoją jedyną szansę na zemstę. Dante pobiegł do swojego pokoju, wyciągnął z szafy plecak ze sprzętem szpiegowskim i otworzył go, by upewnić się, że jest tam wszystko, czego potrzebuje. Następnie naciągnął na siebie kangurkę z kapturem, w przednich kieszeniach upchnął nóż, przyrząd do forsowania zamków i parę jednorazowych foliowych rękawiczek, a plecak z resztą gadżetów zawiesił sobie na ramieniu.

Laura pakowała się w sąsiednim pokoju, a Chloe była w jadalni, zajęta pisaniem raportu z misji na swoim laptopie. Dante mógł po prostu wyjść niezauważony, ale uznał, że lepiej będzie, jeśli upozoruje swoją obecność, na wypadek gdyby któraś z nich przyszła go szukać. Wszedł do łazienki i odkręcił wodę pod prysznicem, po czym włączył radio na szafce nocnej, a na łóżku ułożył ubranie, jakby przygotował je sobie do założenia po wyjściu z kąpieli.

Otwierając okno, pomyślał o czasie. Kilometr dzielący go od domu Fihrera mógł przebiec w cztery minuty. Gdyby nie zabawił tam dłużej niż sześć minut, a potem wrócił w tym samym tempie, mógłby zdążyć do siebie w czasie, jaki zajmuje wzięcie leniwego prysznica.

Nóż wypadł mu z kieszeni, kiedy wylądował ciężko na twardym gruncie pod oknem swojego pokoju. Narobił sporo hałasu, ale odetchnął z ulgą, kiedy spojrzawszy w okno Laury, ujrzął ją zajęta przenoszeniem sterty ubrań na wieszakach z szafy na łóżko.

Widok Laury skłonił go do zastanowienia. Był wyszkolony wystarczająco dobrze, by zabić Fihrera, nie pozostawiając po sobie jednoznacznych śladów, ale choć Fihrer miał mnóstwo innych wrogów, to jeśli Chloe i Zara okazałyby się na tyle bystre, by połączyć fakty, on w trzy sekundy wyleciałby z CHERUBA.

Ale kiedy tak stał pod oknem, obudziło się w nim wspomnienie Lizzie i ostatnich sekund jej życia, kiedy podawała mu z góry małą Holly, by nie dopadł jej Führer. Scotty zawsze powtarzał swoim synom, że mężczyzna sam powinien załatwiać swoje porachunki i puszczając się biegiem w stronę ulicy, Dante pomyślał, że trudno się nie zgodzić z takim punktem widzenia: mimo ton dobrych intencji i ciężkiej pracy policji Führer pozostał bezkarny po popełnieniu czterech morderstw i mieszkał sobie w luksusowym domu, z milionami na kontach bankowych oraz bandą wiernych poddanych, gotowych walczyć za niego i zabijać.

Uliczka dochodziła do biegnącej poprzecznie drogi. Dante przebiegł na drugą stronę i wprawnie przesadził płot. Trasa przełajowa musiała dodać kilka minut do czasu wycieczki, ale chroniła go przed wzrokiem kierowców i przechodniów.

Wyschnięta twarda ziemia dawała pewne oparcie stopom, kiedy biegł przez pola, zwalniając tylko przed niskim żywopłotem, a potem metalową furtką - Führer miał sporo ziemi za swoim domem. Wziąwszy krótki rozbieg, Dante mógł przeskoczyć przez drewniany płot ogrodu, ale wtedy pogniółby rośliny po drugiej stronie i zostawił odciski butów, więc zdecydował się wrócić do drogi. Wszedł główną bramą i ruszył wzdłuż podjazdu, kryjąc się dopiero, gdy znalazł się jakieś dwadzieścia metrów od domu.

Światło było zapalone tylko w przedpokoju, kuchni i sypialni na górze. Noc była ciepła i Dante miał nadzieję, że jedno z okien na parterze będzie otwarte, ale przeliczył się. Rozważywszy pomysł wciśnięcia dzwonka, uznał, że po niedawnych wydarzeniach Führer będzie czujny przy otwieraniu drzwi, więc ostatecznie przekradł się wokół domu do oranżerii. Zajrzał przez szklane drzwi w stronę kuchni i nie dostrzegł nikogo. Przesuwne skrzydła miały zamki otwierane od środka, więc Dante podszedł do zwykłych drewnianych drzwi kuchennych.

Założywszy foliowe rękawiczki, nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte, co jednak nie stanowiło poważnego problemu, ponieważ chronił je tylko jeden prosty zamek. Dante wsunął odpowiedni wytrych w uchwyt przyrządu, wcisnął spust i po dwóch sekundach kuchnia stanęła przed nim otworem.

Wszedł do środka, ostrożnie zamknął za sobą drzwi i zerknął na zegarek. Wymknął się z domu niecałe sześć minut wcześniej. Następnym zadaniem było odnalezienie Fihrera, zanim Fihrer znajdzie jego. Dante przekradł się bezgłośnie przez przedpokój biegnący do frontowych drzwi. Pokój wypoczynkowy na tyłach był otwarty. Uwadze Dantego nie uszły naprawione okna i świecący nagim łupkiem stół bilardowy, przygotowany do wymiany sukna.

Drzwi pokoju dziennego były zamknięte, a przez szczeliny wokół framugi nie sączył się nawet najslabszy promyk światła. Kiedy przyłożył do nich ucho, nie usłyszał nic prócz martwej ciszy, dlatego nie zaglądając do środka, pobiegł na piętro. Minawszy pokoje Joego i Martina, Dante spostrzegł, że drzwi sypialni Fiihrera są uchylone. Światło w korytarzu było zgaszone, ale ściany i sufit rozświetlała słaba poświata, pobłyskująca na niebiesko i różowo przy akompaniamencie przytłumionych dźwięków telewizora.

Kilkoma kocimi susami Dante przyskoczył do drzwi sypialni i przykucnął, by zajrzeć przez szczelinę. Fiihrer leżał wyciągnięty na łóżku, oparty potylicą o wezglowie, ubrany jedynie w szlafrok, z puszką piwa w dłoni i paczką chipsów wkliniowaną pomiędzy uda. Okno było otwarte i zasłonka falowała na wietrze, podczas gdy na ekranie lotniskowiec wystrzeliwał w powietrze kolejne F-18.

-Jako najnowocześniejsza jednostka w klasie Nimitz „Ronald Reagan” jest pływającym domem dla ponad siedemdziesięciu pilotów, należących do najlepszych na świecie, oraz setek znakomicie wyszkolonych mechaników, dbających, by ich stalowe ptaki były zawsze gotowe do boju...

Obecność Fiihrera przyprawiała Dantego o mdłości. Zmuszony do obrony uciekłby się do nokautującego ciosu, po czym użył noża, ale z punktu widzenia kogoś, kto nie chciał zostawiać śladów, lepiej było wykorzystać coś znalezione w domu.

Dante pobiegł do gabinetu na końcu korytarza i zapalił światło. Znieruchomiał na chwilę przed fotografią z Letniego Grilla Bandytów 2002, po czym porwał pistolet-ku-szę z lunetą - celowo omijając ten, którym wymachiwał przed Anną w sobotę - i załadował go trzema strzałami.

Wyłączony światło, Dante wrócił pod sypialnię Fiihrera i przykucnął przy drzwiach. Szczelina nie była na tyle szeroka, by dać mu dobrą pozycję do strzału, więc pchnął lekko drzwi, które delikatnie skrzypnęły.

Fiihrer dostrzegł ruch kątem oka, ale uznał, że to wina przeciągu. Kiedy jego uwaga znów zdrzyfowała w stronę lotniskowców klasy Nimitz, Dante spojrzął w okular lunety i ustawił krzyż celownika na szyi mężczyzny.

Docisnął ramię do framugi i wziął głęboki oddech, stabilizując cel. Kiedy trafi pierwsza strzała, wejdzie do pokoju i drugą przestrzeli Fiihrerowi serce.

#### 41. SMUTEK

James wrócił trzydziestokilometrowym objazdem, pędząc nieoświetlonymi szosami z ryczącym wydechem i snopem światła z pojedynczego reflektora wskazującym mu drogę. Kilka razy wystraszył się nie na żarty i przyjechał do domu spocony i rozogniony.

Podniecenie szybko przeszło w żalobny nastrój, kiedy potoczył swoją kawasaki po kostkowym podjeździe i postawił w podwójnym garażu obok rangę rovera. Używał tego motocykla w ścisłym związku ze swoją fałszywą tożsamością, więc nawet gdyby zaproponował, że odkupi go za własne oszczędności, nie było mowy, by pozwolono mu go zatrzymać. W dodatku miał dopiero szesnaście lat i mogło upłynąć sporo czasu, nim dostanie kolejną szansę na przejechanie się motocyklem, zwłaszcza tak silnym jak jego ER5.

James zdjął rękawice kupione na Herbatce Buntowników i pseudokarbonowy kask, który dostał od Brudnego Dave'a trzy dni wcześniej. Automatyczne drzwi garażu zaczęły się opuszczać, kiedy ruszył w stronę frontowych drzwi, dłużej w dzinsach w poszukiwaniu kluczy. Pociągnął nosem, wyczuwając coś słodkiego i uśmiechnął się: jedyną rzeczą, za którą na pewno nie będzie tęsknił, były powroty do domu w ciuchach przesiąkniętych słodką parą, jaka unosiła się z naleśnikowych placków.

- To ty, James? - mruknął Dante, omal nie przyprawiając go o zawał.

James spojrział w górę, potem za siebie i dopiero po chwili zauważył Dantego, oklapniętego pod ścianą na wyżwirowanej alejce biegnącej pomiędzy domem a garażem. W świetle padającym z okien sypialni powyżej widać było, że jest mocno przygnębiony.

- Coś się stało? - zapytał James, dostrzegając małą pistoletową kuszę na kolanach kolegi. - Skąd to wytrzasnąłeś?

- Z domu Führera - wyjaśnił Dante. - Ty... zabiłeś raz kogoś, prawda?

- Na mojej drugiej misji - przytaknął James. - Wyrwałem mu broń. To było: albo on, albo ja.

Dopiero kiedy to powiedział, w jego mózgu zazębiły się trybiki łączące nienawiść Dantego do Führera z odwiedzinami Dantego w domu jego wroga oraz z faktem, że w ręce trzymał kuszę załadowaną śmiertelnościami pociskami.

- Dante, coś ty narobił najlepszego? - szepnął przerażony.

- Był sam w domu - wymamrotał Dante. - Wszedłem tam... Leżał rozwalony na łóżku... Wycelowałem... I nie wiem, co się stało. Nie mogłem. Nie miałem tego w sobie.

James odetchnął z ulgą, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć. Uważał za słuszną zasadę zabraniającą CHERUBOWI dokonywania skrytobójczych zamachów, ale wiedział też, że myślałby inaczej, gdyby Führer zamordował jego rodzinę.

- Wszystko dokładnie przemyślałem - ciągnął Dante. - Założyłem te same buty, w których byłem na imprezie u Joego, żeby odciski butów niczego nie dowodziły. Miałem użyć broni Führera i zostawić ją na miejscu, żeby żaden trop nie prowadził do mnie. Zara i Chloe na pewno by coś podejrzewały, ale nikt niczego by mi nie udowodnił, chyba że miałbym paskudnego pecha z naocznym świadkiem.

- Może tak jest lepiej - powiedział James łagodnie. - Do dziś myślę o tym facecie, którego zastrzeliłem. To naprawdę nieźle daje po głowie.

Dante dźwignął się ze zwiru i spojrział na swoje ręce z pogardą.

- Jestem słaby - powiedział. - Jeżeli jest tamten świat, mój tata siedzi tam, trzymając się za głowę, bo właśnie dowiedział się, że jestem największym gównianym cykorem, jaki kiedykolwiek żył na tej planecie.

Kiedy Dante odwrócił się, by odejść, z fałdów bluzy wypadła mu zrolowana fotografia. James podniósł ją.

- To chyba twoje.

- Wywał to - rzucił Dante z goryczą i ruszył w stronę ogrodu za domem.

James rozwinął zdjęcie i ujrzał Bandytów przy grillu. Rozpoznał stojącego na środku Führera i preżącego się dumnie Joego tuż przed nim. Dante wyglądał inaczej z krótkimi rudymi włosami, ale nastoletnia dziewczyna przy krawędzi fotografii była doń wprost uderzająco podobna.

- Wiesz co, Dante... - zaczął James, wchodząc za młodszym kolegą na trawnik. - Może nie pociągnąłeś za spust wcale nie dlatego, że jesteś tchórzem. No bo przecież strzelenie komuś w łeb nie jest czymś, z czego można być dumnym, nie sądzisz?

Do tej pory rozmawiali półgłosem, żeby nie usłyszały ich dziewczęta w domu, ale teraz Dante krzyknął:

- James, proszę, zostaw mnie w spokoju!

- Nie byłeś w stanie zabić Führera, ponieważ jesteś lepszym człowiekiem niż on - powiedział James i uniósł fotografię, pokazując ją Dantemu. - Spójrz na swoją mamę i na siostrę na tym zdjęciu. Myślisz, że wołałyby, żebyś torturował się myślami o zemście, czy żebyś zaczął normalne życie?

James obawiał się, że jego argument zabrzmiał naiwnie, ale Dante zatrzymał się i wyrwał mu fotografię.

- Pokaż to - powiedział, zdobywając się na słaby uśmiech. - Dziwnie jest patrzeć na Lizzie i myśleć, że dziś miałyby dwadzieścia jeden lat. No i pamiętam ją tylko jako wkurzającą starszą siostrę, ale kiedy teraz na to patrzę, widzę, że niezła była z niej laska. Miała też fajne poczucie humoru.

James pokiwał głową.

-Wiesz, co jest najdziwniejsze w byciu cherubinem? Możemy robić tyle fantastycznych rzeczy, a nasze życie jest po prostu niesamowite w porównaniu z życiem zwyczajnego dzieciaka, ale większość z nas wróciłaby do dawnej nudnej egzystencji, gdyby tylko dać nam taką szansę.

- Natychmiast - przytaknął Dante. - Przynajmniej Fihrer przeżyje niezły szok, kiedy wejdzie do swojego gabinetu.

- Brakujące zdjęcie - pokiwał głową James.

-Nie tylko - uśmiechnął się Dante. - Wystrzeliłem strzałę między oczy Hitlera na obrazie, a na biurku wy-drapałem nożem: Dante Scott jest Mściwym Bękartem.

Uśmiech Jamesa rozjeżdżał się powoli w radosny grymas, w miarę jak głębsze znaczenie nowiny docierało do jego świadomości.

-Jeśli pomyśli, że należysz do Bękartów... A wie, że łączyłeś mu po domu z kuszą...

- Może i jestem zbyt tchórzliwy, żeby rozwalić Fihrero-wi łeb - powiedział Dante ponuro - ale przynajmniej dałem mu temat do rozmyślań.

## 42. PIĄTEK

Dwadzieścia cztery godziny później James, Laura i Dante byli już w kampusie. Piątkowe wieczory zawsze miały przyjemny klimat, a ten był lepszy niż zwykle, ponieważ całe mnóstwo cherubinów odlatywało w poniedziałek na wakacje w letnim ośrodku CHERUBA.

Tuż po piątej Rat wrócił do siebie po meczu tenisa z Andym. Zsunął ze stóp buty i właśnie ściągał przez głowę przepoconą koszulkę, kiedy z szafy wypadła Laura.

- Wróciłaam! - wrzasnęła.

Rat uskokczył w tył i potknąwszy się o własne nogi, rym-nął na łóżko.

- Chcesz, żebym się sfajdał ze strachu?! - krzyknął ze śmiechem.

- Czytałam twoje esemesy - powiedziała Laura.

Stała nad nim w prowokującej pozie, z biustem niemal dotykającym strużek potu ściekających mu po piersi.

- No to szkoda, że na żaden nie odpowiedziałaś - odrzekł Rat chłodno.

- Uznałam, że jednak łączy nas coś szczególnego. - Laura uśmiechnęła się zaczepnie. - A poza tym z nadgarstkiem w gipsie potrzebuję kogoś, kto w poniedziałek zaniósłby mi bagaż do samolotu.

- A kto ci powiedział, że chcę cię z powrotem? - zapytał Rat drwiąco. - Skąd wiesz, że kiedy cię nie było, nie nawiązałem gorącego romansu z jakąś piersiastą blondyną?

- Dwa powody - powiedziała Laura. - Po pierwsze, mam szpiegów w całym kampusie, a po drugie, która dziewczyna zdzierzyłaby cię z tą kretyńską fryzurą?

-Jak mógłbym odrzucić taką ofertę? - uśmiechnął się Rat. - Pocałowałbym cię, ale jestem cały spocony.

- Istnieje cienka granica pomiędzy męskim zapachem wysiłku a smrodem brudasa -

powiedziała Laura z szelmowskim uśmiechem, przysuwając się bliżej, by pocałować Rata w usta.

- Ten jeden raz mogę rozstrzygnąć moje

wątpliwości na twoją korzyść.

Dwa piętra niżej James siedział na kanapie w pokoju Kerry Chang. Wrócił do kampusu dopiero przed dwiema godzinami, w którym to czasie zdążył zjeść spóźniony lunch, wziąć prysznic oraz przebrać się w szorty i koszulkę CHERUBA.

Kerry wyszła z łazienki, ubrana w biały biustonosz i figi od kompletu. Stała przy łóżku, wycierając w ręcznik długie czarne włosy i uśmiechając się.

- Moim zdaniem powinniśmy spróbować - powiedział James. - Do trzech razy sztuka.

Kerry rzuciła ręcznik do łazienki i usiadła na łóżku.

- Rozumiem, że na misji nikogo nie poderwałeś?

- Nie. - James potrząsnął głową. - Znacząca była taka jedna, Ashley, ale w sumie tylko się przyjaźniliśmy. Zresztą była bardzo religijna, więc i tak niczego bym nie zdziałał, nawet gdybym chciał.

Kerry roześmiała się i poklepała dłonią koldrę.

- Co się tak chowasz na tej kanapie?

James wstał, szczerząc zęby w radosnym grymasie.

- Czuję się jak narkoman. Odstawiłem Kerry Chang na prawie dwa lata, ale czuję, że znów zacznę zażywać.

Kerry parsknęła śmiechem.

- Mówisz, że jestem jak szybki strzał w żyłę?

- Nie - uśmiechnął się James. - Mówię, że nie można ci się oprzeć i że jesteś wysoce uzależniająca.

-Pamiętasz, jak się siłowaliśmy? - zapytała Kerry.

- Wnerwiałeś się, bo zawsze z tobą wygrywałam.

- Nie przypominam sobie niczego takiego - powiedział James z ironicznym uśmiechem. - Poza tym wtedy byłem tylko o parę centymetrów wyższy od ciebie. Teraz jestem o wiele bardziej atletyczny i w ogóle męski.

Kerry wyglądała na ubawioną.

- Coś ci powiem, mój ty siłaczu - uśmiechnęła się. - Jeśli rozłożysz mnie na łopatki, będziesz mógł zrobić ze mną, co ci się podoba.

Jamesowi oczy wyszły z orbit.

- Czy to obejmuje baraszkowanie na golasa?

- Najpierw musisz mnie pokonać - zaznaczyła Kerry.

- No i rzecz jasna, jeśli ja pokonam ciebie, zrobisz wszystko, czego zażadam.

-Znaczący, będę twoim erotycznym niewolnikiem? -upewnił się James.

Kerry uśmiechnęła się.

- To jak, zakład czy nie?

James zdążył zapomnieć, jak swawolna potrafi być Kerry, a ubrana tylko w bieliznę wyglądała naprawdę bardzo seksownie.

- No pewnie - potwierdził.

Był dumny ze swojego torsu, więc zdarł z niego koszulkę i cisnął ją precz.

- To nie będzie mi potrzebne przez następne dwie godziny - oznajmił butnie.

Kerry zsunęła się z łóżka i przyjęła postawę bojową przed górującym nad nią kolegą.

- Czy ty w ogóle mówiłaś poważnie? - zaniepokoił się James.

Kerry cmoknęła powietrze.

- Będę twoją.

-Jezu Chryste...! - zawołał rozgorączkowany James i rzucił się naprzód.

Chciał złapać Kerry w pasie, ale zeszła mu z drogi zgrabnym piruetem, jednocześnie zaczepiając stopę o kostkę i błyskawicznym podcięciem powalając go na twarz. Zanim zdążył ochłonać, już siedziała mu na plecach, ściskając ramieniem szyję w bolesnym duszeniu.

- Zawsze to samo - ziewnęła Kerry. - Niby tyle mięśni, a ruszasz się jak stuletni ślimak.

-Chryste... - zarzęził James, kiedy zacisnęła uchwyt.

- Nie mogę oddychać...

- A wiesz, jak bardzo mnie bolało, kiedy kopnąłeś mnie w dupę? - wycedziła Kerry. - Jeżeli znowu złamiesz mi serce, James, skręcę ci kark!

Kiedyś, kiedy byli razem na praktykach, James widział, jak Kerry okłada dorosłego mężczyznę kijem baseballowym, wiedział więc, do czego jest zdolna.

-Kerry... przepraszam... naprawdę... - skamlał. - Na miłość boską, to naprawdę boli!

- Możemy zerwać ze sobą, pokłócić się, to zrozumiam

- ciągnęła Kerry. - Ale jeśli jeszcze raz mnie zdradzisz, jesteś trupem, James. No wiec decyduj, chcesz ze mną być czy nie? Moje warunki już znasz.

- Teraz jestem dojrzały - zakwiczał James. - No weź, Kerry, puść mnie już.

- Obiecaj - naciskała Kerry - albo zjazd z mojego pokoju i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

- Dobra, obiecuję - wykrztusił James, a potem wciągnął głośno powietrze, kiedy Kerry zwolniła uścisk. - Jezu... Już zapomniałem, jaka jesteś szybka.

Kerry zaśmiała się, cmoknęła Jamesa w szyję i podniosła się. James odwrócił się na plecy i ciężko dysząc, patrzył na stojącą nad nim okrakiem dziewczynę. Wcale nie był pewien, czy powrót do Kerry nie jest szaleństwem, ale kiedy patrzył na jej gładkie uda i kołyszące się czarne fale włosów, pragnął jej bardziej niż cegokolwiek innego na świecie.

Był kwadrans po ósmej, kiedy Dante wtaszczył nieduży materac do swojego pokoju na ósmym piętrze. Jego pięcioletnia siostra Holly weszła za nim. Miała długie rude włosy, ubrana była w uniform CHERUBA, a przed sobą niosła kołdrę spiętrzoną tak wysoko, że ledwie mogła coś zobaczyć.

-A ile czasu będę mogła tu zostać? - zapytała Holly z obawą.

Dante rzucił materac na podłogę.

- Czego się martwisz na zapas? - powiedział uspokajającym tonem. - Po prostu spróbujmy i zobaczymy, jak się nam ułoży. Założę się, że za parę dni sama będziesz chciała wrócić do swoich koleżanek w bloku juniorów.

- Jak będę miała łóżko w twoim pokoju i łóżko w bloku juniorów, to będę mogła spać, gdzie mi się zachce - zauważyła rezolutnie Holly. - A jak będziesz chciał, to czasem możesz przyjść spać do mnie.

Dante uśmiechnął się.

- Tak czy owak, za parę dni i tak jedziemy do ośrodka letniego.

Holly rzuciła kołdrę na materac i wyciągnęła zrolowaną w środku piżamę. Dante cisnął w siostrę poduszką.

- Hej! - zachichotała Holly. - Ty chuliganie.

- Pomóc ci przy rozbieraniu? - zaproponował Dante.

Holly spojrzała na niego jak na przybysza z Marsa.

- Helo-o! Ja mam pięć lat.

- Przepraszam - powiedział Dante. - Nie widzieliśmy się od wieków. W zeszłym roku ten twój wielki sagan za nic nie chciał ci przejść przez otwór w koszulce.



Aby zademonstrować swoją dorosłość, Holly wprawnie ściągnęła koszulkę, zsunęła szorty, a potem zaprezentowała bratu tylną stronę uda.

-Widzisz, jakie mam siniaki? - powiedziała z dumą.

- Zrobiłam sobie na nartach.

-Ja nigdy nie jeździłem na nartach - wyznał Dante.

- Pewnie od razu bym się wywalił.

Holly roześmiała się, a potem wydała odgłos naśladujący eksplozję.

- Mogę cię nauczyć - zaproponowała. - Jestem drugą najlepszą narciarką ze wszystkich dziewczyn, które wcześniej nie jeździły na nartach.

Holly włożyła piżamę i poszła do łazienki, żeby umyć zęby. Dante, który spędził z siostrą każdą wolną chwilę od czasu swojego powrotu, wykorzystał tę przerwę na wyjęcie z bagażu brudnych ubrań i wrzucenie ich do kosza na pranie. Zdażył jeszcze wypakować swoją PSP i kilka innych rzeczy, nim Holly wyszła z łazienki i stanęła przed nim, szczerząc zęby.

- Cystę? - zasepleniła, a Dantego owionął jej miętowy oddech.

Uświadomił sobie, że to pewnie rytuał odprawiany przez opiekunów z bloku juniorów, którym zależało, by maluchy porządnie szcztokowały zęby.

-Wyglądają w porządku - uśmiechnął się. - Chodź, usiądź na łóżku na chwilę. Coś ci pokażę.

Kiedy Holly wskoczyła na łóżko, Dante usiadł obok niej i rozwinął zrolowaną fotografię z grilla Bandytów. Wskazał chłopca stojącego blisko środka zdjęcia.

- Poznajesz, kto to jest? - zapytał.

Holly potrząsnęła głową, a potem zakryła dłonią usta.

- Czy to ty?

- Zgadza się - przytaknął Dante, po czym przesunął palec na Scotty'ego. - A to jest twój tata.

Holly widziała ojca na kilku niewyraźnych zdjęciach policyjnych i skinęła głową

- A to twoja siostra Lizzie, naburmuszona, bo nie chce, żeby jej robić zdjęcie. Twój brat Jordan robi głupie miny, a to jest nasza mama - powiedział Dante. - A to zawiniątko, które trzyma, jak myślisz, co to jest?

Holly przysunęła twarz do zdjęcia.

- To ja - powiedziała, a potem uśmiechnęła się i oparła główkę na ramieniu Dantego. - Ale teraz zostaliśmy tylko ty i ja i oboje mieszkamy w CHERUBIE.

Dante delikatnie uściśnął siostrę i pocałował ją w czubek głowy.

-Idę spać - ziewnęła Holly, po czym głową-omal nie wybiła bratu zębów, kiedy wyprostowała się nagle, by skoczyć z łóżka prosto na materac. - Strrrasznie fajnie, że już wróciłeś. W letnim ośrodku będziemy mogli robić wszystko razem.

Dante wyłączył górne światło i położywszy się w poprzek łóżka, patrzył, jak Holly układa się do snu. Co pewien czas otwierała jedno oko i chichotała łobuzersko, kiedy pokazywał jej język.

Fotografia wciąż leżała na łóżku i Dante nie zdołał zwalczyć pokusy spojrzenia na Fiihrera. Jego myśli zdryfowały do poprzedniej nocy i wciąż nękającego go pytania: dlaczego nie pociągnął za spust?

Widok obwisłego ciała Fiihrera na skrzyżowaniu nitek celownika przemienił go ze straszliwego siewcy śmierci, który ścigał Dantego przez jego koszmary, w zwykłego faceta w średnim wieku, który oddychał tylko dzięki temu, że Dante darował mu życie.

Misja nie wypaliła i Fiihrer nie trafił za kratki. Może ludzie tacy jak Chloe Blake i Ross Johnson znajdą w końcu sposób, by doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Może zgnije w więzieniu, może spotka go gwałtowny koniec z rąk innego bikera, a może umrze szczęśliwy w wieku stu pięciu lat.

Dante pomyślał to wszystko i ze zdumieniem zauważył, że już nic a nic go to nie obchodzi. Patrząc na śpiącą Holly, zrozumiał nagle, że zemsta nie zwróciłaby mu rodziny. Nie odwiedził Fiihrera, żeby go zabić. Odwiedził go, żeby pożegnać się ze swoją przeszłością.

## EPILOG

Herbatka Buntowników 2008 stała się początkiem wielkiej wojny, zarówno wewnątrz Bandytów, jak i pomiędzy klubem a wrogimi gangami, takimi jak Bitch Slappers, Mściwe Bękarty i Synowie Szatana.

Jedną z pierwszych ofiar był prezes londyńskiego chap-teru DUSIKOTEK, którego znaleziono zamordowanego w jego mieszkaniu w Londynie. RALPH DONNINGTON vel FUHRER został przesłuchany w związku z morderstwem, a później zastąpił Dusikotka na stanowisku prezesa krajowego Bandytów.

Holenderski Bandyta i specjalista od materiałów wybuchowych JONAS HAARDEN vel DOODS wciąż jest na wolności i prawdopodobnie przebywa na terenie Wielkiej Brytanii.

Były Bandyta PAUL WOODHEAD został skazany na piętnaście lat więzienia za udział w przemyśle broni. Szyper kutra JOHNNY RIGGS dostał siedem lat. NIGEL CON-NOR usłyszał wyrok trzydziestu miesięcy pobytu w zakładzie karnym dla nieletnich.

JULIAN HARGREAVES przyznał się do wszystkich zarzutów związanych z przemytem broni, ale został zwolniony bezwarunkowo i pochwalony przez sędziego za odwagę przy ujawnieniu dowodów. Po szeregu wypadków wandalizmu i nękania jego rodziny Julian przeniósł się do prywatnej szkoły w Londynie, zaś jego ojciec JONTY HAR-GREAVES sprzedał swój apartament w Marina Heights.

Devonska policja jest zdania, że powyższe wyroki wraz z konfiskatą kutra „Brixton Riots” wywarły znaczący wpływ na zdolność Bandytów do szmuglowania broni na teren Wielkiej Brytanii.

MARTIN DONNINGTON wciąż kieruje stoiskiem z naleśnikami w Marina Heights.

Zarezerwował bilet dookoła świata i ma nadzieję, że zdoła odłożyć dość pieniędzy, by rok 2009 spędzić na podróżach.

Jego młodszy brat JOE DONNINGTON zszedł się z ANNA CONNOR po tym, jak Dante i Laura wrócili do kampusu.

W raporcie wewnętrznym policji główny inspektor ROSS JOHNSON został skrytykowany za decyzję kontynuacji kontrolowanego zakupu broni po zdemaskowaniu tajnego agenta sierżanta NEILA GAUCHE oraz będącą jej skutkiem utratę trzystu szesnastu tysięcy funtów.

Rola agentów CHERUBA w późniejszych fazach operacji nie mogła zostać wyjawiona zespołowi przygotowującemu raport. Johnsona uchroniła od degradacji osobista interwencja Zary Asker.

Johnson kontynuuje współpracę z koordynatorką misji CHERUBA CHLOE BLAKE w kierunku zorganizowania kolejnej misji skierowanej przeciwko gangom motocyklowym.

Neil Gauche zakończył swój przydział w Krajowej Grupie Operacyjnej do spraw Gangów Motocyklowych i wrócił do pracy detektywa w rodzinnym Leicestershire.

Była agentka CHERUBA psycholog dziecięcy JENNIFER MITCHUM jest wprawdzie na emeryturze, ale pracuje na część etatu w kampusie CHERUBA, badając przydatność potencjalnych rekrutów i pomagając agentom, którzy wrócili ze szczególnie trudnych misji.

Prezeska CHERUBA ZARA ASKER urodziła trzecie dziecko, chłopca imieniem JONASZ EWART ASKER.

W raporcie dotyczącym misji w Salcombe komisja etyki CHERUBA skrytykowała JAKE'A McEWENA za napaść na oficera policji oraz nadmiernie agresywny sposób przesłuchiwania Juliana Hargreavesa. McEwen powoli archiwizuje tysiące teczek z aktami w podziemiach głównego budynku kampusu CHERUBA. Zara Asker posłała go także na kurs kontroli agresji. Po powrocie z zakończonej niepowodzeniem misji JAMES ADAMS, LAURA ADAMS i DANTE WELSH polecieli na wakacje w ośrodku letnim CHERUBA. James i jego kawa-saki ER5 czekają w gotowości na sposobność rewanżu w roli bikera Jamesa Ravena.  
HmniHo